

Sheridan Mia

Bez szans



LEGENDA O BYKU

Legenda ta mówi o samotnym, wędrującym byku imieniem Cerus. Choć nie był nieśmiertelny, większość za takiego go uznawała przez wzgląd na jego niespotykaną siłę.

Cerus był dziki, nieposkromiony i do nikogo nie należał. Pewnego dnia bogini wiosny Persefona zobaczyła, jak tratuje ukwieconą łąkę, i podeszła do niego. Jej uroda i łagodność uspokoiły go i się w niej zakochał. Bogini, ujarzmiwszy Cerusa, nauczyła go cierpliwości i mądrego pożytkowania siły.

Jesienią, kiedy Persefona schodzi do Hadesu, Cerus wędruje na nieboskłon i przeistacza się w gwiazdozbiór Byka. Wiosną, gdy Persefona powraca na ziemię, Cerus do niej dołącza. Bogini zasiada na jego grzbiecie, a on biegnie przez zalane słońcem pola, by mogła tchnąć w rośliny życie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tenleigh - lat siedemnaście

Kylanda Barretta tak naprawdę dostrzegłam po raz pierwszy, kiedy zgarniał czyjeś porzucone śniadanie ze stolika w stołówce. Odwróciłam wzrok, by mógł zachować godność, co było z mojej strony odruchem bezwarunkowym. Jednak kiedy ruszył w kierunku drzwi, wrzucając do ust niewielkie resztki jedzenia, znów na niego zerknęłam. Nasze oczy się spotkały. Jego zapłonęły przelotnie, po czym zwięzły się, a ja znów umknęłam spojrzeniem. Moje policzki zarumieniły się, jakbym właśnie zakłóciła niezwykle intymną chwilę. I tak właśnie było. Nie powinno mnie to dziwić, bo sama tak robiłam. Znałam ten wstyd. Ale znałam też ssącą pustkę poniedziałkowego poranka po długim przegłodowanym weekendzie. Najwyraźniej Kylandowi też nie była obca.

Oczywiście widywałam go wcześniej. Założę się, że każda osoba płci żeńskiej pozwalała sobie na podziwianie jego uderzająco przystojnej twarzy i wysokiej, dobrze zbudowanej sylwetki. Ale to wtedy po raz pierwszy naprawdę go

zobaczyłam, po raz pierwszy poczułam tętniące w piersi zrozumienie dla tego chłopca, który zawsze zdawał się przybierać pozę nonszalancji, jakby nie zależało mu szczególnie na nikim ani niczym. Dobrze znałam mężczyzn, którzy mieli wszystko gdzieś. W najmniejszym stopniu nie pisałam się na takie kłopoty.

Najwyraźniej nie wszystkie dziewczyny z naszej szkoły żywiły szczególną awersję do kłopotów, bo jeśli już widywało się go w czyimś towarzystwie, to zawsze w damskim.

To była duża szkoła, do której chodzili uczniowie z trzech miejscowości. W ciągu trzech i pół roku, które spędziliśmy w liceum, chodziłam z Kylandem na zaledwie parę zajęć, a on zawsze siedział na tyłach klasy i rzadko odzywał się choć słowem. Ja z reguły siadałam z przodu, żeby widzieć tablicę - chyba byłam krótkowzroczna, nie żeby było nas stać na badanie, nie wspominając o okularach. Wiedziałam, że zbierał dobre stopnie. Wiedziałam, że musi być bystry mimo pozornie nonszalanckiej pozy. Ale od tamtego dnia w stołówce nie umiałam patrzeć na niego tak samo, a mój wzrok stale na niego trafiał. Szukałam go na zatłoczonych korytarzach - pełnych nastolatków wlokących się do sal jak bydło zaganiane na żyźniejsze pastwisko - w stołówce czy idącego przede mną. Ręce trzymał zwykle w kieszeniach, a na dworze schylał głowę przed wiatrem. Lubiłam obserwować, jak porusza się jego ciało, i podobało mi się, że on o tym nie wie. Ciekawił mnie. Nagle wyraz jego twarzy zdał mi się raczej nieufny niż obojętny czy zdystansowany. Wiedziałam o Kylandzie niewiele, tylko tyle, że tak jak ja mieszkał na wzgórzach. I najwyraźniej się nie przejadał, ale w tych stronach nie brakowało głodnych ludzi.

Pośród zielonych wzgórz, zapierających dech w piersiach widoków, wodospadów i urokliwych krytych mostów leży Dennville w stanie Kentucky, zakątek Appalachów, który

zawstydziliby slumsy, gdzie brak nadziei jest równie pospolity jak białe dęby, a bezrobocie stanowi raczej zasadę niż wyjątek.

Moja starsza siostra Marlo mawia, że Bóg stworzył region Appalachów, po czym szybko wziął nogi za pas i więcej tu nie wrócił. Coś mi podpowiadało, że częściej to ludzie zawodzili Boga niż na odwrót. Ale co ja tam wiedziałam o Bogu? Nawet nie chodziłam do kościoła.

Rozumiałam tylko tyle, że w miejscu takim jak Denville tezy Darwina się sprawdzały: przetrwać mogli tylko najsilniejsi.

Chociaż nie zawsze panowała tu taka bieda - dawniej, kiedy działała kopalnia, miejscowe rodziny zarabiały przyzwoicie, nawet jeśli niektórzy musieli płacić bonami na żywność. W mieście można było wtenczas znaleźć co najmniej kilka niezłe prosperujących firm, miejsca pracy dla zainteresowanych, i ludzi, którzy mieli do wydania parę groszy. W tamtych czasach nawet ci z nas, którzy mieszkali na wzgórzu w smętnym skupisku małych chatynek, bud i przyczep -najbiedniejsi z biednych - mieli wystarczająco, żeby jakoś przeżyć. A potem doszło do wybuchu w kopalni. Gazety okrzyknęły go największą górniczą tragedią półwiecza. Zginęło sześćdziesięciu dwóch mężczyzn, z których większość miała w domach rodziny do wykarmienia. Tamtego dnia życie stracili ojciec i starszy brat Kylanda. Mieszkał teraz z niepełnosprawną matką w maleńkiej chałupce nieco poniżej mojej. Jakiego rodzaju była to niepełnosprawność, nie miałam pewności.

Ja mieszkałam z mamą i siostrą w niewielkiej przyczepie usytuowanej w sosnowym zagajniku. W miesiącach zimowych w szparach wył wiatr i trząsł naszą przyczepą tak gwałtownie, że byłam przekonana, iż nas przewróci. Jakimś cudem do tej pory się ostała. Jakimś cudem wszyscy na tej górze zdołali się ostać. Do tej pory.

Pewnego późnojesiennego dnia, owijając się szczelnie swetrem, z wiatrem szalejącym we włosach, piłam się drogą prowadzącą do naszej przyczepy, kiedy dostrzegłam idącego przede mną Kylanda. Nagle minęła mnie pędem Shelly Galvin i zrównała się z nim, a on odwrócił się i skinął głową na coś, co powiedziała. Straciłam ich z oczu za zakrętem drogi i zajęłam się własnymi myślami. Chwilę później, kiedy sama skręcałam, nie było ich nigdzie w zasięgu wzroku, gdy jednak mijałam gąszcz orzeszników, usłyszałam chichot Shelly, więc zatrzymałam się, by zajrzeć w zarośla. Kyland przycisnął ją do drzewa i całował, jakby był jakimś dzikim, nieujarzmionym zwierzęciem. Ona stała zwrócona do mnie plecami, więc widziałam tylko jego twarz. Nie wiem, czemu tam stałam, gapiąc się na nich i bezpardonowo naruszając ich prywatność, zamiast pójść dalej. Ale coś w zamkniętych oczach Kylanda, w nieskrywanym, rozgorączkowanym skupieniu, kiedy tak wodził ustami po jej ustach, spowodowało, że zacisnęłam uda, w żyłach popłynął wrzątek i ogarnęło mnie pożądanie. Przeniósł dłoń na pierś Shelly, a ona wydała z siebie gardłowy jęk. Moje sutki stwardniały, jakby to mnie dotykał. Oparłam się o rosnące w pobliżu drzewo. Ten drobny ruch najwyraźniej nie uszedł jego uwagi, bo otwarł gwałtownie oczy i wbił je we mnie, nie przestając całować Shelly. W jego policzkach powstały lekkie wgłębienia, kiedy zrobił językiem coś, co mogłam sobie jedynie wyobrazić. I wyobrażałam sobie. Kiedy nasze oczy się spotkały, wstyd zalał mi twarz gorącą falą i nie byłam zdolna do najmniejszego ruchu. Zmrużył oczy. Wróciłam do rzeczywistości i niezdarnie się wycofałam, czując upokorzenie.

I zazdrość. Ale do niej nie chciałam się przyznawać. Nie kłopoty, na które się nie pisałam.

Odwróciłam się i resztę drogi pod górę do swojej przyczepy pokonałam biegiem. Otwarłam z impetem drzwi, wpadłam

do środka, zatrzasnąjąc je za sobą, i osunęłam na kanapę, z trudem chwytając powietrze.

- O matko, Tenleigh! - wykrzyknęła mama ze śpiewnym akcentem, stając w maleńkiej kuchni, żeby zamieszać w garnku na elektrycznej maszynie coś, co pachniało jak ziemniaczanka.

Zerknęłam na nią, opanowując oddech. Jęknęłam wewnątrz na widok jej peniuaru i przewieszanej przez pierś podniszczonej wstęgi Miss Kentucky Sunburst. Zanosiłoby się na to, że dzisiejszy wieczór będzie bardzo zły. Z wielu powodów.

- Cześć, mamó - powiedziałam. - Na dworze było zimno - wyjaśniłam tylko. - Pomóc ci?

- Nie, nie, wszystko pod kontrolą. Chyba zawiozę coś ciepłego Eddiemu do miasta. Uwielbia moją ziemniaczankę, a zapowiada się bardzo chłodny wieczór.

Skrzywiłam się.

- Mamó, Eddie spędza dzisiejszy wieczór w domu z żoną i rodziną. Nie możesz zanieść mu ziemniaczanki.

Mama spochmurniała, ale potem uśmiechnęła się do mnie promiennie i pokręciła głową.

- Nie, nie, on od niej odejdzie, Tenleigh. Ona do niego nie pasuje. On kocha mnie. A dziś wieczorem będzie mu zimno. Wiatr... - ciągnęła, mieszając zupę, po czym zaczęła nucić jakąś bliżej nieokreśloną melodyjkę, uśmiechając się łagodnie do samej siebie.

- Mamó, zażyłaś dziś lekarstwo? - spytałam. Podniosła wzrok, a uśmiech zastąpiło zdezorientowane spojrzenie.

- Lekarstwo? O nie, skarbie, nie potrzebuję już lekarstwa. - Pokręciła głową. - Ciągłe chce mi się przez nie spać... czuję się tak dziwnie. - Zmarszczyła swój słodki, mały nosek, jakby mówiła o jakiejś strasznej głupocie. - Nie, odstawiłam lekarstwo. I czuję się cudownie!

- Mamo, powtarzałyśmy ci z Marlo setki razy, że nie możesz ot tak odstawić swojego lekarstwa. - Podeszłam do niej i położyłam dłoń na jej ręce. - Mamo, przez jakiś czas będziesz się czuła dobrze, a potem nie. Wiesz, że mam rację.

Posmutniała trochę, ale dalej stała i mieszała gęstą zupę. W końcu potrząsnęła głową.

- Nie, tym razem będzie inaczej. Zobaczysz. I tym razem Eddie przeniesie nas do swojego ładnego domu. Zrozumie, że potrzebuje mnie przy sobie... potrzebuje nas przy sobie. Skuliłam ramiona, czułam się pokonana. Nie miałam na to siły. Mama przyglądała swoje ciemne, kasztanowe włosy - odziedziczyłam po niej takie same - i znów się rozpromieniła.

- Wciąż mam swoją urodę, Tenleigh. Eddie zawsze powtarza, że jestem najpiękniejszą kobietą w Kentucky. A ta szarfa stanowi dowód, że nie kłamie. - Oczy zasnuła jej mgiełka, jak zwykle, kiedy mówiła o tytule Miss Sunburst, który zdobyła, będąc w moim wieku. Obróciła się do mnie i mrugnęła. Uniosła pasmo moich włosów, po czym się uśmiechnęła. - Jesteś równie ładna - powiedziała, potem jednak zmarszczyła brwi. - Szkoda, że nie mam pieniędzy, żeby zapisać cię do jakiegoś konkursu piękności. Założę się, że wygralabyś jak ja. - Westchnęła ciężko i wróciła do mieszania zupy.

Podskoczyłam, bo drzwi otwarły się z impetem i do środka wpadła zaróżowiona i zasapana Marlo. Uśmiechnęła się do mnie szeroko.

- Rany, ależ ten wiatr daje dziś w kość.

Skinęłam głową bez cienia uśmiechu i wskazałam wzrokiem mamę, która nalewała zupę do plastikowego pojemnika. Uśmiech zniknął z twarzy Marlo.

- Cześć, mamo. Co robisz? - spytała, zdejmując kurtkę i rzucając ją na bok.

Mama uniosła oczy i uśmiechnęła się słodko.

- Zabieram zupę dla Eddiego - odparła, zatrzasnąwszy wieczko pojemnika, po czym zabrała go do naszego małego salonu-jadalni.

- Nie, nie zabierasz - powiedziała gorzko Marlo. Mama zamruwała.

- Właśnie że zabieram, Marlo.

- Daj mi tę zupę, mamó. Tenleigh, idź po jej tabletki.

Mama zaczęła kręcić energicznie głową, a ja przemknęłam obok niej, żeby wziąć lekarstwo - lekarstwo, na które ledwie było nas stać, lekarstwo, które kupiłam za pieniądze zarobione zamiataniem podłogi i odkurzaniem półek u Rustyego, w miejscowym spożywczaku należącym do jednego z największych kretynów w mieście. Lekarstwo, na które oszczędzałyśmy z Marlo, nie dojadając.

Usłyszałam za plecami odgłosy przepychanki i popędziłam do łazienki, gdzie trzęsącymi się rękami wyjęłam z apteczki fiołki z maminymi lekami.

Kiedy wróciłam pędem do głównego pomieszczenia przyczepy, mama szlochała, a zupa pokrywała podłogę i Marlo. Mama padła w tym bałaganie na kolana, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła zawodzić. Marlo wzięła ode mnie lekarstwo. Zobaczyłam, że jej też trzęsą się ręce.

Uklęknęła w kałuży na podłodze, wzięła mamę w ramiona i zaczęła kołysać.

- Wiem, że on wciąż mnie kocha, Mar. Ja to wiem! - zawodziła mama.
- Jestem ładna. Jestem ładniejsza niż ona!

- Nie, mamó, on cię nie kocha - powiedziała Marlo łagodnie. - Bardzo mi przykro. Ale my cię kochamy. Ja i Tenleigh kochamy cię z całych sił. Tak mocno. Potrzebujemy cię, mamó.

- Chcę tylko, żeby ktoś się nami zaopiekował. Żeby nam pomógł. Eddie nam pomoże, jeśli ja tylko...

Dalszy ciąg stłumiły szlochy, a Marlo dalej ją kołysała, nie odzywając się już ani słowem. Słowami nie dało się z mamą

nic działać - nie, kiedy była w takim stanie. Jutro zdejmie szarfę. Jutro nie wstanie cały dzień z łóżka. A za parę dni lekarstwo zacznie działać i mama wróci częściowo do normy. Wtedy dojdzie do wniosku, że nie potrzebuje już lekarstwa, i potajemnie je odstawi, a my zaczniemy wszystko od nowa. Nie potrafiłam oprzeć się pytaniu: czy siedemnastolatka powinna być aż tak zmęczona? Zmęczona do szpiku kości... wycieńczona do cna?

Pomogłam im wstać i podałyśmy mamie lekarstwo ze szklanką wody, po czym odprowadziłyśmy ją do łóżka i bezszelestnie wróciły do głównego pomieszczenia. Uprzątnęłyśmy ziemniaczankę, zgarniając ją łyżkami do pojemnika, by uratować tyle, ile się da. Nie wiodłyśmy życia, w którym dopuszczalne byłoby marnowanie jedzenia, nawet takiego, które zwiedziło podłogę. Później tego wieczoru rozlałyśmy zupę do misek i zjadły na kolację. Brudna czy czysta, i tak napełniła nasze brzuchy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tenleigh

- Cześć, Rusty - rzuciłam, wpadłszy do spożywczaka, gdzie pracowałam po lekcjach cztery dni w tygodniu. Z trudem łapałam powietrze i byłam mokra od deszczu. Przeczesałam dłonią włosy.

Na zewnątrz właśnie zaczynało się przejaśniać.

- Spóźniłaś się. Znowu. - Rusty spojrzał na mnie gniewnie.

Wzdrygnęłam się na jego surowy ton i zerknęłam na zegar. Przejście na piechotę dziesięciu kilometrów ze szkoły w Evansly w ciągu godziny i kwadransa było niewykonalne. Biegłam większą część drogi, więc zwykle docierałam do sklepu spocona i zdyszana. Nie żeby Rustyego to coś obchodziło.

- Tylko dwie minuty, Rusty. Zostanę dwie minuty dłużej, okej? - Posłałam mu swój najładniejszy uśmiech.

Grymas Rustyego jedynie się pogłębił.

- Zostaniesz kwadrans dłużej z powodu pękniętej butelki piwa w sześciopaku, który Jay Crowley przyniósł mi dziś rano do kasy.

Zacisnęłam usta. To, że Jay Crowley kupował piwo z samego rana, wcale mnie nie dziwiło, ale nie byłam pewna, co miała ze mną wspólnego pęknięta butelka piwa, bo to Rusty rozpakowywał alkohole. Mimo to tylko skinęłam głową i bez słowa poszłam na zaplecze po fartuch i miotłę.

Był pierwszy dzień miesiąca, musiałam więc szybko umyć i uporządkować półki na napoje, bo za jakąś godzinę, kiedy bony żywnościowe zostaną już wydane, sklep Rusty'ego zaleje fala koleśi sprzedających wózki słodzonych napojów. To było mistrzowskie robienie opieki społecznej w balona - wziąć pięć stówek z okładem, które czteroosobowa rodzina dostaje miesięcznie na jedzenie, kupić napoje na stacji benzynowej Jojo przy autostradzie i odsprzedać je Rusty'emu za pół ceny, przerabiając zasilek na dwieście pięćdziesiąt dolców czystej gotówki. Za gotówkę można było kupić papierosy, alkohol, kupony na loterię... amfę. Za bony żywnościowe - nie. A Rusty cieszył się z zarobku, mając gdzieś, że przez to dzieciaki nie dostaną obiadu. Trzeba jednak przyznać, że gdyby Rusty nie odkupywał napojów, robiłby to ktoś inny. Tak tu wszystko działało.

Kilka godzin później, kiedy tłum się przeredził, a ja odkurzałam półki na tyłach sklepu, zabręczał dzwonek przy drzwiach. Nie przerywając krzątania, kątem oka dostrzegłam, jak ktoś otwiera drzwi lodówki stojącej przy tylnej ścianie. Obrócił się, a ja wstałam z miejsca, gdzie kuciałam twarzą do półki, i moje spojrzenie napotkało wzrok Kylanda Barretta. Zobaczyłam jego rękę upychającą kanapkę pod kurtką. Oczy zrobiły mu się okrągłe i przez moment wyglądał na zszokowanego, po czym spojrział nerwowo gdzieś za moimi plecami, bo nagle usłyszeliśmy dochodzący z tamtej strony odgłos kroków. Rzuciłam okiem przez ramię. Alejką zbliżał się Rusty z gniewną miną, a za mną stał Kyland, wciąż trzymając rękę z dużym kanapkowym wybrzuszeniem pod kurtką. Gdybym się poruszyła, zostałby przyłapano na gorącym uczynku. Podjęłam

natychmiastową decyzję. Udałam, że się niezdarnie potykam, a przy tym zrzuciłam z półki kilka pudełek czegoś, co z pewnością musiało być stęchłymi cheeriosami - bezcukrowymi płatkami, które się nie sprzedały - i wydałam z siebie cichy okrzyk. Nie do końca wiem, czemu to zrobiłam - może wyraz szoku i strachu na twarzy Kylanda poruszył coś w moim wnętrzu, może oboje wiedzieliśmy, co to głód. Z pewnością nie miałam pojęcia, że ta szybka reakcja kompletnie odmieni bieg całego mojego życia.

Zdeptałam jak fajtłapa pudełka, rozgniatając je tak, że płatki zasypały podłogę.

- Co z tobą, kretynko? - spytał głośno Rusty, schylając się, żeby podnieść spod nóg pudełko, a w tym czasie Kyland wyminął nas pospiesznie. - Zwalniam cię. Mam cię powyżej uszu.

Usłyszawszy dzwonek w drzwiach, szybko się podniosłam i raz jeszcze spojrzałam w szeroko otwarte oczy Kylanda, który obrócił się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Zamarł na moment, lekko się wzdrygnął, po czym drzwi się za nim zamknęły.

- Przepraszam, Rusty, to był zwykły wypadek. Proszę, nie zwalniam mnie.

Potrzebowałam tej pracy. Jakkolwiek obrzydzałoby mnie błaganie o nią, miałam na utrzymaniu rodzinę.

- Dałem ci wystarczająco wiele szans. Jutro na ulicy ustawi się do tej pracy kolejka. - Z lodowatym, wrednym spojrzeniem wycelował we mnie palec. - Powinnaś była docenić to, co miałaś, i ciężiej pracować. Ta twoja ładna buźka donikąd cię w życiu nie zaprowadzi, jeśli nie będziesz miała głowy na karku.

Byłam tego w pełni świadoma. Boleśnie świadoma. Wystarczyło spojrzeć na moją mamę, żeby nie mieć co do tego cienia wątpliwości.

Zaszumiało mi w uszach. Gorący rumieniec zalał szyję. Zdjęłam fartuch i upuściłam na ziemię, a Rusty dalej mamrotał coś o niewdzięcznych, nic niewartych pomocnikach.

Kiedy chwilę później wyszłam ze sklepu, słońce zachodziło właśnie za góry, a niebo tonęło w różach i pomarańczach. Powietrze było zimne i niesło intensywne zapachy niedawnego deszczu i sosen. Wzięłam głęboki wdech i objęłam się ramionami w poczuciu zagubienia i klęski. Utrata pracy to bardzo, bardzo złe wieści. Marło mnie zabije. Jęknęłam głośno.

- Co jeszcze? - wyszeptalam do wszechświata.

Ale wszechświat nie odpowiadał za moje głupie decyzje. Tylko ja mogłam wziąć za nie odpowiedzialność.

Czasem miałam wrażenie, że moje życie jest takie niepozorne. I trudno mi było się nie zastanawiać, czemu ci z nas, którym przypadło w udziale niepozorne życie, muszą mimo to odczuwać tak ogromny ból. Nie wydawało się to sprawiedliwe.

Wsunęłam ręce do kieszeni i ze szkolnym plecakiem zarzuconym na ramię ruszyłam w stronę podnóża naszej góry. Wiosną i latem szłam, czytając, bo wystarczająco dobrze znałam trasę, by móc skoncentrować się na książce. Samochody jeździły tu z rzadka, zawsze wiedziałam z dużym wyprzedzeniem, że jakiś nadciąga. Jednak wraz z nadejściem jesieni robiło się zbyt ciemno, kiedy wychodziłam od Rustyego - nie żeby stanowiło to jeszcze jakiś problem - szłam więc zatopiona w myślach. Dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem. Musiałam zająć swoje myśli marzeniami. Potrzebowałam nadziei, że życie nie zawsze będzie równie ciężkie. Wyobrażałam sobie, jak zdobywam stypendium Tytoń Coal, na które pracowałam od początku liceum. Co roku wybierano jednego z najlepszych uczniów do stypendium, które gwarantowało jemu lub jej czteroletnie studia z pokryciem wszelkich kosztów. Gdybym je zdobyła, wreszcie mogłabym się wyrwać z Dennville, znaleźć z dala od biedy i rozpacz, oszukiwania pomocy

społecznej i dilerów-lekomanów. Wreszcie mogłabym utrzymać mamę i Marlo, zabrać je stąd i zapewnić mamie opiekę prawdziwego lekarza, a nie tego gościa z pustym wzrokiem z bezpłatnej przychodni, który, jak podejrzewam, stoi w centrum nielegalnego handlu lekami. Wyjeżdżając z miasta, zatrzymałabym się u Rustyego i powiedziała mu, żeby wsadził sobie pudełko stęchłych cheeriosów do kościstego, zawszonego tyłka.

Skręciwszy za róg w kierunku naszej góry, zobaczyłam starszą panią Lytle siedzącą na stopniach nieczynnej już poczty i jedzącą ostatnią z pakowanych kanapek. Kiedy spojrzała na mnie, zmrużyłam oczy i uśmiechnęłam się lekko. Przeniosłam wzrok na papierek w jej ręce, na którym widniały napis „Szynka i ser Rustyego” i spora czerwona pieczęć z dzisiejszą datą. To była kanapka, którą Kyland Barrett ukradł zaledwie dziesięć minut temu.

- Dobry wieczór - odezwałam się.

Skinęła głową i zamrugała smutnymi oczami, gryząc ostatni kęs kanapki. Pani Lytle była już niemal elementem krajobrazu. ..alkoholiczką włóczącą się po ulicach małego miasteczka, mamroczącą do siebie pod nosem i zbierającą od miejscowych drobniaki, by opłacić swój nałóg. W katastrofie górniczej straciła wszystkich trzech dorosłych synów i męża. Podejrzewałam, że miała nadzieję niedługo do nich dołączyć.

- Da sobie pani radę dziś wieczór? - spytałam, wciskając ręce głębiej do kieszeni. Nie żebym mogła cokolwiek jej zaproponować, gdyby miała nie dać sobie rady, ale chciałam, by wiedziała, że nie jest mi obojętna. Może to już coś.

Skinęła głową, wciąż przeżuując.

- Chyba tak - wybełkotała. - Pójdę sobie gdzieś po zakończeniu tego pięknego widowiska. - Wskazała głową niknące na horyzoncie słońce.

Również skinęłam głową, wypuszczając powietrze i uśmiechając się do niej.

- No to w porządku. Dobranoc.

- Branoc.

Ruszyłam dalej w górę bitą drogą, kiedy ktoś stanął przede mną. Wydałam z siebie okrzyk zaskoczenia i zrobiłam gwałtowny krok w tył, prosto do błotnej kałuży. Kyland.

Prychnęłam.

- Przestraszyłeś mnie! - Wyszłam z błota, czując, jak w miejscach, gdzie miałam pęknięte lub naderwane podeszwy, wilgoć śaczy mi się do skarpetek. Świetnie. Dzięki, Kylandzie.

Spojrzał na moje stopy, ale nie wspomniał o ubłoconych butach. Zmrużył oczy i przez chwilę bacznie mi się przyglądał.

- Czemu to zrobiłaś? W sklepie? Czemu mi pomogłaś? - Zacisnął gniewnie szczęki.

Ja też zmrużyłam oczy, lekko przechylając na bok głowę. On był zły na mnie? Co, do najjaśniejszej cholery?

- Czemu oddałeś kanapkę pani Lytle? - spytałam. - Czemu sam jej nie zjadłeś? - Skrzyżowałam ramiona. - Wiem, że potrzebujesz jedzenia. - Moje spojrzenie powędrowało na ziemię na wspomnienie tamtej intymnej chwili w stołówce, kiedy nasze oczy się spotkały. Szybko jednak podniosłam wzrok.

Nie odpowiedział, więc staliśmy tak przez chwilę, wpatrując się w siebie bez słowa. W końcu się odezwał:

- Zwolnił cię?

Twarz miał spiętą, poważną, a ja nie mogłam się powstrzymać od podziwiania jego silnie zarysowanej szczęki, prostej linii nosa, pełnych ust. Westchnęłam. Nic dobrego nie wyniknie z tych obserwacji.

- Ta, zwolnił mnie.

Kyland włożył ręce do kieszeni, a kiedy ruszyłam, też ruszył, klnąc pod nosem.

- Cholera. Potrzebujesz tej roboty. Parsknęłam ponurym śmiechem.

- No coś ty! Nie, zamiatałam podłogi tylko dlatego, że urocze usposobienie Rustyego jest takie inspirujące. Ach, gdyby tylko na świecie było więcej Rustych. - Przyłożyłam rękę do serca, jakby przepełniały mnie miłość i podziw.

Jeśli nawet Kyland zauważył mój sarkazm, nie zareagował na niego.

- To było naprawdę głupie posunięcie. Zatrzymałam się i obróciłam w jego stronę. On też stanął.

- Nie zaszkodziłoby „dziękuję”. Rusty w mgnieniu oka wniósłby oskarżenie. Być może byłaby to najlepsza chwila w całym jego żalonym życiu.

Kyland popatrzył na horyzont za moimi plecami. Ssał pełną dolną wargę i zmarszczył brwi, aż w końcu spojrział z powrotem na mnie.

- Tak, wiem. - Zawahał się i zlustrował powoli moją twarz. Poczułam się pod jego spojrzeniem niespokojnie i zastanawiałam się, o czym myśli. - Dziękuję.

Ja też chwilę się mu przyglądałam, skoro już znalazł się tak blisko. Wpatrywał się we mnie swoimi szarymi nieufnymi oczami o długich, gęstych rzęsach. Trudno było tak naprawdę nienawidzić kogoś tak przystojnego. Taka jest właśnie sprawiedliwość losu. Bo miałam szczerą ochotę nienawidzić stojącego przede mną chłopaka. Zamiast tego odwróciłam wzrok i ruszyłam dalej. Dotrzymywał mi kroku i szliśmy tak w milczeniu kilka minut.

- Nie musisz mnie odprowadzać.

- Dziewczynka spacerująca sama po zmroku narażona jest na niebezpieczeństwo. Mogę zadbać, by nic złego ci się nie przytrafiło.

Parsknęłam.

- Niekoniecznie, jak widać na załączonym obrazku. Kyland wydał z siebie krótki, zaskoczony śmiech. Poprawiłam plecak na ramieniu.

- A tak w ogóle „dziewczynka”? Jestem w twoim wieku. Może starsza. W maju kończę osiemnastkę.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Którego? - spytał, wysuwając się naprzód i idąc tyłem, żeby móc patrzeć mi prosto w twarz.

- Drugiego.

Jego oczy zrobiły się okrągłe.

- Żartujesz. Ja też jestem z drugiego. Przystanąłam zaskoczona.

- O której się urodziłeś? - spytałam.

- Nie wiem dokładnie... jakoś rano. Znów ruszyłam, a on zrównał ze mną krok.

- Popołudnie - rzuciłam niechętnie. Kątem oka dostrzegłam jego zadowoloną minę i zacisnęłam usta.

Po chwili powiedział:

- Ale poważnie, powinnaś na siebie uważać. W tych górach żyją rysie. Westchnęłam.

- Rysie nie należą do moich największych zmartwień.

- Tak ci się wydaje, dopóki nie staniesz twarzą w twarz z jakimś wygłodniałym osobnikiem. Wtedy w mgnieniu oka staje się on twoim największym problemem.

Przytaknęłam z rozbawieniem, a Kyland na mnie zerknął.

- A co dokładnie byś zrobił, Kylandzie Barretcie, gdyby w tym momencie stanął na naszej drodze ryś?

Kyland wyglądał na zaskoczonego.

- Wiesz, jak się nazywam. Znów ruszyłam.

- To małe miasteczko. Znam wszystkich. A ty nie?

- Nie. Z pełną premedytacją. Nie mam ochoty słuchać niczyich opowieści i nie muszę znać niczyich imion.

Przechyliłam na bok głowę i popatrzyłam na niego.

- Czemu nie?

- Bo kiedy zdobęde stypendium Tytoń Coal i się stąd wyrwę, nie chcę obciążać się kupą gównianych informacji z tej gównianej dziury.

Znow odwróciłam się zaskoczona w jego stronę.

- Starasz się o stypendium? Uniósł brew.

- Tak, dziwisz się? Nie widziałaś mojego nazwiska na wszystkich listach najlepszych uczniów?

- Ja... to znaczy...

Nagle Kyland uśmiechnął się szeroko. Zrobiłam wielkie oczy i lekko się zachwiałam. Nigdy nie widziałam u niego takiego uśmiechu, ani razu, uśmiechu, który przemienił jego twarz w coś... nieopisanie pięknego. Przez chwilę wpatrywałam się w niego, po czym się pozbierałam i przyspieszyłam kroku. On przyspieszył obok mnie. Potrząsnęłam głową, czując niepokój i usiłując przypomnieć sobie, o czym rozmawialiśmy. Właśnie - stypendium. Tak, byłam zaskoczona. Widziałam nazwisko Kylanda na listach, ale nie podejrzewałam, że złożył podanie o stypendium Tytoń Coal. Nigdy nie pojawiał się na żadnych spotkaniach kół naukowych ani kursach przygotowawczych. Zawsze byłyśmy ja, Ginny Rawlins i Carrie Cooper. Wiedziałam, że starały się o stypendium, bo o tym rozmawiałyśmy. Myślałam, że to one stanowią moją największą konkurencję. Mimo dobrych ocen Kyland sprawiał wrażenie kompletnie... niezainteresowanego?

- Jakim cudem masz zamiar zdobyć stypendium, skoro to ja je zdobęde? - spytałam, unosząc brew.

Kyland zerknął na mnie szybko, kręcąc głową z widocznym na twarzy rozbawieniem.

- Nie masz szans - powiedział z kpiarskim uśmieszkiem. -Ale zrobiło się ciekawie, nie sądzisz?

Parsknęłam cicho. Nie potrzebowałam niczego ciekawego. Potrzebowałam stypendium. Nie spodziewałam się, żeby

Kyland miał duże szanse na wygraną, skoro dopiero teraz dowiedziałam się o jego podaniu. Nie sądziłam, bym miała wielkie powody do niepokoju.

Szliśmy kilka minut w milczeniu, aż w końcu się odezwałam:

- Czy Shelly nie będzie zła, że... ochraniaś inną dziewczynę przed rysiami?

Spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

- Shelly? Czemu miałyby...? - Zachichotał. - A, tak. - Pokręcił głową i przeczesał palcami swoje złocistobrązowe włosy. Zauważyłam, że są gęste, błyszczące i zwijają mu się na karku. - Ja i Shelly jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Uniosłam brwi, ale postanowiłam tego nie komentować. Miałam wystarczająco dużo zmartwień, by nie zastanawiać się, kogo całuje Kyland Barrett.

- To dokąd zamierzasz wyjechać, jeśli zdobędziesz stypendium?

Nie żebyś je zdobył.

- Daleko stąd.

Skinęłam głową i przygryzłam wargę.

- Tak - powiedziałam po prostu.

Kyland spojrzał w lewo, kiedy mijaliśmy jasnoniebieski drewniany domek, tonący w mrokach, nieco odsunięty od drogi pod górującym nad nim lasem. Kiedy Kyland znów na mnie spojrzał, miał lekko zaniepokojony wyraz twarzy.

- Dziękuję ci, Kylandzie. Odprowadzenie mnie na górę było szalenie rycerskie, mimo że pozbawiłeś mnie pracy, zniszczyłeś moją jedyną parę butów i ukradłeś mi datę urodzin. - Szłam dalej, a ponieważ on nie odstępował mnie, śmiejąc się cicho na moje słowa, spojrzałam na niego pytająco. - Mieszkam trochę wyżej. Nie sądzę, bym po drodze spotkała jakiegoś rysia. - Uśmiechnęłam się nerwowo. Nie wiedziałam, czy

kiedykolwiek widział moją przyczepę, i nieszczęśliwie miałam ochotę mu ją pokazywać.

On jednak tylko szedł koło mnie w milczeniu.

- Tenleigh... z tą pracą, dasz sobie radę? To znaczy - odwrócił z zażenowaniem wzrok - czy mogę ci jakoś pomóc?

Przygryzłam wargę. Co miał zamiar zrobić? Też miał w domu chorą matkę. Możliwe, że znajdował się w jeszcze trudniejszej sytuacji.

- Nie. Poradzę sobie.

Skinął głową, ale kiedy na niego spojrzałam, na jego twarzy nadal dało się dostrzec niepokój.

Gdy dotarliśmy do mojej przyczepy, zatrzymałam się i uśmiechnęłam niewyraźnie i nerwowo.

- No to dobranoc - powiedziałam.

Kyland dłuższą chwilę przyglądał się miejscu, w którym mieszkam, a moje policzki nabierały coraz mocniejszego koloru. Z jakiegoś powodu, kiedy tak stałam tu razem z nim, przyczepa wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle. Była nie tylko maleńka i rozklekotana, ale też obłaząca z farby, zardzewiała, a okna pokrywała warstwa brudu, którego nie potrafiłam zmyć niezależnie od ilości użytego octu. Jego dom nie był wiele lepszy, ale i tak nie mogłam poradzić nic na wstyd, który odczuwałam, patrząc na przyczepę oczami Kylanda. Spojrzał na mnie. Moje zażenowanie musiało być widoczne, bo przez jego twarz przemknęło coś na kształt zrozumienia. Odwróciłam się na pięcie i na dygoczących nogach pomaszerowałam do przyczepy.

- Tenleigh Falyn! - zawołał Kyland, dając mi do zrozumienia, że on też wie, jak się nazywam.

Zatrzymałam się i spojrzałam pytająco za siebie. Odgarnął włosy, przez ułamek sekundy sprawiając wrażenie niepewnego.

- Dałem kanapkę Joan Lytle... - Spojrzał w przestrzeń, jakby starannie dobierał słowa. - Nawet w naszej sytuacji zawsze znajdzie się ktoś, kto jest głodniejszy. A głód, cóż, przybiera różne postacie. - Schylił głowę. - Usiłuję o tym pamiętać - dokończył cicho z lekko zawstydzoną miną. Wepchnął ręce do kieszeni, odwrócił się i odszedł drogą w dół. Oparłam się o ścianę przyczepy i patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął. Kyland Barrett nie był wcale tym, za kogo go miałam. I coś w tym odkryciu powodowało, że czułam się zdezorientowana i podekscytowana. Nie byłam pewna, czy mi się to podoba.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kyland

- Cześć, mamó - powiedziałem, zatraskując za sobą drzwi i zaglądając do pokoju, gdzie przed telewizorem stało jej krzesło.

Mama jak zwykle nie zareagowała na powitanie. Zdążyłem się do tego przyzwyczaić.

Poszedłem do swojego pokoju, otwarłem okno najszerszej, jak się dało, stanąłem w nim oparty dłońmi o parapet i wpatrzyłem się we wczesnowieczorne niebo. Wciągałem głęboko powietrze. Po paru minutach położyłem się na łóżku pod oknem i wyciągnąwszy do góry ramiona, oparłem głowę na dłoniach.

Moje myśli pobiegły natychmiast ku Tenleigh Falyn. Nie mogłem uwierzyć, że straciła przeze mnie pracę. Jęknąłem głośno. To była w głównej mierze jej własna wina, czemu więc czułem się jak skończony dupek? Sama podjęła tę głupią decyzję, żeby mnie kryć. Ale dzięki Bogu, że to zrobiła. Gdyby aresztowano mnie za kradzież... byłoby źle, bardzo źle.

Nie byłem nawet całkiem pewien, czemu ukradłem tę kanapkę dla pani Lytle, dopóki nie spróbowałem wyjaśnić tego Tenleigh. Moje wyjaśnienia były jedyną rzeczą, jaką mogłem dać Tenleigh w ramach podziękowania za poświęcenie, na jakie się dla mnie zdobyła. Zobaczyłem Joan Lytle siedzącą na schodach starej poczty i coś w sposobie, w jaki się kuliła, jakby próbowała zwinąć się w sobie, przyprawiło mnie o bolesny skurcz żołądka. Też tak się czułem. Tyle że ja miałem przynajmniej dach nad głową. Ja przynajmniej byłem głodny tylko w ostatnim tygodniu każdego miesiąca, kiedy pieniądze się już skończyły. Coś we mnie zapragnęło pokazać jej, że ją dostrzegam, zarówno ze względu na nią, jak i samego siebie. I tak rąbnąłem kanapkę.

Głupie. Idiotyczne.

Żałowałem tylko jednego - że to Tenleigh zapłaciła za to, co zrobiłem. Tenleigh.

Moje myśli skupiły się na wyrazie jej twarzy, kiedy oglądałem przyczepę. Czują wstyd, co było dość absurdalne. Mój dom też był w rozsypce. Moje życie było w rozsypce. Raczej nie miałem prawa osądzać jej sytuacji. Ale i tak nie patrzyłem tak naprawdę na jej żalną, małą przyczepę. Oglądałem teren wokół. Był czysty i uporządkowany, bez choćby jednego śmiecia w zasięgu wzroku - w takim samym stanie, w jakim ja starałem się utrzymać swoje podwórze. Na całym wzgórzu podwórka i tereny prywatne zasypane były śmieciami - jeszcze jeden sposób, w jaki mieszkańcy Denmdlle oznajmiali swoją klęskę. Nikt na tej górze nie mógł sobie pozwolić na luksus wywozu śmieci, więc większość podwórzy tonęła pod górami śmieci - niezła metafora życia w tym regionie. Ale w każdy poniedziałek zbierałem swoje śmieci do dwóch worków, znosiłem je i opróżniałem do wielkiego kontenera na tyłach sklepu Rustyego. Następnie składałem

worki i chowałem je do plecaka, żeby wystarczyły na dłużej. Jeśli miałem wybierać między paroma puszkami spaghetti w sosie a opakowaniem worków na śmieci, wybierałem jedzenie. Widziałem od czasu do czasu, jak Tenleigh znosi z góry duże pudło, i zastanawiałem się, co w nim jest. Musiała robić to samo co ja. i wiedziałem, że wynikało to z dumy, która dla ludzi takich jak my była raczej przekleństwem niż błogosławieństwem.

Ja też zwróciłem już wcześniej uwagę na Tenleigh. Obserwowałem ją na kilku zajęciach, na które razem chodziliśmy. Zawsze siadała z przodu sali, a ja na tyłach, miałem więc doskonały punkt obserwacyjny. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Podobało mi się, jak nieświadomie reagowała, kiedy odzywał się do niej ktoś, kto działał jej na nerwy - drapała gołą nogę i zaciskała usta... jak patrzyła spod przymrużonych powiek na tablicę z wyrazem poważnej koncentracji i przygryzała różową dolną wargę... jak z rozmarzeniem wyglądała czasem przez okno. Zapadł mi w pamięć jej profil, linia jej szyi. W piersi narastało mi mdłe uczucie pustki na widok podeszew jej butów, pełnych dziur i ledwo trzymających się na miejscu. Zauważyłem, że użyła jakiegoś markera, żeby zamalować zadrapania na noskach. Wyobraziłem sobie, jak siedzi w domu i zamalowuje rysy, bo przejmuję się, co ludzie pomyślą o jej starych, zniszczonych butach. Szlag mnie trafiał, że musiała to robić. Co było kompletnie irracjonalne. I co rzecz jasna oznaczało, że musiałem się trzymać z daleka od Tenleigh Falyn. Nie mogłem sobie pozwolić na to, co czułem, patrząc na nią. A co więcej, nie miałem na to ochoty.

Od dnia, kiedy przyłapała mnie na zgarnianiu resztek jedzenia, widziałem, jak mnie obserwowała, gdy sądziła, że nie patrzę. Nie były mi obce uroki płci pięknej. Nie odrzucałem oferowanych mi propozycji - kto nie chciałby towarzystwa chętnego ciała, które przypominało, że nie jest się stworzonym

jedynie, by cierpieć? Ale jakoś wyczuwałem, że Tenleigh nie przygląda mi się z tego rodzaju zainteresowaniem. Patrzyła na mnie tak, jakby usiłowała rozwikłać jakąś zagadkę - jakby chciała mnie poznać. I nie potrafiłem się oprzeć chęci, by dowiedzieć się czemu. Głupie. Idiotyczne.

Emanował z niej spokój - coś uspokajającego, dziwna mieszanka siły i kruchości. Była piękna - to też z całą pewnością nie uszło mojej uwagi - ale jej uroda była czymś, w co wyraźnie nie wkładała żadnego wysiłku, a to tylko dodawało jej atrakcyjności. Przynajmniej dla mnie. Nie malowała się, a włosy nosiła najczęściej spięte w zwykły kucyk. Najwyraźniej nie uważała wyglądu za swój najcenniejszy atut. I zastanawiałem się, co nim było. Jej inteligencja? Może. Nie żeby miała szansę zdobyć to stypendium. Pracowałem na nie, zanim jeszcze zacząłem liceum. Przeanalizowałem nawet osiągnięcia wszystkich poprzednich stypendystów i postarałem się dorównać im w każdym calu. Potrzebowałem tego stypendium. Od niego zależało całe moje życie. To, co tak bardzo interesowało mnie w Tenleigh, nie miało więc znaczenia. Wkrótce wyjadę i nie obejrzę się za siebie, ani na piękną zielonooką Tenleigh Falyn, ani na nikogo innego.

Czemu więc nie mogłem przestać o niej myśleć?

Głupie. Idiotyczne.

Po chwili wciągnąłem na łóżko plecak i wyjąłem z niego podręczniki. Nie mogłem odpuścić. Zostało mi zaledwie sześć miesięcy do ogłoszenia przez szkołę zdobywcy stypendium, dzięki któremu wyniosę się z tej zapyziałej dziury, daleko od beznadziei, daleko od głodu, daleko od kopalni, w której mrocznych czeluściach, wiele kilometrów pod ziemią, życie stracili mój ojciec i starszy brat.

Zobaczyłem Tenleigh kilka dni później, kiedy szła przede mną w stronę drogi prowadzącej do naszych domów. W ręce trzymała książkę i była zatopiona w lekturze. Głupia dziewczucha - potknie się i złamie sobie kark. Wlokłem się za nią, obserwując, jak idzie. Byłem jej chyba coś winien za to, co dla mnie zrobiła. Mogłem się upewnić, że wróci bezpiecznie do domu. I że mnie nie zobaczy. Postaram się więcej z nią nie rozmawiać. Tak będzie lepiej.

Zaskoczyło mnie nieco, kiedy skręciła nagle w leśną ścieżkę. Co, do cholery? Stałem przez chwilę na drodze, patrząc, jak Tenleigh znika między drzewami. Ta dziewczyna zasługuje na pożarcie przez rysia. Prychnąłem z frustracją i ruszyłem w ślad za nią.

Już tu kiedyś byłem. Chodziłem wszystkimi ścieżkami na tej górze, albo z bratem, kiedy jeszcze żył, albo sam. Nie miałem jednak pojęcia, co wyprawia Tenleigh, bo w tę stronę nie było niczego oprócz urwistej krawędzi wapiennego klifu.

Po paru minutach brnięcia wąską ścieżką wychynałem spomiędzy drzew. Tenleigh stała zwrócona do mnie niemal całkiem plecami, wpatrzona w zachodzące słońce. Horyzont jarzył się pomarańczem i żółcią, a białe promienie wyłaniały się z chmur, jakby samo niebo popękało.

Wielobarwny nieboskłon rozciągał się przed nami w całej swojej świetności, jakby usiłował zrekompensować nam szpetotę życia, ciągłej walki. I przez króciuteńką, ulotną chwilę może mu się to udało. Gdybym tylko mógł złapać go i zatrzymać. Gdybym tylko mógł złapać cokolwiek dobrego i to zatrzymać.

Tenleigh usiadła na skale i wpatrywała się w rozżarzony zachód. Kiedy ruszyłem w jej kierunku, odwróciła gwałtownie głowę i wydała z siebie okrzyk, przykładając ręce do piersi.

- Rany! Wystraszyłeś mnie! Znowu. Co z tobą?

- Przepraszam. - Podszedłem i usiadłem obok niej.

Przewróciła oczami, po czym odchyliła się, opierając ręce na skale, i ponownie wpatrzyła się w niebo. Przez chwilę milczała. Wreszcie spojrzała na mnie, unosząc brew.

- Myślisz, jak podejrzewam, że jeśli będziesz się pojawiał tam, gdzie ja, w końcu się w tobie zakocham.

Rozbawiony śmiech próbował się wydostać z mojego gardła, ale zachowałem powagę. Tenleigh stale mnie zaskakiwała. I to było zachwycające. Skinąłem głową.

- Bardzo prawdopodobne.

Albo, co gorsza, ja zakocham się w tobie. Roześmiała się cicho, przenosząc wzrok na horyzont.

- Przykro mi, ale nic z tego. Wyrzekłam się mężczyzn. Parsknąłem z kpina.

- Wszystkie tak mówicie.

Spojrzała na mnie z tańczącym w oczach rozbawieniem, które rozpromieniało jej twarz.

- Hmm, w takim razie ile twoim zdaniem zostało mi czasu, zanim ulegnę twojemu nieodpartemu urokowi?

Udałem, że rozważam to pytanie.

- Jedna z moich zdobyczy wytrzymała raz trzy tygodnie.

- Aha. Twarda sztuka. - Uniosła brew i spojrzała na mnie z ukosa. - Skąd będziesz wiedział, kiedy mnie złamałeś?

- To widać po oczach. Nauczyłem się to rozpoznawać. -Posłałem jej najbardziej obleśny ze swoich uśmiezków.

Pokręciła głową, jakby z irytacją, ale niewielki uśmiech igrał na jej ustach.

Odchrząknąłem. Należało położyć kres tym flirtom.

- Nie, poważnie. Sprawdzam tylko, czy nie potrzebujesz moich antyrysiowych umiejętności. Uważam, że przynajmniej to jestem ci winien.

Wypuściła powietrze i pokręciła głową.

- Niczego nie jesteś mi winien. Wyleciałam z pracy na własne życzenie. To nie twoja wina, że zrobiłam to, co zrobiłam.

- Tak, ale nie musiałybyś robić tego, co zrobiłaś, gdybym ja nie kradł kanapek dla starych pijaczek.

- Hmm - wymruczała - mam rozumieć, że będziesz to robił regularnie? Antyrysiowa usługa ochroniarska? Oczywiście dopóki nie padnę ci do stóp, a ty nie odrzucisz mnie jak wszystkie pozostałe ofiary... ee, zdobycze? - spytała w końcu, znowu unosząc przekornie brew.

Pokręciłem głową.

- Regularnie? Nie, nie, zdecydowanie nie. Dziś po raz ostatni narażam się dla ciebie na potencjalne rysiowe niebezpieczeństwo. - Przegarnąłem włosy. - Po prostu zazwyczaj uczę się w szkole tak długo, jak to możliwe. Wracam do domu co wieczór mniej więcej o tej porze. To był zwykły zbieg okoliczności.

Przechyliła głowę.

- A, rozumiem. Czemu zostajesz w szkole, żeby się uczyć?

- Czuję się mniej samotny. - Nie wiedziałem, dlaczego te słowa wypłynęły z moich ust. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że je mówię, dopóki nie zostały powiedziane.

Tenleigh spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Nie mieszkasz z mamą?

- Mama nie jest mistrzem konwersacji. Tenleigh przyglądała mi się przez chwilę.

- Hmm... cóż, w takim razie to naprawdę ostatni raz, kiedy chronisz mnie przed możliwym zagrożeniem ze strony rysiów. Wracam do domu o tej porze tylko dlatego, że pytałam o pracę u Ala.

- Ala? Jesteś za młoda na pracę w barze. Wzruszyła ramionami.

- Alowi to raczej nie przeszkadza. Moja siostra u niego pracuje. Powiedział, że mogę wziąć dodatkowe zmiany. Więc widzisz - uśmiechnęła się do mnie - nie musisz mieć wyrzutów sumienia, że straciłam pracę. Już mam nową. Przynajmniej dorywczą.

Zmarszczyłem brwi, a w mojej piersi pojawiło się coś trudnego do nazwania. Bar u Ala był speluną - i znanym miejscem podrywu. Mimo to dobrze, że znalazła pracę. To nie było tu wcale łatwe. Po chwili obróciła się w moją stronę.

- Niezły widok, prawda? Spojrzałem na niebo.

- Najlepsza miejscówka.

Tenleigh patrzyła na mnie, a na jej twarz wypłynął spokój. Rozchyliła usta i przez ułamek sekundy niemal nie byłem w stanie oddychać. Naprawdę uważałem, że ta dziewczyna jest piękna? Nie miałem racji. Była olśniewająca.

Panika chwyciła mnie za gardło.

- Chcesz pewnie usłyszeć moją historię? - spytała po chwili.

- Co? - Wróciłem gwałtownie do rzeczywistości. - Nie, nie chcę słuchać twojej historii. Mówiłem już...

- Wiem. Nie chcesz obciążać się bezużytecznymi informacjami, kiedy stąd odejdziesz, ale widzisz, moja historia jest naprawdę interesująca.

Uniosłem podejrziwie brew.

- W tym regionie nie ma interesujących historii, tylko nużące, niemające końca opowieści o tragedii i biedzie. I braku zębów.

Parsknęła śmiechem i potrząsnęła głową, a jej zielone oczy się roziskrzyły. Zachodzące słońce rozświetlało jej skórę, połyskując złotem w ciemnobrązowych włosach. Kiedy odwróciła wzrok, pozwoliłem swoim oczom powędrować na jej piersi. W dzinsach mój fiut obudził się do życia, poruszyłem się więc z zażenowaniem.

- Nie moja. I tak naprawdę nie powinnam ci jej opowiadać, ale... - Wciąż wpatrywała się w horyzont, a ja obserwowałem jej profil. - Prawdę mówiąc, Kylandzie, mój ojciec jest rosyjskim księciem. - Uniosła brwi i rozejrzała się dokoła,

jakby sprawdzała, czy nikogo nie ma w pobliżu. - Trwa konflikt dotyczący tytułu mojego ojca i majątku ziemskiego. - Machnęła w powietrzu ręką. - Jest bardzo skomplikowany i oparty na całej masie praw rosyjskiej arystokracji, których byś nie zrozumiał. Tymczasem ojciec ukrywa nas tutaj, gdzie jego zdaniem jesteśmy najbezpieczniejsze, dopóki nie wyjaśni się sprawa jego posiadłości. - Nachyliła się w moją stronę. - Wiem, że moja przyczepa wygląda skromnie, ale to tylko dla zmyłki. W środku, choć niewielka, wypełniona jest po brzegi luksusem. I - tu jej oczy zrobiły się wielkie - to w niej ukryto klejnoty rodziny królewskiej.

Mrugnęła do mnie, a ja wybuchnąłem śmiechem. Zachowywała się idiotycznie. I byłem tym zachwycony. Od jak dawna tak po prostu się nie... wyglupiałem? Otworzyła szeroko oczy, przypatrując się mojej minie, po czym promiennie odwzajemniła uśmiech.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, a w powietrzu między nami coś się unosiło. Pierwszy odwróciłem wzrok, znów czując niepokój.

- Klejnoty rodziny królewskiej, tak? Jesteś pewna, że możesz mi powierzyć taką informację? Jestem znanym kanapkowym bandytą.

Przechyliła głowę.

- Tak - powiedziała łagodnie, z powagą - mam przecucie, że w znacznej mierze jesteś godny zaufania.

Znów przez chwilę się sobie przyglądaliśmy, a w moim wnętrzu coś przyspieszyło. Coś, co sprawiało niebezpieczne wrażenie - coś, czego dokładnie nie rozpoznawałem, ale nie byłem pewien, czy mi się podoba. Musiałem zdjąć ten cholerny urok.

- Ja też powierzyłbym ci rodzinne klejnoty - powiedziałem w końcu, mrugając, w nadziei na rozładowanie dziwnej atmosfery między nami.
- Chciałbym ci je kiedyś pokazać.

Tenleigh odchyliła głowę i się roześmiała. Zastanawiałem się, jak brzmi jej prawdziwy śmiech, i teraz już wiedziałem. Nagle zrozumiałem, że byłoby lepiej, gdybym się tego nie dowiedział. Dużo lepiej. Ponieważ zapragnąłem zatracić się w odgłosie jej śmiechu. Zaniepokoiło mnie to i w piersi pojawiło się znów to samo uczucie, tyle że mocniejsze. Wyprostowałem się, a jakiś instynkt podpowiadał mi, że muszę uciekać.

Wyraz jej twarzy uległ zmianie, jakby mogła wyczuć moją wewnętrzną zawieruchę. Absurdalne. Wstała, a ja spojrzałem na nią spod przymrużonych powiek.

- Chodź - powiedziała, obracając się w moją stronę. - Chcę ci coś pokazać.

Podniosłem się i poszedłem za nią do sporych rozmiarów głazu. Patrzyłem, jak podchodzi do niego i nurkuje pod spód, znikając. Nachyliłem się ostrożnie i dostrzegłem maleńką ciemną jaskinię. Ogarnęła mnie fala strachu i odsunąłem się chwiejnie do tyłu. Tenleigh wyjrzała na zewnątrz z uśmiechem przylepionym do twarzy.

- Chodź do środka. Jest wystarczająco duża, żeby pomieścić nas oboje. Chcę ci coś pokazać.

- Nie - odparłem nieco ostrzej, niż zamierzałem. Uśmiech zniknął z jej twarzy. „Wyszła” na zewnątrz, niemal

kucając, żeby się precyzyjnie. Wyprostowała się i spojrzała na mnie z troską. Zdałem sobie sprawę, że dłonie zacisnąłem w pięści, a całe moje ciało było spięte. Rozluźniłem się i wsunąłem ręce do kieszeni.

- Przepraszam - wyszeptała. - Nie lubisz małych przestrzeni? Ja...

- To nic takiego - powiedziałem nonszalancko.

Położyła nieśmiało rękę na moim ramieniu. Jej dotyk sprawił, że podskoczyłem. Zacisnąłem na sekundę oczy, po czym otwarłem je i się odsunąłem.

Przyglądała mi się bacznie przez chwilę.

- Na ścianach w środku są rysunki - powiedziała w końcu i wzruszyła ramionami. - Bardzo spłowiałe i najpewniej niedawno malowane, ale kto wie. Może tysiące lat temu mieszkała tu rodzina jaskiniowców.

- Setki tysięcy.

- Słucham?

- Jaskiniowcy. Żyli setki tysięcy lat temu, nie tysiące. Oparła dłonie na biodrach.

- Dobrze, profesorku. - Uniosła delikatną brew, a ja roześmiałem się bezgłośnie.

- Chodź, księżniczko Tenleigh, wróćmy lepiej na drogę, zanim nie będzie zupełnie nic widać. - Postarałem się o swobodny ton.

Tenleigh na pewno zauważyła moje dziwne zachowanie w kwestii jaskinia.

Słońce już prawie zaszło i panował półmrok, niebo miało kolor granatu i pojawiały się na nim pierwsze gwiazdy. Kilka minut później wróciliśmy na drogę i szliśmy w milczeniu. Znowu czułem się na luzie, a Tenleigh uśmiechała się do mnie lekko, przechylając głowę nieco w moją stronę.

Gdy poprawiała plecak, z pęknięcia na boku, które spięła, jak umiała, agrafką, wyleciała książka. Pieprzoną agrafką. Ta agrafka napełniła mnie gniewem.

- Ups. - Schyliła się, żeby podnieść książkę, w tym samym momencie co ja i kiedy zderzyliśmy się głowami, wybuchaliśmy śmiechem. Potarła swoją i ponownie się roześmiała. - No i znowu ten urok. Już po mnie, bez cienia wątpliwości.

- Nie mów, że cię nie ostrzegałem. - Podniosłem książkę i podałem jej. - *Tkacz z Raveloe?*

Spojrzała mi w oczy i skinęła głową, biorąc ode mnie tom.

- Dużo czytam - powiedziała, wkładając książkę do plecaka z zawstydzoną, nie wiedzieć czemu, miną. - Biblioteka

w Denrville nie oferuje szerokiego wyboru, więc niektóre czytałam dwukrotnie...

- A tę? - Wskazałem głową w kierunku jej plecaka. Ruszyliśmy dalej.

- Tak, już ją czytałam.

- O czym jest?

Przez chwilę milczała, więc pomyślałem, że może nie odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, nie szczególnie obchodził mnie tkacz skądś tam. Mogła opowiadać mi cokolwiek. Chciałem tylko słuchać jej ładnego głosu przecinającego zimne górskie powietrze - i podobało mi się to, co mówiła. Była inna. Wciąż zaskakiwała mnie tym, co wychodziło z jej ust, i to mi odpowiadało. Zdecydowanie za bardzo.

- Opowiada o Silasie Marnerze, który... Zatrzymałem się.

- Silasie?

Tenleigh też przystanęła i spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Tak. O co chodzi?

Pokręciłem głową i znów ruszyliśmy.

- O nic. Tak miał na imię mój brat.

Tenleigh przygryzła wargę i podniosła na mnie wzrok, a na jej twarzy malowało się współczucie. Musiała wiedzieć, że mój brat był tamtego dnia w kopalni.

- Tak, chyba sobie przypominam. - Uśmiechnęła się. -Może twoja mama czytała tę książkę i imię utkwiło jej w pamięci.

Pokręciłem głową.

- Moja mama nie... ona nie umie czytać.

- O. - Zerknęła na mnie i przez moment milczała. - Wiem, że to się stało lata temu, ale... - Dotknęła mojego ramienia, a ja lekko drgnąłem. Zabrała dłoń. - Bardzo mi przykro z powodu twojej straty, Kylandzie.

- Dzięki, to miło z twojej strony - odparłem, odchrząkując.

Przez dobrą chwilę szliśmy w niezręcznej ciszy, mijając mój tonący w ciemnościach dom.

- No więc co z tym Silasem Marnerem?

- Hmm... no, mieszka w slumsie w Anglii i jego najlepszy przyjaciel niesłusznie oskarża go o kradzież. Zostaje skazany, a kobieta, z którą był zaręczony, porzuca go i wychodzi za jego przyjaciela.

- Jezu, co za radosna historyjka. Cieszę się, że znalazłaś sposób na ucieczkę od trudów Dennville.

Serce podskoczyło mi w piersi na dźwięk słodkiego śmiechu Tenleigh. Spojrzałem na nią. Z jakiegoś powodu rozśmieszanie tej dziewczyny napełniało mnie swego rodzaju dumą. Niedobrze. Bardzo, bardzo źle.

Dotarliśmy do przyczepy. Zatrzymała się i oparła o przydrożne drzewo.

- Wyjeżdża z miasta i osiedla się w małej wiosce w pobliżu Raveloe. Zostaje w zasadzie pustelnikiem, ma wrażenie, że ukrył się nawet przed samym Bogiem. - Nieświadomie nachyliłem się, żeby nie umknęło mi ani słowo. Przechyliła głowę, spoglądając w przestrzeń. Potem znów na mnie popatrzyła, a jej oczy zrobiły się wielkie. - Ale pewnej zimowej nocy zmienia się całe jego życie, kiedy...

- Tenleigh! - zawołał ktoś z przyczepy, starsza kobieta o długich brązowych włosach w tym samym odcieniu co włosy Tenleigh. - Jest zimno! Chodź do środka!

- Dobrze, mamó! - odkrzyknęła Tenleigh, po czym spojrzała na mnie z malującym się na twarzy niepokojem. Nie przypominam sobie, żebym wiele razy widział jej mamę. Musiała nieczęsto opuszczać przyczepę. - Muszę lecieć. Do zobaczenia, Kylandzie. - I z tymi słowami odwróciła się i zostawiła mnie tam, gdzie stałem.

Wbiegła do środka tak szybko, że jej nagła nieobecność wywołała we mnie szok i poczucie jakiegoś zagubienia. Stałem przez dłuższą chwilę wpatrzony w przyczepę, aż wreszcie odwróciłem się i ruszyłem w stronę domu, z wiejącym w plecy lodowatym wiatrem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tenleigh

Niefortunnym aspektem utraty pracy - oprócz oczywistych kwestii jak brak dochodu, upokorzenie i potencjalna śmierć głodowa - było to, że Rusty prowadził jedyny w Dennville sklep, w którym można było kupić coś do jedzenia. Normalnie zrobiłabym sobie dziesięciokilometrowy spacer do Evansly, tak dla zasady, ale lało dziś jak z cebra i jakoś nie czułam w sobie mocy. Schowałam więc dumę do kieszeni i weszłam do spożywczaka. Rusty był gnojem, ale nie odrzuciłby moich pieniędzy. Na całe jednak szczęście za ladą stała jego siostra Dusty. Tak, Rusty miał siostrę o imieniu Dusty - pula genów w ich rodzinie była ewidentnie bardzo szczególna. Dusty była tak pochłonięta magazynem „In Touch”, że nawet nie podniosła wzroku, kiedy weszłam do środka. Odetchnęłam z ulgą. Przeszłam przez sklep, wrzucając produkty do koszyka. Rusty nie handlował żadnymi owocami ani warzywami, nawet takimi z puszki. Marlo i ja urządziłyśmy na tyłach przyczepy malutki warzywniak - pomidory, zielona fasolka, arbuzy

i ziemniaki - który letnią porą bywał przez długie tygodnie naszym jedynym żywicielem. Większość mieszkańców wzgórza miała przynajmniej mały ogródek i czasem wymienialiśmy się wyhodowanymi przez siebie produktami. To był dobry sposób na zaoszczędzenie pieniędzy... i dobry sposób na uniknięcie szkorbutu, który z dużym prawdopodobieństwem groził, gdyby żywić się wyłącznie jedzeniem od Rustyego.

W miesiącach zimowych brnęłam zwykle ostentacyjnie przez śnieżne zaspę do Evansly, żeby przynajmniej raz na tydzień zrobić zapas owoców i warzyw w puszcze. Kiedy ogrzewaliśmy przyczepę, nie było nas stać na świeże, więc przez trzy czy cztery miesiące musiałyśmy się obejść puszkowanymi. A gdy nadciągała wiosna, bliskie ekstazy obserwowałyśmy z Marlo, jak z ziemi kiełkują pierwsze pędy.

Należało w życiu doceniać małe rzeczy, jeśli te duże powodowały, że miało się ochotę zwinąć w kącik w pozycji embrionalnej i dać sobie ze wszystkim spokój.

- Cześć, Dusty - przywitałam ją, kiedy byłam już gotowa do kasowania.

Nie odwzajemniła pozdrowienia ani nie podniosła wzroku, chwytając na ślepo towary, dopóki czegoś nie poczuła, zajrzała na to i wpisała na kasie cenę.

- Co słyhać? - spytałam, opierając się biodrem o ladę. Dusty spojrzała na mnie w końcu, a jej pospolita twarz pozbawiona była wyrazu.

- Życie jest do dupy - odparła. Wskazałam głową czasopismo w jej dłoni.

- Nie dla Kardashianek.

Zmrużyła oczy, strzelając w ustach gumą do żucia, po czym zerknęła szybko na magazyn i z powrotem na mnie.

- Khloe i Kourtney przejmują Hamptons - rzuciła. Skinęłam powoli głową, przesuwając językiem po zębach.

- To musi być fajne.

- Ta - odparła. - Musi być bardzo fajne. - Potem uśmiechnęła się szeroko, ukazując usta pełne zepsutych zębów, które tu nazywano zazwyczaj „Ustami Mountain Dew”. Następnie, jakby potwierdzając moje myśli, wzięła w połowie pełną butelkę mountain dew i pociągnęła spory łyk.

Z całych sił usiłowałam się nie wzdrygnąć. Skończyła nabijać na kasę moje zakupy, zapłaciłam, wzięłam siatki, pożegnałam się i ruszyłam do wyjścia. Kiedy byłam już w drzwiach, Dusty zawołała za mną po imieniu. Odwróciłam się i spojrzałam na nią pytająco.

- Rusty to zasrany skurwiel - powiedziała. Zamrugałam oczami i przechyliłam głowę.

- Tak - zgodziłam się. - Stuprocentowy.

Posłała mi kolejny brązowożółty uśmiech, uniosła kciuk, po czym z powrotem zatonęła w czasopiśmie. Wyszłam ze sklepu.

Ruszyłam w stronę domu, pogrążona we własnym świecie, próbując zdecydować, co będę dzisiaj robić. Marlo pracowała, a potem miała jakieś plany z gościem, którego poznała u Ala. Naprawdę nie chciałam, żeby miała do czynienia z facetami, których tam poznawała - większość z nich w żadnym calu na nią nie zasługiwała. Sądziłam, że mamy z Marlo dobry powód, żeby nie ufać mężczyznom, ale podczas gdy ja poprzysięgłam trzymać się od nich z daleka, Marlo doszła do wniosku, że umawianie się z tabunem kolesi, których miała w nosie, oznaczało, że to ona kontroluje sytuację.

Otworzyła raz serce i sprawy nie ułożyły się pomyślnie.

Kilka lat wcześniej poznała Donalda, młodego, przystojnego kierownika, który przyjechał do miasta na jakieś wielkie korporacyjne spotkanie w miejscowej kopalni. Przychodził do Ala co wieczór przez tydzień tylko po to, żeby siedzieć w części obsługiwanej przez moją siostrę, patrzeć, jak pracuje, i mówić o losie i przeznaczeniu, co zwała ją z nóg, jakby

był jakimś księciem z bajki, który przyjechał uratować ją od szarej egzystencji, jakby jakikolwiek książę miał kiedykolwiek na imię Donald - powinno jej to było dać do myślenia na samym początku.

Całowała się z nim oparta o jego błyszczące czerwone bmw, a on składał jej liczne obietnice, że zabierze ją do swojego mieszkania w Chicago. A trzy minuty po tym, jak oddała mu swoje dziewictwo, odwiózł ją do podnóża góry i wysadził na poboczu. Kiedy spytała, co się stało z mieszkaniem w Chicago, roześmiał się jej w twarz i powiedział, że nigdy nie zabrałby ze sobą do domu brzydkiej prostytutki o wystających zębach. A potem odjechał z piskiem opon, obryzgując błotem jej nowiutki biały sweter, ten, po który szłyśmy dziesięć kilometrów do Wal-Martu w Evansly, ten, w którym - widziałam to - czuła się piękna. Przynajmniej do tamtej chwili. Po tym wydarzeniu Marlo nigdy już chyba nie czuła się ładna i kiedy się śmiała, zaczęła zakrywać usta ręką, żeby ukryć zęby. Prawdę mówiąc, były trochę wystające, ale nie brzydkie, tylko uwypuklały te jej pełne usta *a la* gwiazda filmowa, tak że wyglądała słodko i ujmująco. Tak że była Marlo.

Ilekcóż wspominałam tamten dzień, kiedy z podnieceniem przemierzałyśmy alejki w Wal-Marcie, rozmawiając o tym, jak potoczy się wieczór, spryskiwały nadgarstki testerami perfum i wydawały ostatnie pieniądze na randkowy sweter, czułam straszną złość. Złość, że pozwoliłyśmy sobie na wpuszczenie Donalda w nasze marzenia, że choć na sekundę dałyśmy mu moc niszczenia naszych nadziei. A przede wszystkim że Marlo oddała coś cennego frajerowi, który na to nie zasługiwał.

Marlo opowiedziała mi o Donaldzie tej samej nocy, kiedy wróciła do przyczepy ubłocona, roztrzęsiona i przegrana. Płakała w moich objęciach i ja też płakałam, z powodu niej, utraconych marzeń, bólu samotności i głębokiej nadziei, że ktoś się pojawi i nas uratuje. I dlatego, że nikt się do tej pory

nie pojawił. Oczywiście powinniśmy obie mieć więcej rozumu po tym, co spotkało naszą mamę, ale obietnica miłości ma chyba większą siłę przyciągania niż cokolwiek innego. Nie obwinałam Marlo. To nasz ojciec jako pierwszy nauczył nas, że mężczyźni są ostatecznie samolubni i nieczuli i stawiają siebie przed wszystkimi innymi, niezależnie od tego, kogo mieli na utrzymaniu. A mimo to było mi ciężko nie marzyć, że gdzieś tam istnieje ktoś silny i rycerski, kto będzie ze mną tańczył pod rozgwieżdżonym niebem i nazywał mnie ukochaną - i naprawdę tak myślał.

- Hej.

Wydałam z siebie krótki okrzyk i odskoczyłam do tyłu, upuszczając jedną z toreb, z której wysypały się na ziemię zakupy. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam Kylanda.

- Bawi cię to, tak? - spytałam. Uniósł dłonie w geście poddania.

- Przepraszam. Przysięgam, że to naprawdę zbieg okoliczności. Wracalem z Evansly. Zobaczyłem, że wychodzisz od Rustyego. - Schylił się, podniósł moją torbę z zakupami i ręką wskazał, żebym podała mu drugą.

Prawie odmówiłam, ale potem doszłam do wniosku, że powinien przynajmniej ponieść moje torby za doprowadzenie mnie do minizawału po raz trzeci w tym tygodniu.

- Hmm, bardzo prawdopodobne - powiedziałam, unosząc brew.

Kiedy podałam mu torbę, uśmiechnął się promiennie, a przez moją klatkę piersiową przebiegło dziwne, łaskoczące uczucie. Zmarszczyłam brwi.

- Nadal się trzymasz, co?

- Muszę ci powiedzieć, że to nie lada wysiłek - odparłam.

Roześmiał się, aż moje głupie serce podskoczyło. Najwyraźniej kiepsko mi szło to całe wyrzekanie się mężczyzn - kilka uśmiechów i byłam zadurzona po uszy. Prawdę mówiąc,

on nawet się nie starał, żeby doprowadzić mnie do tego stanu. Jakie to wkurzające.

- Co słyhać u naszego czarusia Rustyego? - spytał po chwili, wskazując głową sklep.

- Nie było go. Była Dusty.

- O, a co u Dusty? Efekt chowu wsobnego widoczny jak zawsze? Roześmiałam się, ale szybko umilkłam.

- Nie bądź wredny. - Zawahałam się. - Dusty jest w porządku. Zachichotał.

- Wiem. Tylko żartuję. To znaczy... głównie żartuję. Przez dłuższą chwilę szliśmy w ciszy.

Na odgłos zbliżającego się auta spojrzałam w lewo i zobaczyłam, jak mija nas powoli czarny mercedes. Odwróciłam pośpiesznie głowę w kierunku Kylanda. Zmarszczył brwi.

- Znasz Edwarda Kearneya? - spytał.

Patrzyłam na niego, dopóki nie usłyszałam, że samochód nas minął. Pokręciłam głową.

- Nie. Niezupełnie - odparłam, rumieniąc się lekko na widok tyłu odjeżdżającego samochodu, samochodu, który kosztował przeszło trzy roczne pensje górnika.

Kyland nie musiał wiedzieć o brudach mojej rodziny. Zastanawiałam się jednak, co Edward Kearney robił w tym mieście, nie było tu dla niego nic interesującego. Dobrze o tym wiedziałam.

- W starej kopalni odkryto masę zaniedbań bezpieczeństwa - odezwał się Kyland, nie odrywając wzroku od bagażnika samochodu. - Po wybuchu Tytoń Coal zapłaciło grzywnę. Grzywnę - powtórzył z goryczą.

- Wiem. Słyszałam. - Nie mogłam winić go za rozgoryczenie. Tak wiele stracił.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, a wokół nas rozbrzmiewały w koronach drzew ptasie śpiewy, wypełniając ciszę. Po paru minutach atmosfera jakby zelżała, a ramiona Kylanda się rozluźniły.

Kiedy zbliżaliśmy się do szlaku prowadzącego na klif, gdzie Kyland znalazł mnie kilka dni temu, odezwał się:

- Słońce zaraz zajdzie. Masz ochotę na widowisko, księżniczko? - Mrugnął, a moje hormony dostały lekkiego bzika.

Przestąpiłam z nogi na nogę.

- Hmm... szłam właśnie do domu, żeby zanurzyć się w naszym jacuzzi, może zjeść kilka czekoladek, ale... jasne, czemu nie.

Kyland uśmiechnął się i poprowadził mnie na podmokły szlak.

- Tak nawiasem - powiedział - jeśli to jest twój sposób na zwabienie mnie do lasu, żeby mnie wykorzystać, chcę, byś wiedziała, że nie należę do tego rodzaju chłopców.

Parsknęłam.

- Oj, należysz, należysz.

Spojrzał w przestrzeń, udając, że poczuł się dotknięty. Roześmiałam się.

- I to ty wabisz mnie, tak przy okazji. To był twój pomysł. Tym razem zerknął na mnie szybko, a uśmiech samozadowolenia stał się odrobinę bardziej ponury.

- Możesz mi zaufać. Znów się roześmiałam.

- Wątpię.

Kiedy tak szliśmy, zastanawiałam się jednak: nigdy nie brakowało mu damskiego towarzystwa, co więc robił ze mną? Czemu zjawiał się tam, gdzie byłam ja?

Wyszliśmy spośród drzew i usiedli na tej samej skale co przedtem, a Kyland odstawił moje torby z zakupami obok siebie na kamieniu, który był z grubsza suchy.

Siedzieliśmy przez chwilę, przyglądając się zachodowi, który płonął ponad linią mgły coraz intensywniejszą czerwienią i pomarańczem, jakby cała górna część nieba stanęła w płomieniach. Nasze uda dotykały się, czułam na sobie jego ciepło. W powietrzu wciąż unosił się zapach deszczu, a krople połyskiwały na drzewach wokoło.

Kilka minut temu żartowaliśmy i śmiali się, ale nagle atmosfera między nami po raz kolejny uległa zmianie. Zerknęłam na Kylanda. Na jego twarzy malowało się napięcie. O czym myślał, kiedy tak nagle zapadał w zadumę?

- Nie powiedziałaś mi, co ten cały Silas takiego znalazł, że odmieniło jego życie - odezwał się w końcu.

Popatrzyłam na niego spod przymrużonych powiek. Spoglądał przed siebie, jakby nie obchodziła go moja odpowiedź.

- Może przeczytasz książkę? - zaproponowałam.

- Pff. Tylko tego mi trzeba. Tracić czas na czytanie o cudzym głównianym życiu.

- Więc czemu o to pytasz?

- Podtrzymuję rozmowę.

- Tak, jasne - powiedziałam, unosząc brew.

Przez moment oboje milczeliśmy, po czym spytałam:

- Do których college'ow złożyłeś podania? - Wiedziałałam, że tak samo jak ja musiał je złożyć, jeśli miał nadzieję skorzystać ze stypendium.

- Wszystkich na wschodnim wybrzeżu - odparł wciąż wpatrzony w niebo. Po krótkiej chwili obrócił się w moją stronę i dodał: - Głównie do szkół w Nowym Jorku lub w jego pobliżu. Całe życie czułem, że... - zamilkł, jakby szukał właściwego słowa - ...że powinienem coś zrobić, wiesz? Coś. - W miarę jak mówił, jego głos stawał się ożywiony i nagle Kyland zrobił zawstydzoną minę. - A ty?

Odchrząknęłam.

- Złożyłam podania do kilku w naszej okolicy i kilku w Kalifornii.
Spojrzał na mnie.

- Kalifornii? Wzruszyłam ramionami.

- Zawsze chciałam zobaczyć ocean.

Kyland wciąż się we mnie wpatrywał, w końcu skinął lekko głową.

- Tak - powiedział tylko.

Ja też na niego patrzyłam, moje oczy powędrowały do jego ust i nagle coś zaiskrzyło w powietrzu, coś niewidzialnego, ale jednocześnie realnego. Czułam to, i po zaniepokojeniu Kylanda wiedziałam, że on też to czuł. Poprawił się w miejscu. Poczulałam, że palą mnie policzki, i z zaskoczeniem stwierdziłam, że trudno mi głębiej odetchnąć. W wyrazie twarzy Kylanda było coś głęboko emocjonalnego, niemal bolesnego. Przysunął się odrobinę bliżej i z tej niewielkiej odległości dostrzegłam na jego nosie, pod opalenizną, jasną plamę piegów - jakby tuż pod skórą kryło się jego dzieciństwo. A zewnętrzna otoczka w jego szarych oczach miała odcień delikatnego błękitu, jakby słoneczne dni były tuż-tuż.

- Kylandzie...

- Tenleigh.

Nachylił się do mnie, tak że muskał mnie jego oddech. Głos pełen był napięcia. Wciągnęłam jego zapach, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz. Pachniał jak mieszanka czystego, nasyconego sośniną górskiego powietrza i czegoś, co musiało być po prostu nim samym - czegoś, co szeptało do mnie w sposób intymny, tajemny. Czegoś, czego nie musiałam analizować, by zrozumieć. Moje rzęsy zatrzepotały. Znów spojrzałam na jego usta. Boże, miał niezłe usta. Wyglądały na miękkie. Czy byłyby miękkie na moich? Serce waliło mi

w piersi jak młotem, gdy czekałam tak na jego pocałunek. Przysunął się o centymetr bliżej, a ja wstrzymałam oddech.

- Czy ktoś cię już całował, Tenleigh? - wychrypiął, podtrzymując dłonią bok mojej głowy i wsuwając palce pod włosy.

- Nie - wyszeptałam, przechylając się w jego stronę. Nie, ale chciałam tego. O Boże, chciałam. Czułam się niemal pijana oczekiwaniem. Czy podczas pocałunku będzie mnie dotykał? Czy jego dłonie powędrują po moim ciele pod ubraniami? Prąd przepłynął w górę moich ud i wylądował między nimi.

Tak bardzo mi się podobał. Był słodkim chłopakiem, ale potrafił przejąć kontrolę. Krew we mnie wrzała, płynąc przez żyły z prędkością światła.

Jego oczy wpatrywały się w moje przez kilka sekund, na które zatrzymał się czas, aż wreszcie Kyland zacisnął powieki i odsunął się ode mnie. Wypuściłam powietrze i niemal straciłam równowagę, ale zaraz ją odzyskałam.

Kyland wstał i odwrócił się ode mnie, z trudem łapiąc powietrze.

- Nie powinnaś oddawać mi pierwszego pocałunku. Co jest, do...?

Zamrugałam, czułam się oszołomiona, niemal tak, jakby właśnie dał mi w twarz. Zalała mnie fala upokorzenia. Wydałam z siebie gardłowy dźwięk i objęłam się rękami.

Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek.

- Czemu się z nikim nie całowałaś?

Wzruszyłam ramionami, zrobiło mi się gorąco, a skóra mnie mrowiła. Uniosłam brodę.

- Nigdy nie spotkałam nikogo, kogo miałabym ochotę pocałować - odparłam, starając się przybrać nonszalancki ton. Ale to właściwie była prawda.

- A mnie chciałaś pocałować? Parsknęłam.

Zadufany dupek.

Więc nie tylko nie miał zamiaru mnie pocałować - chciał, żebym poczuła się zawstydzona i niedoświadczona? Właśnie dlatego odrzuciłam mężczyzn.

- Już nie. - Wstałam, zgarnęłam torby z zakupami i wyminęłam go. Ale nie zdążyłam zrobić kroku, kiedy chwycił mnie za rękę i pociągnął. Zrobiłam piruet. - Puszczaj - wysyczałam. - Masz rację. Nie chcę cię pocałować. Wyjadę do college'u i pozwolę się pocałować prawdziwemu mężczyźnie, nie jakiemuś durnemu prostakowi, który sądzi, że jego usta są darem niebios dla dziewczyn z Kentucky.

Kyland puścił moją rękę. Wyglądał na naprawdę dotkniętego.

- Nie myślę tak.

Wydałam z siebie odgłos obrzydzenia i poszłam dalej. Było mi gorąco i cała się trzęsłam, bezskutecznie usiłując zignorować poczucie głębokiego zranienia i rozczarowania.

- To dobrze, bo nie powinienes. Ty też nie masz niczego, czego nie miałby każdy inny mężczyzna, Kylandzie Barretcie -zawołałam, pędząc w kierunku drogi.

Szybkim krokiem pokonałam całą trasę do domu. Nie miałam pojęcia, czy Kyland poszedł za mną, czy nie, i powtarzałam sobie, że nic mnie to nie obchodzi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tenleigh

W następnym tygodniu w wietrzną niedzielę zeszliśmy z Marlo ze wzgórza. Ona szła do pracy, a ja do miejskiej biblioteki.

- Nie siedź tam za długo, dobrze? - powiedziała Marlo, kiedy miałyśmy się właśnie rozstać.

- Dobrze. Potrzebuję tylko paru książek.

Z całych sił starałyśmy się nie zostawić mamy zbyt długo samej w przyczepie. Nie zachowywała się impulsywnie, o ile zażywała lekarstwo zgodnie ze wskazaniami. Ale nie byłyśmy pewne, czy to robi. Nie mogłyśmy wepchać go jej na siłę do gardła, a liczenie pastylek nie dawało rezultatów. Dobrze wiedziała, że musi ukryć niezażyte pigułki, jeśli postanowiła odstawić lekarstwo. Tak czy inaczej, mama była, nazwijmy to, delikatna. Kiedy nie spała, nie lubiła być sama. Szczerze mówiąc, to było wykańczające, ale właśnie to przypadło nam w udziale, robiłyśmy więc, co trzeba, bo nie miałyśmy innego wyboru.

Zastanawiałam się często, jak to jest mieć rodziców, którzy dbają o ciebie, a nie na odwrót.

Wyszędłszy na główną ulicę, zobaczyłyśmy idącego w naszą stronę mężczyznę zatopionego w trzymanym w dłoni telefonie.

- O Boże, zawracaj! - syknęła Marlo.

- Hmm?

Nagle mężczyzna podniósł wzrok.

- Przepraszam - powiedział, kiedy zawadził o mnie ramieniem, i zrobił spory krok w lewo. - O, cześć. Tenleigh, prawda?

Mogłabym przysiąc, że usłyszałam, jak Marlo wydaje z siebie rozdrażniony jęk.

- Tak. Dzień dobry. Doktor Nolan?

Zerknęłam na Marlo. Na jej twarzy gościł niewyraźny, sztuczny uśmiech. Do tej pory nie poznałam osobiście doktora Nolana, ale widywałam go i wiedziałam, że był dentystą, który otworzył praktykę w Evansly. Przyjechał tu najwidoczniej, by ratować appalaskie cukrowe usta. Śmiały zamiar, może uda mu się rozjaśnić parę uśmiechów. Nie mogłam powstrzymać dreszczyku obrzydzenia na widok niemowlaka ciągnącego z butelki napój gazowany. Nie muszę dodawać, że nie należało to do rzadkości. I fama niosła, że większość jego klientów, jeśli w ogóle mogła czymś zapłacić, płaciła w takiej walucie jak pędzony w domu bimber. Mimo to jeszcze nie wyjechał. I był zaskakująco trzeźwy.

Druga rzecz, jaką wiedziałam o doktorze Nolanie, to że Marlo zaliczyła z nim jedną noc kilka miesięcy temu, kiedy w niedzielne popołudnie wpadł do Ala na piwo.

I że od tamtej pory go ignorowała.

- Mów mi Sam - powiedział, zerkając na Marlo. - Cześć, Marlo. Jak się masz? - spytał, poprawiając na nosie okulary.

Szczerze mówiąc, miał prawdziwy urok *a la* Clark Kent: wyraźny przedziałek, okulary w czarnej oprawie i koszulę

zapiętą pod samą szyję. Ale mimo to był przystojny i wyglądał na wysportowanego. Rzuciłam okiem na Marlo i uniosłam brew.

- Cześć, Sam. W porządku. A ty? - odparła, posyłając mu szeroki, promienny uśmiech, który był całkowicie sztuczny.

Jeśli mężczyzna zdolny jest do omdlenia, to właśnie to zrobił.

- Hmm, dobrze. Wpadałem kilkakrotnie do Ala, ale cię nie było - powiedział, a jego policzki nabrały rumieńców. Urocze.

Wyszczrzyłam się do Marlo.

- O. Szkoda, że się rozminęliśmy, Sam. Musisz być bardzo zajęty w przychodni. - Marlo mówiła powoli z ostentacyjną oficjalnością.

Zmrużyłam oczy, usiłując odczytać coś z jej twarzy.

- O, a, tak. Jestem zawałony po uszy. - Nastąpiła niezręczna cisza, którą postanowił przerwać. - Próchnica stanowi w rejonie Appalachów prawdziwą epidemię. - Zerkał to na mnie, to na Marlo. - Oczywiście wasze zęby są piękne. Musicie dobrze o nie dbać. Higiena jamy ustnej jest bardzo... Pewnie porządnie nitkujecie zęby, to świetnie. Głównym problemem są napoje gazowane. I zła dieta, rzecz jasna... - Wykrzywił się, jakby ta rozmowa sprawiała mu ból.

Powstrzymałam cisnący mi się na usta uśmiech.

- Dostrzegłyśmy ten problem. To, co robisz, jest godne podziwu.

Pokręcił głową.

- O nie, to ja najwięcej na tym zyskuję. Dwunastolatek wchodzi do mojego gabinetu z ustami pełnymi próchnicy, a wychodzi z pięknym uśmiechem. Cóż, trudno wyjaśnić to uczucie. Mam możliwość odmienienia czyjegoś życia, rozumiesz? - Jego oczy pojaśniały, a głos pełen był entuzjazmu. - Nic się z tym nie równa. - Widać było jego zapał do tego przedsięwzięcia. Urocze.

- Skąd jesteś, Sam? Słyszę obcy akcent. Zachichotał.

- Z Florydy. Dla mnie to wy macie obcy akcent. - Zerknął na Marlo. -
Podoba mi się.

O rany.

Popatrzyłam na Marlo, która zdawała się nieporuszona.

- No dobrze - powiedziała - muszę iść do pracy, życzę ci więc miłego dnia, Sam. Tenleigh, do zobaczenia w domu.

- O, idziesz do pracy? - spytał Sam. - Pozwól, że cię podwiozę. I tak wracam do Evansly. Podrzucałem tylko wizytówki do domów w tej okolicy, informujące ludzi, że przyjmę ich za darmo, gdyby byli zainteresowani...

Marlo zawahała się, więc się wtrąciłam.

- Świetnie! Co za łut szczęścia, Mar. Do zobaczenia w domu. Zrobiła do mnie wielkie oczy, ale do Sama się uśmiechnęła.

- Okej, świetnie. Dzięki, Sam.

Odwrócili się w kierunku jego samochodu, Sam mi pomachał, a Marlo posłała mi spojrzenie mówiące: „Jeszcze pogadamy”. Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do biblioteki, śmiejąc się do siebie. Albo Marlo wyjątkowo starała się nie lubić Sama, albo, no cóż, naprawdę go nie lubiła. Na moje oko to pierwsze. Widziałam Marlo z mężczyznami, o których wiedziałam na sto procent, że nie jest nimi zainteresowana, i nie zachowywała się w ten sposób. Nie ukrywała też przed Samem swojego uśmiechu. To mi się podobało najbardziej - czuła się przy nim ładna.

Pociągnęłam drzwi wejściowe do biblioteki, która właściwie była jedynie małą budą z paroma regałami w środku, na których tłoczyło się tyle książek, ile dało się pomieścić. Kilka lat temu pomogłam jednemu z nauczycieli utworzyć na nią fundusz i ludzie dzielili się tym, czym mogli. Budżet był skromny i nie wystarczył na wiele książek, ale lepsze to niż nic. I zazwyczaj było tu pusto. Dlatego zaskoczył mnie widok

kogoś stojącego przy regale pod tylną ścianą i kartkującego książkę. Weszłam cicho i w miarę zbliżania się dostrzegłam, że to Kyland. Cholerny Kyland. Nie mogłam pomylić tych szerokich pleców i karmelowo-brązowych włosów zwijających się w pierścionki na karku. Wyglądało na to, że odstawia lekturę na półkę. Odchrząknęłam, a on odwrócił się do mnie z książką w dłoni. Mój wzrok powędrował od zaskoczonego wyrazu jego twarzy do tytułu, który trzymał w ręce. *Tkacz z Raveloe.*

Oparłam się biodrem o jeden z regałów i skrzyżowałam ręce na kilku warstwach swetrów, czując, że kiedy tak go obserwuję, zalewa mnie fala satysfakcji. No proszę.

Kyland zmrużył oczy i oparł się plecami o półkę, przygryzając dolną wargę. Przez chwilę staliśmy tak, mierząc się wzrokiem w jakimś dziwnym impasie, mimo że tylko ja miałam prawo do rozgoryczenia.

- Mała dziewczynka. To ją znalazł tamtego zimowego wieczoru. Porzuconą w śniegu - odezwał się.

Skinęłam powoli głową, przebiegając wzrokiem po jego włosach i twarzy, tak niedbale przystojnej. Nasze spojrzenia się spotkały.

- Nadała jego życiu sens. Dzięki niej poczuł, że żyje, tak jak nigdy wcześniej.

Wciąż się we mnie wpatrywał.

- A potem stracił całe złoto, które zarobił, odkąd skazał sam siebie na wygnanie.

Wzruszyłam ramionami.

- Tak, i nie miało to znaczenia. Nie dbał o nie, odkąd znalazł Eppie. Stała się jego największym skarbem. Nadała sens jego samotnemu życiu.

Coś w spojrzeniu Kylanda uległo zmianie. Odwrócił się powoli i odstawił książkę na swoje miejsce. Musiał wypożyczyć ją

tydzień temu - po naszej rozmowie, kiedy ją oddałam. Znow zwrócił się w moją stronę.

- Masz zamiar wypożyczyć coś jeszcze? - spytałam. Pokręcił głową.

- Nie. - Zabrzmiało to obcesowo i pewnie.

Wyminęłam go, żeby odstawić książkę, którą właśnie skończyłam. *Najbardziej niebieskie oko*. Nachyliłam się do Kylanda, by odłożyć ją na swoje miejsce. Nie zareagował najdrobniejszym ruchem na moją bliskość.

Odchrząknęłam.

- Jeśli chciałeś mi udowodnić, że nie jesteś prostackim analfabetą, za jakiego cię wzięłam, to...

- Tenleigh.

Na dźwięk jego schrypniętego głosu spojrzałam mu prosto w oczy. Zamilkłam. Na twarzy Kylanda malowało się jakieś zacięcie i stanowczość. Powietrze zgęstniało od napięcia. Staliśmy oboje w milczeniu. Kyland zaciskał szczęki. Przysunął się do mnie jeszcze bliżej, moje serce zaczęło szaleńczo dudnić, a oddech stał się urywany. Dobry Boże, był taki piękny, czułam zapach jego skóry, czysty i męski, z leciutką nutką soli. Chciałam otworzyć usta i wciągnąć otaczające powietrze, tak by poczuć jego smak na języku. Żołądek mi się ścisnął, a wzrok stracił na chwilę ostrość. Kyland wciąż się we mnie wpatrywał, jakby zauważył język mojego ciała, i wyglądał na... wściekłego? Rozemocjonowanego. Wyprostowałam się i uniosłam brodę. Nie rozumiałam, co się dzieje, ale cokolwiek to było, nie miałam zamiaru się wycofywać.

Kyland przysunął się do mnie blisko, aż jego twarz znalazła się tuż nad moją. Podniosłam na niego wzrok, a krew w moim ciele szalała.

- Mam zamiar stąd wyjechać, Tenleigh. Nic mnie nie powstrzyma. Ani ty, ani nic innego. Ani nikt inny. Słyszysz? -Jego głos pełen był napięcia, a wzrok zaciekły i zły.

Oddech wydobywał się z moich ust szybko i z trudem, gdy usiłowałam zapanować nad łomocącym sercem. Nie potrzebowałam, żeby tu zostawał. Nie chciałam, żeby czuł się wobec mnie z jakiegokolwiek powodu zobowiązany. Ale chciałam, żeby mnie pocałował. W tej sekundzie. Przeniosłam wzrok na jego usta i gwałtownie wypuściłam powietrze. Kyland wydał z siebie zduszony, gardłowy jęk i przysunął usta do moich.

- Kiedy stąd wyjadę, o wszystkim zapomnę. O wszystkim, co wiąże się z tym miejscem. Nawet o tobie.

A czemu by nie miał? Nic dla niego nie znaczyłam.

- Okej - wydyszałam.

Zastygł na ułamek sekundy z płonąącym wzrokiem, a potem jego usta uderzyły o moje. Ujął moją twarz w dłonie, palce wplótł we włosy i wepchnął mi język do ust. Miałam wrażenie, że całe moje ciało eksploduje, kiedy zarzuciłam mu ręce na szyję i przycisnęłam się do jego twardego ciała, wtapiając się w nie. Wydał z siebie umęczony jęk i przechylił dłońmi moją głowę. Jego język wsuwał się coraz głębiej w moje usta. Ja też jęknęłam, nasze języki tańczyły, igrały, droczyły się. Oderwałam się od jego ust, łapiąc powietrze, w czasie gdy on przygryzał i całował moją szyję.

- Tak, Kylandzie, nie przestawaj - błagałam. I gdyby położył mnie tam na podłodze i chciał się ze mną kochać, pozwoliłabym mu. Bliska byłam błagania, by to właśnie zrobił. Tętno wywołało pulsujące pragnienie między moimi udami. Piersi stały się ciężkie i obolałe.

Nasze usta znów się połączyły. Jego język wsuwał się i wysuwał z moich ust, jakby mnie pragnął. Byłam w siódmym niebie. Chciałam, żeby ten pocałunek trwał w nieskończoność.

Nagle Kyland oderwał się ode mnie, z trudem łapiąc oddech. Wyglądał na oszołomionego i wciąż nieco wkurzonego, a dowód podniecenia wyrzuszał mu dzinsy.

- Ja pierdolę, Tenleigh. Co ty wyprawiasz?

Moja krew wystygła równie szybko, jak zapłonęła zaledwie chwilę temu. Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczami.

- Co... co j a wyprawiam?

I tak po prostu Kyland odwrócił się na pięcie i wyszedł z Biblioteki Publicznej Dennville, zostawiając mnie samą i zdezorientowaną, a moje usta i serce obolałe.

Znów pozwoliłam mu to zrobić! Co było z nim nie tak? Co było ze mną nie tak? Oparłam się plecami o półkę i przysięgłam sobie nigdy więcej nie pozwolić Kylandowi Barrettowi na upokarzanie mnie. Nie tylko on planował się stąd wynieść. Czemu w ogóle się nad nim zastanawiałam? Rany, jak ja go nienawidziłam.

*

Coś mi mówiło, że nie powinno się myśleć dniami i nocami o kimś, kogo się nienawidzi. Szlag.

Przez cały kolejny tydzień ostentacyjnie unikałam Kylan-da Barretta. Raz zobaczyłam go na końcu korytarza szkolnego i skręciłam gwałtownie, by nie musieć go mijać, innym razem wyjrzałam przez okno klasy i dostrzegłam go spacerującego na podwórzu z Shelly Galvin. Odwróciłam szybko wzrok, bo moje obolałe serce ogarnęła zazdrość, przez co poczułam się zła i krucha. Z całowaniem jej jakoś nie miał problemu.

Swoją drogą to właśnie dlatego planowałam unikać tutejszych mężczyzn - dzielili się na zadufanych w sobie panów wszechświata i prowincjonalnych frajerów. Przez ułamek sekundy sądziłam, że Kyland jest inny, ale nie był. Upokorzył mnie z pełną premedytacją, wiedząc, że mi się podoba. Cóż, nigdy więcej. Jak widać, istniała w okolicy cała masa dziewczyn

szczęśliwych, że się nimi bawi. Nie zanosiło się, żeby w najbliższym czasie miał umrzeć z samotności. Widziałam to na własne oczy. A jednak siedziałam, gryząc ołówek, niezdolna do wymazania go ze swojej głowy. Cholera - podobał mi się. Pozwoliłam sobie myśleć o nim, kiedy kładłam się do snu na małej kanapie w naszej przyczepie. Wyobrażałam sobie, że patrzy mi prosto w oczy, tak jak robił to, kiedy podziwialiśmy zachód słońca. Wyobrażałam sobie, że mnie dotyka, całuje, a nawet się ze mną kocha. Wyobrażałam sobie, że widzę go bez koszuli i zsuwam palce po jego ciepłej, opalonej skórze... Mimo że umysł ostrzegał mnie, bym przestała to sobie wyobrażać, sama myśl powodowała, że prąd przeszywał moje serce. Przestań, Tenleigh. Po prostu przestań, idiotko. Głupia, naiwna dziewczyno.

Plan Koniec z Facetami: oficjalnie przywrócony.

Po szkole poszłam do biblioteki, żeby nie natknąć się na Kylanda na drodze prowadzącej do jego domu. Wiedziałam, że nie będzie wypożyczał więcej książek. Byłam bezpieczna -i lubiłam to miejsce. Czulałam się tam jak we własnym prywatnym gabinecie. Mogłam siedzieć przy małym stoliku na tyłach, rozłożyć zadania domowe i korzystać z prywatności, której potrzebowałam. Nikt w mieście oprócz mnie nie był szczególnie zainteresowany czytaniem. I było tu znacznie wygodniej niż przy małym rozkładanym stoliku w naszej przyczepie, który skrzypiał za każdym razem, kiedy opierałam się, żeby coś napisać.

Mój oddech parował we wczesnogrudniowym powietrzu, kiedy szybkim krokiem przemierzałam drogę do niewielkiego budynku oddalonego czterysta metrów od domu. Wpadłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi, wdychając lekko stęchłe powietrze. Nie było tu ogrzewania, ale było cieplej niż na zewnątrz i z pewnością znacznie cieplej niż w naszej pełnej przeciągów przyczepie. Rozłożyłam rzeczy na stoliku na

tyłach i zabrałam się do odrabiania zadań. Nie spieszyłam się z nimi, bo nie chciałam stąd wychodzić, szczęśliwa w swoim odosobnieniu.

Potrzebowałam nowej książki. Wstałam, żeby je przejrzeć, i zauważyłam niewielki kawałek białego papieru wystający z *Najbardziej niebieskiego oka*, które zwróciłam tuż przed pocałunkiem Kylanda. Na wspomnienie pocałunku wydałam z siebie dziecinny odgłos zniesmaczenia - tylko dlatego, że sprawił mi przyjemność - po czym sięgnęłam po książkę. Wyciągnęłam pasek papieru. Na widok drobnego pochylonego pisma podskoczyło mi serce.

Jedna z najbardziej ponurych książek, jakie kiedykolwiek czytałem, niedająca ani cienia nadziei. Sprawiała, że miałem ochotę rzucić się z najbliższego klifu.

KB

Zamarłam, czytając zdanie powtórnie. KB. Kyland Barrett. Czyżby próbował być zabawny? Ogarnęła mnie złość, usiadłam więc, żeby odpowiedzieć:

Tylko kmiot nie dostrzegłby prawdziwego przesłania tej powieści, czyli że wszyscy prowadzimy wewnętrzny dialog, który nas albo więzi, albo wyzwala. Jeśli chodzi o klif proponuję Skarpę Truposza - już sama nazwa brzmi obiecująco, gdy ma się tego rodzaju plany. Ponadto jest najwyższy w okolicy, a u jego podnóża rozpościera się wiele postrzępionych skał, które w zasadzie gwarantują zejście.

TF

Uśmiechnęłam się lekko i wsunęłam kartkę z powrotem do książki, pozostawiając kawałek wystający u góry. Następnie przejrzałam lektury, które już czytałam, w poszukiwaniu

najbardziej depresyjnej, niepokojącej, jaką mogłam znaleźć, aż w końcu wyciągnęłam z półki *W Brighton*, pozostawiając wyraźną lukę w miejscu, gdzie stała.

Dwa dni później przyniosłam ją z powrotem, a po kolejnych trzech dniach, kiedy wróciłam do biblioteki, wystawała z niej karteczka:

Przyjemna lektura. Szczególnie zaimponowała mi postać Pinkiego.
KB

Wydałam z siebie odgłos zniesmaczenia i nabazgrałam szybko:

Tylko ktoś naprawdę niezrównoważony może być pod wrażeniem nikczemnego, socjopatycznego przywódcy gangu, który okrutnie niszczy piękną, porządną, kochającą go dziewczynę. Co słychać na Skarpie Truposza?

TF

Następnie przejrzałam półkę i wybrałam książkę, która była nie tylko przygnębiająca, ale też obrzydliwa.

Pięć dni później, *Droga*:

Ekscytująca opowieść o apokalipsie... przetrwaniu... kanibalizmie... podziemnych bunkrach. Książka, którą każdy mężczyzna pochłonie!

KB

Zmarszczyłam brwi.

Rozumiem tę gierkę ze słowem „pochłonie”. Naprawdę jesteś psycholem.

TF

Poszłam na całość, wybierając prawdopodobnie najbardziej przygnębiającą książkę, jaką kiedykolwiek napisano.

Cztery dni później, *Szklany klosz*:

Dobra, dobra. Przejrzałem Cię.

KB

Roześmiałam się w głos wbrew samej sobie. I niech go szlag, usiłowałam trzymać się swojego gniewu, a teraz stałam tu uśmiechnięta do jego cholernego liściku. Uśmiech zniknął powoli z mojej twarzy. Przejrzałam półkę w poszukiwaniu kolejnej książki, a melancholia ścisnęła moje samotne serce. Oparłam się plecami o regał, przygryzając wargę. Podobał mi się. I co z tego? Nie wiedziałam, czemu się ze mną bawił. Ale widziałam, co się dzieje, kiedy kobieta zadurzy się w mężczyźnie, który nie jest nią zainteresowany, i nie miałam zamiaru się w to pakować. Nie miałam. Lepiej zostawić sytuację taką, jaka jest. Nie będę zachęcać go do tej gry. To tylko zrodzi nadzieję, a w kwestii Kylanda nadzieja nie była czymś, na co chciałam sobie pozwolić. Westchnęłam i zebrałam rzeczy, po czym wyszłam z biblioteki i skulona przed zimmem zaczęłam brnąć pod górę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kyland

Cały następny tydzień chodziłem co rano do niewielkiej biblioteki, ale nie znalazłem czekającej na mnie wiadomości. Usiłowałem przekonać samego siebie, że to bez znaczenia - to była tylko przyjemna rozrywka i tak naprawdę podobały mi się te książki. Pomogły mi przetrwać kilka samotnych nocy. Jednak prawdę mówiąc, czułem się zawiedziony, że Tenleigh najwyraźniej zakończyła naszą wymianę. I zrozumiałem, że być może wciąż się na mnie gniewała. Zachowałem się jak idiota, całując ją. Przyłożyłem palce do ust, jakby nadal znajdowała się tam jej cząstka. Rany, jak dobrze smakowała, lepiej nawet niż sobie wyobrażałem. Odsunięcie się od niej wymagało zebrania całych sił i od tamtej pory co noc śniłem o tym cholernym pocałunku. Jednak nie miałem zamiaru go powtarzać. Jakkolwiek bym tego chciał. Nie planowałem zabierać jej czegoś, czego nigdy nie będę w stanie zwrócić... Już wystarczająco wiele jej w życiu zabrano. Nie trzeba jeszcze było, żebym odebrał jej tę czystość - nie chciałem być

odpowiedzialny za wzbudzenie w niej płonnych nadziei, a następnie pozostawienie na lodzie, kiedy wyjadę. Zasługiwała na coś lepszego. A ja nie chciałem mieć nic wspólnego z Dennville. Chciałem wyjechać i nie oglądać się więcej za siebie -w każdym tego słowa znaczeniu. Nie trzeba mi było żadnych związków z marzycielsko usposobionymi dziewczynami, które będą oczekiwały ode mnie pisania listów miłosnych z akademika. Planowałem całować mnóstwo dziewczyn, teraz i po wyjeździe, ale żadna z nich nie będzie Tenleigh Falyn. Tak właśnie musiało być.

Wyszedłem z biblioteki i z impetem zamknąłem za sobą drzwi.

- Cześć, Ky - usłyszałem, kiedy wracałem z rękami w kieszeniach drogą w kierunku domu.

To był szalenie mroźny poranek, na ziemi wciąż leżał śnieg z paru niedawnych śnieżyc, a ja jak kretyń zapomniałem rękawiczek. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem Shelly.

- Hej - odpowiedziałem.

Uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku, żeby mnie dogonić, po czym wsunęła mi rękę pod ramię. Przycisnęła się do mnie i rzuciła:

- Brr! Zimno dziś.

Przytaknąłem. Chciałem się od niej odsunąć, ale się opanowałem. Romansowaliśmy z Shelly, kiedy któreś z nas miało na to ochotę. Trwało to, odkąd skończyliśmy piętnaście lat. Nie przywiązywałem do tego wagi i byłem przekonany, że ona też nie przywiązuje. Chociaż nie wyglądała na zachwyconą, kiedy odkrywała, że byłem z kimś innym. Miałem cichą nadzieję, że znajdzie sobie chłopaka i zakończy te nasze nic nieznaczące schadzki. Zaczynały mnie nużyć. Ale Shelly, podobnie jak ja, chyba wolała się nie angażować. Poza tym spełniała jeszcze jeden z moich wymogów: nie mieszkała na wzgórzu - była uboga, ale nie tak desperacko. Nie tak uboga jak Tenleigh.

Serce mi się skurczyło, na co zacisnąłem zęby. Nie potrzebowałem się martwić o przetrwanie kogokolwiek oprócz mnie.

- Dokąd idziesz? - spytałem. Spojrzała na mnie spod rzęs.

- Szłam do Rusty'ego po coś, co babcia zapomniała kupić na kolację. Ale... - spojrzała na mnie kokieteryjnie - nikt nie zauważy, że mnie nie ma, jeśli na chwilę zniknę.

- Wracam do domu, Shelly. Mama mnie potrzebuje - skłamałem.

Mina jej zrzędała.

- W takim razie w porządku. Aha, masz ochotę pójść ze mną później na przedstawienie w szkole? Grają *Opowieść wigilijną*. - Uśmiechnęła się szeroko.

Wiedziałem, że Shelly lubiła przebywać poza domem najczęściej, jak to było możliwe. Gniotła się tam z tatą i czwórką braci. Jej mama zmarła, kiedy Shelly była mała. Opisywała swój dom, jakby był zoo, ale prawdę mówiąc, dla mnie nie brzmiało to ani w połowie tak źle - przynajmniej nikt nie był nigdy samotny.

- Czy to już okres przedświąteczny? - spytałem. Doskonale wiedziałem, że nadszedł już okres przedświąteczny. I nienawidziłem go. Skutecznie unikałem poważnego napadu lękowego, jaki zwykle dopadał mnie o tej porze roku, dzięki lekturom i miniklubowi książki, który zorganizowaliśmy sobie z Tenleigh, ale teraz musiałem się z nim zmierzyć.

Tenleigh. Przestań, Kylandzie. Przestań myśleć o Tenleigh. Objąłem ramieniem Shelly i przyciągnąłem ją bliżej do siebie. Uśmiechnęła się do mnie.

- Jest dwudziesty czwarty, Ky - odparła. - Przerwa świąteczna zaczęła się dwa dni temu... Zauważyłeś?

Westchnąłem.

- Jasne. Zauważyłem. Tak tylko żartowałem. - Prawdę mówiąc, wyjście później z domu nie brzmiało źle, a podczas

antraktów zawsze dawali jedzenie. Czasem nawet coś więcej niż ciastka i muffiny. W zeszłym roku mieli te parówki w cieście... - Dobra, w porządku, chodźmy obejrzyć dziś wieczorem przedstawienie. Brzmi świątecznie. Zatrzymaliśmy się przed sklepem Rustyego.

- Świetnie! Moi bracia też się wybierają, więc spotkamy się na miejscu. - Ścisnęła mnie mocniej. - A jeśli będziesz miał czas później... - Pozwoliła, by myśl zawisła na chwilę w powietrzu, puściła mnie i odchodząc, posłała w powietrzu całusa.

*

Spotkałem się z Shelly przed szkołą. Od brnięcia w śniegu przemokły mi buty. Otrzepałem je i strzepnąłem śnieg z włosów, a Shelly uśmiechnęła się do mnie szeroko i udała, że się trzęsie.

- Brr! - powiedziała, opatulając się ciasno czerwonym wełnianym płaszczem. - Rozgrzej mnie. - Uwiesiła się na moim ramieniu i przywarła do mnie.

Mój nos wypełniły jej mocne waniliowe perfumy. Weszliśmy do ciepłego hallu, gdzie środek otwartej przestrzeni zajmowała okazała choinka. Szkoła wykosztowała się na świąteczne przedstawienie. Najprawdopodobniej dlatego, że pojawi się na nim wielu rodziców z Evansly, którzy pracują na kierowniczych stanowiskach w kopalni. Rozejrzawszy się wokół, zauważyłem kilku z nich - zdradzały ich grube zimowe płaszcze, botki na futrze i czapki. Shelly wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na wolne miejsca pośrodku widowni. Rozbrzmiewał szmer głosów - rozmów i śmiechu - a całe pomieszczenie tonęło w mroku i ciepłe. Poczulem nagle zadowolenie, że przyszedłem tu mimo pogody. Cieszyłem się na przekąski, które podadzą podczas

antraktu - to był ciężki miesiąc. Ogrzanie domu, przynajmniej do takiego stopnia, żeby przeżyć, stało się priorytetem na równi z jedzeniem. Kiedy byłem młodszy, odłupywałem węgiel z nasypu autostrady. Ale to było nielegalne, i to w dodatku szalenie publicznie nielegalne, nie uważałem więc, by warte było ryzyka. Byłem tak blisko wszystkiego, na co pracowałem... tak blisko. Poszedłem za Shelly, przeciskając się obok ludzi siedzących już w rzędzie, który wybrała.

Usiedliśmy, Shelly zdjęła płaszcz i odchyliła się na oparciu, wydając z siebie westchnienie zadowolenia i biorąc mnie za rękę. Popatrzyłem na nią... i napotkałem spojrzenie Tenleigh siedzącej tuż koło Shelly. Drgnąłem z lekka i nie zdołałem pohamować uśmiechu, który natychmiast opanował moją twarz.

- Tenleigh - powiedziałem, nachylając się, a przez moją pierś przemknęło uczucie ulgi, jakbym od bardzo dawna czekał, by ją ujrzeć. A może czekałem?

Tenleigh wyglądała na lekko zbolaną, ale nic nie powiedziała, tylko spuściła wzrok na moje kolana, gdzie leżały złączone dłonie moja i Shelly. Puściłem ją pospiesznie, jakbym został przyłapany na czymś niewłaściwym, a Shelly spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Potem spojrzała na Tenleigh i z powrotem na mnie, a grymas na jej twarzy się pogłębił. Kiedy tylko światła zgasły, ponownie złapała mnie za rękę. Oparłem się na fotelu, a moje serce zaczęło bić mocniej. Czuję się nieswojo, stremowany, nie byłem nawet pewien czemu. Między mną i Tenleigh nie było nic poza przyjaźnią...

O ile to była przyjaźń. Z Shelly łączyła mnie bez wątpienia większa intymność, ale nic poza tym. Czemu więc czuję się, jakbym zrobił coś złego Tenleigh? Czemu jej obecność obok nas wywołała we mnie natychmiastowe poczucie winy i rozkojarzenia? Czemu ogarnęła mnie nagła potrzeba wytłumaczenia się przed nią?

Przedstawienie się rozpoczęło, ale do mnie nic nie docierało. Usiłowałem zobaczyć kątem oka Tenleigh, ale odchyliła się tak daleko do tyłu, że Shelly mi ją zasłaniała. Zerknąłem w tamtą stronę przelotnie, kiedy w rzędzie bliżej sceny jakieś dziecko zaczęło płakać. Zauważyłem, że Tenleigh siedzi sztywno, wpatrzona przed siebie.

Nagle Shelly wyjęła zza siebie płaszcz i rozłożyła go na swoich kolanach, jakby było jej zimno, po czym przesunęła go tak, że przykrywał też częściowo mnie. Poczułem jej dłoń przemieszczającą się nad moje krocze i lekko podskoczyłem. Przesunęła dłonią po moim penisie, po czym ścisnęła go przez džinsy, wciąż patrząc prosto przed siebie z niewielkim uśmiechem na ustach. Sięgnąłem pod płaszcz, wyjąłem jej rękę i położyłem na wierzchu. Spojrzała na mnie i uniosła brwi, a ja wskazałem głową scenę, sugerując... sam nie byłem pewien co.

Popatrzyłem na Tenleigh, której głowa wciąż skierowana była do przodu, ale widziałem, że jej oczy zerkają w dół i na bok, tam, gdzie płaszcz Shelly nas przykrywał i gdzie nasze dłonie poruszały się pod materiałem.

Odchrząknąłem, nasze spojrzenia się spotkały, a jej usta się rozchyliły. Zrobiła wielkie oczy, po czym pospiesznie obróciła głowę z powrotem w kierunku sceny, ignorując mnie.

Shelly chwyciła moją dłoń leżącą na płaszczu i kciukiem rysowała na mojej skórze koła.

Pierwszą połowę przedstawienia przesiedziałem spięty i zdenerwowany, usiłując z całych sił zaangażować się w sztukę, jednak bez większego skutku. Byłem boleśnie świadom Tenleigh, jakby była jakimś magnesem, który samą swoją obecnością nie pozwala mi czuć niczego poza przyciąganiem.

Kiedy światła zapaliły się na przerwę, zalała mnie fala ulgi. Wstałem i spojrzałem obok Shelly na Tenleigh, ale ona już

zdążyła się odwrócić i ruszyć w stronę przeciwnego końca rzędu. Płynęła razem z tłumem do hallu.

Poszedłem za ludźmi na przeciwległy kraniec rzędu, Shelly tuż za mną, a kiedy dotarliśmy do hallu, rozejrzałem się na wszystkie strony ponad głowami zgromadzonych.

Shelly mówiła coś za moimi plecami, ale jej nie słuchałem.

Otwartą przestrzeń wypełnił zapach kawy i słodczy. Shelly pociągnęła mnie do kolejki przy stoliku.

- Jesteś głodny? - spytała.

Zawsze. Ale w tej chwili nie pragnąłem jedzenia. Pragnąłem... czegoś, czego nie potrafiłem nazwać.

Skinąłem głową w stronę Shelly i stanąłem z nią w kolejce, nie przestając się rozglądać.

Nagle drzwi wejściowe otwały się i stanęła w nich kobieta z włosami zasypanymi śniegiem, w mokrej koszuli, bez kurtki, i z narzuconym na ramiona czymś na kształt sfatygowanego transparentu. Zmrużyłem oczy i się jej przyjrzałem. O cholera. To mama Tenleigh. Wyglądała jak szurnięty zmokły szczur. Koszula przylepiła się jej do ciała, ukazując jak na dłoni jej pomarszczone różowe sutki i ciemny trójkąt włosów łonowych. Serce mi się ścisnęło.

Kobieta trzęsła się gwałtownie, ale na widok tłumu jakby natychmiast się ogrzała, bo promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz, wyprostowała plecy i ruszyła do hallu, gdzie wszyscy zamilkli, wpatrując się w nią ze zdezorientowanym wyrazem twarzy. Kilkoro dzieciaków śmiało się pod nosem.

Rozejrzałem się rozpaczliwie w poszukiwaniu Tenleigh. Ogarnęło mnie desperackie pragnienie ochrony jej przed tym, co przeczuwałem, że nastąpi, aż zrobiło mi się gorąco, a skóra zaczęła swędzieć.

- Eddie! - zawołała śpiewnie mama Tenleigh, przyspieszając kroku w kierunku kogoś stojącego na tyłach hallu. - Eddie, skarbie. Przepraszam, że się spóźniłam.

Obróciłem głowę. Moje oczy spoczęły najpierw na Tenleigh, która zamarła z malującą się na twarzy grozą, a potem podążyły za jej spojrzeniem w stronę Edwarda Kearneya, wicedyrektora do spraw wydobywania w kopalni Tytoń i zarządcy dorocznego Funduszu Stypendialnego Tytoń Coal. Zacisnąłem szczęki.

Cholera. Kurwa.

Wpatrywał się w zmierzającą ku niemu mamę Tenleigh z szeroko otwartymi oczami i wyrazem czystego, nieskrywanego przerażenia. Stojąca u jego boku żona powiedziała cicho: „O mój Boże”, przygarniając do siebie dziewczynkę, która wyglądała na jakieś dziesięć lat. W jej głosie słychać było obrzydzenie.

Nagle drzwi ponownie się otworzyły, głowy wszystkich powędrowały w ich kierunku, a do środka wpadła dziewczyna, w której rozpoznałem siostrę Tenleigh, mokra i drżąca jak jej matka, bez odpowiedniego zimowego stroju. Ruszyłem w stronę Tenleigh najszybciej jak umiałem, a jej siostra zawołała:

- Mamo! Wracaj!

Spojrzałem na nią, a ona roześmiała się z zawstydzeniem, rozglądając się wokół, wyraźnie usiłując zachowywać się z taką swobodą, na jaką ją tylko było stać, w tej koszmarnej, bardzo publicznej sytuacji.

Poczułem, że ktoś łapie mnie za rękę i ciągnie, a kiedy spojrzałem przez ramię, zobaczyłem Shelly. Wyrwałem się jej i zwróciłem z powrotem w stronę Tenleigh.

Mama Tenleigh obejrzała się za siebie z nierozumiejącym uśmiechem na twarzy, a na widok córki zatrzymała się i powiedziała:

- Mój Boże, Marlo, co ty wyprawiasz?

- Mamo, nie powinniśmy tu być - odparła Marlo, biorąc matkę za rękę.

Przysunąłem się do Tenleigh. Usłyszałem, że Shelly zawołała mnie, ale ją zignorowałem.

- Oczywiście, że powinniśmy - powiedziała. - Bo tu jest Eddie. Eddie! - zawołała znów, próbując przesunąć się w jego stronę. - Eddie, kochanie, wiedziałam, że tu będziesz. Przeszłam całą tę drogę...

- Mamo - wysyczała Marlo, ciągnąc mocniej.

Teraz już i Tenleigh ruszyła w ich kierunku, oddalając się ode mnie. Chciałem za nią zawołać, ale wołałem nie zwracać na nią niczyjej uwagi.

- Rany boskie, to wariatka - usłyszałem na prawo od siebie Edwarda Kearneya. - Chodźmy stąd, Dianę. Tu są boczne drzwi.

Tenleigh chwyciła matkę za drugie ramię i usiłowała pomóc Marlo wyprowadzić ją przez drzwi wejściowe, ale na widok Eddiego wychodzącego ze swoją rodziną kobieta spróbowała rzucić się w jego stronę. Marlo skoczyła, by ją złapać, a Tenleigh potknęła się o jej stopy i padła jak długa na podłogę, wydając z siebie okrzyk bólu. Cholera! Cholera! Cholera!

Marlo chwyciła mamę, a ta zaczęła zawodzić: „Eddie! Eddie!”, po czym odwróciła się do Marlo, by wyrwać się z jej uchwytu, i zderzyły się twarzami. Marlo również krzyknęła.

Dopałem Tenleigh, chwyciłem ją pod ramiona, podniosłem na nogi i przytulając do siebie, pociągnąłem na bok. Jej matka nie przestawała wrzeszczeć i zawodzić, i tłuc pięściami Marlo. Ruszyłem na pomoc Marlo, kiedy na środek wybiegło kilku mężczyzn, miejscowych policjantów, których dzieci musiały brać udział w przedstawieniu. Wycofałem się, a oni złapali mamę Tenleigh. Zaczęła ich drapać i wykrzykiwać imię Eddiego.

Kiedy się tak wyrywała, koszula spadła jej z ramienia i obnażyła jedną pierś. Odwróciłem wzrok.

- Zabierz ją do wozu, Bill - powiedział jeden z mężczyzn. -Mało jej brakuje do hipotermii.

Mężczyzna o imieniu Bill zdjął swoją marynarkę i opatulił nią ramiona mamy Tenleigh, choć wciąż jeszcze bezskutecznie się opierała.

- Zawieziecie nas do szpitala? - usłyszałem, jak Marlo pyta policjantów, po czym spojrzałem na Tenleigh.

- Odprowadzę cię do domu - powiedziałem. Tenleigh na mnie nie spojrzała. Wzrok wciąż wbijała

w mamę i Marlo. Ja też obróciłem głowę w ich stronę.

Marlo zerknęła za siebie, a mężczyźni podnieśli jej matkę i zaczęli wyprowadzać ją z budynku. Dziewczyna patrzyła to na mamę, to na Tenleigh, wyraźnie niepewna, czy może zostawić siostrę, a na jej twarzy malowała się panika. Ścisnąłem dłoń Tenleigh.

- Odprowadzę ją do domu. Będzie bezpieczna - powiedziałem.

Wzrok Marlo powędrował na siostrę, a ta skinęła głową na znak zgody. Marlo wyraźnie odetchnęła z ulgą i odpowiedziała bezgłośnie:

- Okej. Moja kolej. Do zobaczenia w domu.

Tenleigh ponownie skinęła głową. Na jej twarzy malowało się takie cierpienie, że wstrząsnęło mną aż do szpiku kości.

Kiedy jej matkę wyciągano z budynku, spojrzałem znów na Tenleigh. Sprawiała wrażenie zszokowanej, jej policzki były jaskraworóżowe, szyję pokrywały czerwone plamy, a wzrok miała utkwiony przed siebie.

- Tenleigh - powiedziałem łagodnie, kiedy wyrwała mi swoją rękę.

Spojrzała na mnie, a cierpienie, które dojrzałem w jej oczach, sprawiło, że pierś ścisnęła mi się tak mocno, że niemal uniosłem rękę, by rozmasować ból. Tenleigh wyglądała na wstrząśniętą, kiedy tak rozglądała się z wolna dokoła. Ludzie

wciąż się na nią gapili i gadali szeptem, niewystarczająco cichym, by nie niósł się ponad tłumem.

... szalona... romans sprzed lat... nie w porządku... pogorszyło się... żenujące... obrzydliwe.

Marzyłem, żeby wszyscy zamknęli pieprzone mordy. Tenleigh na to nie zasługiwała.

- Tenleigh, muszę tylko powiedzieć komuś, że wychodzę, a potem zabiorę cię do domu, dobrze? - Spojrzała na mnie, a w jej oczach pojawił się ślad zrozumienia. Nie odezwała się jednak, a na jej twarzy wciąż gościł ten sam wyraz rozpacz. - Okej - potwierdziłem. - Zaraz wracam. Zostań tu, gdzie jesteś. Zaraz wracam - powtórzyłem.

Ruszyłem w stronę Shelly - nie miałem czym jej odwieźć, ale wydawało mi się, że tak należy zrobić - kiedy usłyszałem za sobą odgłos zatraskiwanych drzwi. Spojrzałem przez ramię. Tenleigh zniknęła. Cholera. Popatrzyłem tam, gdzie stała Shelly, wpatrując się we mnie wyczekująco. Na ułamek sekundy zawahałem się, po czym zrobiłem w tył zwrot i rzuciłem się w pogoń za Tenleigh.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tenleigh

Łzy popłynęły, zanim zdążyłam zrobić choć trzy kroki za drzwiami szkoły. Nagłe uderzenie zimna zabolowało jak policzek. Jak fizyczna wersja tego, czego doświadczyłam właśnie emocjonalnie, na oczach większej części ciała uczniowskiego i sporej liczby rodziców - upokorzenia i bardzo głębokiego wstydu. Pobiełam szybciej, wiatr ciał moją skórę jak żyłotka, a stopy ślizgały się na oblodzonej drodze.

- Tenleigh! - usłyszałam za sobą wołanie.

Kyland. Głupi Kyland, który siedział dwa krzesła ode mnie w mrocznej sali, a dziewczyna zabawiała go pod swoim płaszczem. Nie miałam najmniejszego prawa, by czuć palącą, bolesną zazdrość. A mimo to czułam. Nawet nie chciał mnie pocałować. Dał to bardzo jasno do zrozumienia, odpychając mnie, a jednak widok Kylanda z inną dziewczyną wywołał we mnie falę rozdzierającego bólu. Miałam ochotę płakać i udusić ją... albo jego, albo oboje, nie byłam pewna. A nie miałam żadnego prawa - byłam dla niego nikim. Całe swoje

życie byłam niczym, nikim. Moje życie było nieistotne i bezwartościowe. To tak bardzo bolało.

- Odejdź, Kylandzie! - odkrzyknęłam, łkając i przyspieszając kroku.

- Tenleigh, stój! Zrobisz sobie krzywdę! Zatrzymaj się!

- A co cię to obchodzi!? - wrzasnęłam, wciąż w biegu, po czym poślizgnęłam się i rozłożyłam ramiona na boki, żeby złapać równowagę i nie runąć na ziemię.

- Tenleigh!

Usłyszałam, że się do mnie zbliża, wzięłam więc trochę śniegu, odwróciłam się i rzuciłam w niego, wydając z siebie urywany szloch. Zachowywałam się jak niedojrzałe dziecko - zdawałam sobie z tego sprawę. Nie wydawało mi się jednak, żebym miała cokolwiek do stracenia. Śnieżka trafiła go w ramię, a ja odwróciłam się i pobiegłam dalej. W śniegu moje ruchy były chwiejne i niezgrabne.

- Jezu, Tenleigh! - wrzasnął Kyland.

Odwróciłam się, zgarnęłam kolejną porcję śniegu i zaczęłam rzucać w Kylanda jedną śnieżkę za drugą. Unikał ich i kłął, ale wciąż się do mnie zbliżał. Znow się odwróciłam i pobiegłam. Zrobiłam jakieś trzy kroki, kiedy nogi usunęły się spode mnie i padłam jak długa w śnieżną zaspę po prawej stronie. Krzyknęłam, a potem znieruchomiałam. Płakałam wpatrzona w czyste zimowe niebo, a płatki śniegu opadały mi na twarz. Czułam się całkowicie zdruzgotana i samotna. Usłyszałam szybko zbliżające się kroki Kylanda, a następnie zostałam otoczona ciepłymi ramionami i podniesiona ze śniegu, ale wciąż płakałam, bo wyparowała ze mnie wola walki.

- Cii. - Usłyszałam łagodny, męski głos. - Cii, jestem przy tobie. Już dobrze. Już dobrze, Tenleigh. Jestem przy tobie.

Zarzuciłam mu ręce na szyję, drżąc i usiłując mocniej wtulić się w jego ciepło, w jego uspokajające słowa.

Przeniósł mnie kawałek, po czym usiadł i przytulił, a ja wylewałam kolejne łzy z pozornie niewyczerpanej studni bólu. Mruczał coś, wtuliwszy usta w czubek mojej głowy, coś, czego nie konotowałam, słowa pocieszenia. I choć do mnie nie docierały, to jednak przynosiły otuchę.

Wróciłam myślami do wyrazu otaczających mnie twarzy, kiedy obezwładniano mamę ubraną w złachaną, przezroczystą koszulę. Zacisnęłam oczy. Chyba nic na całym świecie nie bolało bardziej - upokorzenie przez kogoś, kto powinien cię chronić, a nie ośmieszać. A mimo to tak bardzo ją kochałam.

Po krótkiej chwili łzy ustały, ale nie podniosłam głowy. Kyland nie zwalniał uścisku, a kiedy wreszcie rozejrzałam się wokół, zobaczyłam, że siedzimy na progu zamkniętego salonu fryzjerskiego, osłonięci niewielkim daszkiem nad drzwiami. Siedzieliśmy razem, oddychając i wciąż lekko drżąc. Kyland otoczył mnie ramionami, a ja zacisnęłam dłonie na połach jego płaszcza i czerpałam pocieszenie z jego bliskości.

- Kylandzie - wymruczałam wreszcie.

- Tak, Tenleigh?

- Przepraszam, że rzucałam w ciebie śniegiem.

- W porządku. Zasłużyłem sobie... Tenleigh, przepraszam za dzisiejszy wieczór. Z Shelly... to... - Wyglądało na to, że nie jest pewien, co powiedzieć.

Westchnęłam z przygnębieniem.

- Nie masz mnie za co przepraszać. Dałeś jasno do zrozumienia, że nic nas nie łączy.

Kyland milczał, a kiedy podniosłam na niego wzrok, oblizywał dolną wargę w zamyśleniu, a jego brwi marszczył niewielki grymas. Spuściłam znów oczy, pierś mi się ścisnęła. Nie winiłam go, że nie chciał mnie pocałować. Kto chciałby całować córkę miejscowej wariatki? Kto chciałby się wiązać z dziewczyną taką jak ja? To, co docierało do mnie czasem od szepczących w szkole dzieciaków, to prawda - byłam tylko

hołotą z przyczepy. On może i też był ubogi, ale jego rodzice publicznie go nie upokarzali. Właściwie to jego ojciec i brat oddali heroicznie życie, zarabiając w pocie czoła na chleb dla swojej rodziny. Mój własny ojciec rzucił na mnie okiem i wziął nogi za pas.

- Kylandzie - odezwałam się znowu.

- Tak, Tenleigh? - powtórzył.

Uniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy - ciemne i skryte w półmroku zadaszzonego progu.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Podniósł rękę i kciukiem otarł z mojego policzka łzę.

- Co musisz mi powiedzieć? - spytał łagodnie.

- Tak naprawdę nie jestem córką rosyjskiego księcia. Zamrugnął, po czym roześmiał się, nagle, gardłowo, ciepło. Ja też zaśmiałam się cicho i zaczęłam wyswobadzać z jego

objęć. On jednak tylko przygarnął mnie mocniej, więc zapadłam się w niego, świadoma, że się kompletnie rozklejam, ale nagle przestało mnie to obchodzić. Potrzebowałam trochę czułości. Bóg jeden wiedział jak bardzo. I w tym momencie miałam zamiar skorzystać z tego, co oferował mi Kyland. Może było to tymczasowe, ale na razie mogło wystarczyć.

- Żadnych klejnotów rodowych? - spytał. Pokręciłam głową.

- Ani kamyczka. Ani ziarnka piasku. Usłyszałam, jak jego usta układają się do uśmiechu.

- To tylko głupia zabawa, w którą grywałyśmy z siostrą.

- Wcale nie głupia - wymruczał.

- Głupia - odparłam znów łamiącym się głosem.

Kyland nie odpowiedział, ale zacieśnił objęcia. Żałowałam, że nie wiedziałam, jak niebezpieczne jest dla dziewczyn takich jak my udawanie księżniczek. W tej chwili marzenie o czymkolwiek wydawało się niebezpieczne. Marzenia

się nie spełniały, a kiedy tak się działo, rzeczywistość bolała znacznie bardziej.

- Ja też muszę ci coś powiedzieć - odezwał się.

- Co takiego? - Pociągnęłam nosem.

- Na naszej górze nie ma tak naprawdę żadnych rysiów. To znaczy są, ale nie stanowią dla nas zagrożenia. „Ochrona przeciwrysiowa” była podstępem.

- Wiem - odparłam cicho. Mnie też cieszyło jego towarzystwo. Podejrzewałam, że dlatego mi o tym powiedział.

Siedzieliśmy jeszcze jakiś czas na progu przytuleni do siebie, dopóki wiatr nie zmienił kierunku i znów nas nie dopadł, a my nie zaczęliśmy się trząść.

- Muszę odprowadzić cię do domu - powiedział Kyland, pomagając mi wstać.

- Nic mi już nie jest. - Wydałam z siebie odgłos zażenowania. - Wiem, że zostawiłeś Shelly...

- Shelly przyjechała z braćmi. Ja przyszedłem z powodu jedzenia i ciepła. - Wcisnął ręce do kieszeni.

O.

- Tak, ja też - przyznałam.

Oboje spuściliśmy wzrok, a kiedy znów na siebie spojrzeliśmy, roześmialiśmy się z zawstydzeniem.

- Tenleigh... Przykro mi, że cię pocałowałem. - Zmarszczył brwi. - To znaczy, cholera... nie jest mi przykro, że cię pocałowałem. Przykro mi, że więcej tego nie zrobię. - Parsknął stłumionym, pełnym zażenowania śmiechem. - To znaczy przykro ze względu na samego siebie, nie na ciebie. Wiem, co tracę. Tracę... Prawda jest taka, Tenleigh - przez jego twarz przemknął wyraz bezbronności - jak mogłaś zauważyć, i tak nie jestem szczególnie dobrą partią.

Ogarnęło mnie współczucie. Prawda była chyba taka, że żadne z nas nie było szczególnie dobrą partią - z jakiegoś jednak powodu wcale mnie to nie pocieszyło. I z jakiegoś powodu

słowa Kylanda zabrzmiały jak kłamstwo, którego sam nie był świadom.

- Nie mam nic do zaoferowania. Za sześć miesięcy nawet mnie tu nie będzie - powiedział.

- Kylandzie - przerwałam mu - co powiesz na to, żebyśmy byli po prostu przyjaciółmi? Przydałby mi się chyba przyjaciel. - Zamilkłam, żeby pomyśleć. - A kiedy oboje stąd wyjedziemy, w jakichkolwiek okolicznościach to nastąpi, kiedy już oboje będziemy dobrą partią, wspomnimy ciepło przyjaciela, którego mieliśmy kiedyś w rodzinnych stronach, i tyle. Okej? Proste. - Oczy znów wypełniły mi się łzami, choć nie byłam nawet pewna czemu. To nie wyglądało prosto. Chciałam, żeby takie było. - Masz przyjaciół? - spytałam. Tak często widywałam go samego.

Pokręcił głową, wpatrując się we mnie, a w jego oczach widać było pracę szarych komórek. Nie umiałam odczytać wyrazu jego twarzy.

- Od śmierci brata nie miałem prawdziwego przyjaciela. Doznałam wrażenia, jakby w mojej piersi nadmuchiowano

balon, współczucie dla Kylanda zastąpiło współczucie dla siebie samej, aż dech mi zaparło.

- W takim razie wygląda na to, że obojgu nam przydałby się przyjaciel.

- Tak - powiedział w końcu. W jego głosie rozbrzmiewał smutek. - Tak.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tenleigh

Ruszyliśmy, schylając głowy przed smagnięciami wiatru i zimna. Po krótkiej chwili brnięcia moje stopy były mokre i znów zaczęłam się trząść. Kyland otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do siebie, a ja mu na to pozwoliłam. Kiedy dotarliśmy do Dennville, śnieg przestał padać. Moje stopy wciąż były mokre, ale rozgrzałam się nieco od marszu i ciepła Kylanda.

- Powinnam zadzwonić do szpitala, żeby sprawdzić, czy Marlo i mama tam dotarły - powiedziałam.

Przed starą pocztą stała budka telefoniczna, o ile było mi wiadomo, rzadkość w dzisiejszych czasach. Ale na naszej górze zasięg sieci komórkowej był słaby, a wiele osób nie miało telefonów stacjonarnych. My nie mogłyśmy sobie pozwolić ani na to, ani na to. Kyland skinął głową i zaprowadził mnie do małej budki, gdzie w książce telefonicznej wyszukałam numer szpitala, do którego Marlo zabrała mamę - szpitala, w którym przyjmowano bez ubezpieczenia. Wygrzebałam z kieszeni

pięćdziesiąt centów. Chwilę później połączono mnie z piętrem, na którym leżała mama, i przyprawiono do telefonu Marlo.

- Cześć, Ten. Tak mi przykro. Pilnowałam jej. Wzięłam tylko cholerny prysznic. Wracasz już do domu?

- Tak, i nie przepraszaj, Marlo. Obie wiemy, że to nie twoja wina. Nic mi nie jest. Słowo. Potrzebujesz mnie? Pewnie mogłabym się jakoś do ciebie dostać...

- Nie. Moja kolej. Ty zostałam z nią ostatnio. Nie było cię nawet w szkole. A ja nie pracuję aż do wtorku. Przykro mi tylko, że spędzisz samotnie święta. Mogą nas tu na trochę zatrzymać. Nawet nie pomyślałam o Bożym Narodzeniu, dopóki tu nie dotarłam i nie zobaczyłam na korytarzu choinki.

- Nic mi nie jest. Nie martw się o mnie. Kocham cię. Obie wiedziałyśmy, że Boże Narodzenie i tak niewiele znaczyło w naszej przyczepie. Dzień jak każdy inny.

- Też cię kocham, siostrzyczko. Słuchaj, muszę pójść wypełnić jakieś papiery. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała, okej? Prześpię się w poczekalni, ale sprawdzę u pielęgniarek, czy nie było dla mnie wiadomości.

Cóż, w poczekalni będzie jej przynajmniej ciepło.

- Okej. Pa, Mar.

- Kocham cię.

Zamilkłam na chwilę, wpatrzona w telefon, a kiedy Kyland spojrzał na mnie pytająco, chuchając w dłonie dla rozgrzewki, powiedziałam:

- Nic im nie jest. Przyjęli je. Zostaną tam na święta, co... cóż. - Wyprostowałam się, wciągając głęboko powietrze. - jest, jak jest. - Znów zamilkłam, nad czymś się zastanawiając.

Ponownie wzięłam do ręki książkę telefoniczną, sprawdziłam numer w Evansly, po czym go wybrałam. Telefon zadzwonił dwukrotnie, zanim odezwał się męski głos.

- Cześć. Doktor Nolan? Sam?

- Tak. W czym mogę pomóc?

Odchrząknęłam.

- Tu Tenleigh Falyn... Ja, kurczę, ja... - Nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Marlo mnie zabije. Co ja wyprawiam?

- Tenleigh, co się dzieje? - W jego głosie słychać było napięcie.

- Ja... cóż, nasza mama, hmm... miała wypadek i hmm, Marlo jest z nią w szpitalu i pomyślałam tylko, to znaczy, zastanawiałam się, czy chciałbyś...

- Wkładam kurtkę, Tenleigh. Które piętro?

- Dwunaste. - Znałam ten numer na pamięć. Zamilkł na chwilę.

- Oddział psychiatryczny?

- Tak - wyszeptałam, przymykając oczy, a wstyd spowodował, że zaczęłam wątpić, czy dobrze zrobiłam. - Wiem, że jesteś dentystą, nie lekarzem, ale pomyślałam... Boże, nawet nie wiem co. Przepraszam. Dziś Wigilia. - Zerknęłam na Kylanda, który śledził bacznie moją rwaną rozmowę telefoniczną.

- Dobrze zrobiłaś. Mogę przynajmniej pójść i dotrzymać Marlo towarzystwa. Nic ci nie jest?

Wypuściłam powietrze.

- Nie, wszystko w porządku. Bardzo miło z twojej strony - powiedziałam. Mój głos zabrzmiał piskliwie. Zalała mnie fala wdzięczności.

Na twarzy Kylanda pojawił się niepokój, ale skinęłam tylko głową, dając mu do zrozumienia, że wszystko jest dobrze.

- Naprawdę się cieszę, że do mnie zadzwoniłaś. Dziękuję, Tenleigh.

- Nie ma sprawy, dziękuję. Z całego serca. Pa, Sam. Rozłączyłam się i wzięłam głęboki, uspokajający oddech.

Marlo pewnie mnie zamorduje, byłam jednak zadowolona z tego, co zrobiłam. Może i Marlo nie chciała się z nim umawiać, ale był porządnym facetem. Miałam co do niego

dobre przeczucia. A każdemu przyda się przyjaciel czy dwóch, prawda?

- To przyjaciel Marlo - wyjaśniłam Kylandowi. - Zadzwoń, żeby spytać, czyby z nią nie posiedział. To piętro, na którym jest mama, nie należy do najprzyjemniejszych miejsc.

Skinął ze smutkiem głową i ruszyliśmy drogą pod górę. Cieszyłam się, że Kyland nie zadaje mi teraz żadnych pytań -nie byłam gotowa na tę rozmowę. Pół godziny później stanęliśmy przed moją przyczepą. Otwarłam ją i weszliśmy szybko do środka. Przynajmniej Marlo zamknęła drzwi, zanim pobięła za mamą. W przeciwnym razie można by tu było zamarznąć. Nasze oddechy wciąż unosiły się w powietrzu. Włączyłam dwa małe przenośne grzejniki, choć zdawałam sobie sprawę, że minie sporo czasu, zanim w naszej dziurawej starej przyczepie zrobi się choć odrobinę znośnie. Zaczęłam zdejmować mokre buty, a kiedy podniosłam wzrok na Kylanda, zobaczyłam, że stoi niepewnie w progu.

- Powinieneś się osuszyć - powiedziałam. - To znaczy... chyba że musisz wracać do domu. Aha! - Uderzyłam się w czoło. - Musisz wracać do domu. Twoja mama...

Potrząsnął głową.

- Nie. Mojej mamie nic nie jest. Nie czeka na mnie. Po prostu... Żałuję, że nie mam cię jak podwieźć do szpitala. Czy twoja siostra będzie cię potrzebowała?

Odrzuciłam na bok buty i wciąż drżąc, zabrałam się do zdejmowania skarpetek.

- Nie. My... robimy to na zmianę. Taki mamy zwyczaj -odparłam. Nie wyjaśniłam nic więcej, ale Kyland skinął głową, jakby zrozumiał, i też zdjął buty i skarpetki.

Zrzuciliśmy kurtki, a ja podałam mu z kanapy, na której sypiałam, złożony koc. Sama też owinęłam się jednym i usiadłam, wskazując głową miejsce obok siebie.

Przez moment się wahał, ale potem usiadł i też opatulił się kocem.

- Podoba mi się twoje drzewko - powiedział, mając na myśli malutką choinkę.

Uśmiechnęłam się. Same ją ścięłyśmy. Była mała i niezbyt bogato udekorowana, ale miałyśmy sznur białych światełek, które uwielbiałam. Jakimś cudem nawet nasza mała wysłużona przyczepka wyglądała ładnie w poświacie mrugających lampek.

- Dzięki.

Milczeliśmy przez chwilę, aż w końcu Kyland się odezwał:

- Tenleigh, zrozumieć, jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, ale gdybyś chciała...

Westchnęłam.

- O mamie? O tym, co jej dolega? Przytaknął, jego spojrzenie pełne było czułości. Owinęłam się szczelniej kocem, czując wreszcie ciepło.

Wiatr jęczał żałośnie wśród drzew na zewnątrz.

- Tata przyprowadził tu mamę, kiedy była w ciąży z Marlo. Porzucił ją, kiedy miałam trzy dni. Wyszedł frontowymi drzwiami przyczepy i ani razu nie spojrzął za siebie.

- Cholera, przykro mi. Pokręciłam głową.

- Niepotrzebnie. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Nie znałam go, a po tym, co zrobił mamie, wcale tego nie żałuję.

- Czy to dlatego...? - Zamilkł, jakby szukał właściwych słów.

- Dlatego taka jest? - Pokręciłam głową. - Nie. To znaczy... może jej się od tego pogorszyło, nie wiem, ale mama zawsze miała wahania nastroju... czasem urojenia. Lekarz z miasta, który przepisuje jej leki, twierdzi, że to zaburzenie depresyjne, ale nie jestem pewna. Wydaje mi się, że to coś więcej, a on nie sprawia wrażenia kogoś, kto wie, o czym mówi. - Spuściłam

wzrok, czując się obnażona. Nigdy nie rozmawiałam na te tematy z nikim oprócz Marlo.

- Mama poznała tatę na jednych z wyborów miss. Była królową piękności. Największy rozgłos zyskała, zdobywając koronę Miss Kentucky Sunburst. - Roześmiałam się ponuro i na chwilę zamilkłam. - Tak czy inaczej, tata pracował w ekipie oświetleniowców i zakochali się w sobie do szaleństwa. A przynajmniej tak twierdzi mama. Pochodziła z dobrej rodziny, ale kiedy oznajmiła, że jest w ciąży i ucieka z wytatuowanym chłopakiem z małej górniczej miejscowości, wydziedziczyli ją. Przez lata próbowała nawiązać z nimi kontakt, ale nawet nie odbierali od niej telefonów. - Pokręciłam głową. - Rodzice przeprowadzili się tu, on popracował parę lat w kopalni, doszedł do wniosku, że żona i rodzina nie wyszły mu na dobre, i wziął nogi za pas. I po sprawie. - Otrzeptałam dłonie, by zobrazować to, co tata z nami zrobił: otrzepał się, otrząsnął z nas.

Kyland spoglądał na mnie w zamyśleniu, bez współczucia, ale jakby to rozumiał i przyjmował. Zachęciło mnie to do kontynuowania.

- Co wydarzyło się między twoją mamą a Edwardem Kearneyem? - spytał.

Zacisnęłam usta.

- Kiedy miałam osiem lat, a Marlo jedenaście, wdali się w romans. Powiedział jej, że zostawi żonę, zaopiekuje się nami, zabierze do swojego dużego domu w mieście. Mama uważała go za jakiegoś wybawcę.

- Jesteś pewna, że to prawda? Chodzi mi o to, że jeśli twoja mama ma wypaczony...

Potrząsnęłam głową.

- To jej powiedział. Przyczepa jest mała, ściany cienkie. - Spojrzałam na niego znacząco.

Zrobił wielkie oczy.

- On tu przychodził?

- No. Ciągle.

Przegarnął palcami włosy i zacisnął usta.

- Co za pierdolona świnia! - Sprawiał wrażenie, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł.

- Podobało mu się to, jak sędzę. Przychodzenie tu. Widziałam to w jego spojrzeniu. Dostarczało mu to jakiegoś perwersyjnego dreszczyku emocji. Przed wyjściem zostawiał na stole pieniądze.

Kyland wydał z siebie kolejny gardłowy jęk niesmaku.

- Tak czy siak, to trwało parę lat. Wykorzystywał mamę, jakby była dziwką. Ona sądziła, że jest jego ukochaną. - Znów potrząsnęłam głową. - Któregoś roku mama zaciągnęła nas do miasta, żeby doprowadzić do konfrontacji z nim i jego żoną. Nasza trójka przeszła trzynaście kilometrów do jego domu i zapukała do drzwi. To było takie upokarzające. - Spojrzałam w bok, przesuwając palcem wskazującym po dolnej wardze. Powrócił do mnie koszmar tamtej chwili. Nie chciałam spojrzeć Kylandowi w oczy, a on milczał w oczekiwaniu na ciąg dalszy. - Drzwi otworzył Edward, a kiedy mama powiedziała mu, czemu przyszła, opluł ją. - Spojrzałam na Kylanda. - Napluł na nią - powtórzyłam. - A potem zatrzaskał jej drzwi przed nosem.

Patrzyłam w przestrzeń za plecami Kylanda, wspominając głęboki granat nieba o zmierzchu, wspominając wyraz zdruzgotania na twarzy mamy, wspominając kurz, który wzniecały nasze buty, kiedy wracałyśmy w milczeniu do domu, całą drogę ze spuszczoneymi głowami.

- Tenleigh... - wyszeptał. - Przykro mi. Skinęłam głową.

- Jest, jak jest.

- Nic dziwnego, że wyrzekłaś się mężczyzn - powiedział z niewielkim uśmiechem.

Drażnił się ze mną czule. Odwzajemniłam uśmiech.

- Dlatego właśnie lepiej, że jesteśmy przyjaciółmi. Zachichotał. Po krótkiej chwili spytał:

- Nie czujesz się dziwnie, ubiegając się o stypendium, kiedy Edward Kearney zasiada w zarządzie i tak dalej?

Wzruszyłam ramionami.

- Nieszczerólnie. Stypendium przyznaje Tytoń Coal. On jest tylko jego twarzą. A jeśli to pomoże mi się stąd wydostać, jestem gotowa schować dumę do kieszeni.

Skinął głową ze spuszczonego w zamyśleniu wzrokiem.

Po chwili spojrział mi w oczy. Rany, jaki on był przystojny. Nasze spojrzenia się spotkały i zatrzymały. Zamrugałam, a mój żołądek zalała fala ciepła.

- Masz ochotę na gorącą czekoladę?

- Tak, jasne.

Wstałam, wciąż owinięta kocem, i poszłam do małej kuchni na przodzie przyczepy. Kyland, również w kocu, ruszył za mną. Kiedy zakrzętnęłam się przy gotowaniu wody, obserwował mnie oparty bokiem o framugę niskich drzwi. Odwróciłam wzrok, koncentrując się na zadaniu. Jego męska postać zdawała się nagle wypełniać przyczepę po brzegi. Może działało się tak dlatego, że nie byłam przyzwyczajona do dzielenia swojej przestrzeni z mężczyzną, a może dlatego, że generalnie byłam na jego punkcie przeczulona. I wkurzało mnie to. Wkurzało, bo byliśmy przyjaciółmi. Sama się zadeklarowałam. Co prawda, dopiero po tym, jak powiedział, że nigdy więcej mnie nie pocałuje. Ale skoro nie mieliśmy się całować, mogliśmy zostać albo przyjaciółmi, albo nikim. Wzięłam głęboki oddech i nalałam wrzątek do dwóch kubków, do których zdążyłam już wsypać czekoladowy proszek. Wyłączyłam płytkę, po czym wręczyłam Kylandowi jeden z kubków. Kiedy sięgnął po uszko, nasze dłonie się musnęły, a oczy poderwały do góry.

- Przepraszam - wyszeptałam.

- Za co? Zamrugałam.

- Hmm...

Za to, że nie potrafię przestać pragnąć, żebyś całował mnie do utraty tchu. Za to, że nie potrafię zapomnieć o tym, jak smakowałeś. Że zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze poczuję taki sam dreszczyk emocji, jaki poczułam, kiedy twoje usta dotknęły moich. Że kłamię i udaję zadowolenie, że jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Że zrobiłam taki wrzątek. - Spojrzałam na kubek w jego dłoni.

- Wrzątek dobra rzecz. Ogrzeje nas.

Skinęłam głową, mijając go pospiesznie. Potrzebowałam więcej przestrzeni. A tak naprawdę potrzebowałam podmuchu lodowatego zimowego powietrza na twarzy, ale nie byłam chętna na ponowne mrożenie się, kiedy wreszcie zaczynało mi się robić ciepło.

Jak spędzają ze sobą czas przyjaciele?

- No więc... masz ochotę pograć w scrabble czy coś? Mam kilka starych gier planszowych. Należały do mojego taty.

- Pewnie. Co masz?

- Zaraz sprawdzę. - Podeszłam do niewielkiej szafki i zajrzałam do środka na najwyższą półkę. Sto lat minęło, od kiedy grałyśmy w coś z Marlo. Nagle poczułam, że to naprawdę świetny pomysł. - Scrabble... Uno... Monopol...

- Monopol! - wykrzyknął Kyland z entuzjazmem. Roześmiałam się i sięgnęłam po pudełko. Usiadłam na

kanapie, a Kyland obok mnie. Przyciągnęłam bliżej stolik kawowy i zaczęłam rozkładać grę, ustawiać przed sobą tacki z pieniędzmi, żebym mogła być bankierem i podawać Kylandowi karty nieruchomości.

- Wolę być bankierem - powiedział.

Zmarszczyłam brwi. To ja zawsze byłam bankierem. Ale w końcu on był moim gościem. Podałam mu tackę z pieniędzmi.

- I zawsze jestem butem - ciągnął. O, co to, to nie.

- ja jestem zawsze butem - poinformowałam go.

- Nie, nie ma mowy. ja zawsze jestem butem.

- Czemu w ogóle chcesz być starym, złachanym butem? Nie chcesz być luksusowym wozem? - Uniosłam brew, usiłując go zrobić. Podniosłam samochód i wskazałam go drugą dłonią w geście wzniosłej prezentacji.

- Nie. But symbolizuje ciężką pracę. Ciężka praca prowadzi do bogactwa. Zawsze jestem butem.

Zmarszczyłam brwi.

- A czemu ty chcesz być butem?

- Bo but wygląda niepozornie. Nikt się nie spodziewa, że but wysforuje się na prowadzenie i zwycięży. Nikt nie spuszcza oka z luksusowego wozu... ale nie z buta. A ten przemieszcza się niepostrzeżenie. - Mrugnęłam.

Kyland roześmiał się z zadowoloną miną.

- Dobra odpowiedź. Rzućmy o niego kością. Uśmiechnęłam się szeroko.

- Zgoda.

Rzuciłam pierwsza. Cztery.

Kyland rzucił drugi. Trzy. Roześmiał się.

- W porządku. Jesteś butem. Koniec dyskusji. Godzinę później przetrwaliśmy kryzys na giełdzie, byliśmy

zaangażowani w handel nieruchomościami, a Kyland tyle razy minął „start”, że nie nadążałam z liczeniem. Wygrywał i nie podobało mi się to. Wylądowałam na następnej z jego cholernych kolei.

Roześmiał się, spojrzałam mu więc prosto w oczy.

- Co cię tak cieszy?

- Nie podejrzewałbym cię o taki zmysł rywalizacji, Tenleigh Falyn. - Uśmiechnął się szeroko, zadowolony z samego siebie.

- Pff - parsknęłam, odliczając pieniądze za kolej.

- Porada monopolowa: zawsze najpierw inwestuj w kolej. Zmrużyłam oczy.

- Nie wygrywasz jeszcze aż tak, żebyś mógł mi dawać porady w kwestii zwycięskiej strategii, kolego. - Zamilkłam. - Nigdy nie kupuję kolei. Kolej jest nudna.

- A powinnaś. W porównaniu z innymi inwestycjami wpływy z kolei są stałe na dłuższą metę. Posiadanie wszystkich czterech to posiadanie dojrzałej krowy. Możesz wykorzystać je do finansowania swoich pozostałych monopolii.

Podniosłam na niego wzrok i na moment zamarłam. Przechyliłam głowę. Wiedziałam, że ciężko pracował na stypendium, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak dalece był inteligentny. I nagle do mnie dotarło - on nie mógł tu zostać. Musiał się stąd wynieść, jeśli miał wykorzystać ten swój intelekt. Przepęłniło mnie coś na kształt głębokiego smutku i poczułam się zdezorientowana, inteligencja nie była powodem do smutku - szczególnie przy jej deficycie w Dennville.

- Nie powinienem dawać ci tylu rad, ale gołym okiem widać - machnął ręką nad planszą, wskazując na swoją wygraną - że ich potrzebujesz.

Roześmiałam się.

- Dupek - wymamrotałam. On też wybuchnął śmiechem.

Godzinę później byłam kompletnie splukana i gotowało się we mnie. Kyland nie mógł ukryć rozbawienia. Doprowadzało mnie to do szału.

Ale prawdę mówiąc, nie bawiłam się tak dobrze od niepamiętnych czasów.

- No dobra, przyznaję się do porażki. Oskubałeś mnie do ostatniego piórka i zrobiłeś ze mnie rosół. Gratulacje. - Podniosłam planszę i zrzuciłam pionki do pudełka, a Kyland się roześmiał.

- Jeśli będziesz miała szczęście, pozwolę ci na rewanż.

- Pff.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podniosłam ze zdziwieniem głowę.

- Kto tam? - zawołałam.

- Buster.

- Buster... - powiedziałam, spiesząc do drzwi, żeby je otworzyć, a podmuch lodowatego powietrza odepchnął mnie do tyłu. - Włącz do środka.

Buster West był moim sąsiadem, jednym z najstarszych na wzgórzu, dziwnym, ale dobrodusznym człowiekiem, który latem przynosił nam kosze z rabarbarem.

- Cześć, panienko - powiedział, uśmiechając się, i zsunął z głowy kaptur.

- Co robisz na zewnątrz w taką pogodę, Busterze?

- Wpadłem podrzucić prezent świąteczny. - Spojrzał na Kylanda.

- Busterze, znasz Kylanda Barretta? Mieszka poniżej...

- No pewnie, że znam. Cześć, chłopcze. Jak się miewa mama?

- Dobry wieczór. Hmm, w porządku. Niewiele wychodzi z domu.

Buster zmarszczył brwi.

- Nie, chyba niewiele. - Przyglądał się Kylandowi o ułamek sekundy zbyt długo. O co tu chodziło? Spojrzałam na Kylanda. Wpatrywał się w ziemię z rękami w kieszeniach. - Aha, no więc proszę. - Buster wyciągnął coś owiniętego w biały papierowy ręcznik.

Wzięłam to od niego.

- Nie musiałeś. - Uśmiechnęłam się speszona, przestępując z nogi na nogę. Doskonale wiedziałam, co to było, i nie chciałam tego otwierać na oczach Kylanda.

Ale Buster stał tam z tak zadowoloną i pełną wyczekiwania miną, że odwinęłam ręcznik i podniosłam kawałek ostruganego drewna, z całych sił usiłując się nie wzdrygnąć. Nie mogłam jednak nic poradzić na ciepło, które rozlewało mi się po szyi. Buster zajmował się rzeźbiarstwem pornograficznym. O ile było mi wiadomo, rzeźbił pozycje z *Kamasutry*. Ta figurka przedstawiała kobietę klęczącą przed mężczyzną i obciągającą mu, podczas gdy odciągnął ją za włosy, a głowę odrzucił w tył w ekstazie.

Cóż.

- No, no, Busterze. To... bardzo... romantyczne. Kyland wydał z głębi gardła dziwaczny, krztuszący się odgłos i zaczął kaszleć.

Buster uśmiechnął się marzycielsko.

- To prawda - odparł. Potem jednak na jego twarzy pojawił się niepokój. - Jak się ma Annabelle? - spytał, mając na myśli mamę.

- Jest znów w szpitalu. Skinął głową.

- Tak myślałem. Widziałem, jak wyleciała stąd w swojej szarfi. Natychmiast przyszedłem po Marlo - powiedział, używając takiej formy jak wszyscy w okolicy. - Biedaczka była pod prysznicem. - Pokręcił głową. - Cieszę się, że ją podlecza.

No, można to było tak nazwać. Skinęłam tylko głową.

- Aha, ja też mam coś dla ciebie - powiedziałam, sięgając po małą puszczkę stojącą pod choinką.

Wręczyłam ją Busterowi, a on uśmiechnął się szeroko.

- Herbata lawendowa. Moja ulubiona. Skarb z panienki, panienko Tenleigh.

Roześmiałam się.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Prawdę mówiąc, przygotowywałam dla niego herbatę lawendową, kiedy mogłam, nie tylko na Boże Narodzenie, bo wiedziałam, że ją uwielbia. Nie było to więc nic szczególnie ekscytującego. Ale uroczo z jego strony, że zachowywał się, jakby było.

- W takim razie życzę wam obojgu wesołych świąt. - Wciągnął kaptur i uśmiechnął się do Kylanda, po czym pocałował mnie zimnymi, suchymi ustami w policzek.

- Wzajemnie - odparłam.

Wypuściłam Bustera i spojrzałam na Kylanda, wciąż trzymając w ręce sprośne dzieło sztuki rzeźbiarskiej.

- Mam całą kolekcję - wyjaśniłam.

Kyland odrzucił głowę w tył i się roześmiał. Zawtórowałam mu.

- Słowo daję, ten staruszek ma nierówno pod sufitem. Ale Kocham go.

Kyland pokręcił głową, wciąż chichocząc.

- Mogę zobaczyć?

Podaliśmy mu figurkę. Przyjrzał się jej uważnie, obracając na wszystkie strony.

- Kurczę, Buster ma niesamowite zdolności rzeźbiarskie. - Wpatrywał się w figurkę przez dłuższą chwilę, a potem jakby nagle przypomniał sobie, że na niego patrzy. Jego twarz spoważniała. Odchrząknął.

Odstawiłam prezent pod małą choinkę i odwróciłam się do Kylanda. Wyraz jego twarzy był pełen emocji. Poczulałam na skórze mrowienie i zalała mnie fala gorąca. Zaczęłam skubać brzeg swetra. Nie wiedziałam, jak zareagować na unoszące się między nami napięcie. Byliśmy przyjaciółmi. Prawda?

- Lepiej już pójdę do domu, na wypadek gdyby mama mnie potrzebowała.

Skinęłam głową.

- Tak. Racja. Oczywiście. - Zerknęłam na zegar, dochodziła dziesiąta. Kyland wyglądał na niezdecydowanego.

- Jesteś pewna, że nic ci nie będzie? - spytał, wkładając pospiesznie skarpety i wsuwając stopy do butów.

- Tak. - Uśmiechnęłam się. - Teraz już nie będzie. Dziękuję. - Spuściłam wzrok, z jakiegoś powodu znów czując speszenie. - Bardzo ci dziękuję.

Skinął głową, a jego spojrzenie powędrowało do moich ust, po czym gwałtownie powróciło do moich oczu. Ruszyliśmy oboje naraz, ja w stronę drzwi, żeby go wypuścić, a on po swoją kurtkę, która zdążyła już wyschnąć.

Otwarłam drzwi.

- Uważaj na siebie w drodze powrotnej - powiedziałam łagodnie. - Jest ślisko i...

- Rysie - powiedzieliśmy jednocześnie i się roześmiali. Kyland spowaźniał.

- Będę uważał, obiecuję - zapewnił, wpatrując się w moje oczy.

- W porządku.

- W porządku.

Zszedł po schodkach i stanął w śniegu.

- Zamknij za mną drzwi. Kiedy usłyszysz zamek, pójde. Skinęłam głową.

- Dobranoc, Kylandzie.

- Dobranoc, Tenleigh.

Zamknęłam drzwi i przekręciłam zamek. Wróciłam powoli na kanapę, owinęłam się kocem i usiadłam, wpatrzona obojętnie w naszą małą choinkę. Przyczepa stała się nagle zbyt cicha i pusta. I coś było nie tak - coś nie dawało mi spokoju. Czułam napięcie. Czułam, że powinnam coś zrobić, ale nie wiedziałam co. Zanim zdążyłam to przemyśleć, moje powieki

stały się ciężkie. Położyłam się i nie minęło parę minut, a głęboko zasnęłam.

Obudziłam się, dopiero kiedy światło bożonarodzeniowego poranka zaczęło wlewać się przez okna przyczepy, a zimowy chór strzyżyków rozśpiewał się na powitanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kyland

Padał śnieg. Stałem w oknie, wyglądając na czysty biały krajobraz, który u kogoś innego mógł wzbudzić westchnienie zachwytu. Nie zawsze padało w Boże Narodzenie. Niektórzy powiedzieliby, że te święta były szczególne. Nie ja. Boże Narodzenie. Ogarnęła mnie melancholia, stłumiłem ją więc z całych sił. To tylko kolejny dzień w kalendarzu. Gdybym nie zwracał na niego uwagi, po prostu by minął. Dzisiejszy dzień różnił się od pozostałych tak naprawdę jedynie w mojej głowie.

- Weź się w garść, Kylandzie - mruknąłem do siebie, upijając kolejny łyk gorącej kawy.

U drzwi rozległo się pukanie, które lekko mnie przestraszyło. Kogo diabli niosą? Kto przychodził do cudzego domu w bożonarodzeniowy poranek? Zmarszczyłem brwi i poszedłem do drzwi wejściowych.

- Kto tam? - spytałem z duszą na ramieniu.

- Tenleigh.

Zamrugalem. Tenleigh? Cholera. Przez sekundę wahałem się, po czym uchyliłem drzwi.

Stała na progu, w dłoni trzymała swoją małą choinkę, na ramię zarzuciła papierową torbę, na jej twarzy gościł nieśmiały uśmiech, a płatki śniegu zdobiły ciemne włosy. Kilka nawet zaplątało się w jej gęste rzęsy. Policzki miała zaróżowione od zimna, a oddech unosił się w powietrzu. Wyglądała olśniewająco. Otwarłem drzwi odrobinę szerzej, żeby móc się jej lepiej przyjrzeć.

- Co ty tu robisz? - spytałem. Cholera, to zabrzmiało szorstko. Ale musiała sobie pójść. Nie mogła wejść do środka.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, na moment spuściła wzrok, a potem spojrzała mi prosto w oczy i wyszeptała:

- Od jak dawna jej nie ma? Zmarszczyłem brwi.

- Jej? Kogo?

- Twojej mamy.

Zrobiłem wielkie oczy. Staliśmy i wpatrywali się w siebie przez próg. Śnieg wciąż gromadził się w jej włosach i na ciemnej kurtce.

- Co... czemu... - zacząłem. Ale potem wypuściłem powietrze i przegarnąłem dłonią włosy. - Skąd wiesz?

Wyraz jej twarzy nabrał łagodności.

- Nigdy się u ciebie nie świeci... i kilka innych rzeczy... - Pokręciła głową. - Tak naprawdę po prostu zgadłam. - Przygryzła wargę, a moje serce wykonało jakiś szalony manewr w piersi. Uniosłem rękę i pomasałem je łagodnie, jakby chodziło o dolegliwość fizyczną. - Przykro mi, że miałam rację. - Na moment umilkła. - Pomyślałam tylko, że jeśli jesteś sam, to pewnie nie masz tu żadnych świąt. I dlatego - wysunęła przed siebie małe drzewko - przyniosłam ci Boże Narodzenie. - Uśmiechnęła się z nadzieją.

Otwarłem drzwi na pełną szerokość i machnąłem ręką, żeby weszła. Rozpromieniła się, a kiedy wchodziła do domu, w jej oczach pojawiła się ulga. Przez chwilę stała tak, rozglądając się, a ja włożyłem ręce do kieszeni, próbując spojrzeć na to miejsce jej oczami. Było małe, a meble stare - te same, które mama dostała od babci jako spadek po śmierci dziadka. Już wtedy nie były ładne, a z czasem wcale nie przybyło im urody - ale utrzymywałem je w czystości i porządku.

Wzrok Tenleigh spoczął na fotelu i stoliku, na którym stało zdjęcie mamy... to, które postawiłem tam z początku dlatego, że tak bardzo miałem nadzieję na jej powrót... to, które miałem w zwyczaju witać. Naprawdę należało je schować.

Tenleigh odwróciła się do mnie z uśmiechem.

- Ładnie tu - powiedziała.

I moje serce, niech je szlag, znów zakolało w głupiej piersi, bo widziałem, że ona mówi naprawdę szczerze, a to było nie do pomyślenia. Taka dziewczyna jak Tenleigh powinna widzieć w tym miejscu norę, którą w istocie było. A nie widziała. I coś w tym równie mocno wkurzyło mnie, jak napełniło jakimś dziwnym szczęściem.

- Dasz mi swoją kurtkę? Choinkę? Torbę? Roześmiała się i ustawiła choinkę na stoliku kawowym,

zrzucając w przelocie okrycie. Pstryknęła włącznik na choince.

- Świąteczka na baterię - wyjaśniła. - Możemy postawić ją gdziekolwiek.

Ustawiła choinkę z namaszczeniem na stoliku, po czym podniosła się i przyjrzała jej z góry, z tym samym niepewnym wyrazem twarzy. Nastąpiła niezręczna cisza. Spojrzała na mnie.

- Przepraszam, Kylandzie - wyszeptała, kręcąc leciutko głową. - Wpraszam się tak do ciebie. Ja tylko... - Znów przygryzła wargę. - Co miałeś dziś zamiar robić?

- Pooglądać telewizję... pouczyć się... pławić się w samotności.
Nie roześmiała się. Chyba zdała sobie sprawę, że nie żartuję, choć dopiero jej reakcja mi to uświadomiła.

- Masz telewizor?

- Czasem. Kiedy jest prąd.

Skinęła głową i oboje na chwilę zamilkliśmy.

- Co się z nią stało? - spytała wreszcie bardzo cicho. Zawahałem się.
Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem.

Nie mogłem nikomu opowiedzieć i planowałem nigdy tego nie robić. Ale w tej chwili, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, rozpaczliwie pragnąłem opowiedzieć o tym Tenleigh.

- Porzuciła nas. Na tydzień przed wypadkiem w kopalni. - W jej oczach pojawiło się współczucie, ale nie odezwała się ani słowem. - Tata był tak bardzo zawstydzony. - Pokręciłem głową i podrapałem się po karku, odsuwając od siebie te wspomnienia, mimo że je ujawniałem. - Tak się tego wstydził. Był ogromnie dumnym człowiekiem. Kazał nam przysiąc, że nikomu o tym nie powiemy, dopóki on nie będzie gotów. Myślę... Myślę, że może próbował wykombinować historię, która będzie brzmiała lepiej niż „już nas nie chciała”. - Zamilkłem. - A może miał nadzieję, że wróci. Ale mama nigdy nie była zadowolona z naszego życia. Tata nie miał nawet średniego wykształcenia, nie zarabiał wiele w kopalni. Ciągle się kłócili. - Przeczesałem palcami włosy i się skrzywiłem. - Widzisz, Tenleigh, twój tata odszedł, kiedy miałaś trzy dni, i boli cię, że nie chciał się dowiedzieć, kim jesteś. Moja mama mnie znała, wiedziała, że ją kocham. I mimo to odeszła.

- Kylandzie - wyszeptała.

Potrząsałem głową, nie mogąc powstrzymać słów, które zdawały się płynąć z moich ust same z siebie.

- Potem doszło do wypadku w kopalni i... - Wziąłem głęboki, drżący oddech, odkrywając z zaskoczeniem, że wciąż wywołuje to we mnie emocje. Miałem wrażenie, że żyję z tym od tak dawna. Ale mówienie o tych wydarzeniach przywracało im w pewnym sensie życie... - Zginęli i wydawało się, że każda rodzina na tym wzgórzu kogoś opłakuje. Nikt nie zauważył, że mama nie pojawiła się na żadnym pogrzebie, a może sądzono, że żałoba ją przytłoczyła. Inni też się tak czuli. Wyczekiwałem jej powrotu. Sądziłem, że musiała o tym usłyszeć. Musiała. Musiała wiedzieć, że zostałem sam. Czekałem i czekałem, aż po mnie wróci, ale nie wróciła. - Odetchnąłem głęboko. - Nie chciałem trafić do opieki społecznej. Chciałem mieć szansę na stypendium. Chciałem mieć szansę na... życie. A jedynym sposobem na zdobycie tego wszystkiego było konsekwentne zmierzanie do celu. Kiedy więc ludzie pytali, mówiłem, że jest przykuta do łóżka. - Wzruszyłem ramionami.

- Nic dziwnego - powiedziała ze smutkiem.

- Nic dziwnego, że co?

- Nic dziwnego, że tak bardzo nienawidzisz tego miejsca. Wpatrzyłem się w jej oczy.

- Nie musisz już dłużej być samotny. - Wyciągnęła rękę i chwyciła moją dłoń, a jej oczy wypełniało zmartwienie, jej dłoń była zimna i miękka. W porównaniu z moją sprawiała wrażenie małej.

- Tenleigh... nie rozumiesz. Czy dostanę stypendium, czy nie, wyjeżdżam stąd. Za kilka krótkich miesięcy, jeśli przez jakiś mało prawdopodobny przypadek nie zdobędę stypendium, sprzedam wszystko, co ma w tym domu jakąkolwiek wartość, i wyniosę się stąd stopem. Znajdę sobie gdziekolwiek pracę i zarobię na przeprowadzkę gdzieś dalej. Nie zostanę tu. Cokolwiek by się działo. Nie mogę pracować w tej kopalni. I nie mogę już głodować. Wyjadę stąd i nie spojrzę za siebie. Nigdy więcej nie pomyślę o Dennville.

Jej wzrok wędrował przez chwilę po mojej twarzy, po czym skinęła głową, puszczając moją dłoń.

- Już to mówiłeś. A ja powiedziałam, że w porządku. Rany. Co za dziewczyna.

- Tak, chyba powiedziałaś.

- Mówiłam naprawdę szczerze. Masz we mnie przyjaciela. - Uśmiechnęła się do mnie z nadzieją. A jednak jakiś cień przemknął przez jej spojrzenie.

Przyjaciele. Tak. Tak postanowiliśmy. Nie byłem z tego zadowolony wczorajszego wieczoru i nie byłem z tego zadowolony w tym momencie.

Molekuły w otaczającym nas powietrzu zdawały się przyspieszać i ogrzewać przestrzeń wokół naszych ciał.

- No więc - powiedziała wesoło - przyniosłam ci prezent bożonarodzeniowy.

Uniosłem powoli brew, usiłując otrząsnąć się z ciepła, które zaczęło krążyć po moim organizmie. Pragnąłem jej. Chciałem rozebrać ją do naga. Chciałem wejść w nią mocno i szybko, a w trakcie obserwować jej twarz. Chciałem wiedzieć, o czym myśli, kiedy moje ciało ją wypełnia. Chciałem usłyszeć jej głos, usłyszeć, jak akcent z Kentucky, który próbowała ukrywać, staje się bardziej wyraźny, gdy opanowują ją emocje. Chciałem zobaczyć ognistą część jej charakteru, która ujawniała się od czasu do czasu, jak gwałtowna i oślepiająca błyskawica przecinająca czyste, bezchmurne niebo. Chciałem odebrać jej dziewictwo - i to wcale nie łagodnie. Chciałem ją zranić tak, jak ona raniła mnie za każdym razem, gdy na nią patrzyłem. Chciałem ją oznakować, posiąść, zademonstrować wszystkim, że należy do mnie i tylko do mnie.

Kurwa!

Nie.

Nie.

Nie.

Nie mogłem sobie pozwolić na ż a d n ą z tych myśli. Miałem stąd wyjechać i zostawić za sobą Tenleigh. I tyle. Nie byłem takim gnojkiem, żeby ją rozdziwiczyc, a następnie zmienić adres i więcej się do niej nie odezwać. Nie zrobiłbym tego - ani jej, ani samemu sobie. Musiałem zacząć od nowa. Nie chciałem zostawiać w Dennville żadnej części siebie. Pracowałem na to cztery pierdolone lata. I miałem to w zasięgu ręki. Piękna dziewczyna o wnętrzu tak promiennym, że pragnąłem zmrużyć oczy, ilekroć na nią patrzyłem, nie mogła teraz zmienić moich zamiarów.

Wyjęła coś z papierowej torby, odstawiła ją na podłogę i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Masz bardzo poważną minę.

- Przepraszam. Zamyśliłem się. Tenleigh uniosła głowę.

- Możemy spróbować dziś nie myśleć? Tylko dziś? Czy mogłoby być tak jak wczorajszego wieczoru, kiedy po prostu cieszyliśmy się swoim towarzystwem? Nie było tak źle, prawda? - Spojrzała na mnie spod rzęs.

- Nie, i na tym polega problem. Będę chciał więcej. Zamrugwała.

- Cholera, Tenleigh. - Przegarnąłem ręką włosy i odwróciłem się od niej. - To nie jest... - Głośno westchnąłem. - Co ty tam dla mnie masz?

Nagle zaczęła sprawiać wrażenie niepewnej.

- Hmm... cóż. - Wbiła wzrok w znajdujący się w jej rękach niewielki owinięty papierem przedmiot i roześmiała się z zażenowaniem. - Nagle to zrobiło się dziwne.

Uniosłem brew.

- Teraz naprawdę chcę to dostać. - Wyciągnąłem rękę, a ona się zawahała, ale położyła przedmiot na mojej dłoni.

Kształtem przypominał prezent, który Buster wręczył jej poprzedniego wieczoru. Zawahałem się. To nie mogła być...

Rozpakowałem go szybko. Na mojej dłoni, bez cienia wątpliwości, stała jedna z erotycznych rzeźb Bustera: kobieta z wygiętymi w łuk plecami, na czworakach, rżnięta od tyłu przez mężczyznę trzymającego ją za biodra. Jakie to było sprośne, ale jak cholernie mnie podnieciło. I jak bardzo chciałem zrobić dokładnie to samo stojącej przede mną dziewczynie. Tu i teraz. Poczułem, jak moje ciało się budzi.

Podniosłem wzrok na Tenleigh, która wyglądała teraz na poważnie zażenowaną.

- Mam całą kolekcję - powiedziała. - Pomyślałam, że cię to rozbawi. - Zamilkła i wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem.

Nie mogła przypuszczać, jak bardzo mnie to pobudzi. Nie dałaby mi tego, gdyby wiedziała, jak bardzo chciałem zrobić dokładnie to, co wyrzeźbił Buster. Z nią. Jej. Zerknąłem w dół na figurkę.

I nie mogłem już się powstrzymać. Wybuchnąłem śmiechem na widok tego absurdalnego przedmiotu w swojej dłoni. Tenleigh też się roześmiała, z początku niepewnie, a potem głośniejsze, i staliśmy tak, rycząc ze śmiechu. W końcu opanowaliśmy się na tyle, żebym mógł podejść do kuchennego okna i tam umieścić rzeźbę. Idealnie.

Wróciłem z uśmiechem do Tenleigh.

- Dziękuję. Powaga. - I mówiłem szczerze.

Jej celem nie było ofiarowanie mi drewnianej rzeźby domowej roboty. Jej celem było rozśmieszenie mnie. I to się jej udało. A dla mnie to był najlepszy możliwy prezent.

- Przyniosłam też szynkę - powiedziała, wskazując głową papierową torbę. - Al dał po jednej każdemu ze swoich pełnoetatowych pracowników. Moja siostra ją dostała. - Uśmiechnęła się. - Możemy ją później podgrzać.

- Jasne, to...

Zanim zdążyłem dokończyć, klasnęła w dłonie, a ja z zaskoczenia zamilkłem.

- Sanki!

- Słucham?

- Sanki. Moglibyśmy się dziś tym zająć. Dawniej znajdowałyśmy z Marlo na czyimś podwórzu dętki i szły na wzgórze. Znam najlepsze miejsca.

Wpatrywałem się w nią.

- Założę się, że znam lepsze. My też robiliśmy to z bratem. Uśmiechnęła się szeroko i przechyliła głowę.

- Naprawdę? Dziwne, że nigdy na siebie nie wpadliśmy.

Roześmiałem się lekko i pokręciłem głową. Tylko Tenleigh umiała zmienić mój humor z jednej skrajności w drugą. Jakim cudem opowiadałem jej właśnie o jednej z najbardziej traumatycznych rzeczy, jakich w życiu doświadczyłem, a teraz się śmiałem?

- To chyba pomysł nie gorszy od innych. Co innego moglibyśmy robić?

- No właśnie. - Staliśmy przez chwilę wpatrzeni w siebie, aż w końcu wzruszyła ramionami i powiedziała: - No to... gotowy?

- Jasne. - Ale stałem przez moment, marszcząc brwi. -Dam ci śniegowe ubrania brata. Będziesz musiała podwinąć rękawy i nogawki i trzeba będzie trochę improwizować w paru kwestiach, ale... swój strój mam tylko jeden.

Skinęła głową, ale jej wzrok był uważny, jakby próbowała wyczytać, czy to mi przeszkadza, czy nie. Prawdę mówiąc, sam nie byłem tego pewien. Westchnąłem i poszedłem po ubrania. W ciągu piętnastu minut dzisiejszy dzień przeobraził się w coś zupełnie nieoczekiwanego, i choć pełen byłem wątpliwości, ogarniało mnie też szczęście. Co za dziewczyna.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tenleigh

Kwadrans później, opatuleni jak się tylko dało, czailiśmy się za drzewem obok przyczepy Della Walkera. Jego podwórze zalegały porozrzucane wszędzie, na wół przysypane śniegiem śmieci.

Można by pomyśleć, że skoro są to śmieci, powinniśmy móc po prostu wejść na jego teren i wziąć to, na co mamy ochotę. Ale mieszkańcy góry byli dziwnie przywiązani do swoich gratów i Dell wypadłby prawdopodobnie ze spluwą, gdyby zobaczył, że grzebiemy w jego rupieciach. A gdybyśmy spytali go, czy możemy coś wziąć, doszedłby zapewne do wniosku, że ma to jakąś wartość, i spróbowałby zażądać opłaty. Poza tym Dell był starym, wrednym dupkiem. Starym, wrednym dupkiem ze spluwą. I skłonnością do niewylewania za kołnier.

Kyland wskazał na dętkę zanurzoną do połowy w śniegu jakieś trzydzieści metrów od naszej kryjówki. Przyłożył palec do ust i puścił do mnie oko. Motylki zaczęły machać w moim

brzuchu swoimi maleńkimi skrzydełkami. Skinęłam głową. Potem obserwowałam, jak przebiega pospiesznie do małej szopy na prawo od nas i się za nią chowa. Kilka sekund później zobaczyłam, że wyłania się stamtąd i pędzi przez śnieg do dętki, chwyta ją, zawiesza na ramieniu i ucieka. Znowu zanurkował za szopą. Roześmiałam się cicho w dłonie ukryte w grubych skarpetach owiniętych z wierzchu reklamówką zawiązaną wokół nadgarstków. Wodoodporne rękawice domowej roboty.

W oczekiwaniu na jego powrót wróciłam myślami do tego, co powiedział mi w domu. Kiedy rozważałam to u siebie w przyczepie, czułam przerażenie, osłupienie. Ale gdzieś w środku wiedziałam, że to prawda. Jednak gdy potwierdził moje przypuszczenia, doznałam kolejnego wstrząsu. Biedny Kyland... mieszkał przez cały ten czas sam... oplakując całą swoją rodzinę. Żywa dusza mu w tym nie pomogła. A potem ta samotność. Jak on to przetrwał? Nagle zrozumiałam jego potrzebę wydostania się z Dennville. Zrozumiałam jego potrzebę ułożenia sobie życia w miejscu, które nie będzie mu przypominało o głębokim bólu, z jakim musiał żyć przez te wszystkie lata. I zapragnęłam dać mu miłość. Co nie było wskazane. Ani trochę. Bo on by tego nie odwzajemnił. Nie pozwoliłby sobie na pokochanie mnie, nawet gdyby tego chciał, co jest wątpliwe. I chyba tak musiało być. Naprawdę nie mogłam go za to winić. Unikał zaangażowania, ale nie dziewczyn, podczas gdy ja w ogóle unikałam chłopców - oboje nosiliśmy stygmat porzucenia.

Podbiegł do grupy drzew, dysząc ciężko, z rumieńcami na policzkach i uśmiechem na ustach. I wyglądał piękniej niż kiedykolwiek.

Ech. Ech do kwadratu.

- Gotowy? - wyszeptałam.

- Tak - wydyszał, wciąż się uśmiechając. Ruszyliśmy pod górę, podwędziwszy drugą dętkę od Cletusa Ruckera w ten sam sposób co u Della Walkera. Kyland

poprowadził mnie na wzgórze, które zgodnie z jego obietnicą miało być najlepszym saneczkowym miejscem całych gór. Nie był w błędzie.

Wychynęliśmy z sosnowego lasu i stanęli na szczycie wzgórza opadającego doskonałym stokiem, stromym, ale długim, którego płaskie podnóże dawało mnóstwo czasu, by wyhamować przed granicą dalszej części lasu.

- O mój Boże! - wykrzyknęłam, spoglądając w dół. - Marlo zejdzie, jak zobaczy, co traciłyśmy przez te wszystkie lata.

Kyland pokręcił głową.

- E, e. Nie wolno ci ujawniać lokalizacji tego saneczkowego stoku. Jest ściśle tajna.

Roześmiałam się.

- Dobrze. Ale jak go odkryłeś?

Położył dętkę na szczycie wzgórza, a ja poszłam w jego ślady.

- Mój brat go odkrył. Uwielbiał tutejsze wzgórza. Zbadaliśmy każdy centymetr, słowo daję. - Nie uśmiechnął się, ale w wyrazie jego twarzy pojawiło się coś czulego.

Wzięłam go za rękę, a on spojrzał mi w oczy, niemal nieśmiało, jakby przypominał sobie, jak to jest być małym chłopcem.

- Zjedźmy, trzymając się za ręce.

Zgodził się, usiedliśmy więc oboje na dętkach i ustawili się w odpowiedniej pozycji.

Kyland zerknął na mnie, a na jego twarzy malowało się coś, co mi się szalenie spodobało - a czego do tej pory nie widziałam - wyraz oczekiwania z zapartym tchem, jakby zaraz miało się wydarzyć coś naprawdę fantastycznego. Jego mina spowodowała, że wstrzymałam oddech. Było w niej coś tak czystego, jakbym widziała go po raz pierwszy. Nieposkromiona radość, której byłam częścią. Nie chciałam, żeby chwila minęła, dopóki dobrze jej nie zapamiętam.

- Gotowa? - spytał łagodnie.

- Gotowa.

Spojrzałam w dół stoku na rosnące poniżej nas drzewa i jeszcze niżej, na miasteczko Denville, gdzie z kominów unosił się leniwie dym, a plantacje tytoniu stanowiły jedynie punkciki na horyzoncie. Stąd, z góry, widać było wyłącznie spokój, wolność i piękno. Wzięłam głęboki wdech, jakbym mogła wciągnąć to uczucie w płuca i zatrzymać je tam na zawsze.

Pochyliliśmy się do przodu i złapali za ręce. Nasze dętki sunęły coraz szybciej i szybciej w dół stoku, nabierając takiego tempa, że odrzuciłam głowę do tyłu, krzyknęłam, a potem roześmiałam się niekontrolowanie. Wiatr smagał moje włosy, a ciepła dłoń Kylanda ścisnęła moją mocno. Normalnie dętki zataczałyby kręgi, ale dzięki trzymaniu się za ręce pędziliśmy prosto w dół. Spojrzałam na niego - też się śmiał.

Wyhamowaliśmy tuż przed zagajnikiem poniżej, wbijając nogi w śnieg.

Kyland obrócił głowę w moją stronę. Miał zaróżowione policzki i szeroki uśmiech na twarzy.

- Jeszcze raz? - spytał.

Roześmiałam się i przytaknęłam, zaczęliśmy się więc gramolić z powrotem pod górę.

Całe popołudnie bawiliśmy się jak małe dzieci, wirując w dół stoku, ja piszcząc, a niski śmiech Kylanda niósł się echem pośród cichych wzgórz. Zrobiliśmy orły na śniegu, a potem trafili na trzy jasnoczerwone kardynały i parę jeleni skubiącą gałązki na skraju lasu. To było najlepsze Boże Narodzenie w moim życiu.

Usadowiwszy się na dętkach, zjedliśmy lunch na szczycie wzgórza - zmiażdżone kanapki z szynką, które Kyland zapakował w papier śniadaniowy i przed wyjściem wepchnął do kieszeni.

Kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, Kyland zaproponował, żebyśmy wracali. Byłam przemoczona i zmarznięta, ale chętnie bym to zignorowała na rzecz naszej fantastycznej zabawy.

- Jeszcze jeden zjazd? - spytałam.

- Okej. - Roześmiał się.

- Dajmy z siebie wszystko.

- Dobra. Popchnę cię i zjadę tuż za tobą.

Skinęłam głową, uśmiechając się szeroko. Usadowiłam się na dętce i spojrzałam na niego przez ramię, dając mu do zrozumienia, że jestem gotowa.

- Będzie szybko.

- I dobrze! - powiedziałam ze śmiechem.

Kyland chwycił oburącz dętkę i jednym potężnym pchnięciem posłał mnie w dół stoku. Zaczęłam natychmiast wirować, zimne powietrze smagało moją twarz, a ja raz po raz piszczałam.

Nagle dętka trafiła na coś wystającego spod śniegu, który pewnie wyślizgaliśmy wszystkimi zjazdami. Wyleciałam jak z procy, piszcząc, a dętka wystrzeliła przede mnie. O nie, to będzie bolało.

Wylądowałam twarzą w zaspie, powietrze zostało wyciśnięte z moich płuc. Gdzieś nad sobą usłyszałam Kylanda wykrzykującego moje imię. Leżałam tam przez chwilę, cała i zdrowa, choć zaskoczona. Zimny, mokry śnieg zatykał mi nos i usta.

Nagle zostałam przewrócona na plecy, a nade mną zawisła spanikowana twarz Kylanda.

- Tenleigh, o mój Boże - wykrztusił. - Powiedz, że nic ci nie jest.

Wyglądał na bardzo przestraszonego, przebiegał wzrokiem po mojej twarzy. Byłam oszołomiona, ale cała.

- Nic mi nie jest - wyszeptałam. - Nic mi nie jest, Kylandzie. Rozluźnił ramiona i wypuścił powietrze. Wpatrywał się

w moją twarz, a w jego minie było coś bardzo poważnego, jakby podejmował jakąś decyzję. Czas zdawał się zwalniać, aż do całkowitego zatrzymania. Obserwowałam Kylanda w milczeniu,

czekając na jego ruch. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem zamknął je gwałtownie i zacisnął szczęki.

A później nachylił się i jego miękkie, ciepłe usta dotknęły moich zamarzniętych. Przesunął po nich językiem, a jego oddech zmieszał się z moim. A następnie znów przycisnął usta do moich i pozwolił, by pocałunek stał się bardziej namiętny. Smakował pozostałością soli z kanapki i jeszcze czymś głębszym, bardziej męskim - pragnieniem.

Tętno mi przyspieszyło i ciepło rozlało się po moich żyłach, co zaowocowało wilgocią między nogami. Ale mimo to się hamowałam. Zrobił to już wcześniej, a potem mnie odepchnął. Proszę, tym razem mnie nie odpychaj.

- Pocałuj mnie, Tenleigh - wyszeptał pełnym napięcia głosem. - Błagam, pocałuj mnie. - Znów musnął delikatnie moje usta.

Więcej nie było mi trzeba.

Zarzuciłam mu ręce na szyję i przechyliłam głowę, nasze oczy się spotkały, po czym Kyland przywarł do mnie i ujął moją twarz w dłonie. Przebiegał językiem krawędzie moich warg, które natychmiast rozchyliłam, a z mojego gardła dobył się jęk. Smakował chłopcem i górskim powietrzem i moje ciało przycisnęło się do niego, pragnąc przyjąć wszystko, co miał do zaoferowania.

Nasze języki się spotkały i zaplątały. A potem on też jęczał, wsuwając język tak głęboko w moje usta, jak tylko się dało. Czułam w całym ciele mrowienie i pełnię życia, a jego pocałunki docierały aż do czubków palców u nóg.

Świat wokół mnie stracił ostrość, zimno zniknęło. Był tylko on i jego ciepłe, wilgotne usta na moich ustach - w moich ustach - jego smak i ciężar twardego ciała wtulonego w moje.

- Kylandzie, Kylandzie - jęczałam bez wstydu, kiedy jego usta oderwały się od moich, a na gardle poczułam nagle jego gorący oddech. Odchyliłam głowę w śnieg, jego usta muskały

delikatną skórę mojej szyi. To wywołało kolejne fajerwerki między nogami, a sutki stwardniały mi niemal boleśnie pod warstwami ubrań. - Potrzebuję... - Wszystkiego. Potrzebuję wszystkiego. Moje ciało było obolałe, puste i zdesperowane.

- Chcę cię zabrać do domu - wyszeptał, wtulając usta w moją skórę.

Zamarłam.

- Słucham?

Czyżby znów mnie odrzucił? Słowo daję, że wydłubałabym mu oczy. Uniósł głowę.

- Do mojego domu. - Jego wzrok przeniósł się na moje usta. A potem spojrzał mi w oczy z miną pełną strachu, jakby czekał, aż go zranię.

Albo jakby sam siebie ranił.

- Nie odbiorę ci dziewictwa, ale, niech mnie Bóg ma w opiece, muszę cię dotknąć. Muszę poczuć twój smak.

O tak, tak. Ja też tego chcę.

Skinęłam głowę, przełykając głośno ślinę.

- Ale myślałam... - wyszeptałam. Potrząsnął głową.

- Nie mogę ci się oprzeć. Próbowałem. Naprawdę. - Znów musnął ustami moje wargi, a ja je rozchyliłam i wciągnęłam jego oddech.

- Nie chcę, żebyś mi się opierał.

Wsparł się czołem o moje czoło, wciąż trzymając moją twarz w dłoniach.

- Nie chcę cię zranić. Nie chcę zranić siebie. Pokręciłam głową.

- Rozumiem, że wyjeżdżasz, Kylandzie. Wiem to.

I chcę, żebyś to zrobił. Może nie powinnam. Ale chcę.

- To niczego nie zmieni. Muszę wiedzieć, że to rozumiesz. - Zmarszczył brwi, kręcąc głową. - Wiem, że jestem dupkiem. Wiem. Naprawdę. Po prostu...

- W porządku. Słowo daję, w porządku.

Zlustrował moją twarz, jakby próbował się upewnić, że mówię prawdę. Wreszcie nachylił się i zamknął mi usta kolejnym ciepłym pocałunkiem. Całował mnie, dopóki oboje znów nie straciliśmy tchu. Między nogami pulsowało mi tak szaleńczo, że niemal sprawiało to ból.

Nagle Kyland oderwał się od moich warg i podniósł na kolana, pociągając mnie za sobą.

- Chodźmy - powiedział schrypniętym, ściśniętym głosem, jakby on też cierpiał.

Wstaliśmy i ruszyli pod górę po raz setny tego dnia. Teraz jednak powietrze wokół nas zdawało się iskrzyć od elektryczności, a śnieg połyskiwał, odbijając ją od swojej powierzchni.

Szliśmy w milczeniu szlakiem pośród lasu z dętkami zarzuconymi na ramię. Przed chwilą byłam zmarznięta i trochę głodna, ale teraz mogłam się skupić jedynie na wilgoci między nogami, a mój oddech stał się urywany. Czułam za sobą Kylanda, jakby sama jego obecność zagęszczała wokół mnie powietrze.

W końcu wyłonił się jego dom. Kyland chwycił mnie za rękę i ostatnie kilkaset metrów przebiegliśmy. Z mojej piersi wyrwał się śmiech. Nie wiedziałam, czy jestem zdenerwowana, czy tylko pełna oczekiwania, czy co, ale w całym moim ciele wrzało.

- Poczekaj tu moment - powiedział, biorąc ode mnie dętkę, i poszedł na tyły swojego domu, żeby odłożyć ją gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku. Potem wrócił, znów wziął mnie za rękę, pociągnął do domu i zamknął za nami drzwi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kyland

Bardzo możliwe, że właśnie miałem popełnić największy błąd w swoim życiu, ale już nie byłem w stanie się tym przejmować. Zbyt wiele cholernego wysiłku kosztowała mnie próba niedostrzegania atrakcyjności Tenleigh. Czasem była to pełnoetatowa praca. Nie miałem na to sił. Hormony zwyciężyły. Coś mi jednak mówiło, że nie same hormony są tu przyczyną - a to właśnie tak cholernie mnie przerażało. Pragnąłem dotykać jej nagiej skóry bardziej niż czegokolwiek w swoim dotychczasowym życiu. Przypominało to te poniedziałkowe poranki, kiedy ktoś zostawił jedzenie na stoliku w stołówce, a ja byłem tak głodny po weekendowej głodówce, że sięgnięcie po nie stawało się pierwotnym instynktem, którego nie dało się w zasadzie kontrolować - instynktem przetrwania. Tak właśnie działała na mnie Tenleigh. Pragnąłem jej tak rozpaczliwie, jakby jakaś część mnie umierała z głodu.

Nie miałem zamiaru osiąść jej w pełni. Ale musiałem dostać choć jej część - przynajmniej tyle.

Czy to było normalne? Z pewnością nie. Nigdy przedtem nie czułem niczego podobnego do żadnej dziewczyny. Może po prostu musiałem się nią nasycić, by to uczucie mogło osłabnąć, żebym mógł jakoś nad nim zapanować. Częściowo musiało ono wynikać z samego oczekiwania.

Prawda?

Tenleigh weszła pierwsza do domu, a potem odwróciła się do mnie twarzą.

- Znów masz strasznie poważną minę - wyszeptała. Jej oczy były jasnozielone i szeroko otwarte, a usta czerwone od mrozu i moich pocałunków.

Cholera, tak bardzo stwardniałem, że niemal odczuwałem ból.

- Musimy się pozbyć tych mokrych ubrań - powiedziałem, ignorując jej uwagę i zrzucając okrycie.

Skinęła głową, jej policzki zalał rumieniec i ze spuszczonej oczami zaczęła zdejmować kurtkę.

Wyglądała tak niewinnie, tak pięknie. Zawahałem się.

Jej oczy spojrzały prosto w moje i pojawiła się w nich stanowczość. Przeszła jakieś pięć dzielących nas kroków i nasze usta się odnalazły. Chwyciłem jej twarz w dłonie, a z jej piersi wyrywało się słodkie pojękiwanie. Po opanowaniu, jakie czułem zaledwie kilka sekund wcześniej, nie było śladu.

Całkiem przysło.

Gdzieś do Azji Wschodniej.

Poprowadziłem ją tyłem, całując, liżąc i ssąc usta i język. Smakowała jak coś, czego nie potrafiłem nawet nazwać, coś tak pysznego, że doprowadzało mnie do nieznanych połaci szaleństwa. Całowanie jej przypominało chwianie się na granicy obłądu. Upojenie alkoholem. Uczucie tak obezwładniające, że nie potrafiłem go opisać. Moje pocałunki nie były delikatne - były dzikie, siały spustoszenie. W moich żyłach krążyło płynne i wszechpotężne pożądanie.

Dotarliśmy jakoś do mojego pokoju, a kiedy jej łydki dotknęły niewielkiego łóżka, usiadła i położyła się na plecach. Podążyłem za nią natychmiast w dół, nie przerywając pocałunków, i przywarłem do niej swoim pulsującym wzwodem, jęcząc na to doznanie. Jakim cudem miałem się oprzeć zerznięciu jej? Pragnienie wniknięcia w jej ciepłe, wilgotne ciało było tak dojmujące, że cały od niego drżałem. Ale miałem z a m i a r się oprzeć. Musiałem. Oderwałem się od jej ust i zająrzałem jej w twarz owładniętą podnieceniem, ale wciąż równie pięknie niewinną.

- Kochaj się ze mną - wyszeptała. Tak! Nie.

Na moment zacisnąłem powieki, po czym ponownie spojrzałem w jej oczy. Stracę przez nią rozum.

- Nie mogę, Tenleigh. Nie zrobię tego - powiedziałem. -Ale dam ci to, czego potrzebujesz, dobrze?

Przez jej twarz przemknęło zranienie, ale skinęła głową.

Pocałowałem ją jeszcze raz szybko, a potem usiadłem i zdjąłem jej buty, mokre skarpetki i wielowarstwowe spodnie. Żadna dziewczyna nie wyglądała nigdy bardziej pociągająco w równie absurdalnym, nietwarzowym stroju.

Pod spodniami miała jedynie różowe bawełniane majtki. Mój fiut znów zapulsował i niemal jęknąłem.

Oslabiasz mnie, Tenleigh.

Usiadła i zdjęła wielowarstwową górę, a kiedy wreszcie pozbyła się długiego podkoszulka spod spodu, usiadła przede mną w białym staniku, z którego jej biust wylewał się tak, jakby stanik był o kilka rozmiarów za mały. Pewnie był.

Przez moment tylko na nią patrzyłem. Wyglądała jak sen na jawie. Biała, kremowa skóra i ciemne włosy rozlewające się wokół jej ramion i w dół pleców. Piersi miała okrągłe i pełne, talię wąską, a nogi długie i kształtne. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego jak Tenleigh Falyn siedząca

na moim łóżku w prostej bawełnianej bieliźnie. Mięśnie zacisnęły mi się na brzuchu.

- Tenleigh - wyszeptałem - jesteś taka piękna. Zamrugła, po czym uśmiechnęła się nieśmiało. Zauważyłem, że ma gęsią skórę.

- Wskakuj pod kołdrę - powiedziałem, wskazując na łóżko. Spojrzała za siebie i przygryzła wargę, ale odsłoniła kołdrę,

koce i narzutę, położyła się na mojej poduszce i naciągnęła na siebie okrycie.

Rozebrałem się tak szybko, że nawet nie pamiętałem tej czynności, ale zimno uderzyło moją nagą skórę, więc ułożyłem się pod kocami obok niej. Znów otoczyłem jej usta i oboje westchnęliśmy, kiedy nasze zimne nagie ciała wreszcie się dotknęły. Naciągnąłem kołdrę po szyję, niemal na twarz, i nie minęło parę chwil, a znaleźliśmy się w naszym własnym małym, ciepłym kokonie.

Uniosłem dłoń do jej piersi i kciukiem pomasaowałem lekko sutki. Tenleigh wyszeptała moje imię, a mój kutas podskoczył. Niewiele więcej byłem w stanie znieść, żeby samemu nie dojść, bez choćby cienia jej dotyku. Rany, co za dziewczyna. Musiałem doprowadzić ją do orgazmu i zająć się sobą pod prysznicem.

- Tenleigh, czy kiedykolwiek miałaś orgazm? - spytałem łagodnie, muskając wargami jej szyję.

Pokręciła głową.

- Nawet takiego, który sama sobie dałaś? - spytałem.

- Nasza przyczepa jest bardzo mała... - powiedziała. Skinąłem głową, chłonąc wzrokiem jej piękne rysy. Jakieś

ciepło wypełniło moją pierś na myśl, że jako pierwszy doprowadzę ją do szczytu. Nie będę pierwszym, który będzie się z nią kochał, ale zawsze coś. To było moje i tylko moje.

Wsunąłem pod nią rękę, a ona wygięła plecy tak, że mogłem rozpiąć jej stanik, zsunąć go z niej i rzucić na podłogę.

Jej oczy obserwowały moją twarz, pełne zarówno pożądania, jak i zdenerwowania.

Zanurzyłem się pod przykrycie i ustami objąłem jej sutek, lekko go ssąc. Jej smak na moim języku był niebiański.

- Kylandzie - jęczała. Jej dłonie powędrowały na moją głowę, wsunęła palce w moje włosy.

Przez chwilę lizałem i ssałem jeden sutek, krążąc wokół niego językiem, dopóki nie wygięła bioder w moim kierunku. Własne biodra przesunąłem na bok, by uniknąć słodkiej tortury, jaką było jej przywieranie do mojego wzvodu, i przeniosłem usta na drugi sutek.

- Tak dobrze smakujesz - powiedziałem, przerywając na moment.

- Aaaa - wyjęczała.

Słyszałem, jak na poduszce rzuca głową na boki. Przesunąłem dłoń w dół jej jedwabistego płaskiego brzucha, nie odrywając ust od piersi, a kiedy wsunąłem palce w jej bieliznę i między nogi, sam jęknąłem.

Była śliska od podniecenia. Zanurzyłem palec w jej wnętrzu i powoli zacząłem poruszać nim do środka i na zewnątrz, naśladując ruch, który pragnąłem wykonywać inną częścią ciała. Jej oddech stał się urywany. Przyłożyłem mokry palec do jej łechtaczki i kiedy zatoczyłem łagodne kręgi, Tenleigh zaczęła krzyczeć.

Chciałem włożyć twarz między jej nogi, poczuć jej smak, ale mieliśmy całą noc - taką miałem nadzieję. Jeśli zgodziłaby się zostać, zrobiłbym jej dobrze na każdy ze znanych mi sposobów.

Kontynuowałem pocieranie kciukiem łechtaczki i wsunąłem palec w jej mokrą szparkę. Westchnęła i wcisnęła się mocniej na moją dłoń.

- Powiedz, o czym myślisz - błagałem. - Powiedz, o czym w tej chwili myślisz, piękna Tenleigh. - Pragnąłem jej. Nie mogłem osiąść jej całej, ale to, co mogłem mieć... jej słodkie

reakcje, jej przyjemność, to, co krążyło jej po głowie, to wszystko mogłem mieć. Przynajmniej na razie. Jęknęła.

- Nie mogę... Nie mogę nic z tego zrozumieć. - Jęknęła z głębi gardła, kiedy zmieniłem tempo. - Miałam chyba jakieś problemy i... zmartwienia, ale nie mogę sobie żadnego przypomnieć. Wszystko jest takie przyjemne, Kylandzie, takie przyjemne.

Uśmiechnąłem się do niej, a moją pierś wypełniła czułość. Była piękna na wszystkie możliwe sposoby. Była jedwabista, miękka, ciepła i niebiańsko pachniała. I miałem szczerą nadzieję, że nie będzie tego żałowała. Zacząłem szybciej krążyć palcem i znów wziąłem w usta sutek.

Kilka sekund później krzyknęła. Jej ciało stężało i wstrząsnął nim dreszcz, a ja poczułem satysfakcję, jakiej do tej pory nigdy nie czułem.

- Kylandzie, Ky... - jęczała.

Uniosłem się i obserwowałem jej twarz, gdy ona uspokajała się i otwierała oczy. Spojrzała na mnie z zachwytem, a potem uśmiechnęła się tak pięknie, że aż mnie lekko zaskoczyła. Tenleigh była piękną dziewczyną, nie było co do tego wątpliwości, ale od czasu do czasu robiła coś, co olśniewało mnie i odejmowało mi mowę. To była jedna z tych chwil.

- Wow - powiedziała.

Zaśmiałem się cicho, a potem opadłem na bok, kładąc głowę na poduszce obok niej. Mój penis pulsował pragnieniem spełnienia.

- Pójdę wziąć szybki prysznic - powiedziałem, siadając.

- Nie - odparła, też się podnosząc i popychając mnie na dół. - Ja też chcę dać ci przyjemność. Musi być sprawiedliwie.

- Tenleigh - jęknąłem. - Naprawdę mnie zabijesz. Roześmiała się, a potem przesunęła tak, że jej ciało okryło moje.

Świetnie znała się na technikach tortur. W tym łóżku zastosowała na mnie wszystkie, co do jednej. Jakby na potwierdzenie moich słów, zaczęła się na mnie wiercić.

- Powiem wszystko, co chcesz wiedzieć - jęknąłem. -Wszystko.

Roześmiała się.

- Co? - Ale potem jej dłoń zsunęła się po mojej klatce piersiowej i straciłem zdolność mówienia.

Przesunęła się na bok, a jej dłoń przebiegła w dół mojego uda.

- Dotknij mnie, proszę. - Teraz to ja błagałem. I nie obchodziło mnie to.

Jej dłoń przesunęła się ostrożnie w górę uda, a potem w końcu, w końcu, chwyciła mojego fiuta, owinęła wokół niego swoje ciepłe palce i lekko go ścisnęła. Całe moje ciało pokryła gęsia skórka i znów jęknąłem, a we wnętrzu eksplodowała rozkosz. Otoczyłem jej dłoń swoją i pokazałem, jak poruszać w górę i w dół, tak jak lubiłem. Nachyliła się i pocałowała mnie, jej smak wypełnił moje usta, gładkie ciało ocierało się o moje, a dłoń przesunęła się w górę i w dół mojego kutasa. Pocałowała mnie poniżej linii szczęki, z boku szyi, jej oddech łaskotał moje ucho, a dłoń mnie głaskała. Tenleigh była tak niewinna, a jednak każdy jej ruch, każdy dotyk, każdy oddech na moim ciele były doskonałe, tak podniecające. Ledwo wytrzymałem dwie minuty, a nastąpiła eksplozja orgazmu, tak intensywna, że straciłem oddech i zadrzałem. Fale ekstazy stopniowo słabły, dłoń Tenleigh zwolniła, a mokre, lepkie palce rozluźniły uścisk.

Uśmiechnęła się do mnie. Byłem oszołomiony. Z trudem zdawałem sobie sprawę, gdzie się znajduję.

- O cholera - wymamrotałem wreszcie. Tenleigh roześmiała się i przytuliła do mnie w pasie.

- Nic dziwnego, że ludzie tracą dla seksu rozum - powiedziała. - To było niesamowite.

Roześmiałem się. Chciałem pokazać jej, jak fantastyczny może być seks. Chciałem, żeby ona pokazała mnie, jak fantastyczny może być seks. Bo byłem pewien, że z nią taki by był. Otrzeźwiałem. Niestety, nie mogło do tego dojść i musiałem to sobie stale powtarzać.

Przetoczyłem się na bok, Tenleigh również, aż znaleźliśmy się twarzami do siebie. Przejechałem palcem wzdłuż jej policzka, śledząc delikatną linię kości policzkowej.

- Rozgrzałaś się?

- Tak - wyszeptwała.

- Głodna? Skinęła głową.

- Może wrzucę szynkę do piekarnika? Mam ziemniaki. I zieloną fasolkę w puszcze.

Uśmiechnęła się.

- Brzmi jak doskonała świąteczna kolacja, panie Barrett.

- To dobrze, panno Falyn. Chodź. Weź ze sobą koc. Podnieśliśmy się, a ja poszedłem do łazienki, żeby się umyć,

i wróciłem do pokoju włożyć dzinsy. W domu było zimno, ale nie lodowato. Na całe szczęście miałem trochę węgla do żelaznego piecyka w salonie. Rozgrzeje dom na dzisiejszy wieczór, nawet jeśli miało to oznaczać, że będę marzył przez resztę tygodnia. Była tego warta. Tylko ta dziewczyna.

Zająłem się rozpalaniem ognia, a Tenleigh usadowiła się na kanapie opatulona kocem, jej twarz oświetlały lampki z małej choinki.

Włożyłem szynkę i ziemniaki do piekarnika i poszedłem usiąść z Tenleigh, podczas gdy kolacja się piekła. Dzisiejszego wieczora miałem zamiar pozwolić sobie na cieszenie się darami Dennville. W końcu było Boże Narodzenie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tenleigh

Zjedliśmy kolację, siedząc na podłodze przed piecykiem, a talerze postawiliśmy na stoliku kawowym. W całym moim życiu jedzenie nigdy nie smakowało tak cudownie. W domu było ciepło, miałam pełny żołądek i czułam się naprawdę szczęśliwa. Może nie powinnam pozwalać sobie na taką radość, ale nie mogłam nic na to poradzić. Mogłam przyjąć, że Kyland wkrótce wyjeżdża. Mogłam przyjąć, że nie będzie się za siebie oglądał. Ale czy mogłam dać sobie radę, jeśli zbliżę się do niego jeszcze bardziej? Pewnie nie. Coś mnie jednak ku niemu ciągnęło, coś, czemu nie potrafiłam się oprzeć, coś, co było tak przyjemne, że nie chciałam się temu opierać. Wreszcie zrozumiałam, co to pociąg. Wreszcie miałam posmak tego, co czuły mama i siostra - i wreszcie zrozumiałam, czemu Marlo nie chce doświadczyć bólu, jaki niesie koniec. A w mojej sytuacji zostałam zapewniona - i to niejednokrotnie - że koniec nastąpi. Może to i lepiej. Przynajmniej nie będę zaskoczona, kiedy spakuje walizki i wyjedzie. Zdążę

się na to przygotować. Ale jeśli to ja zdobędę stypendium, oboje spakujemy walizki... jednak każde oddzielnie. Mimo to chciałam być tu z nim. Czy myliłam się, sądząc, że trochę szczęścia teraz, jakkolwiek tymczasowe by było, warte jest późniejszego bólu?

- I kto teraz ma poważną minę?

Otrząsnęłam się i spojrzałam na Kylanda, po czym się roześmiałam.

- Łamię własną zasadę. - Znow parsknęłam cichym śmiechem.

Kyland zachichotał i zamilkł.

- Bardzo się cieszę, że tu jesteś. Dzisiejszy dzień był... niesamowity. Ty jesteś niesamowita. Chcę, żebyś to wiedziała.

- Czemu brzmi to tak, jakbyś chciał mnie wykopać? Kyland pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie. Mam nadzieję, że zostaniesz. Byłbym szczęśliwy, gdybyś spędziła ze mną dzisiejszą noc.

- ja też - wyszeptałam.

Kyland wypuścił powietrze i uśmiechnął się, jakby moja odpowiedź sprawiła mu ulgę.

Rozległo się pukanie do drzwi i oboje spojrzeliśmy po sobie ze zdziwieniem. Kyland zamarł, jakby rozważał, czy otworzyć, czy nie. Potem jednak zza drzwi do naszych uszu dotarły charakterystyczne dźwięki banjo. Roześmiałam się.

- Rany, bimber leje się strumieniami.

- O cholera - powiedział równie rozbawiony Kyland. Podeszedł do drzwi, a ja wstałam, owijając się kocem. Nie

byłam odpowiednio ubrana, ale znając stojącą pod drzwiami gromadkę i jej słabość do bimbru, nie spodziewałam się, żeby to zauważyli.

Kyland otworzył na oścież drzwi i stanęliśmy w nich roześmiani, słuchając, jak zespół zawianych tubylców wykonuje własną wersję *Pada śnieg*, gra na banjo i instrumentach

domowej roboty, a także donośnie śpiewa schrypniętymi głosami. Byli okropni i śmieszni. Głównie z powodu stopnia zalania. Nie umiałam pohamować uśmiechu. Byli u siebie.

Stara Sally Mae, której w ustach zostały całe trzy zęby, chwyciła Kylanda pod ramię i wytańcowywała z nim szaleńczo na dwa, wywijając nim dokoła i wywołując u niego głośny śmiech. Serce mi się ścisnęło na widok nieskrywanego szczęścia malującego się na jego twarzy. I na chwilę świat zwolnił, aż istniał tylko roześmiany Kyland trzymający Sally pod ramię. Radość na jego twarzy rosła wraz z każdym obrotem, a na zakończenie skłonił się jak dżentelmen, a ona dygnęła i puściła oczko. Oparłam się o framugę drzwi.

Poczęstowali nas łykiem bimbrowa z dzbana. Wzięłam kilka palących łyčzków czegoś, co według mnie smakowało jak kwas z baterii, i się rozkaszałam. Kyland podobnie, wykrzywił twarz i wierzchem dłoni otarł usta. Potem banda ruszyła tanecznym krokiem w dół zaśniezonej drogi, a podzwanianie instrumentów wtopiło się stopniowo w bezchmurną zimną noc.

Kyland zamknął drzwi i wyciągnął do mnie rękę. Złapałam ją, wciąż podtrzymując wokół siebie koc. Zawirował mną tak jak Sally Mae, a ja zachichotałam i padłam na jego umięśnioną pierś. Miał cudowne ciało. Było muskularne, ale szczupłe, z szerokimi ramionami i wąską talią. Nie miało być moje wiecznie, ale póki mogłam, zamierzałam się nim cieszyć.

- Wariaci - powiedział Kyland, posyłając mi sardoniczny uśmiezek.

- Tak - zgodziłam się ze śmiechem. - Ale fantastyczni. Kyland zaciągnął mnie do swojego pokoju, gdzie padliśmy

roześmiani na jego łóżko. Pocałował mnie, a w miarę jak pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, poważnieliśmy. Westchnęłam, owinęłam mu ramiona wokół szyi i wsunęłam palce we włosy.

Jęknął i sam ten odgłos wywołał mrowienie między moimi nogami. Czy seks działał tak na wszystkich? Jakim cudem pary, które naprawdę były w sobie zakochane, w ogóle wychodziły z domu? Gdyby Kyland był mój - gdyby był mi obiecany, gdybyśmy mieszkali razem w tym domu - chciałabym zatrzymać go tu cały dzień. Zachichotałam prosto w jego usta, a on się odsunął.

- Z czego się śmiejesz?

- Z niczego. Po prostu lubię seks.

- Jeszcze nie uprawiałaś seksu - powiedział, pocierając nosem o mój nos.

- Mógłbyś temu zaradzić - zasugerowałam. - Moja siostra daje mi pigułki, odkąd sama je zażywa. Dostaje opakowania z bezpłatnej kliniki. Biorę je regularnie. - Czułam się niepewnie, nieśmiało, informując go o tym, ale jeśli antykoncepcja stanowiła po części powód jego wahania, chciałam, żeby wiedział, że nie musi się przejmować.

- Tenleigh - jęknął.

- Chcę cię, Kylandzie. Chcę, żebyś był tym pierwszym. Nie obchodzi mnie, że potem wyjedziesz.

- Nie. Nie, nie mów tak. Nie czuj tak. Mnie obchodzi. Ja tak nie mogę.

- Pokręcił głową dla podkreślenia słów. Założył mi pasmo włosów za ucho. - Tenleigh, któregoś dnia spotkasz mężczyznę, który będzie chciał ułożyć sobie z tobą życie, mężczyznę, który będzie chciał dać ci wszystko, co ma do ofiarowania. Nie zabiorę czegoś, co powinno należeć do niego. Nie zabiorę czegoś, co powinnaś dać mu w prezencie. -Jego słowa przepelniała czułość, ale szczęki miał zaciśnięte.

Odepchnęłam go, czując nonsensowne zranienie i złość.

- Masz prawdziwy dar psucia chwili, wiesz? - Wstałam, owijając się kocem. - Jaka dziewczyna chce słuchać o innym facecie, kiedy ten, którego w tym momencie pragnie, właśnie ją całuje? Teraz powiesz mi pewnie o kobiecie, którą pewnego

dnia, gdy już stąd wyjedziesz, uznasz za wartą oddania jej siebie. Czy o niej też muszę słuchać? Pewnie będzie wyrafinowana i obyta. Może ktoś z nowojorskiej socjety? Będzie się wyrażała jak dama, a nie prostytutka z Kentucky? Będzie nosiła perły i piła herbatę, odginając mały...

- Tenleigh. Przestań. Nie to miałem na myśli. Możesz mnie przez chwilę posłuchać? Jezu, robisz się zła po bimbrze. - Przeklął cicho, usiadł prosto i przegarnął włosy. - Nie rozumiesz, jaki to byłby błąd? Kobieto!

- Teraz jestem błędem? - wysyczałam, do głębi zraniona. Sięgnęłam po najbliższy przedmiot i cisnęłam w niego. Niestety była to poduszka, a on ani drgnął. Rozejrzałam się wokół, ale jedyną rzeczą, jaką miałam w zasięgu ręki, była kolejna poduszka. Nią też w niego rzuciłam.

Kyland wstał i objął mnie w talii, siłą położył na łóżku, gdzie mnie przytrzymał, po czym na mnie usiadł. Wyrywałam się i biłam go, ale nic go nie ruszało. Nie oparł na mnie całego swojego ciężaru, ale był silny jak byk i nie miał zamiaru mnie puszczać, dopóki sam o tym nie zadecyduje.

- Skończyłaś? - spytał łagodnie. Rzuciłam mu wrogie spojrzenie. - Posłuchasz mnie przez sekundę? Chodziło mi o to, że... nie wyszło to zbyt dobrze. - Odwrócił wzrok, jakby przeczesywał własne myśli. - Chodziło mi o to, że seks zmieniłby naszą relację do tego stopnia, że nie moglibyśmy tego odwrócić. Czuję to i myślę, że ty też to czujesz.

Przestałam się wyrywać.

- Poradzę sobie.

- Nie chcę, żebyś musiała sobie radzić.

- To tylko seks, Kylandzie. Pokręcił głową.

- Nie między nami. Cholera, nawet całowanie nie jest zwykłym całowaniem. - Wyglądał na zboląłego, jakby to była bardzo zła wiadomość.

- Uprawiałeś seks z innymi dziewczynami. Pokręcił głową.
- Ty jesteś inna. Nigdy nie byłem dla nikogo pierwszy. Byłem... z dziewczynami, owszem, ale nigdy w sposób, który uważałbym za niesprawiedliwy. Gdybyśmy się ze sobą przespali, to byłoby nie *fair* dla nas obojga.

Chyba powinnam być szczęśliwa, że tak wysoko mnie ceni. Ale jedyne, co czułam, to urazę i zazdrość, że nie zrobi ze mną tego, co robił z mnóstwem innych dziewczyn.

- Dobra. Puść mnie - powiedziałam naburmuszona.

- Tenleigh - jęknął, podnosząc oczy do nieba, jakby czuł się kompletnie sfrustrowany. - Uparta złoźnica - wymamrotał, ale w jego głosie słychać było uśmiech.

Parsknęłam i znów zaczęłam się wrywać, ale Kyland pochylił się i przyłożył swoje usta do moich. Wydałam z siebie odgłos protestu, ale zaprzeczało mu moje ciało przywierające do jego ciała i palce, które wplotłam w jego włosy, by przyciągnąć go mocniej do swoich ust. Całował mnie namiętnie i pożądliwie. Zaczęłam ocierać się o niego, by uzyskać zaspokojenie, którego potrzebowałam.

Nagle Kyland mnie puścił, zdarł ze mnie koc, a z siebie ubranie. W mgnieniu oka znalazł się z powrotem na mnie, a kiedy dostrzegłam jego członek sterzący przed nim sztywno, pomyślałam, że może zmienił zdanie. Położył się na mnie i rozwarł moje nogi.

Jęknął, jakby ogarnął go ból, i zsunął się po moim ciele. Otwarłam szeroko oczy, gdy poczułam jego ciepły, wilgotny język dotykający moich najwrażliwszych rejonów. Rozpostarłam ramiona i zacisnęłam pięści na pościeli, odrzuciłam do tyłu głowę i przeciągle jęknęłam.

- Kylandzie - wydyszałam, podczas gdy on krążył językiem wokół mojej nabrzmiałej łechtaczki. Miałam wrażenie, że zaraz zacznę krzyczeć z rozkoszy.

Chwyciłam jego głowę i przywarłam bezwstydnie do jego twarzy, aż nie mogłam już powstrzymać ekstazy, która mną zawładnęła, wyginając mi plecy i zmuszając do wykrzykiwania raz za razem imienia Kylanda.

Kiedy podniosłam ociężałe powieki, Kyland znajdował się nade mną.

- Znów jesteśmy przyjaciółmi? - spytał z szerokim uśmiechem.

Ujęłam jego policzek w dłoń i powiedziałam bardzo poważnie:

- Nigdy nie byliśmy tylko przyjaciółmi. Spowaźniał.

- Wiem.

Uśmiechnęłam się.

- Ale jesteś w tym dobry. Wtulił głowę w mój policzek.

- Wiem.

Odepchnęłam go i zachichotałam.

- Żartowałam.

- Wcale nie.

- No dobra, nie żartowałam.

Spowaźniałam. Nie podobała mi się myśl, w jaki sposób nabrał w tym takiej wprawy. Moją pierś rozpalala żywym ogniem kula zazdrości i znów nabrałam ochoty do rzucania różnymi przedmiotami.

- Chodź tu - powiedział, naciągając na siebie koc i trzymając go do góry, żebym mogła się obok niego wsunąć.

Zrobiłam to. Wtulił się we mnie od tyłu i opatulił nas kocem. Czułam jego wzwód przyciśnięty do moich pośladków. Poruszyłam się, a on syknął. Sięgnęłam za siebie, by go dotknąć, ale przytrzymał moją rękę na biodrze.

- Chcę cię po prostu przytulić - wyszeptał mi do ucha.

- Ale...

- Chcę cię przytulić - powtórzył.

Zawahałam się, ale wtuliłam się z powrotem w jego pierś.

- Czy - przygryzłam wargę - przytulałeś tak inne dziewczyny? - odważyłam się zadać pytanie. Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Tak rozpaczliwie pragnęłam mieć choć j akąś j ego część, którą nie dzielił się z innymi dziewczynami.

- Nie - powiedział cicho. - Tylko ciebie.

Znow się rozluźniłam, a moją pierś wypełniła radość. Otulił mnie ramieniem i przyciągnął jeszcze bliżej. Był ciepły i duży, a ja uległam mu, czując się bezpiecznie i bardzo, bardzo przyjemnie. Westchnęłam, a on pocałował mnie w ramię.

- Śpij, mała złośnico - wyszeptał.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeliśmy i zastanawiałam się, czy zasnął.

- Nie będę tego żałowała, kiedy wyjedziesz - wyszeptałam. Przez chwilę słychać było jedynie wiatr za oknem. A potem odezwał się bardzo cicho:

- Ja też nie.

Zapadłam w spokojny sen, a kiedy w środku nocy obudziła mnie dłoń Kylanda błędząca leniwie między moimi nogami, westchnęłam i otwierałam oczy, wpatrując się przez okno w sypiący łagodnie śnieg. Doprowadził mnie do orgazmu, a ja się odwzajemniłam, masując go, dopóki i on nie wydyszał i nie wyjęczał własnego szczytu, wykrzykując w ciemnościach pokoju moje imię.

Głęboką nocą usłyszałam coś, co przypominało płacz, i obudziłam się zaplątana w Kylanda, którego skóra była lepka, a mięśnie napięte.

- Kylandzie - wyszeptałam, lekko nim potrząsając. Obudził się gwałtownie. - Coś ci się śniło.

Wciągnął głęboko powietrze.

- Tak.

- Co takiego? - Przeczesałam palcami jego włosy.

Zawahał się, ale potem odpowiedział:

- Oni. Tam, na dole, zakopani żywcem pod ziemią. Czasem mi się śnią. I mam wrażenie, że się duszę.

Wtuliłam się w jego ciało i wzięłam go w ramiona, obejmując z całych sił.

- Przykro mi. Wypuścił głośno powietrze.

- Żyli jeszcze trzy dni, zanim skończył się tlen. Trzy dni. Tego nie wiedziałam. Słyszałam, że zorganizowano akcję

ratunkową i że kiedy ich znaleziono, nikt już nie żył. Nie byłam świadoma, że dało się stwierdzić, iż żyli przez trzy dni. Zadrżałam, wyobrażając sobie, jakie to musiało być uczucie.

- Czy to dlatego masz...

- Klaustrofobie? - Zamilkł. - Częściowo. Kiedy miałem siedem lat, bawiliśmy się z bratem w chowanego, w lesie obok domu Privensów. Zawsze bawiliśmy się na dworze... - Odchrząknął i ciągnął dalej: - Tak czy siak, na granicy ich ziemi stała stara lodówka, więc się w niej schowałem. Zatrzasnęła się i nie mogłem się wydostać. - Na samo wspomnienie jego głos stał się zduszony, pocałowałam go więc w pierś i ścisnęłam jeszcze mocniej. - W końcu mnie znaleźli, ale minęły długie godziny i sądziłem, że tam umrę. Jakbym był pochowany żywcem. A potem, kiedy ojciec i brat zmarli, jak zmarli, znów poczułem to samo i wyobraziłem sobie cierpienie i grozę, jakich musieli doświadczyć. Nagle małe przestrzenie zaczęły doprowadzać mnie do ataków paniki. Czasem nawet pod prysznicem... nie mogę zaciągać zasłony. - Zaśmiał się niepewnie. - Absurd.

Pokręciłam głową przyłożoną do jego piersi.

- To nie jest absurd. Ani trochę.

Przytulił mnie i głaskał moje ramię, a ja rozmyślałam o tym, jak bardzo był samotny... i jak długo...

- Kylandzie?

- Hmm?

- Jak... to znaczy, w jaki sposób... przetrwałeś cały ten czas? Skąd masz pieniądze na jedzenie? Ogrzewanie?

Przez chwilę milczał.

- Nie lubię o tym rozmawiać, Tenleigh. Czuję się przez to... w pewnym sensie chyba obnażony.

- Nie musisz. Nic się nie stało. - Słowa wypływały z moich ust pospiesznym szeptem. Och, Kylandzie. Czym się zajmujesz? W jaki sposób się utrzymujesz? Pocałowałam jego nagą skórę, pozwalając ustom pozostać na niej dłuższą chwilę.

Przez jakiś czas oboje milczeliśmy. Wreszcie, bardzo cicho, odpowiedział:

- Robię, co trzeba. W weekendy zbieram metalowe odpady. Ustawiam pułapki na piżmaki i króliki, po czym sprzedaję upolowane zwierzęta albo je jem, jeśli muszę. Zbierałem nakrętki od butelek... robię, co trzeba. Zwykle daję sobie radę. Czasem mam nawet trochę pieniędzy na prąd. Czasem nie. Koniec miesiąca jest zawsze najcięższy, kiedy już opłaciłem te rachunki, które mogłem, i nic mi nie zostało.

Nie rozplączę się. Nie rozplączę się.

Podzielił się właśnie ze mną intymną częścią swojego serca. Wiedziałam lepiej niż ktokolwiek, że to, co się robi, żeby przetrwać, stanowi kwestię najbardziej osobistą - walka o przeżycie uczy takiej pokory, że nie chcesz, by inni o tym wiedzieli. Bo czasem jest ona nie do opisania. Czasem jest brzydka i wstydliva, i piękna, i pełna odwagi, a wszystko to naraz. A on właśnie podzielił się tym ze mną. Czułam smutek, przerażenie, ból, ale również wdzięczność. Przytuliłam go mocniej.

- Jesteś niesamowity - powiedziałam. - I bardzo, bardzo dzielny.

- Nie jestem dzielny, Tenleigh. Wstaję i żyję swoim głównianym życiem. Jaki mam wybór?

Zamilkłam, zastanawiając się nad tym, że istnieją tysiące sposobów, na jakie człowiek może się poddać, a Kyland nie

wybrał żadnego z nich. Nie miał pojęcia, jak dalece był silny i odważny.

- Hej, Tenleigh - wyszeptał po chwili.

- Tak?

- Ta książka, *Droga*⁷.

- Hmm? - wymruczałam, przypominając sobie jego kiepski dowcip z użyciem słowa „pochłaniać” w odniesieniu do książki o kanibalach. Uśmiechnęłam się sennie.

- Jest tam taki fragment o podtrzymywaniu płonącego we wnętrzu ognia, „choć nikły, choć ukryty”.

- Tak - odparłam łagodnie.

- Myślę czasem o tym zdaniu. Myślę, że ten nikły ogień to nadzieja. Trzeba go podtrzymywać, żeby przetrwać trudne czasy, czasy, które zdają się tak bolesne, że nie chcesz już dłużej żyć.

Otwarłam oczy.

- Co podtrzymuje twój ogień?

- Nadzieja, że życie nie zawsze będzie sprawiało tak ogromny ból. Wiara, że któregoś dnia się stąd wyniosę, że nie będę głodny i zmarznięty w nieskończoność. To dodaje mi sił. To mój ogień. Pomaga mi robić to, co trzeba, żeby przetrwać, i pomaga mi mniej sobą gardzić.

Och, Kylandzie.

Skinęłam głową i jeszcze raz pocałowałam jego pierś. Otoczył mnie ramieniem i mocno do siebie przytulił.

Po kilku minutach jego oddech stał się miarowy i wiedziałam, że zapadł z powrotem w sen. Długo leżałam tak w ciemności, rozmyślając o niezwykłym chłopcu, jakim Kyland zmuszony był zostać - by przetrwać wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Do tej chwili nie sądziłam, że moje serce mogą dokładnie w tym samym czasie przepełniać podziw i żal, radość i smutek.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tenleigh

Wyszłam następnego dnia z samego rana, ubrawszy się w lodowatym porannym powietrzu i pocałowałaś śpiącego Kylanda na pożegnanie. Nie miał więcej złych snów, ale nie chciałam go budzić. Nie spał większą część nocy. Fala ciepła zalała moje ciało na wspomnienie tego, co przeżyliśmy razem w jego łóżku. Miałam ochotę zanurkować z powrotem pod tę ciepłą pościel i od nowa doświadczyć każdej chwili. Ale nie wiedziałam, o której Marlo wróci do domu, a chciałam być na miejscu, kiedy przywiezie mamę. Wymknęłam się więc cicho z jego domu, zamykając za sobą drzwi.

Zostawiłam u niego choinkę. Drżąc z zimna, ruszyłam przez zasy do naszej przyczepy. Dzisiejszego ranka świat wydawał mi się jakiś odmieniony. Mróz był mroźniejszy, powietrze świeższe, sosny bardziej wonne, a błękitne niebo jaśniejsze. Czułam, że żyję.

Wpadłam do środka i włączyłam grzejniki na tyle, żeby wewnątrz zrobiło się znośnie. Wzięłam szybki prysznic

i zmieniałam ubranie na czyste, wkładając na siebie swetry i dwie pary znoszonych wełnianych skarpet. Podpięłam włosy w niechlujny kok na czubku głowy, żeby mokre kosmyki mnie nie chłodziły.

Poszłam do kuchni i przegrzebałam szafkę. Znalazłam owsiankę, więc przyrządziłam ją z dodatkiem cynamonu i zjadłam na kanapie owinięta kocem.

Moje myśli natychmiast skupiły się na Kylandzie. Rozmyślałam o wszystkim, czego się o nim wczoraj dowiedziałam. Myślałam o samotności, z jaką musiał się mierzyć. O tym, ile kosztowało go przetrwanie, i serce mi się ścisnęło. Zastanawiałam się, czy wciąż śpi. Miałam taką nadzieję. Zastanawiałam się, co się teraz między nami stanie. Nie byłam pewna, czy powinnam się czegokolwiek spodziewać. Może wczorajsza noc była jednorazowym doświadczeniem. Na samą myśl poczułam głębokie rozczarowanie.

Tenleigh, nie bądź głupia. To się nie skończy dla ciebie dobrze, jeśli będziesz miała na cokolwiek nadzieję.

Westchnęłam i włożyłam do ust kolejną łyżkę owsianki. Wyłożył mi wszystko dobitnie. Nie mogłabym powiedzieć, że obiecywał mi cokolwiek ponad to, co przeżyliśmy zeszłej nocy. A z tego, co zrozumiałam, nawet temu opierał się, dopóki był w stanie. Nie chciał się w nic angażować. W nic, czyli we mnie. A całowanie mnie - dzielenie się ciałami - niczego nie zmieniało. Czy byłam w stanie sobie z tym poradzić? Nie miałam wyboru. Szczerze zaproponował to, co mógł, a ja to przyjąłam. Musiałam sobie poradzić, czy mi się to podobało, czy nie.

Może przesadnie komplikowałam całą sytuację z powodu damsko-męskich doświadczeń mamy i siostry. Czy nie mogłam cieszyć się chwilowo Kylandem, a potem, kiedy przyjdzie na to pora, pozwolić naszym drogom się rozejść? Odczuwałabym zapewne smutek - może nawet uroniła parę łez - ale

potem żyłabym dalej, podobnie jak on. W miarę upływu czasu wspomnienia się zatrą.

Miał pewnie rację, że ograniczał nasze relacje erotyczne. Może myślał o całej sprawie trzeźwiej niż ja. W końcu miał większe doświadczenie. Zmarszczyłam brwi. Czy nadal będzie się spotykał z innymi dziewczynami? Czy miałam prawo prosić, by tego nie robił? Nie, nie miałam prawa. Zalała mnie fala bólu na myśl o nim z inną dziewczyną w jego łóżku, robiących to, co myśmy robili.

Odstawiłam pustą miskę na stolik i otuliłam się ramionami. Jak widać, już kiepsko radziłam sobie z oddzielaniem ciała od serca.

Z zewnątrz dobiegły mnie odgłosy silnika, zatrzaszkiwanych drzwi i kroków. Podskoczyłam, otwierając drzwi na oścież.

Marlo, Sam i podtrzymywana przez nich mama byli niemal na progu.

- Mamo - wyszeptałam na jej widok, wyciągając rękę za drzwi i pomagając jej wejść po schodkach.

Posłała mi nikły, zmęczony uśmiech i weszła do przyczepy. Marlo i Sam podążyli za nią. Odsunęłam pospiesznie na bok kanapy koc, którym się okrywałam, i zrobiłam miejsce dla mamy.

- Kochanie, muszę się położyć - odezwała się słabym głosem.

- Oczywiście, mamo - wyszeptałam, rzucając zmęczonej Marlo pytające spojrzenie. Ona jednak się uśmiechnęła i skinęła głową na znak, że z mamą wszystko dobrze.

Zaprowadziłam mamę do maleńkiej sypialni, którą dzieliła z Marlo na tyłach przyczepy, a ona położyła się na łóżku. Zdjęłam jej buty i przykryłam ją kocem. Westchnęła.

- Dziękuję, Tenleigh. - Wyciągnęła do mnie rękę. Wzięłam ją i usiadłam obok na łóżku. Jej twarz przepełniał smutek. -Tak mi przykro, kochanie. Tak bardzo cię przepraszam.

Pokręciłam głową, a oczy zaszły mi łzami.

- Chcę tylko, żebyś poczuła się lepiej, mamó - powiedziałam.

- Ja też. Nie wiem tylko, jak to zrobić. Wszystko jest takie pogmatwane. Ja jestem pogmatwana. Próbuję nad tym zapanować, kochanie, naprawdę. Ale kiedy nadciąga ciemność... -Urwała, kręcąc głową i zaciskając powieki.

- Kocham cię, mamó. Cokolwiek by się działo, kocham cię. Z jej oczu popłynęły łzy.

- Wiem, skarbie. I to mi pomaga. Naprawdę. - Obróciła się na bok, jakby miała na razie dość rozmowy, śpiąca i zapewne na lekach.

Odgarnęłam jej ciemne włosy z twarzy i obserwowałam, jak jej piękne rysy rozluźnia sen. Siedziałam tam przez kilka minut, zbierając w sobie siły, po czym zostawiłam ją, by odpoczęła, zamykając za sobą drzwi sypialni.

- Jest chyba w lepszym stanie - powiedziałam cicho do siostry.

Marlo i Sam siedzieli na kanapie. Łokcie Sama spoczywały na jego udach, a on rozglądał się po przyczepie z nieco skonsternowaną miną. To miejsce bez wątpienia wyglądało w jego oczach na norę.

- Jest. Na razie - odparła Marlo i westchnęła.

Już to przerabialiśmy. Jak długo będzie w lepszym stanie, pozostawało tajemnicą.

- Sam, dziękuję za pomoc w ten weekend - powiedziała Marlo, wstając i ewidentnie go odprawiając.

Uniósł brwi, jakby nie spodziewał się tego natychmiastowego wyrzucenia, jednak jako dżentelmen podniósł się do wyjścia.

- Nie ma za co. Jesteś pewna, że nie trzeba ci... ? - Urwał, niepewny, co dokładnie proponuje.

- Damy sobie radę. Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

To było niezręczne.

- Bardzo ci dziękuję, Sam - powiedziałam, wyciągając do niego rękę, i uśmiechnęłam się ciepło. - To ogromnie miłe z twojej strony...

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Zerknął nieśmiało na Marlo, która obgryzała paznokcie. - Gdybyście czegokolwiek potrzebowały, dzwońcie do mnie o każdej porze.

Skinęłam głową, a Marlo ruszyła w kierunku drzwi.

- Aha - powiedział, obracając się, tak że niemal na nią wpadł.

Oboje roześmiali się z zażenowaniem, a na jego policzki wypłynął rumieniec. Był naprawdę przystojnym mężczyzną, w typie jajogłowego z tymi jego okularkami i przedziałkiem, ale z pewnością miał potencjał. Jeśli brało się pod uwagę jego niezręczne zachowanie i bełkotanie, wyglądało na to, że Marlo naprawdę mu się podoba.

Wyjął z kieszeni coś, co wyglądało na siatkę z apteki.

- Zadbaj, żeby wasza mama brała je według zaleceń. Lekarz sprawiał wrażenie optymistycznie przekonanego, że ta mieszanka dobrze na nią zadziała.

Byłyśmy już kiedyś pełne optymizmu. Marlo skinęła głową.

- Dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

Zawahał się przez moment, potem jednak uśmiechnął się i skinął nam głową, a następnie wyszedł za drzwi przyczepy i zamknął je dokładnie za sobą. Kilka sekund później usłyszałyśmy, jak jego samochód rusza.

Marlo opadła na kanapę i wydała z siebie przeciągłe westchnienie.

Usiadłam obok niej i zwróciłam się w jej stronę. Spojrzała na mnie z ukosa.

- Powinnam być na ciebie wściekła, siostrzyczko.

- Ale nie jesteś? - spytałam.

Z zamyśloną miną wzięła głęboki oddech.

- Chyba nie. Sam jest... porządnym facetem, dość nieszkodliwym, jak sądzę. - Przechyliła głowę i przygryzła wargę. - I bardzo mi pomógł przy mamie.

Skinęłam głową.

- Wyglądała na zmęczoną, ale w lepszej kondycji.

- Sam tytuł doktora, a może to, że jest mężczyzną, pozwolił mu dowiedzieć się od lekarzy z piętra mamy znacznie więcej, niż udało się to którejkolwiek z nas. Dali mamie nową mieszankę, która ich zdaniem jej pomoże.

Zmarszczyłam brwi.

- Mieszankę leków... więcej niż jeden... czyli...

- Nie będzie nas na nie stać, wiem. - Wyglądała na zmartwioną. - I może wcale nie zadziała lepiej. Ale doktor Nolan, Sam, zapłacił za drugi lek, mimo że prosiłam, by tego nie robił. - Spojrzała na mnie z miną niemal winowajcy. - To dla mamy, więc mu pozwoliłam. - Spuściła wzrok i znów przygryzła wargę.

- Dobrze zrobiłaś, Mar - powiedziałam. Wiedziałam jednak, że więcej tego nie zrobi.

A poza tym, tak jak mówiła, może nowa kombinacja leków i tak niczego nie zmieni. Bóg jeden wiedział, że wypróbowałyśmy już wystarczająco wiele leków, które ani trochę nie pomagały mamie, a niektóre nawet pogarszały jej stan.

Przyjrzałam się Marlo.

- Co do Sama... uważam, że naprawdę mu się podobasz. Prychnęła pogardliwie.

- Pewnie, do czasu.

- Marlo...

- Nie, posłuchaj. Jest porządnym facetem i dobrze wygląda... Ale odniósł sukces. Nawet nie pasuje do tego miejsca. Nie tak naprawdę. - Zamilkła w zamyśleniu. - Choć dzięki niemu czas szybciej płynął i za to jestem wdzięczna.

- Dzięki, że wzięłaś to tym razem na siebie - powiedziałam. - Straciłaś święta...

Spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Ja przynajmniej miałam towarzystwo. A ty byłaś sama jak palec w tej przyczepie. - Chwyła mnie za rękę. - Pomyślałam, że spędzisz czas na czytaniu. Dałaś sobie radę?

Spuściłam wzrok, a policzki zaczęły mnie parzyć.

- Co to za mina?

Podniosłam oczy i otwierałam usta, żeby coś powiedzieć, ale się zawahałam.

- Tenleigh... - W głosie Marlo brzmiało ostrzeżenie, że powinnam zacząć gadać i to szybko.

Uśmiechnęłam się nerwowo.

- Nie byłam całkiem sama. I nie byłam właściwie tutaj. Jej oczy zrobiły się wielkie.

- Co? To gdzie, do licha, byłaś?

Wiedziała już, że Kyland odprowadził mnie do domu. Niechętnie opowiedziałam jej o wszystkim, co się wcześniej wydarzyło, jak niedawno spotkałam go po raz pierwszy, chociaż chodziliśmy do tej samej szkoły i mieszkali tak blisko, o tym, co zaszło w bibliotece, o przedstawieniu... Była moją siostrą, moją najlepszą przyjaciółką. Opowiedziałam jej o wszystkim.

Kiedy skończyłam, przyglądała mi się przez chwilę.

- Rany, Tenleigh. Wiele mnie ominęło, kiedy siedziałam w poczekalni. - Zamilkła, jakby rozważając to, co usłyszała. - Przynajmniej powiedział ci uczciwie, na czym stoisz. Przynajmniej wiesz, że wyjeżdża. Nie próbuje cię namówić na nic podstępem, a potem zniknąć, jak większość z nich.

Skinęłam głową ze smutkiem. Nie dało się zaprzeczyć, że takie było do tej pory nasze zbiorowe doświadczenie, ale coś we mnie i tak chciało się z tym kłócić. Coś w moim wnętrzu mimo wszystko pragnęło wierzyć, że niektórzy mężczyźni byli dobrzy i honorowi. I że czasem zostawali.

Tyle że Kyland nie zamierzał zostawać. Dał to nadzwyczaj wyraźnie do zrozumienia.

- Poradzisz sobie, Ten? - spytała łagodnie Marlo.

- Nie wiem - odparłam szczerze. - Ale być może na tym się wszystko skończy. No wiesz, Boże Narodzenie to samotny czas, a my czuliśmy to przyciąganie... - Przejechałam palcem po wardze, wspominając dotyk jego ust na swoich. - Może po prostu zgraliśmy się w czasie, wiesz? Na tym może się zakończyć mój niezwiązek z Kylandem Barrettem. - Wyprostowałam się. Nic mi nie będzie. Jak zawsze. Nic mi nie będzie, bo nie mam innego wyjścia.

Marlo uśmiechnęła się i ścisnęła moją rękę.

- Idę pod prysznic, a potem położę się z mamą - powiedziała i wstała, ziewając. - Prawie nie spałam w szpitalnej poczekalni. Choć wygląda na to, że ty też wiele nie pospałaś.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi łazienki, usiadłam znów sama na kanapie. Po kilku minutach wzięłam książkę i się położyłam. Miałam kłopoty z koncentracją, myśli na temat Kylanda kłębiły mi się w głowie, a moim sercem owładnęło uczucie melancholii.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tenleigh

Ktoś pukał cicho do drzwi przyczepy. Otrząsnęłam się z głębokiego snu i usiadłam. Otaczał mnie nieprzenikniony mrok. O co chodzi?

Pukanie rozległo się ponownie. Owinęłam się kocem i prawie szeptem spytałam tuż przy drzwiach:

- Kto tam?

- Kyland.

Serce mi podskoczyło. Otwarłam drzwi. Na progu stał Kyland w płaszczu i czapce, z rękami wsuniętymi do kieszeni i nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Cześć. - Uśmiechnęłam się sennie. - Co tu robisz? - spytałam, zerkając przez ramię na wnętrze przyczepy.

- Ja, hmm, chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

Zmarszczyłam brwi, otulając się ciaśniej kocem, bo wychładzało mnie zimne powietrze płynące z zewnątrz.

- A czemu miałoby nie być? - spytałam.

Zamrugął.

- Ee, pomyślałem, że twoja mama wróciła. No wiesz, chciałem tylko sprawdzić, czy ty... ona...

- W środku nocy? Mogłeś wpaść w ciągu dnia.

Kyland spojrział na czarne rozgwieżdżone niebo, jakby właśnie się zorientował, że jest noc. Przeniósł wzrok z powrotem na mnie, z miną zawstydzoną i niepewną. Przechyliłam głowę i obserwowałam go stojącego tak pod zimowym niebem. Jego oddech parował w zimnym powietrzu.

- Czujesz się samotnie, Kylandzie? - spytałam cicho. Obruszył się.

- Co? - Potrząsnął głową. - Nie, to znaczy, nie dlatego tu jestem. Nie przyszedłem tu dla siebie. Przyszedłem dla ciebie.

Przechyliłam głowę i oblizałam dolną wargę. Jego wzrok spoczął na niej. Kyland przełknął ślinę.

- Nie ma nic złego w pragnieniu od czasu do czasu czegoś dla siebie.

Nie ma nic złego w tym, że mnie pragniesz. Mam nadzieję, że pragniesz. Boże, mam nadzieję. Skinął głową.

- Wiem, pomyślałem tylko, że pewnie będziesz się opiekować mamą... Jak się czuje?

- W porządku. Lepiej. Wstała i pomogła zrobić kolację. To dobry znak.

Przytaknął i oboje zamilkliśmy. Przeształ z nogi na nogę.

- Powinnaś kazać mi odejść, Tenleigh. I to z naciskiem. Powiedz, żebym sobie poszedł, bo sam nie potrafię.

Zamrugalam.

- Nie chcę, żebyś sobie szedł.

Wypuścił głośno powietrze i znów przestąpił z nogi na nogę.

- Chcesz, żebym do ciebie przysła? Spojrział mi prosto w oczy.

- A mogłabyś? To znaczy, możesz? Mogłabyś? Skinęłam głową.

- Tak. Zaczekaj. - Weszłam do środka i zamknęłam cicho drzwi.

Napisałam pospieszny liścik do Marlo, wiadomość, że poszłam do Kylanda i wrócę rano. Usprawiedliwi mnie przed mamą. Nie rozmawiałyśmy z nią o takich rzeczach. Jakoś tak wyszło. A teraz dziwnie byłoby zaczynać.

Miałam na sobie spodnie dresowe i bluzkę z długim rękawem, wciągnęłam więc tylko po cichu botki i kurtkę i wyszłam z przyczepy.

Mina Kylanda, kiedy już znalazłam się na zewnątrz, wyrażała czystą ulgę.

- Jesteś pewna, że nic się nie stanie? - spytał.

- Tak, spokojnie. Rozumiem, że jeszcze nie nasyciłeś się moim ciałem - droczyłam się.

Przystanął ze zboląłą miną.

- Tenleigh, nie, nie dlatego przyszedłem. Nie przyszedłem, żeby cię wykorzystać. Po prostu... wczorajsza noc z tobą była taka... i nie mogłem, i pomyślałem, że może nie mogłaś... -Roześmiał się bez większego rozbawienia, unosząc głowę i marszcząc brwi. - Kompletnie bełkoczę. Obudziłem się w środku nocy...

- W porządku. Mnie też podobała się wspólna noc. Samo spanie. - Uśmiechnęłam się. - To znaczy, szczególnie podobały mi się inne rzeczy, ale samo spanie też było przyjemne. Możemy więc od razu do niego przejść? Jest późno. O ile skończyłeś już się zadreć rozpamiętywaniem.

Przystanął, potarł kark i roześmiał się cicho.

- Nie zadreć się. Parsknęłam.

- Och, zadreć się, zadreć się. Mógłbyś udzielać z tego korepetycji. Możliwe, że jesteś czołowym ekspertem w tej

dziejninie. - Byłam niemal zaskoczona własnym poczuciem humoru i umiejętnością rozładowania atmosfery, ale czułam się naprawdę szczęśliwa, że go widzę. Byłam też szczęśliwa, że on chce widzieć mnie.

Znow się zaśmiał i chwycił mnie w marszu za rękę. Aura zrobiła się lżejsza.

Pięć minut później stanęliśmy u drzwi jego domu.

W milczeniu poszliśmy do łóżka. Zdjęłam buty i kurtkę, po czym rozebrałam się do bielizny. Byliśmy ze sobą tylko raz, pieściliśmy się tylko jedną noc, ale z jakiegoś powodu czułam się już przy nim swobodnie.

Rozebrał się do bielizny i położył koło mnie pod kołdrą. Przyciągnął moje plecy do swojej piersi i wtulił nos we włosy. Wypuścił powietrze tak, jakby gromadził je od wielu godzin. Otuliłam się jego ramionami i przytuliłam go.

- Dziękuję - wyszeptał schrypniętym głosem, w którym pobrzmiwało coś na kształt... desperacji.

Odwróciłam się do niego z troską. Spojrzał na mnie w półmroku pokoju, a w jego oczach dostrzegłam ból, którego nie potrafiłam nazwać. Zmarszczyłam brwi i położyłam mu dłoń na policzku.

- Kylandzie... - zaczęłam. Przerwał mi, kręcąc głową.

- Przepraszam - powiedział.

- Za co? - wyszeptałam.

- Za to, że nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka. Za to, że nie potrafię przestać o tobie myśleć. Za to, że od momentu, kiedy się obudziłem, a ciebie nie było, ruszałem w stronę twojej przyczepy co jakieś pięć minut. Że jestem taki cholernie samolubny.

Moje serce, choć obolałe, szybowało.

- Nie jesteś samolubny. Ja też dziś za tobą tęskniłam. Nie proszę cię o nic, czego nie możesz mi dać. Naprawdę.

- I za to najbardziej cię przepraszam.
- Co? Za jakie to? Pokręcił wolno głową.
- Że nie mam ci nic do zaoferowania i mogę tylko brać. A to nie jest w porządku.

- Jest w porządku, jeśli sama ci to proponuję.

- A właśnie że nie jest.

Przyglądałam się rysom jego twarzy w niemal całkowitych ciemnościach, przesunęłam palcem po jego kości policzkowej, w dół szczęki i po tych pięknych pełnych ustach.

- Cóż... przykro mi, że muszę zbanalizować twój moralny dylemat, Kylandzie Barretcie, ale ja jestem zainteresowana wyłącznie twoim ciałem. Możesz więc wrzucić na luz.

Roześmiał się, przyciągając mnie do siebie. Wciągnęłam zapach jego skóry, męski i czysty. Po chwili zadałam pytanie:

- Znowu miałaś złe sny? To dlatego nie mogłeś spać? Zawahał się, a ja byłam ciekawa, czy mi w ogóle odpowie,

kiedy więc ciszę wypełnił jego niski głos, całkowicie zamarłam.

- Sny nie są najgorsze. Najgorsze jest milczenie na temat mojej rodziny. I chyba do wczorajszego wieczoru nie zdawałem sobie z tego sprawy. - Jego oddech był urywany. - Po raz pierwszy, odkąd straciłem mamę, tatę i brata, głośno o nich rozmawiałem.

Odchyliłam głowę i znów pogłaskałam go po policzku.

- To musiało być bardzo trudne. Tak mi przykro, że nosiłeś w sobie cały ten ból.

Pokiwał głową.

- Spędziłem w tym łóżku tyle samotnych nocy, a wczoraj twoja obecność sprawiła mi taką cholerną radość. - Z jego gardła wydobył się nieartykułowany odgłos. - To. Ty tutaj. To takie przyjemne.

- Wiem. Mnie też sprawia przyjemność - wyszeptałam.

Leżeliśmy tak przez kilka minut, czoło przy czole, oddech przy oddechu i stopy przy stopach, aż wreszcie zebrałam się na odwagę, żeby zapytać:

- Opowiesz mi o swoim bracie? Widywałam go czasami w miasteczku, ale nigdy go nie poznałam.

Wypuścił powietrze.

- Był... - zastanawiał się przez kilka sekund - pełen życia. Przemądrzały i lubił stroić sobie żarty. - W ciemnościach pokoju jego usta ułożyły się w uśmiech. - Zawsze się śmiał. Gdy zamykam oczy, wciąż słyszę jego śmiech. Śmiał się całym sobą, wiesz? Zginał się wpół, ledwo stał na nogach, i to było... - Zaśmiał się cicho, a ja się uśmiechnęłam. - Zachowywał się czasem jak straszny przygłup. Wczoraj na sankach, kiedy zjeżdżałem ze stoku, mógłbym przysiąc, że słyszałem jego śmiech odbijający się echem po górach.

Serce ścisnęło mi się tak mocno, że z trudem oddychałam. A potem przez chwilę oboje milczeliśmy. Pozwoliłam mu zebrać myśli.

- Był pięć lat starszy ode mnie, ale wszystko robiliśmy razem. Biegaliśmy po górach, udawali, że należymy do plemienia dzikich Indian. - Znów się uśmiechnął, ale potem jego twarz spoważniała i na chwilę zamilkł. - W dzieciństwie baliśmy się ciemności. Silas zawsze prosił mamę, żeby zostawiała w przedpokoju włączone światło. - Znów przerwał. - Umarł w kompletnych ciemnościach pod ziemią, Ten-leigh - wydusił moje imię. - Po zawaleniu się stropu wysiadł prąd, więc wszyscy znaleźli się w ciemności. I nie mogę... Nie mogę przestać myśleć o tym, że się bał. Pewnie był przerażony. Słyszę go wciąż w głowie szepczącego tak, jak szeptał do mnie w dzieciństwie ze swojego łóżka: „Wstań i zapal światło, Ky”. I nic nie mogę dla niego zrobić. Nic a nic.

Zacisnęłam mocno powieki, hamując grożące popłynięciem łzy.

- Przynajmniej byli razem, twój tata i brat. Wszyscy ci mężczyźni. Założę się, że pomagali sobie wzajemnie przetrwać. Wszyscy, których znałam, byli bardzo dobrymi ludźmi. Na pewno wspierali się w tych ostatnich chwilach.

- Tak - odparł cicho.

Leżeliśmy w ciszy przez kilka minut, aż Kyland nachylił się i pocałował mnie powoli i namiętnie, a w jego pocałunku coś się zmieniło, choć niezupełnie wiedziałam co.

Oderwał usta, ale ciało zbliżył do mojego.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - wymruczał. Musnął lekko moje usta, a ja zadrżałam. - I sprawiasz, że ciemność znika. Przynosisz spokój. - Spijałam z jego warg urywany oddech. - Nie wiem, co z tym zrobić.

- Przyjąć, Ky - szepnęłam. - Zasługujesz na trochę spokoju. Pozwól, że ci go ofiaruję.

- A co ja tobie ofiaruję, słodka Tenleigh? - wyszeptał głosem człowieka załamane go. - Co takiego mógłbym ci dać?

Zastanowiłam się.

- Pomagasz mi wierzyć. - W co?

- W dobroć, w siłę.

W to, że istnieją na świecie porządni mężczyźni, którzy mają honor.

Odgarnął mi z twarzy kosmyk włosów.

- No i ten twój tyłeczek. Jest naprawdę niezły - dodałam. Wybuchnął śmiechem, ale natychmiast spoważniał.

- Wiem.

Wymierzyłam mu lekkiego kuksańca w ramię, a on się uśmiechnął i zrobił zeza. Roześmiałam się.

- Masz hyzia - powiedziałam, używając zwrotu, który w mowie ludzi gór oznacza kogoś szalonego.

Wciąż uśmiechając się szeroko, wtulił nos w moją szyję.

- Hmm. Podoba mi się, jak twoja wewnętrzna prowincjuszka wychodzi na światło dzienne, kiedy jesteś wkurzona.

Zachichotałam, bo wcale nie byłam wkurzona.

- Czy masz pojęcie, że gwara góraska pochodzi z czasów elżbietańskich?

-Nie, nie miałem - odparł, muskając mnie nosem po szczęce.

Uśmiechnęłam się.

- Hmm. Region Appalachów i inne miejsca zachowały ją dlatego, że są tak bardzo odległe, odcięte na wiele sposobów od reszty społeczeństwa.

- Aha. Więc kiedy pojedę do Nowego Jorku i powiem: „Kruca fuks, ale kaprawe ślepia”, będą sądzili, że mówię jak rodowity Brytyjczyk?

Roześmiałam się.

- Nie, pomyślą, że potrzebujesz tłumacza, ale brzmisz seksownie, kiedy gadasz gwarą.

Zahuczał, po czym ugryzł mnie w brodę.

- Podoba ci się, tak? Dobrze wiedzieć. Bo później - przejechał ustami w dół mojej szyi - tak sobie dumam, że zejść het tam, w niziny.

Znow się roześmiałam i odepchnęłam go, a on też wybuchnął śmiechem. Kiedy zaczęliśmy się uspokajać, Kyland czule odgarnął mi z twarzy kosmyk włosów, a w jego spojrzeniu wciąż było coś, czego nie umiałam odczytać, choć kąciki ust unosiły się mu w lekkim uśmiechu. Moje oczy powędrowały po jego przystojnej twarzy, usiłując rozszyfrować, co może czuć.

Po chwili nachylił się i lekko mnie pocałował.

- Opowiedz mi o swoich marzeniach - wyszeptał. Zakochać się w kimś, kto nie odejdzie. Przestać tak bardzo pragnąć, żebyś to był ty.

- Hmm. Zobaczyć ocean. Zatańczyć wśród fal. Zjeść kolację w restauracji. Mieć więcej niż jedną parę butów. Kupić

jeden z tych cukiernianych tortów z idealnymi różowymi różyczkami na brzegach. Znaleźć dla mamy dobrego lekarza, który będzie wiedział, jak ją leczyć. Zostać nauczycielem, inspirować dzieciaki, żeby pokochały książki równie mocno jak ja. Mieszkać w domu z podwórzem i ogrodem, i własnym łóżkiem.

Przez chwilę milczał. Wreszcie powiedział bardzo cicho:

- Powinnaś mieć to wszystko i więcej.

- A ty, Kylandzie, o czym marzysz? Poza wydostaniem się stąd... na co masz nadzieję?

Przez kilka chwil się nie odzywał.

- Chcę zostać inżynierem. Chcę mieć lodówkę zawsze wypchaną jedzeniem. Chcę robić coś, co ma znaczenie, co naprawdę wszystko zmienia. I chcę to coś rozpoznać, kiedy się pojawi.

Uśmiechnęłam się, wdzięczna, że podzielił się ze mną tą częścią swojego serca.

- Założę się, że osiągniesz to wszystko i znacznie więcej - powiedziałam, czując odrobinę smutku. Chciałam, żeby spełniał swoje marzenia, ale zastanawiałam się, czy kiedy do tego dojdzie, ja pozostanę dla niego już tylko nikłym wspomnieniem.

Wplótł mi palce we włosy i znów połączył nasze usta, a ja rozpląnąłam się w jego pocałunku.

Daliśmy sobie nawzajem spełnienie, jak poprzedniej nocy, po czym zasnęliśmy spleceni ze sobą, zostawiając samotność i zimno na zewnątrz ciepłego kokonu naszych koców.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tenleigh

Sypiałam w łóżku Kylanda niemal każdej nocy podczas przerwy świątecznej. Nie zdecydował się ze mną kochać mimo moich częstych i bezwstydných błagań. Ale i tak zostaliśmy ekspertami w dziedzinie naszych ciał. Szeptaliśmy w ciemnościach nocy, odkrywając nasze tajemnice i rany. Opowiadał mi o swoim ojcu i bracie, a im więcej mówił, tym łatwiej mu to przychodziło - tym więcej się uśmiechał na wspomnienie chwil, którymi się ze mną dzielił. Opowiedział mi o swojej mamie, o poczuciu krzywdy tkwiącym w nim od tak dawna, o dezorientacji i bólu.

- Myślisz, że będziesz próbował ją odszukać? - spytałam sobotniego poranka, który spędzaliśmy leniwie w jego łóżku. - Kiedy stąd wyjedziesz oczywiście? - Jak zwykle na dźwięk słowa „wyjedziesz” moje serce przeszył ból.

Przez chwilę rozważał moje pytanie.

- Zastanawiałem się nad tym. Ale jaki by to miało sens? Porzuciła mnie. Nigdy nie wróciła. Nawet jeśli z jakiegoś

powodu nie słyszała o wypadku w kopalni, to nie zmienia tych dwóch kwestii.

Zwróciłam się twarzą w jego stronę.

- Ale może nie wiedziała. Może sądziła, że jesteś bezpieczny i mieszkasz tu z ojcem i bratem. Wiem, że odeszła, ale jakiegokolwiek powody nią kierowały, wiedziała, że masz tatę. Może boi się wrócić, bo sądzi, że nie wybaczysz jej tego, co zrobiła.

- Czy ty wybaczyłaś swojemu ojcu, że was porzucił? Chciałabyś go odnaleźć? Co byś powiedziała? - Ton jego głosu był tak zimny, że aż się wzdrygnęłam. Kyland przetoczył się w moją stronę i zacisnął na moment powieki, kładąc dłoń na moim policzku. - Przepraszam. To nie było fair.

Wzięłam głęboki oddech.

- Nie, to uzasadnione pytanie. Różnica polega na tym, że ja nigdy nie poznałam swojego ojca. Myślę, że... że mu wybaczam. Ale dla mnie on byłby obcym człowiekiem. A twoja mama... kochała ją, a ona ciebie.

- Tak sądziłem. - Przez jego twarz przemknął ból. - Ale nie to jest najgorsze... Chcesz usłyszeć najgorsze?

Skinęłam powoli głową.

- Najgorsze jest to, że jakkolwiek bym się starał, jakkolwiek skrzywdzony bym się czuł, nie potrafię przestać jej kochać. Chociaż wiem, że na to nie zasługuje. Porzuciła mnie i nie spojrzała za siebie, a ja i tak ją kocham. Jakim strasznym trzeba być głupcem?

- Nie jesteś głupcem - powiedziałam łagodnie głosem schrypniętym z bólu.

Wyciągnęłam do niego ręce i przytuliłam go. Nic więcej nie mogłam zrobić.

I kiedy tak go trzymałam w ramionach, myślałam, jak bardzo był silny i wytrwały, niestrudzenie brnął do przodu i nie poddawał się, choć miał wszystkie powody tego świata,

żeby to właśnie zrobić. Myślałam o tym, jaki był inteligentny, jaki czuły, jaki bezinteresowny, jaki pełen miłości.

- Poradzisz sobie. Jesteś taki silny - wyszeptałam. - Na wszystkie sposoby. Jesteś silny jak byk i jeszcze bardziej uparty. - Uśmiechnęłam się i poczułam, że on też się uśmiecha. - Podtrzymałaś w sobie ogień mimo wszystkiego, co utraciłeś. Nie ma większej siły. Nie ma.

Tego dnia nie opuściliśmy łóżka, dopóki południowe promienie słońca nie wlały się przez okno.

*

Kiedy dwa dni później wróciliśmy do szkoły, opłakiwałam utratę jego łóżka, ale wspólne spanie było po prostu niepraktyczne. Czuliśmy presję, żeby dobrze rozpocząć ostatni semestr. To nasza ostatnia szansa zabłyśnięcia, żeby zdobyć stypendium. Dla mnie problem stanowiło to, że stypendium stało się nagle czymś, co odbierze mi Kylanda albo jemu mnie. Stypendium było tą jedną rzeczą, na której skupiałam się przez niemal cztery lata, i nagle nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzę. Nie byłam już nawet pewna, czy jeszcze mi na nim zależy. Po tym wszystkim, co Kyland przeszedł, i teraz, gdy żywiłam do niego tak silne uczucia, jak mogłam marzyć o odebraniu mu jego marzeń, nawet jeśli oznaczało to realizację moich własnych? Jak mogłam?

Kyland powiedział, że niezależnie od tego, czy zdobędzie stypendium, czy nie, ma zamiar wyjechać z Dennville. Tak czy inaczej miał plan. Ale czy naprawdę mogłam mieć nadzieję, że wyjedzie stąd, mając niewiele więcej niż koszulę na grzbiecie? Czy naprawdę mogłam mieć nadzieję, że będzie musiał stawić czoło jeszcze większym trudnościom niż do tej pory? Na samą tę myśl czułam strach o niego i palącą samotność.

Martw się o siebie, Tenleigh Falyn, zbeształam się w duchu. Bóg jeden wie, że nikt inny tego nie robi. Zastanawiałam się jednak, czy Kyland też myślał inaczej o stypendium, jeśli tak, to nie dzielił się tym ze mną. Chyba żadne z nas nie miało ochoty poruszać tego tematu.

Widywałam go w szkole. Łapał mnie za rękę, kiedy mijaliśmy się na korytarzu, ale nie mieliśmy żadnych wspólnych lekcji, a lunch jedliśmy o różnych porach, więc nie spędzaliśmy tam ze sobą wiele czasu.

Uczyliśmy się jednak razem wieczorami, przy okazji oddając się też innym, przyjemniejszym zajęciom. Pewnego dnia w połowie stycznia, kiedy wreszcie udało mi się wypożyczyć nową książkę z biblioteki, zauważyłam niewielką karteczkę wystającą z tomu, który zwróciłam kilka tygodni wcześniej.

Wyciągnęłam z półki *Buszującego w zbożu*.

Holden Caulfield - marudny, niedający się lubić narrator. Obraża tych, których nazywa obłudnikami, ale tak naprawdę sam jest jednym z nich.

KB

Roześmiałam się cicho i skreśliłam własny liścik:

Holden Caulfield - chłopiec, który czuje się społecznym wyrzutkiem, próbuje zrozumieć, gdzie jest jego miejsce w świecie, i szuka kogoś, z kim mógłby się dogadać. Historia samotności.

TF

Nigdy nie tracisz optymizmu, Tenleigh Falyn, nawet w odniesieniu do antypatycznych bohaterów.

KB

Uśmiechnęłam się na widok tych słów. Nigdy nie uważałam się za optymistkę, ale może nią byłam. A może każdy człowiek postrzegał książki inaczej, w zależności od własnego serca.

W lutym ogłaszano najlepszą czwórkę uczniów, którzy mogli się ubiegać o stypendium Tytoń Coal. Zostaliśmy Kyland, ja i dwie inne dziewczyny. Otrzymałam list z Uniwersytetu Stanowego San Diego zawiadamiający mnie o przyjęciu i go potwierdziłam. Okrutne było potwierdzanie czegoś, czego może nigdy nie będzie mi dane wykorzystać, ale jeśli zdobyłabym stypendium, będę je miała gdzie spożytkować. Jeśli nie, wycofam potwierdzenie, podobnie jak pozostała dwójka. Nie spytałam Kylanda, gdzie potwierdził przyjęcie. Nie chciałam wiedzieć.

Całą zimę aż do wczesnej wiosny uczyliśmy się razem, całowali powoli i długo, gdzie tylko się dało, wędrowali po wzgórzach i pokazywali sobie sekretne miejsca głęboko w Appalachach, które kochaliśmy, a w których istniało jedynie piękno i spokój. Siadywaliśmy nad potokami i łowili ryby wędką domowej roboty. Trzymałam głowę na kolanach Kylanda, promienie słońca ogrzewały naszą skórę, a wysokie trawy szemrały na lekkim wietrze. Spacerowaliśmy po łąkach usianych polnymi kwiatami, zbieraliśmy je i układali w starych puszkach bukiety do mojej przyczepy i domu Kylanda. Spędzaliśmy cudowne noce na poznawaniu naszych ciał, uczeniu się każdego miejsca, które przynosiło rozkosz. Czytaliśmy książka za książką i omawiali je w bardzo krótkich notkach, które w jakimś sensie dawały nam wgląd w nasze serca.

Pracowałam, kiedy tylko przydzielono mi zmianę. Radziłam sobie z trudem, czasem chodziłam głodna i każdego pensa odkładałam na leki dla mamy.

I zakochałam się.

Głęboką, obezwładniającą, absolutnie pełną miłością.

A on i tak miał wyjechać. I nie spojrzeć za siebie.

Może ja też wyjadę. Za każdym razem, gdy o tym myślałam, ogarniał mnie niepokój i smutek. I nie chodziło wyłącznie o mieszane uczucia względem stypendium i to, jak moja wygrana wpłynęłaby na Kylanda, chodziło też o opuszczenie domu. Od tak dawna marzyłam o wyjeździe do collegeu, a nagle zostawienie mamy, zostawienie Marlo, zostawienie wszystkiego, co znałam i... tak, kochałam - bo kochałam Dennville, mimo że było też domem biedy - nagle wszystko to przepełniało mnie strachem, paniką.

Może miało to też coś wspólnego z tym, że mama, odkąd brała nowe leki, była w znacznie lepszej kondycji. Sprawiała wrażenie niemal normalnej, a ja nigdy, przenigdy nie użyłam tego słowa w odniesieniu do swojej mamy. Była lepsza i gorsza, ale nigdy normalna. Jakbyśmy dostały z Marlo drugą szansę. Ale co będzie, jeśli wyjadę? Już i tak ledwo odkładałyśmy pieniądze potrzebne na zrealizowanie recept. W razie mojego wyjazdu dochód będzie jeszcze mniejszy, choć nie zarabiałam wiele. Oczywiście nie będą też musiały mnie już karmić.

Kiedy jednak myślałam, że mogłabym nie zdobyć stypendium, czułam, jak moje serce łąduje z hukiem na ziemi. Co bym wtedy zrobiła? Czy pracowałabym na pełny etat u Ala jak Marlo? Jaka miałam alternatywę? Nie było tu miejsc pracy, w których płacono by ponad minimalną stawkę, a w odróżnieniu od Kylanda nie miałam odwagi, żeby zacząć włóczęgę po kraju, mając niewiele więcej niż plecak. Poza tym istnieli ludzie, którzy wiązali mnie z Deniwille. Kyland nie miał nikogo... no, może oprócz mnie. Ale mimo że bardzo się do siebie zbliżyliśmy, nie mógł zostać tu dla mnie. A ja bym go o to nie poprosiła.

Czasem przyłapywałam go na wpatrywaniu się we mnie z dziwną miną - mieszanką bólu i zdecydowania. Nie byłam pewna, co ona oznacza, ale wywoływała we mnie tremę i nerwy.

Czy poradzę sobie z jeszcze bliższą relacją z Kylandem, skoro on wyjedzie i nigdy nie spojrzy za siebie? Czy poradzę sobie z jeszcze głębszą miłością do niego? A może mógłby... zmienić zdanie na temat zrywania wszelkich więzi teraz, kiedy nasz związek przeszedł w... coś więcej?

Jesteś niemądra, wymamrotałam. Wpakowałam się w tę sytuację, mimo że Kyland robił wszystko, co w jego mocy, by mnie przed nią ostrzec. Ale nie mogłam niczego żałować. Nie mogłam. Kochałam go. Był częścią mojego serca i miałam rozpaczliwą nadzieję, że ja też stałam się wystarczająco ważną częścią jego serca, żeby nie mógł tak po prostu mnie zostawić.

Perswazje Jane Austen:

„Ale gdy ból mija, jego wspomnienie staje się często przyjemnością”¹. Wierzysz w to, Tenleigh?

KB

Oparłam się plecami o biblioteczną półkę i w zamyśleniu przyłożyłam długopis do ust. Wreszcie napisałam:

Myślę, że kiedy minie wystarczająco dużo czasu, kiedy przetrwało się coś niewyobrażalnego, jest w tym jakaś godność. Coś, z czego możesz być dumny. Dumny, że ból cię wzmocnił. Ból skłonił cię do walki o wygraną. Któregoś dnia, kiedy spełnię swoje marzenia, pomyślę o wszystkim, co złamało mi serce, i będę za to wdzięczna.

TF

Nawet za ciebie, Kylandzie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kyland

Sprawa z Tenleigh wymykała się spod kontroli. Nie byłem już w stanie nie pragnąć - jej głosu, myśli, śmiechu, zapachu, smaku, wybornego ciała, ust - po prostu jej. Zrobiłem dokładnie to, czego poprzysiągłem nie robić - stworzyłem więź, której nie będę w stanie tak po prostu porzucić za parę miesięcy. Więź? Cholera, miałem na jej punkcie obsesję. Miałem przesrane, całkowicie i gruntownie przesrane. Mimo to zamierzałem ją zostawić. Właśnie taki miałem zamiar. Wszystko inne było nie do pomyślenia. Czuję się tak, jakbym w niej tonął, i podobnie jak u tonącego instynkt podpowiadał mi, żeby się rzucać i opierać - walczyć. Walczyć z tym czymś, co owładnęło moim ciałem i sercem. Walczyć z nią.

Siedziałem wpatrzony tępo w miasteczko rozciągające się poniżej wzgórza, z którego zjeżdżaliśmy z Tenleigh jakiś miesiąc temu... Od tamtego dnia, kiedy coś nas połączyło, nie było już odwrotu.

Z tej perspektywy miasto leżące daleko pode mną sprawiało wrażenie, jakby miało do zaoferowania życie dla mnie i Tenleigh. Stąd nie było widać śmieci i biedy, nieszczęść i niewyobrażalnych rzeczy, jakie działy się w środku nocy za zamkniętymi drzwiami. Złapałem się za głowę i wsunąłem palce we włosy. Byłem w rozsypce.

„Torturujesz moją duszę. Miotam się między rozpaczą a nadzieją”².

O tak.

Przeczytałem te słowa w *Perswazjach* i niemal powtórzyłem je Tenleigh, wpatrując się w jej delikatną twarz, usta spuchnięte i zaczerwienione od moich pocałunków, oczy pełne uczucia, o którym wiedziałem, że jest miłością. Powstrzymałem się. To nie byłoby fair. Dopuszczałem ją do siebie w sposób, w jaki nikogo do tej pory nie dopuszczałem. Ale nie kochałem się z nią. I nie powiedziałem jej, że ją kocham, ani nie pozwoliłem jej powiedzieć tego mnie. Poprzysiągłem, że to będzie stanowiło między nami barierę, która pozwoli mi odejść stąd z choć cząstką serca nietkniętą, z choć jakąś częścią siebie, której ona nie posiadała. Ta właśnie część pchnie mnie do przodu, z dala od tego miejsca.

Tak mocno starałem się jej oprzeć, ale byłem zbyt słaby i zbyt samolubny. A teraz oboje mieliśmy po moim wyjeździe za to zapłacić.

Może moglibyśmy być razem... pewnego dnia. Pewnego dnia, kiedy już zobaczę świat, kiedy dowiem się, jakie życie mogę wieść gdzie indziej. Muszą istnieć miejsca pełne szczęścia, nadziei. Chociaż gdybym miał być całkiem ze sobą szczery, Tenleigh zwróciła mi ich część. Tak długo tłumiliem wspomnienia o rodzicach i Silasie. Były zbyt bolesne, zbyt przepełnione żalobą. A wraz ze złymi uczuciami musiałem

2]. Austen, *Perswazje*, dz. cyt., s. 284.

łumić i te dobre. Nie potrafiłem ich od siebie oddzielić. Ale potem pojawiła się ona i pomogła mi to zrobić... w jakiś cudowny sposób, nie mając nawet takiego zamiaru. Po raz pierwszy od czterech lat poczułem się na tych wzgórzach inaczej. Kilka tygodni temu, kiedy wracałem do domu ze szkoły, dostrzegłem królika czmychającego pod krzakami i nagle wróciło do mnie wspomnienie tak gwałtowne, że zatrzymałem się i wpatrywałem w las, jakbym dostał obuchem w łeb. Któregoś roku, kiedy miałem jakieś dziesięć lat, a Silas piętnaście, natrafiliśmy na rannego młodego króliczka skaczącego w poprzek drogi. Złapaliśmy go, zabrali do domu i umieścili w starej szopie. Karmiliśmy go mlekiem z pipety, a potem miękkimi warzywami. Nazwaliśmy go Bugs, a kiedy całkiem wydobrzeł, wypuściliśmy go z szopy i zostawili na poboczu drogi, tam gdzie go znaleźliśmy. Silas powiedział, że w ten sposób będzie miał większe szanse na odnalezienie swojej króliczej rodziny. Rozplakałem się, a Silas nazwał mnie dzieciuchem, ale w drodze powrotnej do domu objął mnie ramieniem.

Kilka lat później, pewnej nocy, kiedy w domu rodzice się kłócili, siedzieliśmy z Silasem na zewnątrz. Właśnie skończył osiemnaście lat, miał ukończyć szkołę i zamierzał rozpocząć pracę w kopalni. Tata nieźle sobie radził, niczego nam nie brakowało. Ale nie mogliśmy sobie pozwolić, żeby Silas poszedł do collegeu.

- Tylko parę miesięcy, Ky - wyszeptał. - Aż uzbieram wystarczająco dużo pieniędzy, żeby nas stąd wydostać, a potem wyjedziemy. I nie spojrzymy za siebie. Gdzie chciałbyś pojechać?

- Do Nowego Jorku - odparłem jak zwykle.

Skinął głową, jakby usłyszał to z moich ust po raz pierwszy.

- Tam w takim razie pojedziemy. Potrzebuję tylko odłożyć paromiesięczną pensję i ruszamy w drogę, braciszku. Nigdy

nie będziesz pracował w tej kopalni. Osiągniesz coś ważnego, coś wielkiego, coś, co będzie miało znaczenie. I kto wie, może ja też.

Przytaknąłem i nagle na prawo zarejestrowaliśmy jakiś ruch, a kiedy obróciliśmy głowy, zobaczyliśmy królika. Siedział na skraju naszego podwórza i przez chwilę nas obserwował, a potem pokuśtykał dalej. W głębi duszy wiedziałem, że to Bugs. A jego widok był jak znak, że wszystko się ułoży. Życie potrafi okaleczyć, ale można znów się podnieść, jeśli się ma wystarczająco wiele siły, a zwłaszcza jeśli istnieje właściwa osoba, która ci w tym pomoże. Silas położył mi dłoń na ramieniu i siedzieliśmy tak, aż w domu ucichło i można było bezpiecznie wrócić do środka.

Byłem to winien nie tylko sobie samemu, ale też bratu -musiałem ułożyć sobie życie gdzie indziej. Będę wiódł życie, jakie jemu nie było dane, życie, o jakim marzył. I może, jeśli Tenleigh będzie zmuszona tu zostać, któregoś dnia po nią wrócę. A może zostanie tylko słodkim wspomnieniem. Może pozna jakiegoś porządnego faceta z Evansly, który pracuje w kopalni, i zrobią sobie gromadkę dzieci. Pewnie będą z trudem wiązali koniec z końcem i czasem będą musieli składać grosz do grosza na czynsz, a ona będzie dzieciom kupowała ubrania z przeceny w Wal-Marcie, ale będą szczęśliwi i...

Kurwa!

Miałem ochotę wyć z wściekłości i frustracji, jakie wywoływały we mnie te myśli, przez co czułem się bardziej zrozpaczony niż przez całe swoje pieskie życie. Tenleigh Falyn. Piękna, pełna nadziei, bystra, ognista, czuła Tenleigh Falyn zasługiwała na coś lepszego niż takie zmaganie się z biedą, do jakiego przywykła. Znów ukryłem twarz w dłoniach. Sytuacja była beznadziejna. Wizja Tenleigh zmuszonej przetrzymać życie w ubóstwie wywoływała we mnie agresję. Podniosłem z ziemi szyszkę i cisnąłem nią najmocniej, jak potrafiłem, w drzewa

u stóp wzgórza. Usłyszałem, jak upadła w oddali, ale był to odgłos nikły, niesatysfakcjonujący.

Po kilku minutach podniosłem się i ruszyłem w stronę domu z rękami w kieszeniach. Wiał ciepły wietrzyk, a ziemię upstrzyły polne kwiaty, które Tenleigh tak bardzo lubiła. Oficjalnie nastąpiła wiosna.

Egzaminy końcowe były tuż-tuż i miałem przed sobą mnóstwo nauki. Ale szczerze mówiąc, nie martwiłem się. Znałem materiał tak dobrze, że mogłem go recytować przez sen. Byłbym w szoku, gdyby to nie mnie wybrano na stypendystę. Moje osiągnięcia naukowe były doskonałe. Zadbalem o to, mimo że żyłem w stanie naprzemiennych euforii i agonii i mimo że przez większość czasu moje myśli koncentrowały się na niemijającym bólu między nogami - bólu, który uśmierzyć mogłoby jedynie zanurzenie się w ciasnym ciele Tenleigh. Pokręciłem głową i zacisnąłem usta.

- Nie - powiedziałem głośno. - Po prostu nie. Jeśli sądzisz, że twoja sytuacja jest teraz trudna, Kylan-dzie, to posiadź Tenleigh w ten sposób i wtedy spróbuj ją zostawić. Wydałem z głębi gardła zduszone kasznięcie, bo poczułem żółć podchodzącą mi do przetyku.

Jakimś cudem opierałem się Tenleigh do tej pory i nie miałem zamiaru się teraz wycofać. Wziąłem głęboki oczyszczający łyk górskiego powietrza. Minałem przyczepę Tenleigh, tłumiąc chęć podejścia do jej drzwi i zapukania. Przyspieszyłem kroku, by moje zdradzieckie ciało nie podjęło za mnie decyzji. Pewnie zastanawiała się, gdzie się podziałam dziś po szkole. Wymknąłem się tylnymi drzwiami i wróciłem do domu okrężną drogą, sam, żeby jej nie spotkać. Nie odezwała się na ten temat, ale byłem pewien, że czuła się zraniona. Musiałem zacząć ją ranić małymi rzeczami. Musiała zrozumieć, co się dzieje, i zacząć się ode mnie odsuwać, tak jak ja odsuwałem się od niej. Ten sposób był przynajmniej łatwiejszy

niz odrywanie plastra za parę miesięcy. Parę miesięcy i nigdy więcej jej nie zobaczę. Moje ciało ogarnęła rozpacz.

Usłyszałem kobiecy śmiech dobiegający z przyczepy i coś się we mnie uradowało równie mocno, jak ścisnęło z bólu i tęsknoty. Tenleigh.

Między rozpaczą a nadzieją.

Między bólem a ekstazą.

Między smutkiem a radością.

Między zgubą a zbawieniem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tenleigh

- Czemu mnie unikasz?

Odwrócił gwałtownie głowę z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Tenleigh, rany, wystraszyłaś mnie.

Pomyślałam o tych kilku pierwszych razach, kiedy to on wystraszył mnie, i serce mi się ścisnęło. Czułam, że go tracę, a nawet jeszcze nie wyjechał. Oboje byliśmy ostatnimi czasy zajęci - pracowałam co najmniej trzy zmiany w tygodniu, co było skądinąd korzystne. Jednak w miarę upływu tygodni stało się jasne, że Kyland celowo coraz rzadziej się ze mną spotykał. Spojrzałam na niego wyczekująco, aż zacisnął usta i wypuścił powietrze.

- Mam tyle roboty... zbliżają się egzaminy końcowe, muszę zdecydować, co zrobić z domem i rzeczami... - Urwał.

- Unikasz mnie.

W ułamku sekundy przez jego twarz przemknęło coś na kształt bólu, ale zapanował nad miną.

- Tenleigh - wyszeptał - nie sądzisz, że będzie łatwiej, jeśli...

- Jeśli co? - zapytałam.

Staliśmy na szlaku prowadzącym do głównej drogi tuż pod szczytem wzgórza. To nim wracał ze szkoły do domu już od niemal miesiąca. Kiedy nie odpowiedział, spuściłam wzrok.

- Tęsknię za tobą. Spędzamy ze sobą tak mało czasu. A wszystko jest takie niejasne... - Potrząsnęłam głową. - Żadne z nas nie wie, co się wydarzy, i może...

- Wyjeżdżam. Właśnie to się wydarzy. Sądziłaś, że to coś między nami nakłoni mnie do zmiany zdania?

Przeszył mnie taki ból, że aż zmrużyłam oczy.

- Nie. Nie sądziłam tak. Ale nie spodziewałam się... ja nigdy...

Oczy mu zapłonęły, kiedy zdał sobie sprawę, do czego zmierzam. Zbliżył się do mnie, wkraczając w moją przestrzeń, aż stanął tuż przede mną.

- Nie mów tego - powiedział niemal błagalnym tonem. - Nie mów. Proszę, nie mów.

Uniosłam wzrok, zbierając całą swoją odwagę, bo nie miałam zamiaru się wycofać.

- Nie sądziłam, że się w tobie zakocham. I pomyślałam, że może... że ty też mógłbyś mnie pokochać. Nawet jeśli wyjedziesz. Mógłbyś wyjechać, kochając mnie.

Zamarł. Gdzieś nad naszymi głowami krzyknął jastrząb, a wiatr zmierzwił otaczające nas drzewa. Mimo to Kyland nie spuszczał wzroku z moich oczu.

Przeklął pod nosem, a potem jego usta znalazły się na moich, jego ciepły, niecierpliwy język rozchylił mi wargi i zatonął w moich ustach. Nie była to odpowiedź, na jaką liczyłam, ale zawsze coś. Nie wystarczała, ale była czymś więcej niż nic.

Kyland odsunął się, z trudem łapiąc powietrze, i chwycił moją głowę w swoje duże dłonie. Przycisnął czoło do mojego i przez chwilę po prostu razem oddychaliśmy.

- Śpię dziś na biwaku. Zamrugałam.

- Na biwaku? - powtórzyłam. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

Odsunął się i spojrzał na mnie z miną wciąż pełną napięcia.

- Tak. - Przegarnął ręką włosy, przyglądając je. - Moja rodzina, my... robiliśmy to co roku w moje urodziny. Lubilem to, szliśmy na pole pełne lawendy i... - Znów przeczesał włosy. - Tak czy inaczej, robię to co roku.

Skinęłam głową.

- Wiem, o którym miejscu mówisz. To tam zbieram lawendę na herbatę... i saszetki... - Urwałam. Czułam się bardzo niezręcznie i chciało mi się płakać. Och, Kylandzie, już tęsknię za tobą jak wariatka, a jeszcze nawet nie wyjechałeś. Wpatrywałam się w swoje stopy.

Powiedziałam mu, że go kocham, a on tego nie odwzajemnił.

Kiedy podniosłam na niego wzrok, wpatrywał się spod przymrużonych powiek w niebo. Potem spojrzał mi prosto w oczy. W wyrazie jego twarzy było coś dzikiego i nieskrywanego, ale tylko stał, wpatrując się we mnie przez chwilę, po czym chwycił mnie za rękę i ruszył w stronę domu. Miałam wrażenie, że minęło tak wiele czasu, od kiedy ostatnio mnie dotykał. Jego dłoń była ciepła i silna.

Szliśmy w milczeniu, serce mnie bolało, a Kyland z każdą chwilą stawał się jakby coraz dzikszy. Nie puścił mojej ręki, kiedy mijaliśmy przyczepę, poszłam więc z nim dalej, aż do jego domu.

Nie wiedziałam, czy mam ochotę płakać, czy czymś rzucić, ale cierpienie, które gnębiło mnie już od tygodni, nagle zaczęło we mnie wzbierać do stanu gotującej się wściekłości.

Kyland puścił moją dłoń i otworzył drzwi do domu. Weszłam razem z nim do środka, nie pojmując, dlaczego się tu znalazłam.

Wewnątrz dech mi zaparło, a cała złość uszła ze mnie, ustępując miejsca bólowi. Wszędzie piętrzyły się pudła, a piecyk, który stał na środku salonu, zniknął.

- Co się stało? - spytałam.

Kyland powędrował za moim spojrzeniem.

- Sprzedałem go za dwieście pięćdziesiąt dolarów jakiemuś kołesiowi z Evansly. Przyjechał tu i kupił go razem z zastawą mamy.

Rozdziawiłam usta, a moje ciało ogarnęła fala rozpacz. Skinęłam głową, z oczu popłynęły mi łzy. Otarłam ją z zażenowaniem.

To się działo naprawdę. Wyjeżdżał.

- Tenleigh - powiedział schrypniętym głosem. - Nie płacz, proszę. - Podeszedł do mnie. - Wszystko, byle nie to. Proszę. -Zabrzmiało to desperacko. - Tego właśnie starałem się uniknąć. Tego. Nie chcę, żeby którekolwiek z nas czuło się w ten sposób.

Odsuwał się ode mnie, żeby wszystko ułatwić. A jednak to odsuwanie się jedynie zwiększało ból.

- A ja chcę! I nie masz prawa mi tego odbierać. Kocham cię i nie masz prawa się na ten temat wypowiadać. Miłość, którą do ciebie czuję, jest moja. I będę ją czuła, jeśli będę miała na to ochotę.

- Tenleigh - powtórzył łamiącym się głosem. - Nie kochaj mnie. Proszę, nie kochaj. Nie mogę tu zostać. Nie kochaj mnie.

- Za późno. - Potrząsnęłam głową, stawiając opór. - Za późno. Nie proszę, żebyś został, ale jest za późno na to, żebym cię nie kochała.

Na jego twarzy odmalowało się zgnębienie.

- Nie może być za późno - powiedział, kręcąc głową.

- Jest.

Spojrzał na mnie i podszedł powoli, a emocje widoczne w jego oczach przybrały na sile. Stał tuż przy mnie, a jego wzrok spoczął na dłuższą chwilę na moich wargach, po czym przycisnął do nich swoje ciepłe usta. Łagodność pocałunku stała w całkowitej sprzeczności z wyrazem jego twarzy i przepływającą między nami energią. Nie wiedziałam, jak to rozumieć.

- Kocham cię, Kylandzie - wyszeptalam, kiedy nasze usta oderwały się od siebie. Położyłam dłoń na jego policzku. - I będę cię kochać niezależnie od tego, czy będziesz tu, w Dennville, czy w Nowym Jorku, Londynie albo na Jowiszu. Kocham cię.

Zacisnął powieki i głośno wypuścił powietrze. Wsunął palce w moje włosy i chwycił je delikatnie.

- Popelniasz błąd.

Pokręciłam powoli głową, jego dłonie ciągnęły moje włosy, a ja wpatrywałam się w jego zgnębione oczy.

- Jak miłość może być błędem?

Otuliłam go rękami, wsuwając dłonie pod koszulę, by poczuć jego gładką, ciepłą skórę. Wtulił się mocniej w moje objęcia.

- Ja też cię kocham, Ten - powiedział w końcu cicho. -Dlatego to jest takie trudne. - Sprawiał wrażenie niemal przegranego, jakby same te słowa coś mu odbierały.

Moje serce wzleciało, choć krwawiło na dźwięk cierpienia w jego głosie i na widok dowodów jego nieuniknionego odejścia. Przytuliłam go mocniej.

- Czegokolwiek ci trzeba, Ky. Cokolwiek to jest. Dam ci to. Wypuścił długi, urywany oddech, ale się nie odezwał. Problem polegał na tym, że nie wiedziałam, czy nasza miłość cokolwiek zmieniała. Właściwie po tym wszystkim, co opowiedział mi Kyland na przestrzeni ostatnich miesięcy,

rozumiałam lepiej niż ktokolwiek, czemu musiał stąd wyjechać. Zasługiwał na życie z dala od domu wypełnionego samotnością i stratą. Musiał codziennie przypominać sobie o cierpieniu - słyszał wśród ścian krzyki brata, w każdym pokoju głos ojca, czuł nieobecność matki, porzucenie. Pragnęłam, by się stąd wyniósł, równie mocno jak on sam, a mimo to tak bardzo mnie to bolało. Przygryzłam wargę. Ale może... może, jeśli zdobędzie stypendium, nie zostawi mnie. Może kiedyś, w jakiś sposób, moglibyśmy nawet ułożyć sobie wspólne życie z dala od tego miejsca. Może Kyland pozwoliłby na to - może nie wszystko, co pochodziło z Denrville, musiało ranić. I może byłby skłonny zabrać ze sobą tę jedną rzecz, która nie rani - mnie - najpierw w sercu, a potem... potem do swojego domu, do swojego życia. Może potrzebował czasu, żeby pożyć bez swoich demonów, żeby zacząć wierzyć, że miłość nie zawsze musi ranić, że czasem miłość wystarcza. Poczekam. Poczekam, jak długo będzie trzeba.

Położyliśmy się razem na kanapie i zostali w tej pozycji długi czas, każde zatopione w swoich myślach. Po chwili Kyland spytał, czy mam ochotę zostać i trochę się z nim pouczyć - egzaminy były w poniedziałek. Nie rozmawialiśmy więcej o naszych uczuciach.

Czy miłość powinna tak bardzo boleć?

Na kolację zjedliśmy zupę jarzynową przy stoliku kawowym, a potem pocałowałam go na pożegnanie. Marlo miała niebawem wychodzić do pracy, musiałam więc wrócić do domu i zadbać o mamę.

- Nie zobaczymy się w weekend - powiedziałam ze smutkiem. - Uważaj na siebie, dobrze?

Kyland skinął głową, a w jego oczach pojawiła się pełna smutku tęsknota. Ale to on wybierał się na biwak. To był jego wybór. I może tego potrzebował. Może potrzebował spędzić czas w miejscu, z którym wiązały go dobre wspomnienia

o rodzinie. Może właśnie tego było mu trzeba. Może dokładnie tego było trzeba mnie. Może po prostu musiałam pozwolić mu odejść.

Kochałam go. Dałabym mu wszystko.

- Jutro są też twoje urodziny - powiedział cicho. - Masz jakieś plany?

Wzruszyłam ramionami.

- Marło pewnie upiecze mi ciasto twarde jak kamień i trochę sobie poczytam. - Uśmiechnęłam się, a on odwzajemnił uśmiech, odgarniając mi z czoła kosmyk włosów.

- Wszystkiego najlepszego, Tenleigh.

- Wszystkiego najlepszego, Kylandzie.

Całowaliśmy się przez kilka minut na kanapie, wolno i namiętnie. Wyczułam jego pożądanie. Kiedy się jednak odsunęłam, puścił mnie. Pocałowałam go po raz ostatni i wróciłam do przyczepy. Miałam wrażenie, że serce rozpada mi się na tysiące kawałeczków, i za nic w świecie nie wiedziałam, jak utrzymać je w całości. Nie byłam nawet pewna, czy tego chcę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kyland

Miejsce, w którym od lat organizowaliśmy z rodziną biwak, było nieco spokojniejsze, niż pamiętałem - dobrze, bo potrzeba mi było porządnej dawki spokoju. Tenleigh powiedziała mi, że mnie kocha, a ja się odwzajemniłem. Napełniło mnie to radością, ale też lękiem i rozpaczą. Nie miałem jej nic do zaoferowania, a jak mógłbym ją teraz zostawić?

Przed wyprawą niemal zaszedłem do jej przyczepy, żeby spytać, czy się do mnie nie przyłączy, ale oparłem się pokusie. Problem polegał na tym, że opierałem się Tenleigh od przeszło trzech tygodni i sądziłem, że stanie się to łatwiejsze. Zamiast tego moja tęsknota za nią jedynie nabrała mocy. Pragnąłem jej. Głęboko w swoim wnętrzu czułem głód - płomień, który przybierał na sile, tym bardziej palący, im mniej go podsycąłem. Od dłuższego czasu wiedziałem, że ją Kocham - być może znacznie dłużej niż ona mnie. Kiedy do tego doszło? Kiedy opuściłem gardę na tyle, że jej słodycz owinęła się wokół mojego serca w sposób, z którego nigdy nie będę się w stanie

wyplatać? Ale jakie to w ogóle miało znaczenie w tym momencie?

Rozejrzałem się wokół siebie. Ogromny, stary dąb zapewniał osłonę, którą wykorzystywaliśmy dla naszego „obozowiska”. Nie było nas stać na sprzęt biwakowy, więc używaliśmy tych samych koców i kołder, pod którymi spaliśmy na co dzień, podkładając pod spód płachtę plastiku. Tata robił burgoo, gulasz z oposów i wiewiórek, i każdej dzikiej zwierzyny, jaką dało się schwytać we wnyki - lub sarniny, jeśli miał strzelbę. Miał to być przysmak, ale jak wiele innych „przysmaków” zrodził się zapewne z głodu i nadziei, że jeśli nazwie się coś przysmakiem, będzie to łatwiej przełknąć, jakkolwiek paskudnie by to brzmiało, był smaczny. I co roku przed urodzinową wycieczką przygotowywałem sobie porcję. Uważałem, że tacie by się to spodobało.

Spojrzałem na pole lawendy. Lubiłem to miejsce, bo kiedy zrywał się wiatr, niósł ze sobą zapach tych wszystkich fioletowych kwiatów - jednocześnie słodki i ziołowy. Kojący. Siedziałem na dużej powalonej gałęzi leżącej tu, odkąd byłem mały, i przyglądałem się drewnu na ognisko, które rozłożyłem na ziemi przed sobą. Rozpalę, kiedy niebo ściemnieje, i podgrzeję gulasz. Po raz ostatni spędzę w tym miejscu noc pod gwiazdami w swoim prowizorycznym śpiworze. Nigdy więcej tu nie wrócę. W moim wnętrzu poruszyło się coś, co zaskakująco przypominało żalobę, ból w samym centrum mnie. Nie całkiem go rozumiałem - to miejsce pełne było cierpienia, bo za każdym razem, gdy tu przychodziłem, czułem nieobecność rodziny. Ale jednocześnie wiązało się z radością, którą teraz mogłem jedynie wspominać. Jak miałem to wszystko pojąć? Nie mogłem znieść tych sprzecznych ze sobą uczuć. Chciałem czuć nienawiść do Dennville - i nic poza tym.

Tenleigh. Wszystko przez Tenleigh. Zjawiała się i nagle nastawało piękno. Nagle Dennville stało się nią - dziewczyną,

która pomogła mi przebrnąć przez ciemność do światła. Jęknąłem i siedziałem tak przez kilka minut wpatrzony w łąki, rozważając, co robić.

Jakim sposobem moje życie stało się nagle takie skomplikowane? I takie jasne?

Tenleigh. Między rozpaczą a nadzieją.

Moja miłość do niej była wszystkim... wszystkim naraz.

Na lewo dostrzegłem ruch, przestraszony uniosłem głowę i zobaczyłem ją idącą ku mnie jak senne marzenie, przez pole fioletowej lawendy. Serce mi podskoczyło, podniosłem się przepełniony nagłą radością. Cholera.

Dotarła do mnie i uśmiechnęła się niepewnie, ściskając przed sobą dłonie. Włosy spływały w luźno splecionym warkoczu, a biały sweter opadał z ramienia, obnażając kremową skórę. Nigdy nie widziałem niczego piękniejszego niż Tenleigh Falyn na polu lawendy.

Wyprostowała się, jakby zbierała odwagę. Kiedy nasze oczy się spotkały, powiedziała:

- Myślałam o tym od wczoraj i mam nadzieję, że może nie będziesz miał nic przeciwko towarzystwu. I nie sądziłam, żebyś akurat dziś mógł mi odmówić. - Jej uśmiech promieniał niewinną nadzieją, na widok której coś ścisnęło mi żołądek.

Uśmiechnąłem się.

- Chciałaś wybrać się ze mną na biwak w swoje urodziny? Przygryzła dolną wargę i skinęła głową.

- Ponad wszystko.

Nagle ogarnęła mnie radość, jakiej nigdy dotąd nie doznałem. Może z powodu tego nagłego pojawienia się akurat tej osoby, za którą tęskniłem. Może z powodu tego, że cała samotność, jaką odczuwałem, pierzchła, kiedy tylko Tenleigh pojawiła się w zasięgu mojego wzroku. Może z powodu wdzięczności, a Bóg jeden wiedział, że za niewiele

mogłem być w życiu wdzięczny. Posłałem jej szeroki uśmiech i powiedziałem:

- To może być niebezpieczne. A jeśli będę próbował zaciągnąć cię za włosy do swojego śpiwora, bo spanie na zewnątrz zrobi ze mnie jaskiniowca? - Uniosłem kącik ust, by wiedziała, że się z nią drocę. Od tak dawna nie zachowywaliśmy się beztrusko, a to było takie przyjemne.

- Takiego sprzed tysięcy lat? - podjęła żarty, a w jej oczach błysnęło rozbawienie. Przechyliła głowę i spoważniała. - Nie opierałabym się - wyszeptała, przygryzając pełną dolną wargę.

Poczułem, jak moje oczy robią się wielkie, a w piersi rośnie czułość.

- Tenleigh - wyszeptałem.

Jej usta były takie piękne. Chciałem poczuć je na skórze. Wszędzie. Nie odwróciła wzroku. Podeszedłem do niej bliżej i owionął mnie jej zapach, odległe polne kwiaty na letnim wietrze. Nagle wydało mi się, że to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Stojąc w cieniu ogromnego dębu, pod rozciągającym się wokół nas bezkresnym nieboskłonem, żadnego budynku w zasięgu wzroku, nie mogłem sobie przypomnieć, czemu się jej opierałem. Za nic nie mogłem wymyślić, czemu nie mielibyśmy poddać się uczuciom wirującym w powietrzu wokół nas, uczuciom, które tylko Bóg mógł stworzyć. Jakby w wietrze kryła się jakaś magia sprowadzająca cały świat do stojących tu nas dwojga. Zamknąłem oczy i wciągnąłem powietrze, czując zawroty głowy od krążącego we mnie pragnienia, i pozwoliłem, by instynkt przejął nade mną kontrolę. Nachyliłem się, ona uniosła twarz w moim kierunku i rozchyliła wargi, by mnie wpuścić. Jęknąłem i przycisnąłem do nich swoje usta, a przelotne myśli na temat powodów, dla których to nie powinno się wydarzyć, zniknęły w mieszających się odgłosach jęków i wilgotnych dźwiękach tańca naszych języków.

Przesunąłem dłońmi wzdłuż boków jej ciała, powoli śledząc kobiece krągłości w zachwycie nad tym, jak bardzo jej budowa różni się od mojej, jak doskonale do siebie pasujemy.

- Chcę dotknąć twojej skóry, Tenleigh - wydusiłem, odsuwając się od jej ust i wpatrując w jej oczy, oczy pełne pożądania... i miłości.

Słońce właśnie zachodziło, a półmrok szybko pochłaniał góry.

Tenleigh zerknęła na prowizoryczne łóżko, które przygotowałem na ziemi pod rozłożystymi gałęziami dębu. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do niego.

- Tenleigh, ja...

Wyciągnęła dłoń i przyłożyła do moich ust dwa palce, zatrzymując słowa. Prawdę mówiąc, i tak nie wiedziałem, co chciałem powiedzieć. Kolejne ostrzeżenie, że to niczego nie zmieni? Kolejne przypomnienie, że i tak wyjeżdżam? Z pewnością i tak słyszała ode mnie te słowa wystarczająco wiele razy, pewnie nie miała ochoty usłyszeć ich w tej chwili. A ja szczególnie miałem ochotę je wypowiedzieć. Zaczynałem wątpić, czy naprawdę w nie wierzyłem. Zaczynałem wątpić w wiele rzeczy.

Całowaliśmy się, całowali, całowali. Całowaliśmy się jakby przez wieczność. Tenleigh była jedyną dziewczyną, którą w ten sposób całowałem. Do tej pory zawsze usiłowałem szybko przejść do rzeczy. Ale przy niej pozwalałem sobie zatonać w rozkoszy jej ust, a ciału powoli się rozgrzewać. Zapamiętywałem dotyk jej delikatnego ciała przyciśniętego do mojego, słodki smak ust, języka, jej oddech.

Po dłuższej chwili odsunęła się z zaróżowionymi policzkami, ustami wilgotnymi i czerwonymi, ciemnymi włosami, które wysunęły się z warkocza i rozsypały wokół jej twarzy. Czasem jej uroda była niemal oszalamiająca. Kiedy tak na

nią patrzyłem, jej widok jakby przenikał przez moją skórę do krwiobiegu, do duszy. Moje ciało pulsowało pragnieniem.

- Postaram się być delikatny - powiedziałem.

jej oczy zapłonęły, ale tylko skinęła głową. Mój umysł wypełniły nagle obrazy, obrazy, które do tej pory wypychałem, ale którym teraz pozwoliłem się kłębić: głowa Tenleigh odrzucona w ekstazie do tyłu, nogi oplecione wokół moich bioder, w czasie gdy ją posiadam.

Pozwoliłem wyobraźni działać. Pozwoliłem sobie na oczekiwanie, bo miało się to spełnić.

Powoli, nie odrywając od siebie oczu, rozebraliśmy się. Do tej chwili nie doświadczyłem niczego bardziej zmysłowego niż obserwowanie, jak Tenleigh się przede mną obnaża, wiedząc, że niebawem znajdę się w jej wnętrzu. Kiedy była już naga, zlustrowałem powoli jej ciało, choć już widziałem ją w negliżu. Ale zawsze w mroku czterech ścian swojej sypialni. Teraz działo się to w promieniach zachodzącego słońca, złote światło połyskiwało na jej skórze, a różowe sutki stwardniały w chłodnym powietrzu.

- Jesteś olśniewająca - wyszeptałem.

Przebiegła po mnie wzrokiem, a kiedy zatrzymała się na penisie, ten zapulsował. Spojrzała w moje oczy i powiedziała:

- Ty też. I nie chcę, żebyś był dla mnie delikatny. Chcę poczuć ciebie. Chcę dostać wszystko, co możesz mi dać.

Wydałem z siebie jęk i przysunąłem się do niej z nabrzmiętym penisem i krwią wrzącą tuż pod skórą.

Położyłem ją na ziemi, czując pierwsze ukłucie żalu. Była piękna i ponętna. Zasługiwała na to, żeby ktoś położył ją na czymś lepszym niż stare, zatechłe koce pod drzewem.

- Kylandzie - wyszeptała, ujmując moją twarz w dłonie i spoglądając mi w oczy, jakby wiedziała, o czym myślę. - To najlepsze urodziny w moim życiu.

Odgarnąłem jej włosy.

- Moje też.

Wygięła plecy, a moje usta odnalazły jej sutek. Jęknęła i przycisnęła do mnie swoje miękkie ciało, ciepłą skórę. Jej reakcje, zachwyty, słodka niewinność były czymś, z czym nie miałem do tej pory do czynienia, i zmieniły mnie wewnętrznie, choć w tamtej chwili nie mogłem skupić na tym uwagi. Po prostu to chłonałem, cieszyłem się tym.

Nie minęło wiele czasu, a oboje jęczyliśmy i wiliśmy się, a ja byłem tak podniecony, że modliłem się, bym wytrzymał wystarczająco długo, żeby to doświadczenie było dla niej w jakimkolwiek stopniu warte zapamiętania.

Sięgnąłem pomiędzy jej nogi i poczułem śliską wilgoć, znalazłem łechtaczkę i zacząłem krążyć delikatnie wokół niej. Tenleigh wstrzymała oddech i przywarła do mojej dłoni. Pochyliłem się ku jej piersi i delikatnie ją possałem. Wyjęczała moje imię, a po chwili poczułem, jak pulsuje i drży pod moją dłonią.

Spojrzałem w zamglone pożądaniem oczy i ująłem w dłoń samego siebie, otwierając ją delikatnie swoim członkiem. W odpowiedzi rozsunęła nogi. Och, Tenleigh, jesteś doskonała. Jęknąłem, usiłując poruszać się tak powoli, jak to możliwe, a moje ciało krzyczało, by wedrzeć się w nią gwałtownie jak zwierzę. Tak bardzo jej pragnąłem.

Dłonie Tenleigh znalazły się na moich ramionach, przymknęła oczy, podczas gdy ja wchodziłem w nią coraz głębiej, stopniowo otaczało mnie jej ciepło, a ja traciłem resztki kontroli, które z całych sił próbowałem utrzymać.

- Otwórz oczy, Tenleigh - wychrypiałem. - Spójrz na mnie. - Spójrz na mnie, kiedy ja co? Kiedy cię posiadam? Kiedy biorę cię na własność? Tak, krzyczało moje serce. Ale uciszyłem je. Nie. Dzisiejszej nocy należeliśmy do siebie. Ale to niczego nie zmieniało. Nie mogło.

Jej oczy otworzyły się i spojrzały w moje, a ja zatonałem w niej jednym gładkim pchnięciem. Jej twarz wykrzywił

grymas bólu, kiedy poczułem, jak moje ciało przedziera się przez nią, ale nie krzyknęła. I było po wszystkim. Tak bardzo opierałem się przed odebraniem Tenleigh dziewictwa, ale teraz tego nie żałowałem. Cokolwiek się wydarzy, ta jej częśćka będzie zawsze należała do mnie. Nigdy nie będzie należała do innego mężczyzny. Nigdy. Przyglądając się uważnie jej twarzy, zacząłem się poruszać w jej wnętrzu, moje podbrzusze ogarnęła błogość, ale ona już się nie wzdrygnęła. Przesunęła dłońmi w dół moich pleców, na pośladki, podczas gdy ja uderzałem w niej, z początku wolno, a potem coraz natarczywiej. Była przyjemna, taka przyjemna.

- Dochodzę - wyszeptałem, wykonując ostatnie, cudowne pchnięcie i eksplodowałem z rozkoszy, opadając na nią i jęcząc w orgazmie.

Przewróciłem się nieco na bok, żeby jej nie zmiażdżyć. Leżeliśmy tak przez kilka minut, Tenleigh przesuwiała paznokciami w górę i w dół moich pleców, a ja usiłowałem odzyskać panowanie nad oddechem. Kiedy się z niej zsunąłem i spojrzałem na ślady krwi na moim fiucie, poczułem dumę. Z całych sił chciałem ją stłumić, ale moje wysiłki spełzły na niczym.

Opadłem w zachwycie na koce.

- To było niesamowite - wyszeptałem. - Tenleigh, to było naprawdę niesamowite.

Uśmiechnęła się do mnie słodko i skinęła głową.

- Tak - westchnęła. - Tak, było.

Nie spaliśmy tej nocy wiele. Tenleigh była jak narkotyk i nie mogłem się nią nasycić. Chciałem na zawsze zamieszkać głęboko w jej wnętrzu. Musiała być obolała, ale nie powiedziała ani słowa. Ta noc składała się z wilgotnej skóry i okrzyków rozkoszy rozchodzących się echem wśród wzgórz. I wiedziałem, że do końca życia, gdziekolwiek i z kimkolwiek się znajdę, Tenleigh będzie mi się kojarzyć z ciepłem, lawendą i bezkresnym nieboskłonem.

Jakiś czas później, kiedy zawisł nad nami lśniący sierp księżyca, w końcu się z niej wyplątałem i rozpałem ognisko. Usiedliśmy na leżącym pniu drzewa owinięci kocami, a ja nakarmiłem ją burgoo podgrzany na otwartym ogniu. W tle pohukiwała bez ustanku sowa, a po łące niósł się śmiech Tenleigh, podczas gdy ja opowiadałem jej jedną za drugą historie o tarapatach, w jakie wpadaliśmy w dzieciństwie z Silasem - historie, których do tej pory nie znał nikt poza mną i bratem. I miałem wrażenie, jakbym tchnął życie w jakąś jego część.

Chwilę tańczyliśmy pod gwiazdami, Tenleigh śmiała się, gdy ją przechylałem.

- Gdybym mógł, zabrałbym cię na bal maturalny - powiedziałem cicho i z żalem, prostując ją, tak by jej ciało przywarło do mojego. - Gdybym mógł, zrobiłbym wiele.

- Wiem - odparła, ujmując mój policzek w dłoń i całując mnie słodko w usta.

Tyle myśli krążyło mi po głowie, tyle nieznanym mi emocji, uczuć, których nie potrafiłem nazwać. Kiedy jednak żar dogasał, a ponad górami wstawały pierwsze promienie dnia, spojrzałem na śpiącą obok mnie Tenleigh, na jej urodę delikatną i kruchą w świetle wczesnoporanego nieba, i wiedziałem, co muszę zrobić. Wiedziałem, że to nie w porządku, i wiedziałem, że to mnie zniszczy. Ale mimo wszystko wiedziałem też, że to zrobię.

Któregoś dnia, kiedy spełnię swoje marzenia, pomyślę o tych wszystkich rzeczach, które złamały mi serce, i będę za nie wdzięczny.

Wiedziałem, że muszę. Bo się myliłem.

Wszystko uległo zmianie. W ciągu jednej nocy. Nic nie było już takie samo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Tenleigh

Do egzaminów końcowych przystąpiliśmy na początku tygodnia. Po wyjściu ze szkoły szukałam Kylanda, ale nie mogłam go znaleźć. Nie przejęłam się tym szczególnie. Nie chciałam tak naprawdę rozmawiać o tym, jak mu poszło. Nie żebym już tego nie wiedziała - byłam pewna, że zdał śpiewająco. Nie wyglądał na przejętego w jakimkolwiek stopniu, a kiedy się razem uczyliśmy, mimo licznych dystrakcji, odpowiadał z niewzruszoną pewnością na każde pytanie z repetytoriów.

Nie, tak naprawdę nie chciałam rozmawiać o egzaminach końcowych, bo był to kolejny temat, który przypominał mi, jak mało czasu zostało do jego wyjazdu. Tak czy inaczej, musiałam wrócić do domu i zostawić rzeczy, żeby pójść na swoją zmianę do Ala. Powiedział, że teraz, kiedy już prawie nadeszło lato, będzie więcej pracy. Klientela zwiększała się w cieplejszych miesiącach, kiedy otwierał patio, a stracił kilka dziewczyn z powodu nowego baru, który otwarto w Evansly.

To była świetna wiadomość. Miałam poufne informacje, że zostaję w Denmdlle, więc dobrze było liczyć na regularne dochody, przynajmniej w okresie letnim. Później coś wymyślę. Opracuję życiowy plan B. Ogarnęło mnie rozczarowanie, ale je stłumiłam. Stało się. Podjęłam decyzję i się jej trzymałam. Nie dało się cofnąć czasu.

Kiedy tak szłam zatopiona w myślach główną ulicą Dennville, spojrzałam na lewo i dostrzegłam Shelly rozmawiającą z Kylandem w drzwiach opuszczonego budynku. Stała tuż przy nim i patrzyła na niego tak, jakby do niej należał. Zalała mnie fala zazdrości, aż mną zatrzęsło. Oparł biodro o framugę, podczas gdy ona mówiła coś, czego nie mogłam dosłyszeć. Zrobiłam krok w tył, tak żeby skrył mnie szeroki, drewniany słup telefoniczny, i wyjrzałam zza niego.

Wspaniale. Teraz ich śledziłam.

Co ja wyrabiam? Przygryzłam wargę i zastanawiałam się, czy podejść i się do nich przyłączyć. Czemu miałam wrażenie, że im przeszkodzę? Spędziliśmy z Kylandem tylko jedną piękną noc na polu lawendy, ale musiała mieć jakieś znaczenie. Na wspomnienie naszej nocy niemal na moment omdlałam, potem jednak znów dała o sobie znać zazdrość, zerknęłam więc na Shelly i Kylanda. Dlaczego jakaś część mnie miała wrażenie, że jeśli do nich podejść, w czymś im przeszkodzę? Jakbym była intruzem. Przypomniałam sobie ich pocałunek, którego byłam świadkiem, obmacywanie w teatrze wiele miesięcy temu i nagle zrobiło mi się niedobrze. Kiedy znów podniosłam głowę, już odchodzili. Zamrugałam i ruszyłam w ślad za nimi. Shelly ciągnęła Kylanda za sobą.

Serce mi się ścisnęło. Nie wiedziałam, jak mam się czuć. Czy był mój? Czy miałam prawo publicznie zaznaczyć swoją własność? W kółko powtarzał, że wyjeżdża i nie może niczego obiecywać. Jak miałam z nim teraz o tym rozmawiać, zażądać czegokolwiek, skoro sama mu powiedziałam, że nie będzie mi

przeszkadzało, jeśli się ze mną prześpi i wyjedzie? Powiedział jednak, że mnie kocha. Czułam się zdezorientowana. Jeśli miłość nie oznaczała jakiejś formy własności, to co nią było? Czy mógł mnie kochać, przespaciać się ze mną i nadal sądzić, że ma prawo być z innymi? Nie umiałam stłumić bólu, który krążył w moich żyłach. Czułam gorąco i pustkę - skóra mnie parzyła. Nie, nie mógł. To był Kyland. Znałam go wystarczająco, by wiedzieć, że jest honorowy. Prawda?

Poszłam powoli do domu, choć powinnam się była spieszyć. Spędziliśmy ze sobą piękną noc, która mnie zmieniła. Oddałam mu całą siebie - ciało i serce. I nagle, zaledwie tydzień później, znów byłam niepewna i pełna rozterek.

- Nienawidzę miłości - wymamrotałam.

Weszłam pospiesznie do przyczepy i rzuciłam szkolne rzeczy na kanapę. Marlo wyszła z łazienki, zapinając białą koszulę.

- Hej. - Uśmiechnęła się. - Jak poszły egzaminy?

Nie spojrzałam na nią, tylko wyciągnęłam z szafy roboczy uniform.

- O, hmm, chyba spoko - skłamałam. - Cieszę się, że mam je już za sobą.

Odwróciłam się i posłałam jej szeroki uśmiech, który, jak miałam nadzieję, odwróci jej uwagę.

Zmrużyła oczy, ale skinęła wolno głową.

- Okej, to dobrze. Gotowa? Jeśli zaraz wyjdziemy, to się nie spóźnimy.

- Tak, daj mi dwie minutki - rzuciłam, pędząc do łazienki. Pięć minut później schodziłyśmy z powrotem drogą w kierunku miasta.

Dziś w telewizji transmitowano ważny mecz koszykówki, co zawsze wypełniało knajpę, obie więc chciałyśmy dotrzeć tam jak najszybciej. Dodatkowi klienci oznaczali dodatkowe pieniądze, a skoro obie byłyśmy na zmianie, mogłyśmy zarobić podwójnie. Dzisiejszy dzień niósł przynajmniej

ze sobą jakąś nagrodę pocieszenia. Nie dostawałam wielu napiwków, ale jeśli klient upił się wystarczająco, czasem mylił mnie z kelnerką i też trochę zarabiałam. Mój sposób na przetrwanie polegał zwykle na usuwaniu się z drogi, na ile było to możliwe, szczególnie pijanym kierownikom, którzy pracowali w Evansly w głównej siedzibie spółki górniczej. Ale nie dziś. Dziś miałam zamiar stanąć im na drodze. Skrzywiłam się ze wzrokiem wbitym w swoje poruszające się stopy. W garniakach i złotej biżuterii może i wyglądali na facetów z klasą, ale w głębi byli jedynie uprzywilejowanymi dupkami, którzy zachowywali się tak, jakbyśmy my, kobiety z dziczy, miały cholerne szczęście, że w ogóle zwracają na nas uwagę. Oczywiście wiele dziewczyn z okolicy dokładnie to sobie myślało i zachowywało się stosownie do okoliczności. Słyszałam, jak pewien wyjątkowo głośny dyrektor wyrzaskiwał po pijaku do grupy współpracowników spoza miasta: „Wybierajcie, panowie, niedrogo”, a potem głośno rżał. Problem polegał na tym, że jedzenie i ogrzewanie były drogie i czasem robiło się to, co trzeba. A czasem którejś się ubzdurało, że jeden z nich chce ją uratować od smętnego życia, jakie wiodła.

O szóstej wieczorem zmiana miała pełne ręce roboty, w knajpie tłoczyli się rozkrzyczani mężczyźni, wznosząc toasty i pokrzykując w kierunku dużego płaskiego ekranu telewizora wiszącego na ścianie.

Przeciskałam się przez tłum, zbierając na tacę puste szklanki i zanosząc jedzenie do stolików zgodnie z zamówieniami. Wyjątkowo pijany gość w czerwonej koszuli łapał mnie za tyłek, kiedy tylko go mijałam, za każdym więc razem obierałam okrężną drogę wokół stolików.

- Chodź, cukiereczku! - wrzasnął, kiedy szłam do kuchni, by włożyć brudne szklanki do zmywarki. - Przynieś tu ten swój słodki tyłeczek.

- Sprawia ci kłopoty, skarbie? - spytała Brenda, starsza, ładna na swój zmęczony sposób kelnerka, która od zawsze pracowała u Ala. Wskazała głową Czerwoną Koszulę.

Zerknęłam na niego.

- Poradzę sobie, Brendo - odparłam ze słabym uśmiechem.

- Daj znać, gdybyś chciała, żebym przejęła twoją część sali. Mam sporo w zanadrzu do obmacywania. Mogę się podzielić. - Chwyła w garść swoje hojnie obdarzone tyły i puściła do mnie oko.

Roześmiałam się.

Do końca zmiany udawało mi się unikać Czerwonej Koszuli, a kiedy mecz się skończył, wyszedł z resztą swojej kompanii i bar zaczął się nieco wyludniać.

Wycierałam stolik na tyłach, kiedy podeszła do mnie Marlo.

- Hej, Ten, poprosiłam Brendę i powiedziała, że może cię podrzucić do domu.

Przerwałam wycieranie i podniosłam na nią wzrok. Poruszyła się lekko.

- Czemu? - spytałam, mrużąc oczy.

- Hmm... - Zerknęła na gościa siedzącego przy stoliku koło drzwi. Nie poznawałam go, pewnie kolejny, który przyjechał do miasta w interesach. Zlustrowałam go z przeciwległego krańca sali. - To Corey. Zaprosił mnie dziś na kolację i...

Kolację? Było za późno na kolację. Zrobiłam krok w bok, żeby Marlo zasłaniała mnie przed Coreym.

- Nie idź do domu jakiegoś kolesia, którego właśnie poznałaś w barze, Mar. Zapomniałaś już, jak się to kończy...?

Wyprostowała się.

- Nie, nie zapomniałam. - Rzuciła okiem przez ramię na Coreya i posłała mu uśmiech. Potem znów spojrzała na mnie i powiedziała: - Nie jestem głupia, Ten. Wiem, czego chce Corey. Nie mam złudzeń, że się ze mną ożeni i odjedziemy

w stronę zachodzącego słońca. Potrzebuję tylko towarzystwa, czy jest w tym coś złego?

Westchnęłam, opuszczając ramiona.

- A co z Samem? Marlo się najeżyła.

- C o z Samem? Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Nie ma mnie na własność.

- Nie byłoby mu obojętne, że jedziesz z Coreym - powiedziałam.

- A powinno. To byłoby bardzo głupie z jego strony. Westchnęłam.

- Tak. - Przyglądałam się przez chwilę jej ładnej buzi. - Tylko uważaj na siebie, dobrze? I trzymaj się miejsc publicznych, dobrze oświetlonych przestrzeni, które...

Marlo się roześmiała, nachyliła i mnie objęła.

- Dobrze. Będę w domu za parę godzin.

- Okej.

Wróciłam do ścierania ostatnich stolików, a Marlo od-meldowała się i pomachała mi, wychodząc z Coreym przez frontowe drzwi.

Poszłam podbić kartę, a kiedy natknęłam się na Brendę, powiedziała:

- Skarbie, przepraszam. Właśnie poszłam rozgrzać silnik, ale nie chce ruszyć. Dave przyjedzie po mnie za jakąś godzinę. Możesz poczekać?

Naprawdę nie miałam ochoty siedzieć w tym zadymionym barze przez kolejne godziny w oczekiwaniu na męża Brendy.

- W porządku, przywykłam do chodzenia na piechotę, a nie jest zimno.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Uśmiechnęłam się, pożegnałam ze wszystkimi i wyszłam na zewnątrz.

Był wiosenny wieczór, ale i tak włożyłam sweter, a ręce zaplotłam na piersi. Wkrótce będę zmuszona kupić parę nowych rzeczy. Niektóre z moich ubrań miały najprawdziwsze dziury. Pogadam z Marlo i zobaczę, na co nas stać.

Sosnowe igliwie wzbijało się na wietrze i kłębiło u moich stóp, kiedy tak brnęłam w kurzu i liściach poboczem drogi. Wiatr mierzwił lekko moje włosy. Spojrzałam na księżyc, wspominając jego wygląd, gdy wisiał nad nami na łące, kiedy Kyland poruszał się nade mną ze skórą wilgotną od namiętności. Zadrżałam z pragnienia i przyspieszyłam kroku. Może wpadnę do niego. Z pewnością do tego miałam prawo. Usłyszałam za sobą nadjeżdżający samochód, odeszłam więc tak daleko od szosy, jak się dało. Samochód minął mnie pędem, podniosłam jednak wzrok, bo usłyszałam, że zwalnia i zatrzymuje się na poboczu.

Zwolniłam kroku i zmrużyłam oczy, idąc w kierunku srebrnego auta. Czy to brat Jenny Clark? Kiedy podeszłam bliżej, zdałam sobie sprawę, że nie - ten samochód był w znacznie lepszym stanie. Silnik miał włączony, ale nikt nie wysiadł. Wreszcie drzwi się otwały i od strony kierowcy wysiadł, lekko się zataczając, Czerwona Koszula.

- Cześć, ślicznotko, czekałem na ciebie. - Uśmiechnął się lubieżnie i ruszył w kierunku miejsca, w którym stałam teraz nieruchomo, sparaliżowana strachem.

Przebiegłam wzrokiem w jedną i drugą stronę szosy. Była puściusia. Wyminęłam jego samochód i zawołałam przez ramię:

- Zaraz ktoś po mnie przyjedzie. Ale miło było pana poznać.

Kiedy mijałam jego auto od strony pasażera, on okrążył je od przodu. Przyspieszyłam kroku. On też przyspieszył, przeszedł więc w trucht. Gdy rzucił się za mną w pogoń, strach zmroził mi żyły. Wydałam z siebie cichy okrzyk, czując na

ramionach dotyk jego rąk, ale szarpnęłam się do przodu i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że dał sobie spokój i wrócił do samochodu. Odważyłam się zerknąć za siebie i w tej chwili jego dłoń chwyciła mój sweter i pociągnęła mnie. Poleciałam do tyłu, uderzając plecami w jego pierś, a jego ramiona mnie otoczyły. Wydał z siebie pół śmiech, pół okrzyk zwycięstwa.

- Puszczaj mnie! - wrzasnęłam i stłumiłam szloch, a panika wycisnęła mi z oczu łzy.

Jakiś samochód minął nas powoli, krzyknęłam więc „pomocy!”, a moje oczy napotkały oczy kierowcy, kobiety. Odwróciła jednak wzrok i dodała gazu.

Poczułam przy uchu ciepły oddech Czerwonej Koszuli.

- Wyluzuj, słodziutka, mam cię. Lubisz walczyć, co? Chcę cię tylko poznać. Uciekałaś przede mną w barze. Pojedźmy gdzieś, gdzie możemy się zaprzyjaźnić. - Jego dłonie przesunęły się po moich żebrach i ujęły piersi, boleśnie je ściskając.

- Nie! - krzyknęłam, wierzgając do tyłu nogami, które natrafiły na jego golenie.

Wydał z siebie jęk bólu i mnie puścił. Odwróciłam się i zaatakowałam pięścią, trafiając w bok jego głowy. Warknął wściekle i odwzajemnił cios. W mojej czaszce eksplodował ból, potknęłam się, straciłam równowagę i z bezgłośnym stęknieniem wylądowałam na tyłku. Zaczęłam się czołgać rakiem po ziemi, a Czerwona Koszula ruszył chwiejnie za mną. Zerwałam się na nogi w samą porę, żeby zobaczyć, jak jakiś samochód zatrzymuje się tuż za autem Czerwonej Koszuli i wyskakuje z niego od strony kierowcy jakiś mężczyzna. Odwróciłam się do ucieczki, kiedy mężczyzna zawołał:

- Tenleigh! Wszystko w porządku!

Obróciłam gwałtownie głowę i zobaczyłam Jamiego Kearneya zmierzającego w stronę Czerwonej Koszuli. Zatrzymałam się w pół kroku, z trudem łapiąc hausty powietrza, a po moich policzkach płynęły łzy.

Jamie chodził do równoległej klasy, jego ojciec Edward Kearney był mężczyzną, z którym moja mama miała romans.

- Hej, stary - odezwał się Czerwona Koszula, robiąc krok w jego kierunku. - Radzimy sobie...

Jamie przyłożył mu w twarz i facet upadł z impetem na żwir, nawet nie próbując się asekurować. Krzyknęłam, zakrywając usta dłońmi. Cała się trzęsłam. W czasie gdy Jamie dźwignął Czerwoną Koszulę i zaniósł przerzuconego przez ramię do samochodu, ja dokonałam pobieźnych oględzin samej siebie. Sweter miałam podarty w miejscu, gdzie chwycił go Czerwona Koszula, i wyglądało na to, że oko szybko zamyka mi opuchlizna. Przyłożyłam palec do wargi i odsunęłam go - była na nim krew.

Jamie wrzucił nieprzytomnego Czerwoną Koszulę do stojącego na jałowym biegu samochodu, po czym sięgnął i wyjął kluczyki ze stacyjki. Nachylił się i zrobił coś, czego nie widziałam, a kiedy się wyprostował, w jednej ręce trzymał parę dzinsów, a w drugiej kluczyki. Zatrzaskał drzwi, zrobił zamach i cisnął kluczyki do lasu koło szosy.

- Nic ci nie jest? - spytał, przerzucając dzinsy przez ramię i obracając się w moją stronę.

Pokręciłam drżąc głową, a on podszedł do mnie. Na mój widok zacisnął usta, ale mnie nie dotknął.

- Chodź, zawiozę cię do domu.

Zawahałam się. Chodziłam z nim do szkoły przez ostatnie cztery lata, ale wcale go dobrze nie znałam. Właściwie to unikałam go, jak tylko się dało - mogłam sobie wyobrazić, że nie pałał szczególną sympatią do żadnego członka naszej rodziny, w tym do mnie. Był świadkiem tego, jak mama zawlokła nas ich długim podjazdem - jak jego ojciec na nas napluł. Kiedy się odwracałyśmy, dostrzegłam, że obserwuje nas z okna.

Patrzył teraz na mnie, gdy się tak wahałam, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś czerwonego i połyskującego.

Podał mi to tak, że bym mogła zabrać z jego wyciągniętej dłoni. To był scyzoryk.

- Jeśli spróbuję zrobić coś, co będzie dla ciebie nieprzyjemne, dźgnij mnie nim w oko - powiedział, a na jego ustach igrał uśmiezek.

Wypuściłam powietrze i uśmiechnęłam się do niego blado, a moje łomoczące serce zwolniło na tyle, że bym znów mogła wziąć pełny oddech. Przyjęłam scyzoryk. Nic nie powiedziałam, ale poszłam za Jamiem do samochodu i wsiadłam od strony pasażera. On też wsiadł i rzucił dzinsy na tylne siedzenie. Zerknęłam na nie zdezorientowana, a potem przytuliłam się do drzwi, gdy Jamie wyjechał na szosę. Wyjrzałam przez tylną szybę - Czerwona Koszula wciąż nie podniósł się w swoim samochodzie.

- A jeśli nie żyje? - spytałam.

Jamie rzucił okiem we wsteczne lusterko.

- Żyje. Tylko obudzi się ze sporym bólem głowy i potężnym kacem... i będzie musiał wrócić do hotelu... bez spodni. - Spojrzał na mnie, a kącik jego ust lekko drgnął.

Wpatrywałam się w niego zdrowym okiem, a moje usta też zadrżały na myśl o tym, jak Czerwona Koszula idzie szosą goły od pasa w dół. Potem jednak mina mi zrzędła.

- Może się dowiedzieć, jak się nazywam - powiedziałam. Jamie spojrzał na mnie, a później z powrotem na szosę, skręcając w drogę prowadzącą na wzgórze.

- Nie będzie cię niepokoił. - Zamilkł na moment. - Zadbam o to, dobrze?

Zerknęłam na niego.

- Dobrze.

Nie wiem, czemu w to wierzyłam, ale wierzyłam. Jamie trzymał z popularnymi dzieciakami, niewielką grupką z naszej szkoły, mieszkającą w Evansly, której rodzice byli dyrektorami kopalni - dzianą grupką. Nie wiedziałam, czy byłby uważany

za bogatego według wszystkich standardów, ale według moich z całą pewnością był. Nasze życie różniło się diametralnie.

Pokierowałam go pod górę do mojej przyczepy, a kiedy się przed nią zatrzymał, siedział, wpatrując się w nią przez dłuższą chwilę. Byłam zbyt obolała i otępiała, by się przejąć. W tamtej chwili moja mała przyczepka wyglądała dla mnie całkiem dobrze. Chciałam wejść do środka i położyć się na niewielkiej kanapie, na której sypiałam. Pociągnęłam za klamkę i drzwi auta otworzyły się z kliknięciem.

- Hej, Tenleigh - odezwał się Jamie i zamilkł, ale nie odwróciłam się w jego stronę. - Może to nie najlepszy moment, ale czy, hmm, miałabyś ochotę pójść w przyszłym tygodniu na bal maturalny? To znaczy ze mną?

Spojrzałam przez ramię. Jamie był przystojny - nie tak jak Kyland - ale miał przyjemną, miłą twarz.

- Dzięki, Jamie, ale nie. Nie tańczę i... - Nie stać mnie ani na sukienkę, ani na buty i jestem rozpaczliwie w kimś zakochana.

- Proszę, w zasadzie jesteś mi to winna.

Spojrzałam mu ostro w oczy, ale zobaczyłam, że żartuje. Wypuściłam powietrze i posłałam mu uśmiech.

- Dziękuję, Jamie, naprawdę, za to, co zrobiłeś. Ale nie. Ja, hmm, tak jakby się z kimś spotykam i... - Na te słowa łzy zaczęły płynąć mi z kąsików oczu. Czy się z kimś spotykałam? Boże, to wszystko było takie zagmatwane. I jakimś cudem moje serce było równie poturbowane jak oko.

- Hej - powiedział łagodnie. - Rozumiem. Pomyślałem tylko... no wiesz, ty i ja... - Zacisnął usta, jakby zastanawiał się nad doborem słów. - Nigdy nie próbowałem tak naprawdę cię poznać i za to przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że nie zostało wiele czasu, ale pomyślałem, że może bal... - Przeniósł na mnie wzrok. - Ale jesteś z kimś związana, więc rozumiem, że to on pewnie chce cię zabrać.

Spuściłam wzrok na kolana i potrząsnęłam głową, ale się nie odezwałam. Czy ten chłopak w ogóle by zrozumiał, jak to jest, gdy masz tak mało, że czasem jesteś po prostu wdzięczny za to, że jest co do garnka włożyć? Tańce, randki... te sprawy znajdowały się tak daleko poza pulą moich doświadczeń. Nie miałam pojęcia, jak się to wszystko robi. Nie miałam pojęcia, jak to jest wieść życie, w którym ma się luksus przejmowania się tego rodzaju sprawami.

- Jeszcze raz dzięki - powiedziałam.

- Tenleigh? - Odwróciłam się. - Ja... nie wiem, hmm...

- Wyduś to, Jamie.

- Jestem gejem.

O. Odwróciłam się do niego całym ciałem.

- To czemu w takim razie zaprosiłeś mnie na bal?

- Chciałem po prostu spędzić z tobą trochę czasu. Przechyliłam głowę.

- A gdybym się zgodziła i miała nadzieję, że ci się podobam? - spytałam.

- Ja... chyba nie przemyślałem tego porządnie. Przepraszam.

Przyglądałam mu się przez moment, po czym westchnęłam.

- Nic się nie stało.

- Nie mogę powiedzieć rodzicom. To znaczy mogę. Mam zamiar. Wkrótce. Chyba. Może. - Wyjrzał przez boczną szybę po stronie kierowcy.

Wzięłam głęboki oddech i oparłam się o fotel.

- Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Spojrzał znów na mnie i pokręcił głową.

- Nie, nie będzie. Nie będzie dobrze. Ale chyba i tak muszę to zrobić. Pomyślałem, że może zanim wyjadę do college u. Będą mieli trochę czasu na przetrwanie tego, kiedy będę poza domem, wiesz?

Skinęłam głową.

- Tak. - Wyciągnęłam rękę i uścisnęłam jego ramię. - Powodzenia.
- Mój tata dorastał w takich warunkach jak ty - powiedział, zerkając na moją przyczepę. - W biurze ma zdjęcie szopy, w której mieszkał jako chłopiec w Wirginii Zachodniej.

Zacisnęłam usta i podrapałam udo.

- To tylko pogarsza sprawę.

- Co? - spytał, spoglądając w moje zdrowe oko.

- Wie, jaki ból sprawia takie życie, a tylko go zwiększył. Dla niego to był chory, ekscytujący sposób na przypomnienie sobie, jak daleko zaszedł i jak daleko inni zostali w tyle.

Jamie wzdrygnął się lekko, uciekł wzrokiem, a po chwili znów na mnie spojrzał.

- Wiem. - Zamilkł na moment. - Może cię pocieszy, że też nie lubię miejsca, w którym mieszkam, mimo wszystkiego, co mam. - Zmarszczył brwi, wyglądając przez boczne okno po mojej stronie. - Tamtego dnia - spojrzał mi prosto w oczy - tamtego dnia, kiedy tata kazał wam się wynosić z naszego domu, obserwowałam to. Widziałem. I chciałem z wami pójść. Zobaczyłem, jak wasza trójka złapała się za ręce i odeszła, jak oparłaś się o swoją siostrę i... Może zabrzmi to dla ciebie głupio i niedelikatnie, ale... chciałem pójść razem z wami. Chciałem tego, co miałyście. Rodziny.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem.

- Ja chciałam tego, co ty miałeś. Rodziny. I - zaśmiałam się cicho - trochę jedzenia w lodówce.

Roześmiał się ponuro, kończąc śmiech grymasem.

- Życie jest ciężkie, ślicznotko - powiedziałam cicho, kręcąc głową.

- Słucham?

- Nic. Dzięki jeszcze raz, Jamie. Dobranoc. Skinął głową z zaniepokojoną miną.

- Dobranoc, Tenleigh. Przyłóż koniecznie lód do oka.

- Tak zrobię. - Otwarłam drzwi samochodu i wysiadłam. Obserwowałam, jak Jamie zawrócił i odjechał z powrotem w dół drogą do miasta. Stałam tam przez chwilę, wdychając świeże nocne powietrze i rozmyślając, co powiem mamie. Nie powiem jej prawdy. To by w niczym nie pomogło - nie mogła nic z tym zrobić, a tylko pogorszyłoby to jej stan. Powiem, że wpadłam w pracy na drzwi wahadłowe.

Ale kiedy tam stałam, emocje mnie przytłoczyły. Nie chciałam kłamać. Chciałam, żeby ktoś utulił mnie w płaczu. Chciałam, żeby ktoś powiedział mi, że wszystko będzie dobrze. Spojrzałam w niebo, a po mojej twarzy popłynęły łzy.

-Ten?

Obróciłam gwałtownie głowę na dźwięk jego głosu. Ky-land. Otarłam łzy i odwróciłam się w jego stronę. Kiedy podszedł na tyle blisko, że mogłam dostrzec jego rysy, przystanął, a jego twarz wykrzywił grymas, z początku zaskoczenia, a potem złości.

- Co jest, kurwa? - wysyczał, podchodząc do mnie szybko i unosząc moją twarz do księżyca, do światła. - Kto to zrobił?

- Kylandzie - wydusiłam, czując, jak uchodzi ze mnie cała wola walki.

Objął mnie i przycisnął do swego mocnego, bezpiecznego ciała. Zatonęłam w nim, ściskając w pięściach jego koszulę, i płakałam. Płakałam nie tylko z powodu poturbowanej twarzy, ale też dlatego, że to mogło się zdarzyć ponownie. Płakałam, bo byłam przerażona i bezradna. Bo mimo że Kyland mnie trzymał, i mimo wszystkiego, co wspólnie przeżyliśmy, wyczuwałam oziębienie jego uczuć. Wyczuwałam, że sztywnieje, gdy moje łzy płyną, a ja go ściskam.

- Kto ci to zrobił? - powtórzył, tyle że tym razem jego głos był spokojniejszy.

Pociągnęłam nosem i otarłam policzki, odsuwając się od niego.

- Jakiś gość - wyszeptałam.
- Klient Ala? Skinęłam głową.
- Nie chciałam wsiąść do jego samochodu i to mu się nie spodobało. Nic nie powiedział, zacisnął szczęki, a spojrzenie utkwił w jakiś punkt za moimi plecami.
- Wiesz, jak się nazywa? Pokręciłam głową.
- To nie ma znaczenia, Ky. Jamie Kearney mu przyłożył, a potem odwiózł mnie do domu. Powiedział, że zadba o to, żeby ten człowiek więcej mnie nie niepokoił... - Urwałam. Nie miałam pojęcia, co planował Jamie, jeśli w ogóle coś planował.
- Kyland nie odzywał się przez dłuższą chwilę. W końcu skinął głową.
- To dobrze. - Spojrzał na mnie i założył mi za ucho kosmyk włosów.
- Przykro mi, że ja nie mogę nic zrobić. Przykro mi, że jestem taki bezużyteczny - powiedział schrypniętym, umęczonym głosem.
- Jego ton sprawił, że się zawahałam i szerzej otwarłam zdrowe oko.
- Nie jesteś bezużyteczny, Kylandzie. Nigdy tak nie mów. Spojrzał na mnie z miną pełną bólu.
- Wejdź do środka i przyłóż lód do oka - powiedział. -Masz tylenol albo coś w tym rodzaju?
- Skinęłam głową.
- Pomyślałam, że może mogłabym do ciebie wpaść - powiedziałam z nadzieją w głosie, nie pragnąc niczego bardziej od jego ramion.
- To nie jest dobry pomysł - odparł krótko. - Już nie możemy tego robić.
- Czemu? - spytałam głosem łamiącym się z bólu, który mnie przeszył.

- Bo sprzedałem łóżko. Śpię na podłodze. O.

- To nic. Będę spała na podłodze razem z tobą - powiedziałam.

Potrzebuję cię, Ky.

Pokręcił głową i znów zacisnął szczęki.

- Nie. Nie będziesz spała na cholernej podłodze, Tenleigh. - Na widok zranienia malującego się na mojej twarzy jego mina złagodniała i powoli wypuścił powietrze. - Nie, nie będziesz spała na podłodze. Wejdź do przyczepy i połóż się do łóżka. Zajrzę do ciebie rano, okej?

Chciałam na niego nawrzeszczeć. Chciałam błagać, żeby ze mną został, żeby zabrał mnie ze sobą, zrobił cokolwiek. Wyobraziłam sobie matkę wrzeszczącą w hallu na Edwarda i spuściłam wzrok, pojmując nagle, jak ogromny ból musi nosić w głębi swojego uszkodzonego mózgu.

- Widziałam cię wcześniej z Shelly - powiedziałam. -Czekałam, żebyś odprowadził mnie do domu, ale ty byłeś z nią. - Nie mogłam ukryć oskarżenia w głosie. Czy zbyt wiele oczekiwałam?

Przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu.

- Przykro mi, Ten. Chciała mi tylko pokazać samochód, który przygotował dla niej brat. Nic więcej.

Przebiegłam wzrokiem po jego twarzy. Nie poczułam się lepiej.

- W porządku - powiedziałam. - Kocham cię. Zacisnął oczy.

- Ja też cię kocham. Wejdź do środka. Chcę usłyszeć zamek w drzwiach.

Odwróciłam się i ruszyłam na sztywnych nogach do drzwi przyczepy, przekręciłam zamek i otwierałam je. Spojrzałam za siebie, po czym weszłam do środka. Kyland stał kawałek dalej, obserwując mnie bez ruchu. Skinął głową, a ja zatrzymałam

się, czując coś na kształt strachu na widok zacięcia malującego się na jego twarzy. Nie wiedziałam, co dokładnie oznaczało, ale czułam, że nic dobrego.

Zamknęłam za sobą drzwi, przekręciłam zamek i opadłam na kanapę. Ukryłam twarz w dłoniach i zaszlochałam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tenleigh

Kyland zjrzał do mnie następnego ranka, ale zachowywał się powściągliwie, jakby był lekko nieobecny, niemal zimny, i nie zrobił nic, żeby mnie pocieszyć. Czułam się niewiarygodnie zraniona. Ból cielesny był najmniejszą z moich bolączek.

Marlo wróciła do domu kilka godzin po mnie i musiała zauważyć moją posiniaczoną twarz, bo obudziła mnie i zażądała wyjaśnień. Płakałam w jej objęciach, tak jak ona płakała w moich, kiedy u podnóża góry rzucił ją mężczyzna, który odebrał jej dziewictwo i się jej pozbył.

Chłopak, który odebrał dziewictwo mnie, nie zranił mnie fizycznie i nie płakałam z powodu obolałej twarzy. Płakałam z powodu obolałego serca.

Minuty odmierzały weekend. Zaszyłam się w przyczepie, podskakując na każdy odgłos z przeczącą rozsądkowi nadzieją, że to Kyland. Ale od tamtego poranka więcej się nie pojawił, a ja nie poszłam do niego. Jasno dał do zrozumienia, jaką decyzję podjął, i choć zbliżyliśmy się do siebie fizycznie, nie

zmieniło to jego postanowienia. Myślami już go tu nie było. Właściwie to rozumiałam. I złamało mi to serce.

Przez następny tydzień i kolejny weekend w ogóle go nie widziałam. Zajrzałam do niego kilkakrotnie, ale nie było go w domu - albo nie otwierał.

W poniedziałek miało nastąpić ogłoszenie, kto zdobył stypendium. Usiłowałam poczuć w tej kwestii cokolwiek, ale nie mogłam. Wiedziałam, co się stanie, to było z góry przesądzone - Kyland je zdobędzie. Specjalnie się podłożyłam. Wiedziałam, że walka toczy się między nim a mną. I wiedziałam, że on potrzebuje stypendium bardziej niż ja. Teraz rozumiałam czemu. I kochałam go. A oprócz dziewictwa tylko to mogłam mu dać. Zdawałam sobie teraz sprawę, że niezależnie od tego, czy na to zasługuje, czy nie, położyłabym u jego stóp wszystko. Czułam się zrozpaczona i oszalała, prawie straciłam rozum ze strachu przed utratą go na zawsze. Żal zalał potężną falą moją pierś.

Kiedy w poniedziałkowy poranek szłam drogą do szkoły, z zaskoczeniem zobaczyłam Kylanda czekającego na mnie przed swoim domem. Na jego widok, mimo całego bólu ubiegłego tygodnia, radość, którą poczułam w sercu, rozjaśniła natychmiast moją twarz.

- Cześć - powiedziałam.

On też się do mnie uśmiechnął.

- Cześć. Oko wygląda znacznie lepiej. - Ale jego wzrok zatrzymał się na moim sińcu, wciąż lekko żółtym, i na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji.

Skinęłam głową.

- Już nawet nie boli. - Popatrzył na mnie, jakby się zastanawiał, czy kłamię, ale nic nie powiedział. - Zglądałam do ciebie kilka razy w zeszłym tygodniu - powiedziałam. - Nie było cię w domu. - Spojrzałam na niego zdenerwowana, mając nadzieję, że powie coś, dzięki czemu poczuję się lepiej. Cokolwiek.

Skinął głową.

- Musiałem trochę zarobić, Ten. Tak dużo się uczyłem, że zaniedbałem rachunki. I muszę coś jeść.

Serce mi się ścisnęło.

- Kylandzie, miałyśmy nieco więcej pieniędzy. Mogłam zostawić ci trochę jedzenia.

Milczał tak długo, że nie spodziewałam się odpowiedzi. W końcu spojrzął na mnie, w jego oczach malował się czysty smutek.

- Nie ma potrzeby. Już wszystko w porządku.

Tyle było między nami niedopowiedzeń. Na moim sercu powstała kolejna rysa. Nie byłam pewna, ile jeszcze rys zniesie. Nie chciałam tego wiedzieć.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, poranek rozbrzmiewał śpiewem ptaków, ciepłe wiosenne powietrze pieściło moją twarz i nagie ramiona. Kwitły rododendrony - minęliśmy jeden tak obsypany czerwonymi pączkami, że przypominał płonące morze kwiatów. Cała przyroda tchnęła nowością. Wdychałam głęboko mieszankę świeżej ziemi i młodych liści. Może my też moglibyśmy zacząć od nowa. Ni stąd, ni zowąd świat wypełniły nowe możliwości, bo chłopiec, którego kochałam, szedł z powagą obok mnie. Może oboje musieliśmy po prostu pokonać samych siebie, nabrać nadziei. Poza tym to miał być dla niego dobry dzień - tylko jeszcze o tym nie wiedział. Popatrzyłam na niego spod przymrużonych powiek.

- Wielki dzień. Zmarszczył brwi.

- Tak. - Uśmiech zniknął z mojej twarzy. Kyland zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. - Tenleigh, cokolwiek się dziś wydarzy, ja... - Przeszedł włosy ręką w swój seksowny, niepewny siebie sposób. - Będzie, co ma być, okej?

Zmarszczyłam brwi, nie rozumiejąc, co dokładnie ma na myśli.

- Okej - przytaknęłam. Wiedziałam już, co się dziś wydarzy. Pogodziłam się z tym.

Resztę drogi przebyliśmy głównie w milczeniu, ale całkiem znośnym. Nie umiałam odczytać jego nastroju, ale chyba się tego spodziewałam. Zostawiłam go z jego myślami. Był pewnie zdenerwowany, niespokojny i pełen obaw. Ostatnie cztery lata jego życia, całe cierpienie, cały ból, praca, poświęcenie, cały głód - wszystko sprowadzało się do tego jednego momentu podczas szkolnego apelu, na którym mieliśmy się za parę godzin znaleźć. Chciałam go uspokoić, ale się pohamowałam. Nie mógł się dowiedzieć, co zrobiłam.

Tak wiele wisiało między nami tego poranka, tak wiele rzeczy, o których żadne z nas nie wspominało. Tak wiele tajemnic, półprawd, tak wiele bólu.

Kiedy dotarliśmy do bramy szkoły, ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie w czoło, zatrzymując na nim dłużej usta, jakby się do czegoś zbierał. A potem odsunął się i spojrzał na mnie ze słabym uśmiechem, przebiegając wzrokiem po mojej twarzy, jakby uczył się mnie na pamięć, jakby się ze mną żegnał.

Otwarłam usta, żeby coś powiedzieć, żeby błagać, by coś zrobić, prosić o wyjaśnienie, co się dzieje. Ale nie znalazłam słów. Odwrócił się i wszedł do szkoły. Nie spojrzał za siebie.

*

Kiedy później wspominałam tamten apel, przypominał sen, jakbym nie była obecna ciałem, gdy wywołali moje nazwisko. Byłam tak przygotowana, że usłyszę nazwisko Kylanda Bar-retta jako zdobywcy stypendium, że mój mózg nie rozpoznał mojego własnego nazwiska. Siedziałam więc uśmiechnięta, klaszcząc razem z resztą uczniów. Dziewczyna obok mnie roześmiała się i szturchnęła łokciem, po czym z życzliwym uśmiechem powiedziała:

- No idź tam.

Zamrugałam i zszokowana rozejrzałam się wokół. Nie! Nie, nie tak miało być. Wyszeptałam nawet „nie”, ale już postawiono mnie na nogi i wypchnięto pomiędzy krzesłami. Twarze uśmiechały się do mnie, wykrzykiwano gratulacje, a ja szłam wzdłuż szeregu uczniów, którzy usuwali nogi na bok, żeby zrobić przejście. Rozejrzałam się z rozpaczą za Ky-landem i wreszcie go dostrzegłam - siedział z klasą, z którą miał ostatnie zajęcia, a jego twarz pozbawiona była wyrazu.

- Nie - wyszeptałam znów.

- Tenleigh Falyn - oznajmił ponownie Edward Kearney, uśmiechając się do mnie promiennie ze sceny.

Nie pamiętam, jak tam dotarłam, ale nagle stałam przed nim, a jego szeroki, tryumfalny uśmiech znalazł się bardzo blisko mnie. Roześmiał się tubalnie, tym samym śmiechem, który pamiętałam dobiegający z niewielkiej sypialni w przyczepie, podczas gdy łóżko skrzypiało, a mama jęczała.

Spojrzałam za siebie na krzesło Kylanda, ale go nie było. Zniknął.

- Cóż, gratulacje - powiedział Kearney. - Widzę, że jesteś w niezłym szoku.

Spojrzałam na dyrektorkę, panią Branson, a ona uśmiechnęła się do mnie szeroko. Nie odwzajemniłam uśmiechu.

Reszta godziny minęła jak we mgle. Miałam ochotę uciec stamtąd jak najszybciej. Chciałam gonić Kylanda. Chciałam go pocieszyć, porozmawiać z nim, być z nim. Jak się teraz czuł? Och, Kylandzie. Chciało mi się krzyczeć.

Otrzymałam właśnie coś, o czym marzyłam przez całą szkolną karierę, jakim więc cudem przypominało to senny koszmar? Zabawne, jak marzenia potrafią w ułamku sekundy zmienić swoje oblicze.

Kiedy było już po wszystkim, kiedy zakończono aplauz i gratulacje, kiedy wręczono mi dokument stwierdzający, że

moje czesne na Uniwersytecie Stanowym San Diego zostało w całości opłacone, łącznie z akademikiem i otwartym na moje nazwisko kontem, które sfinansuje moje posiłki, kiedy wszystkie moje marzenia rzekomo się spełniły, wyleciałam z sali prosto do gabinetu pani Branson.

- Tenleigh. - Śmiech zaskoczenia wyrwał się z jej ust, gdy wpadłam do gabinetu i zatrzasnęłam za sobą drzwi, sprawiając zapewne wrażenie oszalałej.

- Nie mogę przyjąć stypendium - wypaliłam. - To jakaś pomyłka.

Pani Branson ponownie się roześmiała, ale zmarszczyła brwi.

- Tenleigh, moja droga, nie ma żadnej pomyłki. Pan Kearney sporządził już stosowne dokumenty. Wszystko jest zapisane na twoje nazwisko. Do pomyłek nie dochodzi, kiedy na szali znajduje się coś równie ważnego jak to. Zdobyłaś je, skarbie. I to nie podlega dyskusji.

Potrząsnęłam głową, opadając na krzesło po przeciwległej stronie jej biurka.

- Schrzaśniłam egzaminy końcowe - powiedziałam. - Poszło mi fatalnie.

Zrobiłam to dla Kyłanda. Zrobiłam to, żeby wygrał.

Wszystko jest nie tak. Wszystko jest nie tak.

Zacisnęła usta, przyglądając mi się z lekkim zdziwieniem.

- Widziałam, że powinęła ci się noga. Byłam zaskoczona. Zawsze szło ci w testach doskonale. - Machnęła ręką w powietrzu. - Ale najwyraźniej stypendium zależy nie tylko od wyników egzaminów końcowych. Musisz zrozumieć, że pod uwagę brane są wszystkie cztery lata... liczba kursów rozszerzonych, na które chodziłaś, zajęcia fakultatywne, w które się angażowałaś, tego rodzaju kwestie.

Prawda była taka, że nie angażowałam się w szczególnie wiele zajęć fakultatywnych. Nie mogłyśmy sobie na nie

pozwolić, musiałam pracować. To nie mogła być prawda. A jednak... była.

Przemknęło mi przez myśl, że miało to coś wspólnego z moją matką. Wyprostowałam się na krześle. Czy pan Kearney przyznał mi stypendium, żeby pozbyć się mojej rodziny z miasta? Ale w jaki sposób? Nie mogłam przecież wziąć nikogo ze sobą. Bo jak? Mama i Marlo spałyby ze mną na piętrowym łóżku w akademiku? Oczywiście, że nie. Byłam zrozpaczona i zdezorientowana.

- Chcę przekazać je na nazwisko kogoś innego - powiedziałam, spoglądając na nią znacząco.

Zmarszczyła brwi.

- To niemożliwe. Przykro mi, ale to absolutnie niewykonalne. Wszystko zostało już załatwione. - Podniosła się, obeszła biurko i wzięła moje dłonie w swoje, patrząc na mnie życzliwie. - Tenleigh, to ty je zdobyłaś. Jest twoje. Wiem -przygryzła wargę - cóż, wiem, że czasem ciężko zaakceptować pewne rzeczy, jeśli nie jest się przyzwyczajonym do posiadania zbyt wiele, ale proszę, najdroższa Tenleigh, pozwól sobie na szczęście i dumę. Udało ci się. Napracowałaś się, żeby osiągnąć to, co osiągnęłaś. Zaslługujesz na to. Jest twoje.

Ramiona mi opadły, ale skinęłam głową.

- Dziękuję, pani Branson. - Wstałam i opuściłam gabinet. Tak, zasłużyłam na stypendium, ale już go nie chciałam.

Musiało pójść do Kylanda. Potrzebował go bardziej niż ja.

Wyszłam ze szkoły i szybkim krokiem wróciłam do Dennville. Tak nie mogło być. Nie zostawię go. Ułożymy inne plany. Nie chciałam wyjeżdżać z Kentucky. Nie chciałam iść do college'u. Chciałam miłości Kylanda i nie miałam zamiaru z niej rezygnować ani dla wyższej edukacji, ani niczego innego. Nie miałam zamiaru. To było głupie, ale nie obchodziło mnie to. Jedyne, czego pragnęłam, to on. Zatrzymałam się u podnóża naszej góry, przysiadłam na kamieniu na poboczu bitej drogi,

wyjęłam z plecaka kartkę papieru i sporządziłam pospieszną listę. Następnie podniosłam się i resztę drogi pokonałam biegiem.

Kiedy dotarłam do drzwi Kylanda i zapukałam w nie pięścią, byłam zdyszana i spocona. Wyszedł z apelu, więc z pewnością wrócił do domu. Usłyszałam kroki i czekałam. Po chwili otworzył powoli drzwi i wyrzwał zza nich. Spojrzałam na niego, a mój oddech był mocno urywany.

- Mogę wejść? - spytałam.

Uśmiechnął się sztywno i otworzył szerzej, zapraszając mnie do środka. Nadal nie odezwał się ani słowem.

Kiedy zamknął za mną drzwi, a ja odwróciłam się w jego stronę, nie wytrzymałam i wybuchnęłam płaczem. Natychmiast znalazł się przy mnie i wziął mnie w ramiona.

- Cii, Tenleigh, czemu płaczesz? Jestem z ciebie taki dumny. Zasłużyłaś na to. Zasłużyłaś. - Odsunął się i odgarnął mi włosy z twarzy. - Wyjeżdżasz do collegeu. - Uśmiechnął się uśmiechem szczerym i czułym. Dumnym.

Rozpłakałam się jeszcze bardziej. Pokręciłam głową.

- Nie chcę wyjeżdżać do collegeu - powiedziałam. - Chcę, żebyś ty wyjechał do collegeu.

Odsunął się, jakby dostał ode mnie w twarz.

- Ale tak się nie stało. Po prostu nie. Ty wyjedziesz i zdobędziesz wykształcenie. Wyniesiesz się stąd, Tenleigh. Będziesz miała piękne życie, życie pełne książek i ładnych ubrań, dom ogrzany zimą, samochód i mnóstwo jedzenia w lodówce. Zobaczysz ocean. - W jego głosie brzmiała pasja... i złamane serce.

Moje własne serce zdawało się krwawić mi w piersi.

- Kylandzie - podeszłam do niego i położyłam dłoń na jego policzku - nie dbam o żadną z tych rzeczy. Chcę... chcę ciebie. Wiem, że ostatnie tygodnie były... napięte, ale możemy wrócić do tego, co nas łączyło. Wiem, że możemy. Mam już książki. Jeśli zrobi mi się zimno, ogrzejemy się nawzajem. Jeśli

zgodnie, znajdziemy na to sposób, jak zawsze. - Ogarnęła mnie nadzieja. Miłość, tego właśnie chciałam. I gotowa byłam o nią walczyć. Gotowa byłam stracić dla niej głowę. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie ma na świecie nic ważniejszego od miłości. Przysunęłam się do niego bliżej. - Oboje znajdziemy gdzieś pracę, nieważne gdzie, i wynajmiemy mały domek, i założymy ogródek. - W miarę jak to sobie wyobrażałam, mój głos nabierał mocy, a słowa wypływały z ust coraz bardziej wartkim potokiem. Byłam świadoma, że słyhać moją desperację, ale to mnie nie obchodziło. Chwyciłam plecak i wyjęłam z niego listę, którą sporządziłam na poboczu drogi. - Zrobiłam listę - powiedziałam z nadzieją. - Wszystko, na co musimy zaoszczędzić, zanim przeprowadzimy się do miasta. Czasem zapisanie myśli ułatwia wyobrażenie ich sobie, powoduje, że rzeczy zdają się bardziej wykonalne. - Zerknęłam w dół na kartkę drżącą w mojej roztrzęsionej dłoni. - Podejrzewam, że zajmie nam to tylko... - Urwałam, zauważywszy, że Kyland przygląda mi się z wielkim żalem w oczach. Zamilkłam, a jego żal przeszedł w gniew. Opuściłam ramiona, a kartka opadła żałośnie na podłogę.

- Nie waż się nawet tak mówić, Tenleigh - wycodził. - Dostałaś szansę, szansę na prawdziwe życie, i chcesz z niej zrezygnować na rzecz gównianej wegetacji i u mojego boku? Chcesz, żebyśmy się oboje przepracowywali, zaciskali pasa i odmawiali sobie wszystkiego, aż znenawidzimy się nawzajem?

- Nie - pisnęłam. - Nie tak by to wyglądało. Zrezygnowałabym z tego wszystkiego dla ciebie.

Bo taka była prawda. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że porzuciłabym to wszystko dla niego. Wiedziałam, że to głupie, lekkomyślne i niewłaściwe, ale tak właśnie czułam. Nie mogłam zostawić go tu, w tym domku, czy na jakiejś autostradzie samotnie wyjeżdżającego stopem z miasta. Nie mogłam pozwolić mu na cierpienie, na wygrzebywanie resztek

jedzenia choćby dzień dłużej. Nie mogłam. Żadna siła nie była mnie w stanie do tego zmusić.

Wybuchnął ostrym śmiechem, a ja się wzdrygnęłam.

- Miłość utrzyma nas przy życiu? - spytał głosem ociekającym paskudnym sarkazmem. - Powinnaś wiedzieć lepiej od innych, jak głupio to brzmi. Miłość nikogo nie utrzymuje przy życiu. Robi to jedzenie. Ciepło. Czy ty, twoja siostra i mama przetrwałyście do tej pory dzięki samej miłości, Tenleigh?

Przełknęłam gulę urazy.

- Ja tylko... Nie. - Spuściłam wzrok, ale potem go podniosłam. - Czemu więc nie wyjedziesz ze mną? - Głos załamał mi się na ostatnim słowie.

- Co?

Podeszłam bliżej.

- Wyjedź ze mną. Powiedziałeś, że się stąd wyniesiesz. Wynieś się do Kalifornii. Poczekam na ciebie. Nie będziesz mógł ze mną zostać, ale... możesz znaleźć pracę, znaleźć sobie mieszkanie. Możemy tam być razem.

Dałabym głowę, że przez jego twarz przemknęła tęsknota, ale potem znów się ode mnie odwrócił.

- Nie mogę tego zrobić.

Spuściłam wzrok, przygryzając wargę. Prawda była taka, że to byłoby trudne. Prawie nie miał pieniędzy. Przemierzenie całego kraju stopem bez dłuższych postojów... a potem co by ze sobą zrobił? Zamieszkał w schronisku dla bezdomnych, dopóki nie znajdzie pracy? Czy w ogóle da się znaleźć pracę ze schroniska dla bezdomnych? Skąd brałby ubrania? Czy mogłabym go ukrywać w akademiku? Czy ryzykowałabym stypendium? Okej, może logistyka nie trzymała się kupy...

- Okej, w takim razie posłuchaj: pojedę do Kalifornii, Ky, a kiedy skończę, wrócę tu i...

- Nie waż się kiedykolwiek tu wracać - wrzasnął tak, że się przestraszyłam. Jego oczy płonęły gniewem. - Nie waż

się wyjeżdżać do college'u, a potem tu wracać. Po co w ogóle myślisz o czymś podobnym? To twoja szansa, Tenleigh. Po co miałabyś wracać? O to właśnie chodzi w stypendium, że możesz się wynieść z Dennville. O to właśnie chodzi. Tu nie ma pracy, nie ma najmniejszego powodu, żeby wracać. Zmarszczyłam brwi.

- Mieszkają tu ludzie, których kocham, ty tu jesteś, moja mama, siostra.

Pokręcił głową.

- Skończysz college, znajdziesz dobrą pracę, a potem opłacisz ich przeprowadzkę do Kalifornii. Cała wasza trójka będzie miała szansę na życie.

- Wróciłabym dla ciebie - powiedziałam. - Albo ty mógłbyś popracować przez rok, odłożyć pieniądze, a potem przyjechać do Kalifornii. Jeśli musimy czekać...

- Nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że możesz - powiedziałam. - Wszystko jest możliwe. Może nam się udać. Czemu nie? - spytałam.

Spojrzał mi w oczy.

- Bo Shelly jest w ciąży - powiedział.

Przez ułamek sekundy dźwięki nie złożyły się w słowa. Potem w moich żyłach popłynął lód.

- Shelly... - Urwałam. - Co? A co to ma z tobą wspólnego, Kylandzie? - spytałam, a głos załamał mi się na jego imieniu.

- Muszę tu zostać - powiedział ledwo słyszalnym szeptem. Świat wokół mnie się zakołysał, a twarz zaczęła parzyć.

- Nie rozumiem - przyznałam. - Dlaczego... Jest twoje? Nie... - Cofałam się, aż poczułam za plecami ścianę. Oparłam się o nią. Kyland obserwował mnie z miną ostrożną, nieprzeniknioną. - Uprawiałeś z nią seks?

Powoli i z drzeniem wypuścił powietrze.

- Przepraszam. Sprawy między nami stały się zbyt przytłaczające. Musiałem sobie przypomnieć, że...

- Że co? - wyszlochałam. Kyland się wzdrygnął. - Że dasz radę mnie odrzucić, kiedy przyjdzie na to pora? - Szok był jak cios w żołądek, skuliłam się. To się nie mogło dziać. Boże, Boże. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Zdałam sobie sprawę, że kręcę głową do wtóru wewnętrznego krzyku. - Powiedziałeś, że mnie kochasz - wychrypiałam. Przyłożyłam dłoń do głowy. To nie mogło być prawdą. Niech się to skończy.

-Ja...

Uniosłam dłoń, by powstrzymać jego słowa. Trzymałam ją przed sobą, drżącą, odgradzając od siebie to, co miał mi do powiedzenia, niezależnie od tego, czy chciał potwierdzić, czy zaprzeczyć. Obie wersje byłyby równie koszmarnie. Szloch wyrwał mi się z gardła.

Nagle Kyland podszedł do mnie.

- Posłuchaj mnie, Tenleigh. Wyjedziesz stąd. Zapomnisz o Dennville. Wyjedź i nigdy nie oglądaj się za siebie. A kiedy nadejdzie pora, ułożysz życie sobie, mamie i siostrze. Wszystkie trzy stąd wyjedziecie. Masz pojęcie, jak kurewsko rzadko zdarza się ludziom takim jak my wydostać się z nędzy takiego miejsca jak to? Masz szansę. Wykorzystaj ją.

Wciąż kręciłam głową w lewo i w prawo, przyglądając mu się z przerażeniem. To się nie działo naprawdę.

- Zdobyć stypendium było ci pisane. Całe szczęście, że ja go nie zdobyłem. Bo i tak nie byłbym w stanie z niego skorzystać.

- Dotykałeś jej - wykrztusiłam szeptem, oszołomiona. -Dotykałeś mnie, a potem dotykałeś jej. A może dotykałeś jej, a potem wciąż... - Zaszlochałam. - W jakiej kolejności to się stało, Kylandzie? Powiedz mi! - wrzasnęłam, a gorące łzy wreszcie zaczęły płynąć.

- Ja, co? - spytał zdezorientowany.

- Zdradziłeś mnie z nią przed czy po tym, jak odebrałeś mi dziewictwo? - wrzeszczałam. Cała się teraz trzęsłam.

Kyland zacisnął mocno oczy, a potem znów je otworzył.

- Czy to ma znaczenie? - spytał.

Wymierzyłam mu policzek. Zanim spojrzał mi w oczy, przez jego twarz przemknął wyraz głębokiego bólu. I dobrze. W tamtej chwili pragnęłam zranić go do głębi. Tak jak on zranił do głębi mnie. Tak jak on zniszczył mnie tymi pięcioma słowami: „Bo Shelly jest w ciąży”.

Tłukłam w jego pierś pięściami. Nie uniósł ręki, żeby mnie odepchnąć czy zatrzymać. Pozwolił mi bić siebie raz po raz - twarz, pierś, ramiona. To nie mogło się naprawdę dziać. Znów zaszlochałam, czując mdłości i zawroty głowy. Opadłam znów plecami na ścianę, wykrzykując swój ból i dezorientację, a ostatnia resztką mojego głupiego, nierozważnego serca rozpadała się w drobny mak.

Kyland stał wpatrzony w podłogę, z rękami w kieszeniach, a kropla krwi spływała z jego wargi w miejscu, gdzie mój tani, metalowy pierścionek, który nosiłam na palcu wskazującym prawej ręki, musiał ją rozciąć. Patrzyłam, jak kropla spada na podłogę jak na zwolnionym filmie i rozpryskuje się na parkiecie tuż koło tej żaloznej listy, którą spisałam, i obie leżą tam jak resztki nas. Przeniosłam powoli wzrok na jego twarz. Przepęłniał ją smutek. Wyglądało na to, że Kyland się trzęsie. Chciałam na niego napluć. To jego wina. Jak śmiał odczuwać smutek?

Wyprostowałam się, zbierając siły. Kyland podniósł wreszcie oczy, zaczerwienione i błagające mnie o coś. O wybaczenie? Tego nigdy ode mnie nie dostanie.

- Wyjedź z Dennville - powiedział schrypniętym głosem. - Wyjedź i nie oglądaj się za siebie.

Przez chwilę mu się przyglądałam, czując się nagle dziwnie pusta, odrętwiała.

- Jesteś największym rozczarowaniem mojego życia - powiedziałam.

- Nigdy ci nie wybaczę, dopóki żyję.

Skinął głową, jakby to był najlepszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłam.

- To dobrze - wydusił, a potem odwrócił się do mnie plecami.

Podeszłam do drzwi frontowych na nogach jak z waty. Podniosłam z podłogi plecak i pakiet stypendialny i opuściłam dom Kylanda Barretta, jego życie, zostawiając za sobą mężczyznę, któremu z własnej głupoty oddałam całe serce, który nie chciał mnie kochać ani zatrzymać, który zdradził mnie w najbardziej okrutny z możliwych sposobów. Żalostne słowa, którymi go błagałam, odbijały się echem w mojej głowie, zawstydzające, upokarzające.

Nie wróciłam do przyczepy. Poszłam do lasu, nie próbując nawet osłaniać się przed gałęziami, które smagały moją twarz, znacząc policzki małymi, palącymi rozcięciami. Ból wyzwolił mnie ze stuporu i po raz kolejny przypomniałam sobie słowa Kylanda. „Bo Shelly jest w ciąży”. Zatrzymałam się przy pnączu dziko rosnącego kapryfolium i zwymiotowałam na leśne poszycie. A potem poszłam dalej, całą drogę przyciskając do piersi stypendium, jakby było kołem ratunkowym - ciepłe i kojące. Nie wiedziałam, jak długo szłam, ale nawet w tym półotępiałym stanie moje ciało od razu rozpoznało, gdzie się znajduje, i wreszcie zatoczywszy koło, wróciłam do przyczepy. Usiadłam na schodkach, wpatrując się tępo w zachód słońca, i podjęłam dwa postanowienia: po pierwsze, wyjadę do Kalifornii tak szybko, jak to możliwe, jutro, jeśli się jakoś uda, a po drugie, nigdy więcej się nie zakocham. Przenigdy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Cztery lata później

Tenleigh

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, a przynajmniej tak mówi powiedzenie. Było już późne popołudnie, kiedy za oknem samochodu dostrzegłam pierwsze zarysy Appalachów. Chwyciłam mocniej kierownicę. Mimo zdenerwowania, napięcia i nieco niepewnej przyszłości w moich żyłach krążyło też nieśmiały nurtem podekscytowanie - uczucie, że wróciłam do miejsca, do którego należę. Skręciwszy z autostrady, opuściłam szybę i odetchnęłam głęboko chłodnym, pachnącym sosnami górskim powietrzem, tak innym od cieplej, słonej bryzy San Diego, którą oddychałam przez ostatnie cztery lata pobytu w college'u. Nie wracałam do domu na wakacje ani przerwy świąteczne, wybierając zamiast tego całoroczne zajęcia, i skończyłam studia wcześniej. Zostałam w San Diego dodatkowe kilka miesięcy, by pozapinać na ostatni guzik parę spraw związanych z praktykami i żebym nie musiała jechać do domu w środku zimy. I oto przyjechałam, gdy góry ledwo co ożyły wiosną. Boże, jak ja tęskniłam za Kentucky.

Spłynął na mnie nieoczekiwany spokój i uśmiechnęłam się lekko, a chwilę później skręcałam już w górską drogę prowadzącą do naszej przyczepy.

- Dom - wyszeptałam. Wszystko będzie dobrze. Wróciłam, bo miałam plan. Miałam cel.

Jadąc pod górę, przyglądałam się małym zniszczonym domkom przycupniętym na poboczach. Co ciekawe, część z nich wyglądała lepiej, niż pamiętałam. Paru mieszkańców uprzętnęło podwórza. Cóż, to miły widok.

Zbyt jednak szybko niepokój uderzył we mnie z pełną mocą, bo wzięłam zakręt, świadoma, że za moment będę mijać dom Kylanda. Z premedytacją utkwiliam wzrok przed siebie, nie mając odwagi choćby zerknąć na mały, niebieski domek, który stał po mojej lewej stronie. Pokonałam kolejny zakręt na drodze i powoli wypuściłam powietrze, po czym zaparkowałam na polance koło przyczepy. Wyłączyłam silnik i siedziałam w aucie przez kilka minut, patrząc na jedyny dom, jaki zaledwie przed paroma laty miałam. Ale jaką różnicę mogą stanowić cztery lata.

Wyjechałam z Kentucky złamana, poturbowana i zmiażdżona. Nie sądziłam, że zdołam się z tego podnieść. Jeśli jednak nie wszystkie rany się z czasem goiły, to przynajmniej stawały się znośniejsze. I przetrwałam. Rozprostowałam ręce i nogi, wysiadłszy ze swojej puszki na kołach - jasnoczerwonego volkswagena golfa, którego kupiłam za trzy tysiące dolarów. Nie był szczególnie ładny, ale tylko na taki mogłam sobie pozwolić. Prawdę mówiąc, byłam nim zachwycona. Był mój. Był pierwszą rzeczą, która w pełni do mnie należała. Wieczorami po zajęciach pracowałam jako kelnerka w dużej sieciowej restauracji, aż w końcu zaoszczędziłam wystarczająco, żeby kupić własny środek transportu. Właśnie przebył trzy tysiące kilometrów z Kalifornii do Kentucky. Trzeba przyznać, że nieźle poradziłam sobie z odpowiednim wyborem. Albo, co

bardziej prawdopodobne, miałam szczęście, ale to też nie było takie złe. Wysiadłam z samochodu i rozejrzałam się dokoła, chłonąc wszystko, jakbym widziała po raz pierwszy. Przyczepa wyglądała mniej więcej tak samo, jak ją zapamiętałam - mała i ponura. Ale i tak ogarnęło mnie szczęście.

- Nie ma jak dom, jakkolwiek skromny - wyszeptałam. „Skromny” to dość wspaniałomyślne określenie naszej przyczepy, ale była ona wystarczająco miękkim miejscem lądowania. Każdy musi gdzieś wylądować.

Mimo to planowałam zabrać stąd mamę i siostrę najszybciej, jak to możliwe - do miejsca, które będzie większe, wygodniejsze, gdzie każda będzie miała własny pokój.

Mama przebywała w szpitalu psychiatrycznym w Lexington. Trzy lata po moim wyjeździe doznała wyjątkowo poważnego załamania. Na całe szczęście Sam wkroczył do akcji i zaproponował opłacenie jej leczenia w naprawdę porządnym ośrodku. To była ulga, bo kiedy o tym usłyszałam, planowałam wracać do domu. Nie było mowy, żeby Marlo mogła sobie z tym sama poradzić. Byłam właściwie zaskoczona, że Marlo przyjęła pomoc Sama, co samo w sobie wiele mówiło o stanie mamy. Och, mamó...

Wiekowa klamka jęknęła, gdy ją przekręciłam i pchnęłam drzwi, a ten dobrze znany odgłos sprawił, że na nowo poczułam się małą dziewczynką.

- Cześć - zawołałam.

Usłyszałam głośny, podekscytowany okrzyk dochodzący z sypialni, drzwi się gwałtownie otworzyły, wypadła z nich Marlo i rzuciła się na mnie. Krzyknęłam, kiedy porwała mnie z ziemi i głośno się śmiejąc, skakała ze mną dokoła.

- Przestań! Przestań! - domagałam się. - Nie sikałam od wielu godzin. Zaraz się poleję.

Marlo odstawiła mnie ze śmiechem na ziemię. Uśmiechnęła się do mnie szeroko i wzięła w objęcia, mówiąc:

- Witaj w domu, siostrzyczko. Absolwentko collegeu.

Odwzajemniłam uśmiech, mocno ją ściskając i powstrzymując łzy. Marlo nie znosiła, kiedy płakałam. Poszłam pośpiesznie skorzystać z toalety, a kiedy wróciłam, Marlo znów się uśmiechnęła i wzięła mnie za rękę.

- Pokaż no się. - Lustrowała mnie przez chwilę, a potem pokręciła głową. - Zawsze byłaś ładna, Tenleigh, ale, no, no, masz klasę.

Potrząsnęłam głową z zażenowaniem.

- Wyglądam tak samo - zaprzeczyłam. - To tylko nowe ciuchy i fryzura.

Pokręciła głową.

- Nie, nie, to nie tylko strój i włosy. To ty. Wyglądasz dorośle. Ale jesteś za chuda. Czy wszyscy w Kalifornii są na diecie?

Parsknęłam.

- Tak. Nieco innej niż głodowa dieta, na której my zawsze byliśmy. Tam głodzą się celowo.

Wydała z siebie pół śmiech, pół jęk i pacnęła się dłonią w czoło.

- Jak się masz? Szczerze - spytała, siadając na kanapie. - Dziwnie było wracać?

Usiadłam obok niej.

- Tak. Trochę. Właściwie to jeszcze nie jestem pewna. Na jej twarzy pojawiło się zmartwienie.

- Widziałaś się z nim?

- Z kim? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie, jakbym nie wiedziała, kogo ma na myśli.

Uniosła tylko brew. Westchnęłam.

- Nie. Przyjechałam prosto do domu. Skinęła głową, przygryzając pełną dolną wargę.

- Wiesz, że wszystko się ułoży. Minęło wystarczająco wiele czasu. I wiesz co, przytył sto kilo, wyłysiał co do włosa i zapadł

na naprawdę poważną chorobę skórą, więc... jest obrzydliwy, oszpecony. Smutne. - Zadrzała.

Patrzyłam na nią z rozdziawioną buzią, a kącik jej ust zadrzał lekko w uśmiechu.

- Co takiego? - Parsknęłam śmiechem. - Kłamiesz. Wcale tak nie jest. Rany, to byłby niezły fuks, ale... - Pokręciłam głową. - Masz rację. Będzie dobrze. Mam tu trochę rzeczy do załatwienia. Mam cel. Minęły niemal cztery lata i będę zmuszona zignorować to, że ktoś, kim gardzę, mieszka kawałek drogi stąd. Będziemy się po prostu omijać szerokim łukiem, nie mam co do tego wątpliwości.

- Czy naprawdę wciąż nim gardzisz, Ten? Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Gardzenie Ky-

landem było czymś więcej niż nienawidzenie go, a już sama nienawiść do niego przychodziła mi z trudem, bo wciąż pamiętałam, kto krył się w jego wnętrzu. Mimo to musiałam się czegoś trzymać.

- Tak. Tak, gardzę nim. I nikt mi tego nie odbierze. Przynajmniej nie teraz. W kwestii mężczyzn: nie wybaczam, nie zapominam, takie mam życiowe motto.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- To moje życiowe motto. Westchnęłam.

- Cóż, zaadaptowałam je na własne potrzeby. Przygryzła wargę i skinęła głową ze zrozumieniem. Tylko raz spytałam Marlo o Kylanda, a właściwie o Shelly.

Kilka miesięcy po wyjeździe obudziłam się w środku nocy i coś we śnie, czy też jakaś na wpół ukształtowana myśl, kazało mi sądzić, że wszystko, co powiedział mi tamtego koszmarne dnia, było kłamstwem. W ciemnościach nocy zdawało się możliwe, a wręcz prawdopodobne, że nie powiedział mi prawdy. Wiedziałam, kim jest. A to nie był on. Nie był. Elementy jakiejś układanki, których nie potrafiłam połączyć

na jawie, uformowały się w mojej głowie w całość wśród sennej mgły. Ale rano, kiedy zadzwoniłam do Marlo z pytaniem, czy widziała ostatnio w miasteczku Shelly, potwierdziła niechętnie, że owszem i że widać kilkumiesięczną ciążę. Kilkumiesięczną. Co oznaczało, że Kyland spał z nią mniej więcej w tym samym czasie, kiedy spał ze mną. Spędziłam tamten dzień zwinięta w łóżku, wpatrując się w ścianę i rozmyślając, jak powoli potrafi mijać godzina, a serce łamało mi się od nowa. Poprzysięgłam więcej o niego nie pytać i nie zrobiłam tego. Ani razu. Nawet w miesiącu, który według moich rachub powinien być miesiącem narodzin jego dziecka, nie spytałam o nic Marlo. Wymagało to ode mnie siły woli, jaką nigdy wcześniej się nie wykazałam, ale się udało.

Tamtego dnia cztery lata temu, kiedy powiedział mi, co zrobił, tamtego dnia, kiedy uciekłam z jego domu, widziałam go po raz ostatni. Tamtego wieczoru moja siostra kołysała mnie w ramionach, jakbym była niemowlakiem, a ona moją mamą. Byłam w takim szoku i miałam tak złamane serce, że nawet nie mogłam płakać. Następnego dnia poszłam do dyrektorki, pani Branson, i spytałam, czy istnieje sposób, żebym się mogła natychmiast przenieść do San Diego. Powiedziała, że nie mogę wprowadzić się do akademika, ale okazało się, że miała siostrzenicę, która mieszkała w tamtej okolicy, zadzwoniła więc do niej i spytała, czy mogę się u niej zatrzymać na parę miesięcy, dopóki nie zacznie się rok akademicki. Bardzo uprzejmie przyjęła mnie pod swój dach. Pani Branson знаła moją domową sytuację, a ja postarałam się, by wyglądało, że nie mogę już tego znieść ani minuty dłużej. Prawda była taka, że od tamtego dnia nie mogłam mieszkać w tym samym mieście co Kyland Barrett - ani chwili dłużej, niż to konieczne. Tak więc tydzień po otrzymaniu stypendium Tytoń Coal po raz pierwszy w życiu opuściłam Kentucky. Przemierzyłam samolotem cały kraj, zostawiając za sobą wszystko, co kiedykolwiek

znałam. Wyglądałam obojętnie przez okno samolotu, koncentrując się na każdym oddechu z osobna.

- Powinnaś chyba wiedzieć...

- Co? - spytałam.

- No, on pracuje pod ziemią, w kopalni. Widziałam, jak wraca do domu pokryty pyłem węglowym.

Szok ścisnął mi pierś i na moment zamarłam, wyobrażając sobie, jak Kyland wyglądałby z poczerńiałą twarzą górnika, z jaśniejącymi zębami i białkami oczu.

- W kopalni? -- pisnęłam. - Pod ziemią? To niemożliwe.

-Przypomniałam sobie strach Kylanda przed ograniczoną przestrzenią, jak bardzo nie cierpiał ciemności... jego brat... Pokręciłam głową. - To nie jest możliwe. - Nigdy by tego nie zrobił.

- Cóż - powiedziała łagodnie - jest, bo właśnie tym się zajmuje. Wiem, że nie powinnam o nim mówić, ale pomyślałam tylko, że może będziesz chciała wiedzieć. - Wpatrywała się we mnie z czułością. - Na wypadek gdybyś chciała odwiedzić tam Jamiego, nie chciałam, żebyś dowiedziała się przez zaskoczenie.

- Dzięki, Mar - wyszeptałam. Ręce trzęsły mi się na samą myśl o Kylandzie tam, na dole... pod ziemią, w ciemnościach... Wiedziałam, że gdzieś musiał pracować, ale ani przez sekundę nie przeszło mi przez myśl, że pracuje dla Tytoń Coal. jakim cudem?

Marlo przyglądała mi się z niepokojem, aż w końcu powiedziała wesoło, ewidentnie, żeby zmienić temat:

- Opowiadaj o tej całej szkole. - Klepnęła mnie w kolano. Wróciłam myślami do rzeczywistości. Zmusiłam się do

słabego uśmiechu. Rozmawiałyśmy z Marlo tak często, jak to było możliwe - wysłałam jej nawet komórkę, którą mogła doładować, żebym była się z nią w stanie skontaktować, kiedy miałam taką ochotę lub potrzebę. Niestety nie zawsze ją

doładowywała, a w przyczepie i tak nie było zasięgu. Kiedy pracowała u Ala, mogliśmy pogadać jedynie parę minut, dopóki ktoś, zwykle Al, nie zaczął krzyczeć, żeby wracała do roboty. Miałyśmy więc nadal sporo do nadrobienia.

- Stanie na skraju miasta, tam, gdzie przed wybuchem w kopalni mieściła się lodziarnia Zippyego.

Marlo skinęła głową.

- Czy nie stoi tam biblioteka?

Przytaknęłam i ogarnęła mnie fala smutku. Niewielki budynek - właściwie buda - był na jakimś etapie moją oazą... i miejscem, gdzie po raz pierwszy zostałam pocałowana... miejscem, gdzie...

Poskromiłam te myśli i wróciłam uwagą do Marlo.

- Budynek zostanie zburzony, żeby zrobić miejsce na szkołę, ale spakuję książki. - Wzięłam głęboki oddech. - Już zaczęłam wydawać pieniądze z grantów. Mam w pogotowiu ekipę. Przed nami mnóstwo pracy, ale jestem podekscytowana. To będzie kolosalna zmiana dla dzieci, które mieszkają tu, na górze, i tych, które wciąż jeszcze mieszkają w Dennville.

Marlo skinęła głową.

- Z całą pewnością. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak by to było, gdybyśmy nie musiały iść co rano dziesięć kilometrów do szkoły, a potem wracać tyle samo do domu.

Wiedziałam, że wiele dzieciaków z naszej góry zwykle się nie fatygowało - stąd błędne koło analfabetyzmu, nędzy, bezrobocia i ogólnej beznadziei. Ale wierzyłam, że mogę to zmienić. Przynajmniej dla kilkorga, a niechby i dla jednego.

Pomogłoby to nawet uczniom z Evansly, którzy chodzili do tamtejszej szkoły. W obecnej sytuacji szkoła publiczna była tak przeludniona, że ci, którym przydałaby się opieka indywidualna, nie mogli jej otrzymać.

Kiedy zaczęłam studia w San Diego, z całą mocą rzuciłam się w wir nauki. Działałam w trybie przetrwania, usiłując

przetrzymać jeden dzień za drugim, z sercem tak popękany i posiniaczony, że czasem miałam wrażenie, że jestem zbyt poturbowana, by się w ogóle ruszać.

Wybawieniem okazało się to, że zajmowałam myśli czymś innym niż Kyland. Któregoś dnia późną jesienią na pierwszym roku wdałam się w dyskusję na temat poziomu edukacji i ubóstwa w Kentucky z niewielką grupką z koła naukowego, do którego należałam. Opowiedziałam im, jak dzieci takie jak ja, które mieszkają na górze, codziennie pokonują dziesięć lub więcej kilometrów do szkoły. Zachowałam dla siebie najgorsze fragmenty, ale grupa była w szoku, że tam, gdzie mieszkałam, niewielu ludzi miało samochody czy nawet ogrzewanie. Uczestniczył w tym pewien chłopak, Howard, który rzucił bez namysłu, że powinnam się zainteresować grantami na budowę szkół. Uwaga ta chodziła mi po głowie przez kilka miesięcy, aż wreszcie postanowiłam przyjrzeć się sprawie z bliska.

Parę następnych lat spędziłam na zdobywaniu nauczycielskiego dyplomu z literatury angielskiej i staraniu się o grant za grantem - zarówno publiczne, jak prywatne - na budowę szkoły w dotkniętym ubóstwem miasteczku Dennville w stanie Kentucky. Ku mojemu zaskoczeniu i radości tuż przed ukończeniem studiów, parę miesięcy temu, zapewniłam sobie kilka grantów od prywatnych inwestorów. Fundusze miały opłacić budowę, koszty administracyjne i bardzo nieliczny personel.

Tak więc wróciłam do domu. Żeby dać coś w zamian za to, co dostałam.

- Myślisz, że kiedy już szkoła zostanie wybudowana, będziesz w niej pracować?

- Nie jestem pewna - powiedziałam cicho, przesuwając palcem po dolnej wardze. - Może. Ale chciałam o tym z tobą porozmawiać, Mar. To znaczy, o moim powrocie. Cóż, to

oznacza, że będziecie musiały z mamą poczekać trochę dłużej z wyprawką z przyczepy. - Zmarszczyłam brwi. - Dowiem się, czy mogłabym pracować u Ala w trakcie budowy. Odłożyłam trochę pieniędzy, skoro moje wydatki były opłacone. Część przeznaczyłam na samochód, ale wszystko, czego nie wysłałam tobie i mamie, odkładałam na konto w banku. Czy jednak będę pracowała tu, w szkole w Deniwille, czy zdecydujemy się na przeprowadzkę, żebym mogła pracować gdzie indziej, to odbije się na was.

Marlo położyła mi dłoń na kolanie.

- Przede wszystkim, Tenleigh, mamy nie będzie nieco dłużej. Lekarze mówią, że kolejne trzy miesiące w ośrodku bardzo by się przydały. Ukończenie studiów zajęło ci zaledwie trzy i pół roku. Nie spodziewałyśmy się ciebie przed latem. Możemy poczekać, aż podejmiesz decyzję i zbudujesz swoje marzenie, jesteśmy z ciebie takie dumne. - Zabrała rękę i przypatrywała się swoim paznokciom. - Tak czy inaczej, ja... hmm. Nie spędzam tu wiele czasu.

Uniosłam brew.

- Sam?

Skinęła głową.

- Tak, jego mieszkanie jest przyjemne. Ciepłe. On jest ciepły.

- Marlo, czyżbyś się rumieniła? - nabijałam się z niej. - Kochasz go, co?

Parsknęła.

- Nie, nie, to nic poważnego. Ale po co mieszkać tu - wskazała gestem naszą małą, zniszczoną przyczepę - jeśli mogę zostać tam. Mam też bliżej do pracy.

Przyglądałam się jej. Nie kupowałam tego.

- W porządku, to dobrze. - Podniosłam się. - W zasadzie muszę już iść. Umówiłam się z Jamiem za pół godziny na placu budowy.

- Jak się ma Jamie? - spytała. Usłyszałam w jej głosie wahanie.

- Dobrze. Powinnaś go poznać, Mar. To naprawdę miły chłopak. Wiem, że to trochę dziwne, jeśli wziąć pod uwagę historię naszych rodziców, ale nigdy mnie nie oceniał przez pryzmat tej sytuacji i ja też go nie oceniałam. Poważnie, na swój sposób miał ciężko.

Podczas pobytu w San Diego moja przyjaźń z Jamiem rozkwitła. On też wyjechał do kalifornijskiej szkoły, w Harvey Mudd, zaledwie parę godzin drogi ode mnie. Kiedy zaangażowałam wszystkie swoje siły w aplikowanie do grantów, zasięgałam od niego informacji na temat Tyton Coal, które, jak sądziłam, były istotne dla mojej sprawy. Kilkakrotnie spotkaliśmy się na lunch, który przeszedł w kolację. Przy zbyt wielu kieliszkach wina opowiedziałam mu o Kylandzie i o tym, jak złamał mi serce. Prawdę mówiąc, to była dla mnie bardzo uzdrawiająca przyjaźń. Jamie z kolei przyznał, że tuż przed wyjazdem na uczelnię ujawnił się przed rodzicami i nie poszło mu zbyt dobrze. Nie był pewien, czy będzie mile widziany w życiu swoich rodziców. Ale czekała na niego praca w kopalni, musiał więc utrzymywać jakiś kontakt z ojcem. Przynajmniej go nie wydziedziczyli. Nie wracał jednak na wakacje, podobnie jak ja, i również ukończył studia nieco wcześniej. Zabawne, jak nasze historie życia się różniły, a mimo to jak podobnie czuły się nasze serca.

Marlo skinęła głową, ale minę miała sceptyczną. Po chwili się rozpromieniła.

- Tak się cieszę, że wróciłaś, siostrzyczko. Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Uśmiechnęłam się do niej i serce mi się ścisnęło.

- Ja też. Nawet nie wiesz jak, Mar. - Wstałam, uściskałam ją, zapadając w jej kojące objęcia, szczęśliwa, że znów jestem ze swoją najlepszą przyjaciółką.

Kiedy się odsunęłam, powiedziała:

- Masz ochotę odwiedzić mamę w przyszłym tygodniu? Spodziewa się nas.

- Jasne - odparłam. - Szkoda, że nie możemy pojechać wcześniej.

Marlo pokręciła głową.

- Dobrze sobie radzi, kiedy ma konkretny grafik. Bardzo jej się polepszyło, Tenleigh. Poczekaj, aż ją zobaczysz. - Rozpromieniła się w sposób, jakiego nie widziałam u niej od czasów dzieciństwa. - Poczekaj, aż z nią porozmawiasz. To... - Oczy zasły jej łzami i roześmiała się, jak miała w zwyczaju, kiedy oczy zachodziły jej łzami, czyli rzadko. - No...

- Nie mogę się doczekać. - Uśmiechnęłam się, łapiąc ją za rękę i ściskając raz jeszcze. - Dobra, znikam. Wiem, że pracujesz do późna. Do zobaczenia rano?

Przytaknęła.

- Tak, do zobaczenia rano.

Jeszcze raz uściskałam ją mocno i już znów byłam za drzwiami, wsiadałam do samochodu i jechałam w dół wzgórza.

Zmierzając główną ulicą do miejsca, gdzie miała stanąć szkoła, czułam takie samo szczęście jak wcześniej tego dnia, kiedy dostrzegłam po raz pierwszy góry. Tak, byłam w domu. I wszystko miało się ułożyć - wszystko miało być dobrze.

To uczucie było jednak krótkotrwałe, bo spojrzawszy w lewo, dostrzegłam postać, która prześladowała mnie przez niemal cztery lata: Kyland. Serce podskoczyło mi w piersi i wciągnęłam gwałtownie powietrze. Na jego ramionach siedział chłopiec, a za nim stała Shelly, śmiejąc się z czegoś, co mały powiedział. Kyland się odwrócił i też odezwał, a potem się roześmiał. Patrzyłam, jak stawia chłopca na ziemi, a ten piszczy i się śmieje. Bierze go za rękę i ruszają dalej. Moje serce rozpadło się na kawałki, ścisnęłam kierownicę, a do oczu napłynęły mi łzy. Nie zobaczył mnie. Wciągnęłam powietrze

i miałam wrażenie, że tnie, jakby składało się z milionów maleńkich żyłek. Oddychanie bolało. O Boże, oddychanie bolało. Wszystkie te lata zadręczałam się wizją Kylanda jako ojca - Kylanda jako ojca dziecka innej matki - ale rzeczywistość przeszła mnie tak do głębi, że zadała ból fizyczny. To była prawda. Kyland miał dziecko - syna.

Oddychaj, Tenleigh, oddychaj. Wciągałam powietrze z trudem i po odrobinie. Co ja sobie, do cholery, wyobrażałam, wracając tu?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Tenleigh

Nie spotkałam już Kylanda do końca tygodnia. Nie żebym go naprawdę spotkała - chyba mnie nie widział - ale celowo unikałam wszystkich miejsc, w których mógłby się pojawić, w tym głównej drogi.

Zjechałam tamtego dnia z szosy i spędziłam w samochodzie dwadzieścia minut wyłącznie na próbie przywrócenia normalnego oddechu. A potem pozbierałam się i pojechałam na miejsce, gdzie miała stanąć szkoła. Jamie już tam był i na mnie czekał. Rzucił jedno spojrzenie na moją twarz i spytał: „Kyland?”, a kiedy kiwnęłam głową, wziął mnie w ramiona. Tak naprawdę nie cierpiałam z powodu Kylanda Barretta od lat. Nagle zobaczyłam go w przelocie i się rozsyłam. Tak więc owszem, jeżdżenie objazdami mogło się wydawać tchórzowskie i nieco żalosne, ale przynajmniej na razie nie przeszkadzało mi to. Ukrywanie się sprawiało mniejszy ból.

Zaparkowałam przed biblioteką, w miejscu której miała stanąć szkoła, i rozejrzałam się wokół. Ekipa budowlana

pojawi się w przyszłym tygodniu. Przyjechałam tu dziś, żeby zacząć opróżniać bibliotekę. W bagażniku przywiozłam pudła na książki. Już wszystko ustaliłam w Evansly. Podarowali książki dla nowej szkoły. Prawdę mówiąc, nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek korzystał przesadnie z biblioteki od mojego wyjazdu. Nie warto było nawet zatrudniać nikogo do otwierania i zamykania. Po rozpoczęciu budowy mały budynek wielkości szopy zostanie zrównany z ziemią.

Wiele lat temu przeprowadziłam kampanię na rzecz małej biblioteki w Dennville i pomogłam pomysł zrealizować. To, że szkoła, której istnienie wynegocjowałam, stanie na tym samym miejscu, było kompletnie surrealistyczne. A mimo to nie mogło być bardziej właściwe.

Stałam przez chwilę koło samochodu, wyobrażając sobie planowany budynek. W przyczepie miałam jego projekt, któremu przyglądałam się, ilekroć potrzebowałam przypomnienia, dlaczego warto znosić te emocjonalne perturbacje. Wzięłam głęboki, pokrzepiający oddech. Nie chodziło tu o mnie. Chodziło o dzieciaki, które dzięki tej szkole będą miały większe możliwości. Chodziło o ofiarowanie komuś szansy, jaką sama dostałam, zdobywając stypendium Tytoń Coal. Chodziło o zachowanie w pamięci tego, że choć trudno było mi tu teraz przebywać i ciężko było w tym miejscu dorastać, dzięki stypendium miałam wybór. Mogłam zrobić z życiem wszystko, na co miałam ochotę - mogłam pojechać wszędzie, dokąd chciałam. Stypendium dało mi wolność - od nędzy, od beznadziei, od ograniczonych życiowych perspektyw, jakie przypadły mi w udziale z dniem narodzin.

Weszłam do biblioteki z pudłem w dłoni i stałam tam przez chwilę, zbierając się w sobie i wdychając zapach kurzu i starych książek w miękkiej oprawie. Zobaczyłam samą siebie siedzącą przy biurku na tyłach pomieszczenia nad rozłożonym zadaniem domowym, opatuloną starymi, złachanymi

ubraniami. Podeszłam do tylnej ściany i przesunęłam dłonią po książkach, niemal spodziewając się, że zobaczę mały kawałek białego papieru wystający z jednej z nich. Opadły mnie wspomnienia, zacisnęłam więc powieki, wstrzymując grożące popłynięciem łzy.

- To miejsce wciąż pachnie tak samo. - Usłyszałam za sobą niski głos. Odwróciłam się gwałtownie i zatkało mnie. Kyland. Serce w zasadzie wyskoczyło mi z piersi.

Mierzyliśmy się przez dłuższą chwilę wzrokiem.

- Cz-cześć - odezwałam się wreszcie.

Cześć! Na tyle cię stać po tylu latach? Cześć? Żałosne.

Kyland uniósł brodę, a w wyrazie jego twarzy było coś mrocznego i nieprzeniknionego, kiedy tak opierał się nonszalancko o framugę drzwi. Boże, czemu? Jakim cudem ktoś tak zły i okrutny może być tak przystojny? Karma nie powinna chyba działać w ten sposób. Czy zawsze był taki cudowny? Kiedy go ostatnio widziałam, był chłopcem, a teraz z całą pewnością stał się mężczyzną - te wyrzeźbione kości policzkowe i silnie zarysowana szczęka. Włosy miał krótsze, obcięte niemal przy samej skórze, a jego sylwetka sprawiała wrażenie jeszcze potężniejszej, wyższej i bardziej umięśnionej. Zaciskał szczęki. Wyprostowałam się. Byłam teraz kobietą i mogłam sobie z tym poradzić. Rzuciłam pudło na podłogę, nawet na nie nie patrząc, i skrzyżowałam ramiona poniżej piersi.

- Wróciłaś - powiedział w końcu.

- Na to wygląda.

- Czemu? - wychrypiał, jakby go coś bolało. - Co ty sobie, do kurwy nędzy, myślisz, Tenleigh?

Poczułam ból i wzdrygnęłam się lekko, ale szybko odzyskałam nad sobą kontrolę. Kyland wpatrywał się we mnie bez cienia skruchy.

- Co ci do tego? - Odwróciłam się do półki, wyciągnęłam z niej stos książek i wrzuciłam je do pudła stojącego u moich stóp.

W mgnieniu oka znalazł się tuż za mną i położył rękę na moim ramieniu. Spojrzałam na nią i gniew ogarnął mnie równie szybko, jak wcześniej ból. Odwróciłam się nieco i strząsnęłam gwałtownie jego dłoń, sycząc:

- Nie dotykaj mnie. Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Na ułamek sekundy w jego oczach błysnął szok i coś, co przypominało urazę, ale zaraz je stłumił. W powietrzu między nami skwierczała jakaś elektryczność, przez którą krew krążyła mi szaleńczo w żyłach, a skóra mrowiła. Kyland zrobił grymas i odsunął się na krok, jakby też to poczuł i go to zabolalo.

- Widziałam cię parę dni temu - powiedziałam. - Z Shelly i synem. - Miałam ochotę zafundować sobie kopa za to, jak głos podskoczył mi o parę oktav na ostatnim słowie. - Gratuluję.

Kyland zamarł, na jego twarzy odmalowała się niepewność, ale nic nie powiedział.

Czekałam, ale skoro wciąż milczał, westchnęłam. Odwróciłam się do niego.

- Potrzebujesz czegoś, Kylandzie? Czemu tu przyszedłeś?

- Chcę, żebyś zawróciła i wyjechała z miasta. Uniosłam podbródek zdecydowana, żeby się nie rozpłakać.

Dupek. Co ja mu takiego zrobiłam, oprócz oddania całego swojego serca? Dałam mu też ciało - nie zapominajmy o tym szczególe. A on traktował mnie w ten sposób?

- Co? Czy to miasto jest za małe, by pomieścić nas oboje? Czemu ty nie wyjedziesz?

Nachylił się w moją stronę, a ja wróciłam na moment myślami do chwili, kiedy nachylił się, żeby mnie pocałować, w tym samym miejscu, w którym właśnie staliśmy. Wciągnęłam gwałtownie powietrze.

- Bo nie mogę - wycedził.

Oparłam się plecami o stojącą za mną półkę, by zwiększyć między nami dystans.

- No tak. - Twój syn. Twoja rodzina. Zmrużyłam oczy. -Co sprowadza nas z powrotem do powodu, dla którego to, co ja robię ze swoim życiem, nie ma z twoją osobą absolutnie nic wspólnego. Niech cię piekło pochłonie, Kylandzie - wysyczałam.

Oczy mu zapłonęły i nachylił się jeszcze bliżej. Poczułam jego czysty oddech i słoną, męską skórę. Wciągnęłam potężną porcję powietrza, jakby tlen, którym oddychałam przez ostatnie cztery lata, ledwo podtrzymywał moją wegetację - ubogi w ten jeden pierwiastek, który dawał mi prawdziwe życie. Kyland pachniał cudownie i boleśnie znajomo.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, po czym powiedział schrypniętym głosem:

- Pochłania. Każdego dnia. Dla ciebie. - A potem odwrócił się na pięcie i wyszedł chwiejnie z biblioteki, pozostawiając mnie drżącą i zdezorientowaną, złą i zranioną.

Ale się nie rozplakałam. Nie miałam zamiaru wylewać choćby łzy więcej z powodu Kylanda Barretta.

*

- Cześć, Al - powiedziałam, wchodząc parę dni później do zadymionego baru. - Masz świadomość, że w barach w Kentucky obowiązuje zakaz palenia? - Posłałam mu sardoniczny uśmiešek.

- Owszem, mądralo - odparł. - Ale to mój bar. Niech mnie pozywają.

- Buntownik z ciebie, Al - rzuciłam. Prawdę mówiąc, żałowałam, że Al nie przestrzega przepisów, zważywszy, że moja siostra i jej płuca pracowały tu od dłuższego czasu.

Jednak Al to Al i niedostatki w kwestii higieny pracy nadrabiał innymi zaletami. Płacił przyzwoicie i chronił dziewczyny najlepiej, jak potrafił.

Zaszłam do baru parę dni wcześniej i spytałam, czy mogłabym wziąć jakieś zmiany. Al z radością przywitał mnie z powrotem. Na szczęście dla mnie jedna z jego stałych kelnerek niedawno odeszła.

Taka więc była moja sytuacja - wróciłam do Dennville, mieszkałam w tej samej rozklekotanej przyczepie i pracowałam w tym samym zadymionym barze, ogarnięta smutkiem i rozpaczą z powodu tego samego kłamliwego, niewiernego chłopaka.

- Bardzo daleko zaszłaś, Tenleigh - mruknęłam do siebie, ścierając stół i uprzątając butelki po piwie.

Ale w rzeczywistości zaszłam daleko. Miałam teraz dyplom uczelni. To wszystko zmieniało. Wzięłam głęboki oddech z mocnym postanowieniem, że nie pozwolę, by starcie, do którego doszło na początku tygodnia, całkowicie mnie zdruzgotało. Sama podjęłam decyzję i wybrałam powrót. Będę zmuszona sobie z tym poradzić. Nigdy tak naprawdę się z tym nie zmierzyłam, bo nie musiałam - dystans między mną a Kylandem ułatwił nieco udawanie, że Kyland nie istnieje. Teraz jednak było całkiem jasne, że istnieje. I z jakiegoś bliżej nieznanego mi powodu był zły i rozgoryczony, że wróciłam. Parsknęłam.

- Dupek - wymruczałam do siebie po raz kolejny. Reszta wczesnego wieczoru upłynęła szybko. Był piątek,

spodziewałam się więc tłumów. Od mojego wyjazdu Al dodał niewielkie podium, które służyło za scenę i parkiet. Dziś występował tu na żywo lokalny zespół z Kentucky. O dziewiątej bar pełen był pijących, tańczących i głośno śmiejących się ludzi. Marlo też pracowała, a Sam wpadł, żeby posłuchać zespołu. Kiedy wszedł do środka, uściskałam go mocno i zaprowadziłam do części obsługiwanej przez Marlo.

- Świetnie wyglądasz, Tenleigh - przekrzyczał hałas.

- Dzięki, Sam. - Uśmiechnęłam się do niego promiennie. -Dobrze traktujesz moją siostrę?

Na jego twarzy pojawił się nieśmiały wyraz beznadziejnego zakochania. O rety.

- Zawsze - odparł.

Roześmiałam się, puściłam do niego oczko i zaprowadziłam do stolika. Oparłam się o krzesło stojące naprzeciw miejsca, które zajął.

- Hej, Sam, zanim przyniosę piwo, chciałam ci podziękować za to, co robisz dla naszej mamy. Marlo mówi, że mama czuje się bardzo dobrze i że to wszystko twoja zasługa.

Wzdrygnął się lekko i na moment odwrócił wzrok. Czyżbym go zawstydziła?

- Zrobiłbym wszystko dla waszej rodziny, dla Marlo - powiedział.

Uśmiechnęłam się.

- Zawsze cię lubiłam, Sam.

Roześmiał się i poprawił na nosie okulary. Podniosłam się i poszłam przynieść mu piwo. Gość nie rezygnował z mojej upartej siostry i robił coś wspaniałego dla naszej mamy. Nie potrafiłam go nie lubić - należał do nielicznych porządnych facetów. Choć cieszyłam się w imieniu Marlo, która zasługiwała na porządnego mężczyznę gotowego o nią walczyć, nie mogłam się oprzeć melancholii, którą czułam, stojąc tak przy barze i czekając na piwo dla Sama. Czy mnie to też kiedyś czeka? Czy ktoś będzie mnie w ten sposób kochał? Czy kiedykolwiek pokocham kogoś tak, jak kochałam Kylanda? Czy w ogóle chciałam jeszcze pokochać kogoś z równą mocą? Kiedy Kyland złamał mi serce, wyrzekłam się na zawsze miłości, ale ta obietnica nie była do utrzymania. Wciąż pragnęłam miłości. Marzyłam o kimś, kto mocno mnie przytuli i powie, że wszystko się ułoży, pocałuje czule w czoło i wyciągnie do mnie rękę w ciemności.

- Chyba ci się przyda. - Al posłał po barze w moim kierunku shota. Wyrwał mnie tym gwałtownie z marzeń.

- O co chodzi?

- Nie zadawaj głupich pytań, tylko do dna. Roześmiałam się. Al nie miał nic przeciwko temu, żeby

jego kelnerka strzeliła sobie shota czy dwa w czasie zmiany. Czasem trzeba paru promili, żeby przetrwać noc popychania i obłapiania przez pijaków. A, cholera, czemu nie? Potrzebowałam drinka. Musiałam uciszyć własne myśli. Wychyliłam szklaneczkę i skrzywiłam się, gdy piekący płyn zaczął wypalać drogę w dół mojego gardła. Oparłam się o kontuar, chwyciłam limonkę i wsadziłam ją do ust, po czym odwróciłam się plecami do baru, wysysając z niej kwaśny sok.

Po raz drugi w tym tygodniu mój wzrok natrafił na kamienne oczy. Kyland. Całe moje ciało zamarło i tylko patrzyłam na niego, a puls dudnił mi w uszach.

Stał w progu nieruchomo jak głaz, wpatrując się we mnie ze złością i wyrazem szoku na twarzy. I nagle całe powietrze zostało wyssane z baru na zewnątrz.

Cały hałas ucichł, gdy tak wbijaliśmy w siebie wzrok. A potem za jego plecami pojawiła się Shelly. Zrobiłam krok w tył i uderzyłam plecami o bar. Jej pojawienie się przypominało cios w sam żołądek. Shelly popatrzyła na Kylanda, po czym powędrowała za jego spojrzeniem do mnie. Na jej twarzy pojawiło się coś na kształt współczucia, odwróciłam się więc w stronę baru. Wzięłam kilka głębokich oddechów, usiłując się uspokoić. Chwyciłam piwo Sama, postawiłam je na tacy i poszłam do jego stolika, nie spoglądając więcej w stronę drzwi. Miałam nadzieję, że na mój widok Kyland wyszedł. Wyprostowałam się.

Wróciłam do baru, a Marlo odciągnęła mnie na bok.

- Przyszedł Kyland. Wszystko w porządku? - Jej wyraziste oczy zrobiły się okrągłe z niepokoju.

- Nic mi nie jest - powiedziałam twardo, choć nie byłam tego wcale pewna. - Myślałam, że to ja jestem na niego zła, ale on zdaje się mnie nienawidzić. - Ogarnęła mnie fala bólu i dezorientacji.

- Za co on miałby nienawidzić ciebie? Za to, że wyjechałaś, podczas gdy o n spieprzył sobie życie?

Przygryzłam wargę.

- Nie wiem. Czy Kyland i Shelly często tu przychodzą? Pokręciła głową.

- Nigdy ich tu nie widziałam. Zmarszczyłam brwi.

- Hmm. Cóż, oboje musimy żyć w tym mieście. A raczej to ja zdecydowałam się mieszkać w tym mieście, na razie więc, na czymkolwiek polega jego problem, musi sobie z nim poradzić.

Marlo skinęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

- Dobra. Gdybyś chciała, żebym wylała na niego piwo czy coś, daj znać. Na pewno wtedy sobie pójdzie.

Roześmiałam się, ale ona nie.

- Nie żartuję.

- Wiem, Mar. - Uścisnęłam ją pospiesznie.

Serwując kolejne drinki, zauważyłam, że Kyland i Shelly nie wyszli. Zajęli stolik pod samym parkietem. Obserwowałam ich kątem oka i dostrzegłam, że Kyland siedzi sztywno, a ona też wygląda na speszoną. Poprzysięgam więcej nie patrzeć w ich kierunku.

Wróciłam do baru, poprosiłam Ala o kolejnego shota i wy chyliłam go do dna. Nie jadłam kolacji, więc te dwa shoty spowodowały napływ energii w moim krwiobiegu.

Nic ci nie jest. Nic ci nie jest.

Siedzący przy barze potężny kierowca ciężarówki, który skonsumował o jedno piwo za dużo, pociągnął mnie na swoje kolana. Roześmiałam się i usiłowałam podnieść, ale on znów mnie pociągnął.

- Hej, daj już spokój - powiedziałam, próbując rozładować sytuację. - Jak mam ci podać piwo, skoro nie chcesz mnie puścić?

- Wolę pociągnąć sobie łyceczek ciebie. - Roześmiał się głośno i przesunął dłońmi po moim ciele.

- Puszczaj ją, zanim przefasonuję ci twoją pierdoloną twarz.

Od razu rozpoznałam głos Kylanda. Przestałam się wrywać, a wielkolud obrócił gwałtownie głowę, puszczając mnie. Odzyskałam równowagę i wygładziłam bluzkę. Kyland stał za plecami faceta, z zaciśniętymi szczękami i pięściami.

- Spoko, stary - wybełkotał gość, obracając swoje zwaliste cielsko na taborecie. - Nie miałem nic złego na myśli. Tylko witałem się z damą. - Przebiegł ponownie wzrokiem po moim ciele.

- Witaj się z damami gębą, nie łapami.

Patrzyłam to na Kylanda, to na pijanego klienta. Teraz byłam damą? Jeszcze parę dni temu twierdził, że nie może mieszkać w tym samym mieście co ja.

- Na to też miałbym ochotę. - Pomachał językiem i wydał z siebie rubaszny rechot.

Rozmazana pięść Kylanda tylko koło mnie mignęła i trafiła prosto w twarz pijaka. Wydał z siebie jęk, oczy łypnęły białkami i spadł nieprzytomny na barową podłogę. Wśród klientów dało się słyszeć głośny okrzyk. Takie sytuacje nie należały u Ala do rzadkości, ale i tak szczeka mi opadła. Przez moment wpatrywałam się w gościa na podłodze, a potem spojrzałam na Kylanda.

I nagle szlag mnie trafił. Może przemawiał przeze mnie alkohol krążący w moich żyłach, może złość, że Kyland rości

sobie prawo do igrania z moimi emocjami, albo przekonanie, że to, co się ze mną dzieje, nie jest jego zakochanym interesem. A może to, że już dwukrotnie w tym tygodniu pojawiał się na moim terytorium i za każdym razem głęboko mnie zranił. Nagle owładnęła mną furia.

- Jak śmiesz? - wycedziłam. Zmrużył oczy.

- Jak śmiem bronić cię przed sprośną świnią? - spytał. -Przepraszam, nie byłem świadom, że odpowiada ci bycie poniewieraną. Ale w sumie wróciłaś do tego cholernego miasta i pracujesz w tym samym cholernym barze. - Nozdrza mu się rozszerzyły i niemal się spodziewałam, że zacznie ryć ziemię jak rozwścieczony byk.

Otwarłam szeroko oczy.

- Może i mi odpowiada. Tak czy inaczej, nie twój interes, co lubię, a czego nie. - Byłam tak zła, że aż się trzęsłam. Chwyciłam przechodzącego obok faceta i pociągnęłam go gwałtownie za sweter.

Przybliżył się do mnie, potykając, i wyglądał na zaskoczonego. Przywarłam ustami do jego ust. Smakował piwem i pachniał tanią wodą po goleniu. Odepchnęłam go, a on odszedł chwiejnie, mamrocząc:

- Kurde, naprawdę podoba mi się w tym barze. Spojrzałam znów w twarz Kylanda. Zamarł na niej wyraz, którego nie potrafiłam rozszyfrować.

- Tenleigh?

Usłyszałam głos Marlo i kątem oka zobaczyłam jej postać. Uniosłam dłoń, dając jej do zrozumienia, że sobie radzę. Nie spuściłam wzroku z Kylanda.

- Robię, co chcę i kiedy chcę - powiedziałam. Co ja w ogóle wyprawiałam? Nie było to dla mnie całkiem jasne. Wiedziałam tylko, że jestem zła i straciłam nad sobą panowanie. I wiedziałam, że wciąż boli mnie do szpiku kości, że Kyland

mnie zdradził, kiedy ja oddałam mu siebie do ostatniego kawałka, i stawało się bardzo jasne, że nie udało mi się tych kawałków poskładać na nowo.

- Czy to właśnie robiłaś w Kalifornii? - spytał, podchodząc do mnie. Uniosłam brodę, patrząc na niego z pogardą.

- Cały czas. Tak często, jak to było możliwe. Skoro złamałeś pieczęć, to pomyślałam...

Wyraz czystego bólu, który przemknął po jego twarzy, oszołomił mnie tak, że słowa uwięzły mi w gardle. Ale równie szybko moja złość rozgorzała na nowo. Nie podobało mu się, że byłam z innymi mężczyznami? Co za cholerny hipokryta! Właśnie przyszedł tu z nią, z kobietą, z którą mnie zdradził - kobietą, z którą miał dziecko.

- To nie w twoim stylu, Tenleigh - powiedział cicho. Roześmiałam mu się prosto w twarz brzydkim, gorzkim śmiechem.

- Nie znasz mnie. Nic o mnie nie wiesz. I ja o tobie też nic. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął, jakby zmienił zdanie.

- Rany, nie mam na to siły. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Ogarnęła mnie szewska pasja.

- Hej, Kylandzie - wrzasnęłam. Odwrócił się z powrotem w moją stronę. - Przeczytałeś do końca *Wichrowe wzgórza*?

Zamrugnął, a potem zmarszczył brwi, przyglądając mi się niepewnie.

- Nie mam w ostatnich czasach zbyt wiele czasu na lekturę, Tenleigh.

Oparłam się biodrem o bar i postukałam palcem w brodę.

- Zastanawiałam się tylko, czy uważasz Heathcliffa za takiego samego odrażającego, niewiernego łajdaka, za jakiego ja go uważam.

Ruszył z powrotem w moją stronę.

- Nigdy nie zgadzaliśmy się w zbyt wielu kwestiach literackich, nie uważasz?

- Hmm, to prawda. A jednak sądziłabym, że każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, dostrzegłby, jakim bezwartościowym, zakłamanym śmieciem był Heathcliff.

- Mnie bardziej uderzyło, jaką przygłupią kretynką była Cathy... W końcu wydostała się z tych... wrzosowisk, a potem, kuźwa, wróciła, żeby doświadczyć więcej nieszczęść? Marnując szansę, jaką dostała? Trzeba być skończonym idiotą.

Oczy zrobiły mi się wielkie, a krew zawrzała pod skórą.

- I co z tego, że Cathy wróciła na wrzosowiska, jakkolwiek byłyby mroczne i zamglone? Przynajmniej nie wróciła z powodu Heathcliffa. Heathcliff był ewidentnie ostatnią rzeczą, o jakiej myślała. Właściwie niesamowicie irytowało mnie, że... Heathcliff ciągle pojawiał się tam, gdzie Cathy.

Zza moich pleców od strony baru doleciał mnie ledwo słyszalny głos:

- Oni się kłócą czy prowadzą klub książki? A ktoś inny dodał:

- Nie jestem pewien. Wygląda mi to na grę wstępną. Oboje ich zignorowaliśmy.

Kyland zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Jesteś tego pewna? Może... - Teraz sprawiał wrażenie raczej speszzonego niż wkurzonego. - Może myślała o Heathclifie cały czas, kiedy jej nie było. Może Cathy nie irytowałoby tak każde jego pojawienie się, gdyby wciąż o nim nie myślała, gdyby przy nowym chłopaku czuła się tak jak przy Heathcliffie. - Jego głos złagodniał. - I może Heathcliff też o niej myślał. Może myślał wyłącznie o niej, wyłącznie o niej marzył.

Chłopak? Jaki chłopak? Zmrużyłam oczy.

- To nie miałyby znaczenia. Po tym, jak Heathcliff ją zdradził, nigdy nie dałaby mu drugiej szansy. Wszystko zniszczył.

Zniszczył ją. Był najbardziej samolubnym, obrzydliwym bohaterem, o jakim kiedykolwiek czytałam. Żałuję, że zużyto papier, by tchnąć w niego życie. Co za marnotrawstwo dobrego drewna.

W oczach Kylanda błysnął ból. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle spojrzał za siebie. Gdy się odwracał, dostrzegłam Shelly stukającą go w plecy. Uszła ze mnie cała chęć walki, a ból ścisnął mi pierś. Na moment zapomniałam o jej istnieniu. I jeśli prowadziliśmy właśnie bitwę, to tym jednym klepinięciem w ramię wygrał. Ja przegrałam. Znowu. Kiedy odwrócił się w moim kierunku, porażka musiała się malować na mojej twarzy, bo otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a następnie zawahał się i szeroko otworzył oczy. Odwróciłam wzrok. W tej właśnie chwili zdałam sobie sprawę z czegoś, co zawsze wiedziałam. Nie potrafiłam nienawidzić Kylanda. Nie był złym człowiekiem. Zachował się tylko źle względem mnie. Nie był niezdolny do miłości. Nie był tylko zdolny do kochania mnie, nie chciał zostać przy moim boku. Ale został przy Shelly. I to było najboleśniej. Żal, który ogarnął w tej chwili moje serce, niemal powalił mnie na kolana.

Nie teraz. Nie teraz - tutaj się nie rozklejaj.

Szybkim krokiem poszłam do toalety i zamknęłam się w kabinie. Kilka minut później przyszła za mną Marlo i pomogła mi się pozbierać, na ile było to możliwe. Kiedy wróciłam do baru, Kylanda i Shelly już nie było.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tenleigh

Przepracowałam ten weekend u Ala, Kyland już jednak nie wrócił. Całe szczęście. Wciąż czułam wstyd za tę publiczną kłótnię, ale wiedziałam, że u Ala nie należało to do rzadkości. W zasadzie dwie godziny później całą sprawę przyćmiła wysyłkowa narzeczona Gable'a Clancyego, usiłując potrącić go na parking. Nie, głównie czułam się zraniona. Gniew, którego się trzymałam, był znacznie przyjemniejszy. Dawał mi poczucie kontroli. Ból był po prostu bólem. Ale mogłam albo go czuć, albo podkulić ogon i uciec z miasta. Miałam zamiar dopilnować budowy szkoły - to było moje marzenie i moja scheda dla miasta, w którym się urodziłam i wychowałam, miasta, które podarowało mi środki na edukację. Ale potem rozważałam zatrudnienie kogoś innego, kto zadbałby o utrzymanie dorocznych dotacji, i wyjazd gdzie indziej, zaczęcie wszystkiego od nowa. Może to było domknięcie, którego potrzebowałam, by móc naprawdę zapomnieć o Kylandzie. Czy okłamywałam samą siebie? Czy jakaś część mnie rozpaczliwie

pragnęła wiedzieć, co się stanie, jeśli zobaczę go jeszcze raz? Tak, zapewne. Nie pozwoliłam mu tak naprawdę odejść. I na tym polegał problem. Ale lepiej było się do tego otwarcie przyznać. Potwierdziło się - naprawdę był z kobietą, z którą mnie zdradził. I miał z nią syna. Taka była rzeczywistość. I dobrze się stało, że się z nią zmierzyłam.

Widziałas to na własne oczy, Tenleigh. Czy możesz to w końcu przyjąć do wiadomości i naprawdę o tym zapomnieć? Lepiej, żebyś mogła, bo nie masz innego wyjścia.

Na poniedziałek zaplanowałyśmy z Marlo wizytę u mamy. Byłam wcześniej gotowa, postanowiłam więc przywitać się z Busterem. Nie widziałam go od powrotu. Zapukałam do jego drzwi, a kiedy otworzył, wydał z siebie okrzyk i porwał mnie w niedźwiedzi uścisk, unosząc ponad ziemię. Roześmiałam się głośno.

- Witaj, Busterze! Też się cieszę, że cię widzę. Odstawił mnie.

- Niech ci się przyjrzę, panienko Tenleigh. - Pokręcił głową z uśmiechem. - Wyglądasz jak dziewczyna z miasta. Czy jesteś teraz dziewczyną z miasta, panienko Tenleigh? - Otworzył szerzej drzwi, a ja weszłam do środka.

Dom Bustera wypełniały ręcznej roboty drewniane meble, a na każdym centymetrze kwadratowym stały strugane pary zajęte różnymi niedwuznacznymi czynnościami seksualnymi. Gdyby nie to, że znałam Bustera całe życie, jego dom przyprawiłby mnie o poważne zakłopotanie.

- Ja? Dziewczyną z miasta? Chyba żartujesz, Busterze. Jestem pełnokrwistą mieszkanką gór.

Zachichotał.

- No dobrze, tak tylko sprawdzam. Bo wyglądasz jak z miasta.

Uśmiechnęłam się, siadając na krześle będącym wyrzeźbioną, wypolerowaną i obłożoną plastikiem twarzą nagiego

mężczyzny. Za nim wyrzeźbiona została kobieta z ustami pełnymi jego klejnotów. Ja byłam trzecim kątem tego trójkąta. To najbardziej erotyczna rzecz, jaka przydarzyła mi się od dłuższego czasu. Szczęściara ze mnie.

- Opowiadaj, co robiłaś przez cały ten czas. Jak ci było w collegeu? - spytał Buster.

Opowiedziałam Busterowi o uczelni, na którą chodziłam, o Kalifornii, trochę o tym, jak to jest być z dala od domu, o kilku przyjaciółkach, których poznałam i z którymi utrzymywałam kontakt, i o szkole, którą budowałam. Skończywszy pokiełbanie, powiedziałam:

- A co u ciebie, Busterze, jak ty się miewasz?

- Dobrze, lepiej niż kiedykolwiek. Słyszałaś o biznesie, który prowadzimy tu w górach?

- Biznesie? - Zmarszczyłam brwi i przechyliłam głowę.

- Jasne. Jesteśmy tu prawdziwymi przedsiębiorcami. Niektórzy są z tego nawet naprawdę dumni. Posprzątali podwórza...

- Tak - powiedziałam. - To zauważyłam. A czym tak właściwie się zajmujecie?

- Hodujemy lawendę. Mamy też parę produktów. Organizujemy targi rękodzieła w okolicy. Sprzedaję nawet swoje figurki. Idą naprawdę nieźle. - Mrugnął.

Lawenda. Lawenda?

W moich myślach zawisł nade mną sierp księżycy, piękny chłopiec czcił moje ciało, a zapach wonnej lawendy wypełnił powietrze.

Wyrwałam się z tych marzeń.

- Nie wątpię - odparłam nieprzytomnie. - Ten cały lawendowy biznes... czyj to pomysł?

- Kylanda Barretta. On wszystko sprawdził. Odkrył, że lawenda jest jedną z najbardziej dochodowych upraw dla indywidualnych hodowców, nawet w ogródku na tyłach domu.

Przygotował ulotkę informacyjną i wszystko. Poza tym to jedyny kwiat, który da się wysuszyć i wykorzystać do produkcji różnych rzeczy. Robimy saszetki, mydła, olejki, herbatę, którą mi przynosiłaś...

- Więc wszyscy na tym naprawdę zarabiacie? - spytałam zdumiona. Nigdy nic podobnego nawet nie przeszło mi przez myśl...

- A pewno - powiedział z dumą. - W odróżnieniu od innych upraw dochody mamy okrągły roczek. Nic się nigdy nie marnuje. To w sumie dziecinnie proste.

- Wygląda na to, że wiesz, o czym mówisz, Busterze. - Skinęłam głową, znów się uśmiechając.

Siedziałam przez chwilę w milczeniu, niedowierzając.

- Czemu więc nie wszyscy się tym zajmują? - spytałam, mając na myśli domy, które były równie zagracone jak zawsze.

Buster podrapał się po rzadko owłosionym czubku głowy.

- No wiesz, możesz pokazać wieśniakowi lawendę, ale nie możesz zmusić go do uprawy. - Roześmiał się i klepnął w kolano.

Też się uśmiechnęłam w zamyśleniu.

- No dobrze, będę... - zaczęłam.

Poderwało mnie pukanie do drzwi. Przyszła Marlo. Pożegnałam się szybko z Busterem i powiedziałam, że niebawem do niego zajrzę. Uścisnęliśmy się na do widzenia, po czym wsiadłyśmy z Marlo do samochodu.

- Mar, wiedziałaś o całej tej sprawie z lawendą? Rzuciła na mnie okiem.

- Tak. To naprawdę całkiem fajne. Miałam ci zamiar powiedzieć. Ale sprawiasz wrażenie rozdartej w sprawie Kylanda. Nie wydawało mi się, żebyś musiała o tym wszystkim usłyszeć w pierwszym tygodniu po powrocie.

Skinęłam głową.

- Właściwie... to fajna sprawa, prawda? Zarabiają na czymś, co nie wymagało żadnego przygotowania... - Przygryzłam wargę. - Ciekawe, czemu sam się tym nie zajmuje.

- No, nie wiem.

Co się z tobą dzieje, Kylandzie? Chociaż nie powinno mnie to dziwić. Zawsze był przedsiębiorczy i pracowity. Wystarczy spojrzeć, jak przez te wszystkie lata przetrwał o własnych siłach.

Właśnie mijałyśmy jego dom. Odwróciłam głowę i spojrzałam na białego pick-upa zaparkowanego od frontu. Podskoczyłam lekko, bo drzwi się nagle otwały i ukazał się w nich Kyland w dżinsach i koszuli flanelowej, z bejsbolówką na głowie i metalową menażką w dłoni. Kiedy go mijałyśmy, zatrzymał się i nasze spojrzenia się spotkały mimo odległości mojego jadącego samochodu. Odprowadził nas wzrokiem. Zauważyłam naklejkę na zderzaku jego wozu, postać górnika w czaku czołgającego się ciemnym tunelem i napis: „Przyjaciele na dole”.

Minąwszy go, wyprostowałam się, drżąc lekko, i wzięłam głęboki, uspokajający oddech. Tak wielu rzeczy nie rozumiałam, tak wiele wciąż sprawiało mi ból.

Czemu jesteś na mnie tak bardzo zły, Kylandzie? Jak mogłeś przejść od miłości do tak zapalczywej nienawiści?

- Co to za przerażająca bitwa na spojrzenia? - spytała Marlo z zaskoczeniem.

Zerknęłam na nią.

- Nie mam pojęcia - odparłam w zamyśleniu. - Błatego.

*

Kilka godzin później zatrzymałyśmy się przed szpitalem. Wyłączyłam silnik i siedziałam tak, wyglądając przez okno.

- No nieźle - powiedziałam w końcu.

Duży ceglany budynek był stary, ale pięknie utrzymany. Otaczały go bujne trawniki i wspaniałe ogrody. Pacjenci przechadzali się, niektórzy z pielęgniarkami, inni sami, a jeszcze inni siedzieli na ławkach ustawionych na skrajach rabat. Wszystko ocieniały wiekowe kasztanowce.

- Wiem - zgodziła się Marlo. - Tu jest naprawdę miło. I mają też najlepszych lekarzy, którzy życie poświęcili pomaganiu osobom cierpiącym na choroby psychiczne.

- Skąd Sama na to stać? - spytałam, wysiadając z samochodu.

- Ma oszczędności. Nigdy nie spytałam, ile przez to jest w plecy. - Kiedy ruszyliśmy, zerknęła na mnie. - Miałam zamiar powiedzieć, żeby przestał, ale gdy zobaczyłam mamę po paru krótkich tygodniach tutaj, nie mogłam jej tego zrobić.

Chwyciłam Marlo za rękę i ścisnęłam.

Kilka minut później zarejestrowaliśmy się u pielęgniarki w recepcji i siadaliśmy w obszernej poczekalni.

Gdy zza rogu wyłoniła się mama, prawie jej nie poznałam. Włosy miała obcięte do ramion, umyte i ułożone, a twarz promienną i podekscytowaną. Miała na sobie dżinsy i kremowy sweter z krótkim rękawem. Przystanęła, zasłaniając usta rękami, a ja podniosłam się z niedowierzaniem.

- Tenleigh, moja córeczka - wyszeptała, zmierzając w moją stronę.

- Mamo... - odebrało mi głos. - Wyglądasz niesamowicie. Przygarnęła mnie do siebie, a ja odetchnęłam jej czystym, dodającym otuchy zapachem.

- Mamo. - Odsunęłam się. Przejechałam dłonią po jej włosach i chłonięłam jej widok.

Roześmiała się cicho, a potem spojrzała na Marlo i uśmiechnęła się szeroko.

- Moja druga córeczka - powiedziała, ściskając Marlo. - Przejdziemy się? - zaproponowała, wskazując ręką okno.

Wyszliśmy na zewnątrz i ruszyły powoli zalaną słońcem ścieżką. Wiał lekki wietrzyk i w powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy. Marlo zaprowadziła nas do ławki w cieniu drzewa, na której usiadaliśmy z mamą.

- Przyniosę nam wodę w butelkach. Macie ochotę na coś jeszcze?

Powiedziałyśmy, że nie, i Marlo nas zostawiła. Wiedziałam, że daje nam trochę czasu sam na sam. Ujęłam dłonie mamy i ścisnęłam je.

- Jak się czujesz? - spytałam.

- Świetnie, skarbie. Mam lepsze i gorsze dni, ale chyba wszyscy je mamy. Uczę się nowej normalności, uczę się, jak rozumieć własne emocje i jak sobie z nimi radzić.

- To dobrze, mamo. Roześmiała się cicho.

- Tak, to bardzo dobrze. Lekarze wypróbowali kilka leków i te, które teraz zażywam, zdają się działać najlepiej. Biorę też udział w zajęciach kilku grup terapeutycznych i one pomagają bardziej niż cokolwiek innego. Są tu ludzie, którzy doskonale rozumieją, co oznacza cierpieć na taką chorobę jak moja. -Policzki lekko się jej zaróżowiły. - Rozumieją poczucie winy za to, że rani się ludzi wokół, choć to ostatnia rzecz, jaką chciałoby się zrobić.

Ponownie ścisnęłam jej dłonie, a potem kciukiem otarłam łzę płynącą po jej policzku.

- Nie musisz czuć się winna. Ani z powodu mnie, ani Marlo - zapewniłam.

Skinęła głową, ale minę miała smutną.

- Mimo to tak się czuję. Potrzebowałyście mamy, a całe życie musiałyście z Marlo matkować mnie. I takiego straszego

wstydu wam narobiłam... - Kolejna łza potoczyła się w dół policzka.
- Wiem, że nie chciałaś tego, mamó. Wiem to. Nie musisz za nic przeproszać.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na mnie.

- Jestem chora psychicznie, Ten. I to, no cóż, to się nie zmieni. Ale są sposoby na radzenie sobie z tym, rzeczy, które mogę robić, bodźce, których mogę unikać. Teraz to wiem. I czuję się silniejsza. Po raz pierwszy w całym swoim życiu czuję, że mam kontrolę nad demonami w swojej głowie. Po raz pierwszy w życiu mam nadzieję.

Pociągnęłam nosem i uśmiechnęłam się do niej.

- Ja też, mamó. - Pochyliłam się i znów ją uściskałam. Wyprostowawszy się, spytałam: - Boisz się wracać do domu?

- Troszkę. No wiesz, spójrz na to miejsce. - Machnęła ręką wokół i roześmiała się cicho. - Przypomina luksusowe wakacje. - Uśmiechnęła się, zaraz jednak spoważniała. - Ale będę musiała wrócić w końcu do rzeczywistości i to jedna z rzeczy, nad którymi pracuję tu z terapeutami. Po powrocie mam zamiar znaleźć pracę, robić coś... Sam zaproponował mi pracę u siebie w recepcji i to brzmi nieźle... - Wzięła głęboki oddech. - Wiem teraz jedno, kochanie, czy mieszkasz w najbardziej luksusowym miejscu na ziemi, czy w przyczepie na wzgórzu, choroba jest chorobą.

- Nasza sytuacja nie ułatwiła ci sprawy, mamó. Wiem o tym. Podobnie jak Marlo. A teraz wróciłam do domu i mam zamiar zdobyć dobrze płatną pracę. Wynajmę gdzieś dla nas niewielki domek... Może nie będziemy mieć bardzo dużo, ale wszystko, czego nam trzeba. Będziemy wiodły wygodne życie, dobrze?

Uśmiechnęła się do mnie.

- Moja dziewczynka, wciąż się mną opiekujesz. - Jej uśmiech zrobił się smutny. - Nie będziesz musiała robić

tego wiecznie, obiecuję. Rzecz w tym, Tenleigh, kochanie, że nie zawsze było równie źle. Kiedy twój ojciec przywiózł mnie w Appalachy, strasznie mi się tu podobało, mimo że mieszkaliśmy w przyczepie w lesie. Uwielbiałam góry, strumienie i zachody słońca. I uwielbiałam ludzi, mieszkają tam postaci niepodobne do żadnych innych, o ogromnych sercach. - Uśmiechnęła się i ja też. Miała rację. - I byłam taka zakochana. - Spuściła wzrok. - Wiem, że mnie nie kochał, przynajmniej nie tak, jak ja jego, ale chcę, żebyś wiedziała, moja mała, że kochałam twojego ojca. Kochałam go z całego serca. Kiedy patrzę na ciebie i Marlo, przypominam to sobie i czasem mnie to smuci, ale zwykle czuję wdzięczność.

Och, mamó. Miałam wrażenie, że serce mi krwawi.

Skinęłam głową, przełykając gulę w gardle. Czy ja też mogłabym to poczuć? Czy mogłabym być któregoś dnia wdzięczna za miłość, która łączyła mnie z Kylandem, mimo że skończyła się złamanym sercem?

- Przez te wszystkie lata miałam zakodowane w głowie, że jedyną wartościową rzeczą, jaką kiedykolwiek osiągnęłam, była wygrana w tamtym głupim konkursie piękności. - Pokręciła głową ze smutkiem. - Ale myliłam się. Ty, ty i Marlo. To wy jesteście moim najpiękniejszym osiągnięciem.

- Mamó - wychrypiałam, biorąc ją w ramiona i ściskając.

Po tej rozmowie spacerowałyśmy przez jakiś czas po terenie ośrodka, mama, Marlo i ja, opowiadając sobie nowinki i po raz pierwszy w moim życiu plotkując jak dziewczyny. Przepelniała mnie radość i co jakies trzy minuty miałam ochotę się uszczypnąć. Mama wypytała mnie o San Diego, zajęcia, szkołę, a ja gadałam jak najęta w sposób, w jaki nigdy wcześniej z nią nie rozmawiałam. To było cudowne. I po raz pierwszy od lat przypomniałam sobie, jak słodka, cicha i delikatna potrafi być moja mama, kiedy jest naprawdę sobą. Była taka piękna.

Ucałowawszy mamę na pożegnanie, wsiadłyśmy do auta. Siedziałam tam w radosnym szoku, aż wreszcie roześmiałam się jak wariatka, popatrując na Marlo, jakbym wiedziała, że mi odbiło. Też się roześmiała.

- Wiem! - powiedziała, obejmując mnie. - Zrobiłam dokładnie to samo, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ją wiele miesięcy temu. Zrobiłam dokładnie to samo.

Wiedziałam, że przede wszystkim szpital zwrócił mamie ją samą. Ale my też ją odzyskałyśmy i zwrócono nam jakąś część nas samych, część, której rzadko doświadczałyśmy - rolę córki. Będę dozgonnie wdzięczna Samowi za ten niezwykły, odmieniający życie prezent.

*

Ekipa budowlana wkroczyła na plac w tym samym tygodniu. Szkoła naprawdę miała powstać. Pozwoliłam sobie na chwilę dumy. Wciąż było tyle do zrobienia, ale mimo rozpaczy, którą nadal czułam w stosunku do Kylanda, przepełniała mnie nadzieja na myśl o robocie, jaką odwaliałam dla tego miasta. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że ten projekt odniesie sukces, że zrobiłam coś, co przyniesie realne zmiany.

Nadal została mi do spakowania reszta biblioteki - jeszcze kilka pudeł i będzie po wszystkim. Unikałam jej - wchodzenie tam było szczególnie bolesne - ale trzeba się było z tym uporać. Budynek miał zostać wyburzony w najbliższych dniach.

Właśnie uprzętałam na kolanach dolną półkę, kiedy zza pleców dobiegł mnie odgłos otwieranych drzwi. Spojrzałam przez ramię i moim zdziwionym oczom ukazała się wchodząca do środka Shelly. Uśmiechnęła się do mnie słabo, a ja zmarszczyłam brwi i podniosłam się pospiesznie z dudniącym nagle sercem.

- Cześć, Shelly - powiedziałam ostrożnie. Czemu tu przyszła?
- Hej, Tenleigh. Chyba nigdy się tak naprawdę nie poznałyśmy. -
Posłała mi kolejny blady uśmiech.

Wypuściłam powietrze i go odwzajemniłam.

- Nie, chyba masz rację. Miło mi oficjalnie cię poznać. -Nie mogłam poradzić nic na to, że zabrzmiało to jak pytanie.

Musiało jej chodzić o tamten wieczór. Czemu więc uśmiechała się do mnie po przyjacielsku?

Skinęła głową, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Wzajemnie.

Przez chwilę obie milczaliśmy, a potem wskazałam gestem stolik.

- Może usiądziesz?

- Jasne.

Podeszła i przycupnęła na małym stoliku, którego używałam zawsze jako biurka. Oparłam się plecami o półkę i przyjrzałam jej. Była bardzo ładna, miała drobne ciało i gęste blond włosy.

- No więc - zaczęła - na pewno zastanawiasz się, czemu tu jestem.

Przytaknęłam, oczekując w napięciu na to, co miała do powiedzenia. Czy ona też miała zamiar powiedzieć mi uprzejmie, żebym wynosiła się z Dennville? Żebym zostawiła w spokoju ją i jej małą rodzinę? Żebym przestała urządzać sceny z jej chłopakiem w publicznych barach? Czy winiłabym ją, gdyby taki właśnie był powód jej wizyty?

- Czy widziałaś Joeya? Zamrugałam.

- Joeya?

- Mojego syna.

- Aha - wyszeptałam. Syna Kylanda. - Tylko z daleka.

Więc to jego wykorzysta, by wyjaśnić mi, czemu moja obecność w tym miejscu dla nikogo nie prowadzi do niczego dobrego.

Skinęła głową.

- Wygląda toczka w toczkę jak jego ojciec.

Kiedy Shelly nazwała Kylanda tatą Joeya, przeszył mnie ból. Ale było w tym też nagłe zaznaczenie własności. Wyprostowałam się. Głupia, głupia Tenleigh. Żadna część Kylanda - ani jedna - nie należy do ciebie. Jeśli nie stało się to dla ciebie jasne w tej chwili, to twoja zdolność racjonalnego myślenia jest poważnie zaburzona. Moja reakcja nie była racjonalna, czemu więc wciąż sprawiała wrażenie instynktownej?

- Co czasem jest trudne, bo zmusił mnie do tego. Hola. Hola. Co? Kyland nigdy, przenigdy, nawet za milion

lat... Moment. O mój Boże! Miałam wrażenie, jakby świat wirował. Jej słowa wstrząsnęły mną do szpiku kości. Wyciągnęłam rękę za siebie, by oprzeć się o solidny regał.

- Kyland nie jest ojcem Joeya? - wyszeptałam. I z jakiegoś powodu, który mógł być jedynie świadectwem idiotyzmu, do oczu napłynęły mi łzy.

- Nie mógłby być. Nie spaliśmy ze sobą. To znaczy... - Podniosła na mnie wzrok. - Spaliśmy... w przeszłości. - Potrząsnęła głową. - Głupie młodzięcze obmacywania. - Roześmiała się cicho. - Nigdy mnie nie kochał. Nie kocha mnie i teraz, w każdym razie nie bardziej niż przyjaciółkę. - Przez chwilę milczała. - To do niego pierwszego się zwróciłam, kiedy się to wydarzyło... kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Nie wiem właściwie czemu. Może troszkę go kochałam. Może miałam nadzieję, że będzie mnie chciał, chyba zawsze tak było. Teraz zdaję sobie z tego sprawę, ale wtedy nie zdawałam. - Wzruszyła ramionami.

Podeszłam i usiadłam obok niej na stole.

- Okłamał mnie - powiedziałam. Wciąż miałam wrażenie, że wiruję, mimo że usiadłam.

Obróciła się do mnie i skinęła głową.

- Wiem.

- Czemu, Shelly? Czemu to zrobił? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem dokładnie. Powiedział, że mi pomoże. Powiedział, że zostanie w Denmdlle, że z jakiegoś powodu musi tu zostać, i że pomoże mi, gdybym potrzebowała pieniędzy. A potem spytał, czy ja pomogę też jemu i wesprę go w kłamstwie, gdybyś mnie o cokolwiek spytała. Nie rozumiałam czemu, ale - wypuściła powietrze - w tamtym czasie byłam w takim stanie, że niemal cieszyło mnie udawanie, że dziecko jest jego. Ale - wzruszyła ramionami - ty i tak nigdy mnie o nic nie spytałaś, więc nie musiałam kłamać.

- Nie - odezwałam się wpatrzona prosto przed siebie. - Wyjechałam z miasta najszybciej, jak to było możliwe, kiedy powiedział mi, że jesteś z nim w ciąży.

Czy naprawdę to powiedział? Czy powiedział tylko, że była w ciąży, a ja domyśliłam się reszty? Tak czy inaczej, pozwolił mi wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Tego właśnie chciał.

Skinęła głową.

- Tak sobie myślałam, że ty byłaś powodem, ale nigdy tego nie zdradził. Pomaga przy Joeyu, ilekroć może. Ojciec i bracia - wzięła urywany oddech i spojrzała na mnie, jakby się miała zaraz rozpłakać - powiedzieli, że sama to na siebie ściągnęłam, rozkładając nogi przed każdym facetem, który się pojawił. Przez jakiś czas wierzyłam chyba, że to prawda. Odmówili mi pomocy.

Wyciągnęłam rękę i położyłam dłoń na jej dłoni, a ona uśmiechnęła się do mnie ze smutkiem.

- Jak do tego doszło? - spytałam łagodnie.

- Poznałam go u Ala. Poszliśmy do hotelu przy autostradzie - powiedziała. - Poszłam z nim z własnej woli. Miałam się nawet zamiar z nim przespać. To chyba jasne. - Przez chwilę milczała. - Kiedy tam dotarliśmy, zaczął się dziwnie zachowywać, chciał mnie związać. Nie miałam na to ochoty. Ruszyłam do wyjścia, a on rzucił mnie na łóżko i zaczął wyzywać od podpuszczalskich. Powiedziałam „nie”, ale się nie broniłam. Nigdy się nie broniłam. - Pokręciła znów głową. - Czasem się zastanawiam, czy gdybym się broniła... ale jaki z tego pożytek, prawda? Uprawiał ze mną seks, a potem powiedział „dziękuję”. - Łza popłynęła po jej policzku. - Podziękował mi, a ja wciąż słyszę to czasem w myślach. I nie wiem, czemu akurat to było w tym najgorsze, czemu to ze mną zostało.

Bo ty mu niczego nie dałaś - on wziął sobie siłą. Skinęłam głową, chociaż nie wiedziałam, jakie to uczucie. Mogłam je sobie jedynie wyobrażać. Poczułam ból w piersi.

- Tak czy siak, odkryłam, że jestem w ciąży, a resztę znasz.

- Czy próbowałaś się z nim... skontaktować? - spytałam.

- Nawet nie znałam jego nazwiska. - Parsknęła krótkim, słabym śmiechem, ale wyglądała na zażenowaną. - Był kierowcą ciężarówki. Ja dopiero co skończyłam osiemnastkę, a przesiadywałam w barze, poderwałam obcego faceta i poszłam z nim do taniego pokoju hotelowego. Nie wyglądałam na uosobienie cnoty.

- Nie musisz na nic wyglądać, żeby zostać zgwałcona, Shelly. Każdy ma prawo odmówić - powiedziałam cicho.

Skinęła i otarła policzek, by usunąć ślady czarnego tuszu, który spłynął z rzęs. Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu czegośkolwiek, czego można by użyć jako chusteczki, ale bez skutku.

- Teraz to wiem - odparła. - To znaczy, teoretycznie wiem. I Ian, mój chłopak, bardzo mi pomógł.

- Masz chłopaka?

- Tak. Jest wspaniały. Chce się ze mną ożenić, adoptować Joeya. -
Uśmiechnęła się szczerym uśmiechem.

- To wspaniale, Shelly.

- Tak - westchnęła. Po chwili zwróciła ponownie twarz w moją stronę. - Wczorajszego wieczoru Kyland przyszedł ze mną do baru, bo łąn pracował. Pracują razem w kopalni, łąn ufa Kylandowi. A ja nie byłam u Ala od czasu... od tamtej nocy. Pomyślałam, że to ostatni fragment, którego potrzebuję, wiesz, żeby zostawić ten etap za sobą i skoncentrować się na przyszłości. A potem zaczęliśmy się z Kylandem kłócić i już miałam coś powiedzieć, ale ty pracowałeś... i pomyślałam, że powinnaś to usłyszeć od Kylanda. Ale nie wiem, kiedy on to zrobi. Może nawet sądzi, że nie ma prawa niczego wyjaśniać. Pomyślałam tylko, że na twoim miejscu chciałabym wiedzieć. Nie rozumiałam tego w pełni, dopóki was razem nie zobaczyłam. Nie miałam pojęcia, że wciąż go kochasz.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

- Już go nie Kocham.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem, ale nic nie powiedziała.

- Mimo wszystko dobrze jest znać wszystkie fakty. A ja mogłam dostarczyć ci przynajmniej kilku, więc to zrobiłam.

- Dziękuję, Shelly. Gdybym wiedziała, czemu przyszłaś wczoraj do Ala, nie utrudniałabym ci tego doświadczenia.

Pokręciła głową.

- Właściwie to ułatwiłaś. Zaprzętnęliście moją uwagę tak bardzo, że nawet nie pomyślałam o niepokojeniu się z powodu przebywania w tym miejscu.

Obie roześmiałyśmy się cicho.

- Naprawdę jestem ci wdzięczna, że tu przyszłaś. I przykro mi, że nie poznałyśmy się przed tym wszystkim.

Jej uśmiech był ciepły i pełen dobroci.

- Wcześniej nic by z tego nie wyszło. Byłam o ciebie zazdrosna. Ale teraz... jeśli odkryjesz, że wciąż czujesz coś do Kylanda, myślę, że to go bardzo uszczęśliwi.

„Bo Shelly jest w ciąży”. Te słowa wciąż mnie prześladowały, wciąż mnie raniły, wciąż odbijały się echem w mojej głowie.

Skinęłam głową, ale nie wiedziałam, co myśleć. To był taki szok.

- Zobaczyłam was kilka dni temu - powiedziałam w zamyśleniu - idących główną ulicą. Kyland niósł Joeya na barana... - Rany, to bolało. Wciąż czułam tamten ból, mimo że poznałam już prawdę. Shelly była w ciąży. Z dzieckiem innego mężczyzny. A Kyland o tym wiedział i to wykorzystał.

- Jest dla niego bardzo miły, jak wujek. Od urodzenia kupował mu buty, pieluszki, pomagał mi. Szczególnie w czasie, gdy bracia nadal się do mnie nie odzywali. Kyland to Kyland.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zeskoczyła ze stołu.

- Słuchaj, muszę lecieć. Joey jest u mojej przyjaciółki, a ona musi zaraz wychodzić do pracy.

Ja też wstałam.

- Dziękuję jeszcze raz, Shelly. Naprawdę. Nie musiałaś tego robić, a ja po prostu... dzięki.

Uśmiechnęła się.

- Powodzenia, Tenleigh. - Wyszła z biblioteki, zamykając za sobą drzwi.

Oparłam się znów o półkę i wypuściłam głośno powietrze.

- Dzięki - powiedziałam do pustego pomieszczenia. - Tego mi trzeba.

Co tu się, do cholery, działo? I co, u licha, zdarzyło się cztery lata temu? Czemu, na litość, Kyland postanowił połamać mi serce na kawałeczki za pomocą okrutnego kłamstwa?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Tenleigh

Pod wieczór, wyczerpana i zakurzona, wróciłam do przyczepy. Nadal nie poukładałam w głowie tego, co powiedziała mi Shelly. Z początku nie mogłam powstrzymać nieśmiałej fali radości i ulgi, która mnie zalała. Teraz jednak... teraz czułam się znów zła i zraniona. Jeśli nie zrobił Shelly dziecka, jeśli mnie nie zdradził, to czemu tak zranił mnie tym kłamstwem? Roztrzaskał mnie na kawałki, unicestwił mnie - moje serce, moje zaufanie. Całe lata zajęło mi pogodzenie się z tym, co mi zrobił - prawdę mówiąc, do tej pory nie do końca się z tym pogodziłam. I dlaczego? Tylko żebym przyjęła stypendium i wyjechała? Tylko dlatego, że dałam do zrozumienia, że mogłabym dla niego z tego wszystkiego zrezygnować? Czy dlatego mi to zrobił? Czy naprawdę tak bardzo chciał się mnie pozbyć z miasta? Czy naprawdę tak bardzo się obawiał, że spróbuję ułożyć sobie z nim życie tu, w Dennville, w Kentucky, zamiast skorzystać z szansy, którą otrzymałam? Jak widać, poskutkowało. Wyjechałam z miasta niemal tego samego

dnia, którego złamał mi serce. Czy mogłam mu to wybaczyć? Ten ból zdrady, który w sobie nosiłam... zdrady, do której nie doszło? A jeśli do niej nie doszło, czemu wciąż bolała? Bo chciał, żebym wyjechała - nie kochał mnie wystarczająco, żeby spróbować wyjechać ze mną.

Weszłam pod mały, lichy, plastikowy prysznic i usiłowałam spłukać z siebie ten dzień. Następnie ubrałam się w koszulę nocną i usadowiłam na kanapie. Wydawało mi się, że nie dam rady zasnąć, ale chyba musiałam być bardziej zmęczona, niż sądziłam, bo w ciągu paru minut zapadłam w sen.

Obudziły mnie krzyki na zewnątrz przyczepy. Poderwałam się, usiłując się zorientować w sytuacji. W przyczepie panowały egipskie ciemności, ale na dworze coś jasno świeciło i wyczułam dym. O Boże! Coś się paliło. Otwarłam gwałtownie drzwi i rozejrzałam się gorączkowo wokół. Ogień szalał we frontowej części przyczepy po drugiej stronie drogi, gdzie Ginny Neil mieszkała z dwójką dzieci. Wypadłam na zewnątrz, żeby dołączyć do stojących na drodze ludzi.

- Czy ktoś wezwał straż pożarną? - wrzasnęłam. - Nikt nie został w środku?

- Powiedzieli, że już jadą! - odkrzyknął ktoś.

Cholera jasna, to był najgorszy koszmar dla takich jak my, mieszkańców gór. Drogi były wąskie i strome, a najbliższa jednostka straży trzynaście kilometrów stąd. Chatka czy przyczepa mogły spłonąć w jedną czwartą czasu, którego strażacy potrzebowali, by tu dotrzeć.

- Maryjane! Gdzie jest Maryjane? - Usłyszałam kobiece krzyki.

Maryjane? Usiłowałam sobie przypomnieć, kim jest Maryjane, ale bezskutecznie.

Zobaczyłam Bustera stojącego pośród innych i podbiegłam do niego.

- Busterze, kim jest Maryjane? - zawołałam.

- Dwuletnią dziewczuszką Ginny Neil i Billy'ego Wilkesa - odparł, wskazując na nich z szeroko otwartymi oczami. - Jest na zewnątrz, prawda?

Rozejrzałam się szaleńczo i moje oczy spoczęły na Kylandzie, który podbiegł właśnie do grupy, ciężko dysząc.

- Czy wszyscy są bezpieczni? - spytał, przekrzykując tłumek, kiedy dały się słyszeć nawoływania Maryjane.

- Kylandzie, możliwe, że w środku została dwuletnia dziewczynka - krzyknęłam, pędząc w jego kierunku.

Billy Wilkes ruszył w stronę płomieni, ale był o kulach, Bóg jeden wiedział czemu. Ryland pobiegł w ślad za nim. Wymienili pospiesznie parę słów, zmierzając w stronę zadymionej przyczepy, której front lizały ogniste języki.

Tętno mi przyspieszyło, zakryłam usta rękami, a Kyland otworzył na oścież drzwi, z których buchnęły kłęby dymu. Obaj z Billym odchyłili się do tyłu, Kyland zdjął bluzę i przyłożył ją do ust, a Billy naciągnął na twarz T-shirt. Kyland zniknął we wnętrzu, a Billy czuwał przy drzwiach. Widziałam, że krzyczy coś do środka, ale nie słyszałam co, bo zagłuszały go ryk płomieni i otaczające mnie ludzkie głosy.

Trudno było w to uwierzyć, ale serce zaczęło mi się tłuc jeszcze szybciej. Odsunęłam się wraz ze zrozpaczonymi sąsiadami, bo dym zaczął gęstnieć w powietrzu. Czas jakby stanął w miejscu, kiedy wyobrażałam sobie, co się dzieje wewnątrz przyczepy. Wyglądało na to, że płomienie zajęły tylko przód, gdzie była kuchnia, ale gęsty dym wypełniał całą resztę. Czy dało się w takich warunkach przeżyć? I jak długo? Ky.

Zacisnęłam pięści. Mogłam się jedynie modlić.

Nagle z dymu wyłoniła się postać niosąca coś dużego i owiniętego w koc. Wciągnęłam potężny haust dymu i ruszyłam do przodu. To był Kyland. Billy Wilkes szedł koło niego tak szybko, jak był w stanie o kulach, a kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, Kyland podał opatulone w koc coś

Billyemu i schylił się, wciągając głęboko powietrze i kaszląc. Koc w ramionach Billyego zsunął się, ukazując mały blond łepek.

Billy położył swoją córeczkę na trawie i ukląkł przy jej boku. Wszyscy rzuciliśmy się w ich kierunku.

- Oddycha? - szlochała matka, klękając obok w trawie.

- Niech ktoś przyniesie wody! - krzyknęłam. Buster odpowiedział:

- Się robi!

- Czuję puls - powiedział ktoś inny. - Chyba oddycha.

Kolejne minuty minęły gorączkowo: rodzice płakali, Buster wrócił z wodą i obmył małej twarzyczkę z sadzy, a ludzie pokrzykiwali.

Wreszcie, wreszcie, usłyszeliśmy zbliżające się syreny. Kilka minut później, kiedy wozy strażackie dotarły na miejsce, ogień udało się ugasić wielkimi gaśnicami. Pożar ograniczył się głównie do przedniej części, ale przez dym cała przyczepa była zrujnowana. Stracili wszystko, co posiadali - a ja wiedziałam lepiej niż ktokolwiek, że nie mieli z czego zaczynać od nowa. Ogarnęła mnie rozpacz z powodu tej rodziny, z powodu nas wszystkich. Stłumiłam szloch, czując, że w każdej chwili mogę się rozpaść na kawałki.

Wpakowano Maryjane do karetki. Oddychała i płakała, co musiało być dobrym znakiem. Najwyraźniej, z tego, co zrozumiałam z rozmów, spała na tyłach przyczepy, a każde z rodziców sądziło, że zabrało ją to drugie. W strachu i zamęcie, kiedy Billy usiłował ugasić ogień w kuchni i oboje wyprowadzali na zewnątrz pozostałą dwójkę dzieci, zapomnieli o małej Maryjane. Nawet nie wiedziałam, że Ginny mieszkała z Billym Wilkesem ani że mieli razem małą córeczkę. Mąż Ginny był jednym z mężczyzn, którzy zginęli osiem lat temu w kopalni. Miło było wiedzieć, że odnalazła trochę szczęścia. A teraz to. Nagle poczułam wstyd, że nie wypytywałam Marlo

o nowiny na temat tego, co wydarzyło się na górze od mojego wyjazdu. Ale nierozmawianie o domu było mniej bolesne.

Zostałam w pobliżu, kiedy wszyscy omawiali, co mogą zaproponować rodzinie po ich powrocie ze szpitala. Cora Levin miała zabrać dwójkę starszych dzieci, a Cheryl Skaggs dać pokój rodzicom i małej Maryjane.

Kiedy tak stałam tam, przysłuchując się, jak wszyscy jednoczą siły, serce mi się ścisnęło. Ci ludzie, choć pozbawieni środków do życia, zawsze próbowali pomagać swoim, jeśli wiedzieli, że trzeba im jakiegoś wsparcia. To byli dobrzy ludzie - dobrzy ludzie, którzy ledwo mieli co do garnka włożyć. A mimo to dzielili się wszystkim, czym mogli.

- Mam trochę pieniędzy w banku - powiedziałam. - Pojadę rano do miasta i kupię dzieciakom jakieś ubrania.

Wszyscy pokiwali głowami.

- Dzięki, Tenleigh.

Zerknęłam na Kylanda. Cała jego uwaga była skoncentrowana na mnie, tylko na mnie. Nie mogłam o nim teraz myśleć. Nie mogłam więcej myśleć o kłamstwie, którym mnie nakarmił. Nie miałam na to siły.

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę swojej przyczepy. Kiedy byłam już blisko, emocje opadły mnie z pełną mocą i miałam ochotę paść na kolana. Potknęłam się. Poruszył mnie ból i ciężka dola, jakie ci ludzie musieli znosić, niektórzy przez całe życie. Poruszył mnie los rodziny, która właśnie wszystko straciła - która będzie miała problem, żeby ponownie zdobyć choć jedną z tych rzeczy. Poruszyło mnie to, jak bolesny był mój powrót tutaj... i jak bardzo wydawał się jednocześnie właściwy. Byłam zmęczona, tak bardzo zmęczona. A mimo to ulga była na wyciągnięcie ręki. Tak długo się przed nią broniłam. Nie wiedziałam teraz, jak ją do siebie dopuścić.

Usiadłam na schodkach wejściowych i ukryłam twarz w dłoniach. Nikt nie mógł mnie stąd widzieć.

-Hej.

Podskoczyłam i spojrzałam w bok, gdzie Kyland stał z rękami wepchniętymi do kieszeni.

- Hej - odparłam cicho. Byłam pewna, że wyglądam jak kupka nieszczęścia.

Ale Kyland też nie wyglądał za dobrze, miał sadzę na twarzy, a koszulę postrzępioną i brudną. Przypominał trochę kogoś, kto wbiegł niedawno do płonącej przyczepy, żeby uratować małą dziewczynkę.

Przesunęłam się w bok na schodku i wskazałam głową miejsce, które właśnie zwolniłam. Przez moment wyglądał na zdziwionego, ale potem ruszył szybko w moją stronę i usiadł tak, że nasze ciała znalazły się blisko. Czułam jego ciepło. Pamiętałam je doskonale, jego dotyk na moich plecach w środku nocy, sposób, w jaki mnie otaczało.

Obróciłam się do niego i oparłam plecami o rozchwierutaną balustradę.

- To, co zrobiłeś, było odważne. Pokręcił głową.

- Ci ludzie zrobiliby dla mnie to samo.

- Tak - przytaknęłam. - Zrobiliby.

Skinął głową, nie odrywając ode mnie oczu.

- Lata temu na werandzie przed moim domem pojawiał się czasami kosz rabarbaru albo parę puszek fasoli czy czegoś. Wciąż nie wiem dokładnie, kto to był, ale... chyba wiedzieli, że kłamię na temat mieszkającej ze mną mamy. Myślę, że robili dla mnie, co było w ich mocy. W niektórych miesiącach utrzymywało mnie to przy życiu.

Przez chwilę milczałam, chłonąc jego słowa.

- Rabarbar był od Bustera - powiedziałam cicho. Kiwnął głową, przesuając zębami po dolnej wardze, tak

że pozostawiły ją wklęsniętą i zaczerwienioną. Zamrugłam, spoglądając ponownie w jego oczy.

Kim teraz jesteś, Kylandzie? Nie znam cię. Czemu to tak bardzo boli?

- To dlatego podsunąłeś im pomysł z lawendą? - spytałam.

Otworzył szeroko oczy.

- Kto ci o tym powiedział?

- Buster.

Skinął głową i zamknął usta.

- Ja, tak. Czytałem o tym i pomyślałem, że może mógłbym dać im coś w zamian. Tym, którzy byli zainteresowani pomysłem. Naprawdę to nic wielkiego.

- Wygląda na to, że dobrze to kilku rodzinom zrobiło. W jego oczach pojawił się błysk dumy.

-Tak. -Ky? -Tak?

- To jest coś. To coś całkiem sporego.

Usłyszałam, jak wypuszcza powietrze. Przez chwilę milczeliśmy, aż wreszcie spojrzał mi ponownie w oczy i powiedział bardzo cicho:

- Bardzo cię przepraszam, Tenleigh. Zamarłam.

- Za co?

Przeczesał palcami włosy i spojrzał w niebo.

- Za to, jak cię parę dni temu potraktowałem, a potem u Ala. - Pokręcił głową. - Nie zasługiwałaś na to. Ja tylko... rany, Tenleigh, kiedy stąd wyjechałaś, pomyślałem... pomyślałem, że wreszcie wyrwałaś się z tej dziury. Gdy zobaczyłem, że wróciłaś... i że... cóż, szlag mnie trafił. Byłem... - zaśmiał się śmiechem, o którym wszystko można by powiedzieć, tylko nie że jest rozbawiony - wściekły. - Zamilkł. - Wściekły i podły. Przepraszam.

Przyglądałam się mu przez chwilę.

- Wiem, że chciałeś się stąd wynieść, Kylandzie. Wiem to lepiej niż ktokolwiek inny. Chyba rozumiem twój gniew, że zrobiłam coś, czego ty nigdy byś nie zrobił, gdybyś zdobył stypendium. Ale straciłeś prawo do oceniania moich wyborów. - Czy teraz powiesz mi prawdę? Powiesz, czemu mnie okłamałeś? Wyjaśnisz, czemu złamałeś mi serce? Czemu potrafiłeś mnie odesłać?

- Wiem. Rany, Tenleigh, wiem. - Potarł dłońmi odziane w dżinsy uda i wypuścił nerwowo powietrze.

Podniosłam oczy ku niebu.

- Ja też przepraszam. Zachowałam się niedojrzale i jak wariatka. Wypiłam kilka shotów... Po alkoholu zawsze robię się agresywna. - Roześmiałam się cicho, ale szybko spoważniałam. - Zachowałam się, jak miała w zwyczaju moja mama.

- O cholera, Tenleigh. - Głos mu zamarł. - Nie. Nie zachowałam się tak. Było nas dwoje. Ja bardziej niż ty. Nie miałem racji. Kiedy zobaczyłem cię tam, pracującą znów u Ala... straciłem nad sobą panowanie.

Skinęłam ze smutkiem głową, masując dłońmi uda.

- Tak czy inaczej - powiedział - nikt o nas nie mówi. Wszyscy gadają o Gableu Clancym i jego...

- Wysyłkowej narzeczonej - powiedziałam równo z nim. -Tak, słyszałam.

Kąciki ust zadrżały mu w uśmiešku, a moje oczy zatrzymały się na nich, po czym umknęły w bok.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, którą przerwał Kyland.

- Oczywiście Gable nie jest pewien, czy naprawdę próbowała go zabić, czy tylko straciła panowanie nad samochodem z powodu protezy.

Z gardła wyrwał mi się śmiech.

- Co takiego? Skinął głową.

- Pracuję z nim. Wiem więcej o wysyłkowych narzeczonych ze sztucznymi nogami, niż kiedykolwiek chciałyby wiedzieć.

Spojrzałam na jego rozbawioną twarz i zamierzałam się uśmiechnąć, ale zamiast tego ogarnęła mnie fala nostalgii tak potężna, że miałam wrażenie, iż w niej utonę. Z oczu popłynęła mi łza, otarłam ją i spojrzałam ze zdziwieniem na palec. Od tak dawna nie uroniłam ani łzy. Kyland popatrzył na mnie, a jego twarz zrobiła się nagle poważna i zbolęła. Pokręciłam głową, jakbym była w stanie zaprzeczyć temu jednemu uczuciu, które w tym momencie rozpierało moją pierś: żalowi. Żalowi, że go straciłam, choć siedział tuż koło mnie. Przez te wszystkie lata tak bardzo koncentrowałam się na gniewie, na przetrwaniu i zapomnieniu, że nie pozwoliłam sobie na wspomnienie słodczy. Ale, mój Boże, jak bardzo mi go brakowało. Mimo złamanego serca, mimo gniewu, rozpaczliwie za nim tęskniłam. Oprócz Marlo był dla mnie wszystkim.

Przysunął się bliżej, nie spuszczać wzroku z moich oczu, pytając bez słów, czy nie mam nic przeciwko temu. Nie miałam. A powinnam mieć. Powinnam mu powiedzieć, żeby się odsunął. Powinnam mu powiedzieć, że nie chcę nawet oddychać tym samym powietrzem co on. Ale nie powiedziałam. Spojrzałam mu w oczy i się nie odsunęłam. Bardzo, bardzo powoli objął mnie ramieniem, jakbym była jakimś płochliwym zwierzęciem, które może w każdej chwili uciec. Przyciągnął mnie do swojej szerokiej piersi. Zdusiłam w sobie szloch i złapałam kurczowo jego zadymiony T-shirt. Przytulił mnie, a ja pozwoliłam płynąć łzom, które wstrzymywałam od tak bardzo, bardzo dawna. Nie opierałam się.

Siedzieliśmy tam chyba całą wieczność, jego ramiona obejmowały mnie, jego serce biło miarowo pod moim uchem. Po chwili łzy wyschły, a ja podniosłam głowę i nasze spojrzenia się spotkały.

- Tenleigh - wyszeptał głosem równie zadymionym jak cała jego reszta, głosem pełnym pragnienia.

Tak wiele było rzeczy, które musieliśmy sobie powiedzieć, tak wiele rzeczy, które chciałam, żeby mi wyjaśnił. Tak wiele emocji krążących w powietrzu wokół nas, tak wiele pytań bez odpowiedzi. Ale w tej chwili miało się wrażenie, że to wszystko może poczekać. Kiedy więc jego usta dotknęły moich, wydałam z siebie odgłos zachęty i przycisnęłam się do niego. Może to było złe. Może... prawdopodobnie. Jego język wsunął się nieśmiało do moich ust i z jego gardła dobył się jęk, na wpół udręczony, na wpół uradowany. Dotknęłam jego języka swoim i otoczyłam ramionami szyję, by wpleść palce w krótkie włosy. Ujął delikatnie moją twarz w dłonie i przechylił moją głowę. Pocałunek stał się namiętny. Jak ogień, który wcześniej obserwowaliśmy, całe moje ciało rozbłysło, płonęło pragnieniem. Ale ogień niszczył. Ogień pustoszył i spalał do granic rozpoznania. Odsunęłam się, a Kyland wydał z siebie odgłos lekkiego rozczarowania. Wpatrzyłam się w niego, w jego czerwone, wilgotne usta. Wbijał we mnie wzrok jak umierający z głodu patrzący na bufet pełen przysmaków. Zamrugałam i spojrzałam w bok, usiłując zapanować nad urywanym oddechem. Pragnęłam go. Czyż nie zawsze go pragnęłam? Dlaczego wszystko, co nas dotyczyło, sprawiało wrażenie tak prostego i jednocześnie tak skomplikowanego?

- Kylandzie, ja... - zaczęłam łagodnie.

- Wiem - odparł. I wierzyłam w to, nawet jeśli ja tego całkiem nie wiedziałam.

- Powinieneś pójść do domu i wziąć prysznic. A ja powinnam. .. mam jutro ważny dzień.

Milczał przez chwilę, a potem skinął głową.

- To, co robisz ze szkołą, to naprawdę, no, niesamowite.

- Wiesz, czym się zajmuję? Przytaknął.

- Popytałem w mieście. - Aha.

Potarł kark.

- Lepiej już pójde, dam ci się wyspać. Pokiwałam głową.

- Okej. Zamilkł.

- Okej. - Podniósł się. - Potrzebujesz czegokolwiek, zanim pójde?

Pokręciłam głową, wspominając, jak przyszedł tu i nie potrafił poprosić mnie, żebym poszła z nim i spała w jego łóżku. Czy Kyland wciąż był samotny? Coś mi mówiło, że owszem. Ale teraz nie byłam mu w stanie nic dać. Czułam się zarówno zbyt pusta, jak zbyt pełna długotrwałego bólu. Kiedyś chciałam mu dać wszystko, położyłam swoje życie i serce u jego stóp, ale teraz po prostu nie mogłam tego zrobić.

- Dobrze, w takim razie dobranoc.

- Dobranoc.

Patrzyłam, jak odchodzi. Po chwili podniosłam się i weszłam do środka. Do rana przewracałam się z boku na bok. Sen był nieosiągalny, przez moją głowę przepływały obrazy Kylanda i mnie, takich, jacy kiedyś byliśmy, urywki rozmów wypełniały moje myśli, wspomnienia dotyku jego szorstkich rąk przesuwających się po mojej skórze nawiedzały moje zmysły. W końcu zapadłam w niespokojny sen, gdy pierwsze światła wschodu rozbłysły właśnie w oknie przyczepy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kyland

Słońce zajrzało przez okno zdecydowanie zbyt wcześnie. Po powrocie do domu, prysznicu i położeniu się do łóżka nie byłem w stanie z powrotem zasnąć, mimo że czułem się wykończony. Prawdę mówiąc, prawie nie zmrużyłem oka, odkąd Tenleigh wróciła do miasta.

Tenleigh.

Serce załomotało mi w piersi. Musiałem powiedzieć jej prawdę. Miałem taki zamiar poprzedniej nocy, ale pora wydała mi się nieodpowiednia. Jak mogliśmy o czymkolwiek porozmawiać, siedząc w ciemnościach przed jej przyczepą? A może po prostu stchórzyłem. Miałem jednak nadzieję, musiałem ją mieć, że jeśli przeproszę, jeśli pozna prawdę, będzie potrafiła mi przebaczyć.

Tylko jak się przeprosza za kłamstwo, które było niemal równie okrutne, jak gdyby było prawdą?

Objąłem głowę rękami i przeczesalem włosy.

Jezu.

No i jeszcze drobny szczegół w postaci jego - Jamiego Kearneya. Zalała mnie fala furii i zazdrości, podnosząc mnie do pionu i wyganiając z łóżka. Poszedłem do kuchni i oparłem się o blat szafki. Cały czas, kiedy jej nie było, torturowałem się myślami, że pewnie umawia się z innymi mężczyznami, może nawet się w kimś zakochuje. Zazdrość doprowadzała mnie do szału. Wiedziałem, że mnie kochała, ale tak strasznie ją zraniłem. Sama miłość nie mogła powstrzymać jej przed wyrzuceniem mnie z pamięci. I nie powinna - dałem jej wolność. To był mój wybór - musiałem z nim żyć. I żyłem, przez niemal cztery długie lata. Nie spodziewałem się po prostu, że wróci, i to z Jamiem Pieprzonym Kearneyem. Wiedziałem, że uratował ją tamtego dnia na drodze między naszą górą a knajpą Ala, i za to byłem mu wdzięczny. Ale jego ojciec był obrzydliwą świnią i nie miałem pojęcia, jaki jest Jamie. Może jest porządnym facetem. Mimo to, kiedy zobaczyłem, jak stoi na placu, gdzie powstanie szkoła, i trzyma Tenleigh w objęciach, jedyną rzeczą, wokół której krążyły moje myśli, były wszystkie odległe miejsca w górach, gdzie nigdy, przenigdy nikt nie odnalazłby jego ciała.

Włączyłem kuchenkę i postawiłem wodę, żeby zrobić sobie kawę. Kiedy tak czekałem, aż się zagotuje, moje myśli powróciły do wczorajszej nocy.

Odkąd wróciła do domu, koszmarnie dałem ciała. Nie byłem gotów, by stanąć z nią twarzą w twarz, nigdy w życiu nie podejrzewałem, że dojdzie do tego w takich warunkach... tutaj. Zareagowałem jak szalenciec albo jak kompletny dupek. Nie mogła wiedzieć, że pomieszała mi szyki. Musiałem to naprawić.

Kiedy Tenleigh pozwoliła mi się przytulić, pocieszyć, czułem się cholernie dobrze. Jeśli nigdy mi nie wybaczy, jak sobie z tym poradzę? Ostatnie cztery lata były dla mnie pasmem udręki. Ale jej widok, takiej jaka jest, z klasą i pewnej siebie,

napęłnił mnie dumą. Zrobiła dokładnie to, co wiedziałem, że potrafi zrobić. Dobrze znane żal i samotność podeszły mi do gardła na myśl o tym, kim kiedyś była, kim ja kiedyś byłem. Bo choć byłem szczęśliwy, że się tak zmieniła, i choć akceptowałem to, kim teraz jestem, dawniej należała do mnie. Dawniej patrzyła na mnie z zaufaniem i miłością malującymi się w spojrzeniu. Dawniej chciała mnie mimo wszelkich moich braków. Dawniej chętna była o mnie walczyć zębami i pazurami. Dawniej...

Zamknij się, Kylandzie. Teraz jest teraz, a ty musisz się ogarnąć.

Potrzebowałem prysznic. Zapowiadał się długi dzień. Musiałem być w kopalni o dziesiątej, ale chciałem jeszcze po raz ostatni wpaść do biblioteki, zanim ją zburzą. Sądziłem, że nastąpi to dziś albo jutro. Kiedy tamtędy przejeżdżałem, zauważyłem, że ekipa budowlana coraz bardziej się do niej zbliża. Cholerna biblioteka... Po wyjeździe Tenleigh chadzałem tam i przesiadywałem dzień w dzień tylko po to, żeby poczuć się bliżej niej. Siadałem przy małym stoliku na tyłach i cierpiałem. I właśnie na to zasługiwałem.

*

Wkroczyłem do niewielkiego budynku, opróżnionego już -oprócz półek wciąż przykręconych do ścian. Stałem tam przez kilka milczących minut, po prostu chłonąc widok. Co ja tu tak naprawdę robiłem? Wciągnąłem powietrze, zacisnąłem na moment powieki, a wszystkie wspomnienia, te dobre i te złe, śmigwały w mojej głowie. Usłyszałem za plecami ciche kliknięcie i gwałtownie się odwróciłem. W progu, ze zdziwionym wyrazem twarzy, stała Tenleigh.

- Cześć - wyszeptała, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi.

- Cześć. - Serce zaczęło mi mocniej bić.

Miała na sobie dzinsy i T-shirt z uniwersyteckim logo. Włosy spięła w kucyk, z którego wysmyknęło się parę kosmyków.

Była najpiękniejszą kobietą na świecie. Zawsze nią dla mnie była. I zawsze będzie.

Kiedy tak stałem wpatrzony w nią, zdałem sobie sprawę, że od ostatniej nocy coś się między nami zmieniło. Wyglądała nieufnie, ale wyraz jej oczu był łagodniejszy, a to dało mi nadzieję.

- Przepraszam - powiedziałem, robiąc krok w jej stronę. -Jeśli nie powinienem tu być, to...

- Nie, w porządku. Ekipa przyjdzie dopiero za godzinę z okładem. Ja tylko - przygryzła wargę, odwracając ode mnie na moment wzrok - ja tylko chciałam spędzić tu trochę czasu, zanim ją zburzą.

Skinąłem głową.

- W zasadzie miałem podobny pomysł.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Powietrze gęstniało od elektryczności, którą zawsze zdawaliśmy się z Tenleigh wytwarzać, kiedy znajdowaliśmy się w tym samym pomieszczeniu. Kiwnęła głową, idąc w moim kierunku.

- Nosisz soczewki - powiedziałem cicho. Wyglądała na zaskoczoną.

- Owszem. Skąd wiesz? Przegarnąłem włosy.

- Dawniej mrużyłaś oczy. W ten sposób wiedziałem, że przyglądasz mi się z drugiego końca pomieszczenia.

Uśmiechnęła się.

- Hmm, nie przypuszczałam, że ktoś to zauważył.

W kwestii twojej osoby zauważałem wszystko. Byłem w tobie na wpół zakochany, zanim w ogóle zamieniliśmy ze sobą choć słowo.

-1 twój głos, to znaczy akcent, wrócił.

Roześmiała się cicho.

- Siostra powiedziała mi to samo. Niewiele czasu zajęło mi przypomnienie sobie, że jestem dziewczyną z Kentucky.

Moją dziewczyną z Kentucky.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła wzrok, przesuwając ręką po półkach.

- To miejsce uchroniło mnie przed wieloma samotnymi godzinami. -
Na jej twarzy malowała się tęsknota.

Wciągnąłem głęboko powietrze.

- Mnie też. Po twoim wyjeździe... przychodziłem tu wiele razy.

Spojrzała na mnie z zaskoczoną miną. Przechyliła głowę.

-Tak?

-Tak.

- Czemu? - wyszeptała.

- Bo myślałem, że umrę z tęsknoty za tobą - przyznałem. Zrobiła wielkie oczy i przełknęła ślinę.

- Tak?

- Tak. - Zamilkłem na chwilę. - Tak - powtórzyłem, pozwalając na ułamek sekundy, by ogarnęło mnie wspomnienie tamtego cierpienia.

Przygryzła wargę, brwi przedzieliła jej maleńka zmarszczka, a ona wpatrywała się w swój palec biegnący wzdłuż półki.

- Joey nie jest moim synem, Tenleigh. Ani przez moment nawet tego nie podejrzewałem - wyparowałem.

Jej palec się zatrzymał.

- Wiem.

Zamarłem na chwilę, po czym wypuściłem powietrze.

- Shelly?

- Tak. Wpadła do mnie wczoraj.

Uniosłem ramiona i splotłem palce za głową. Nie mogłem powiedzieć, że bym był zaskoczony. Zażądała, że bym powiedział Tenleigh prawdę. I miałem taki zamiar...

- Chciałem powiedzieć ci to osobiście. Tylko... czekałem na odpowiedni moment.

Uniosła ramiona, a potem pozwoliła im opaść.

- Kiedy jest odpowiedni moment, by powiedzieć komuś, że złamałeś mu serce okrutnym kłamstwem? - spytała.

- Nie wyjechałabyś, Tenleigh. Chciałaś zrezygnować ze stypendium i zostać. Nie mogłem ci na to pozwolić. N i e mogłem.

- Mogłeś zrobić to inaczej.

- Może. W tamtych czasach nie umiałem niczego wymyślić. Nie umiałem wymyślić sposobu, żebyś wyjechała i nie spojrziała za siebie.

Parsknęła.

- To ci się udało, bez wątpienia. - Odwróciła wzrok, a potem znów na mnie spojrziała. - Czemu nie mogłeś ze mną wyjechać? Czy w ogóle tego chciałeś? Wtedy... czy w ogóle chciałeś mnie? - Wyglądała, jakby zaraz się miała rozpłakać.

Podszedłem do niej bliżej.

- Nie mogłem. Chciałem, Boże, naprawdę chciałem, ale nie mogłem.

- Czemu? - Miała schrypnięty głos pełen żalu. Podszedłem do niej bardzo blisko, jak wtedy, gdy po raz pierwszy ją pocałowałem, po raz pierwszy spróbowałem jej pełnych ust.

- Bo chciałem dla ciebie czegoś lepszego - powiedziałem, mając nadzieję, że nie będzie dalej pytać.

Nie zdradziłbym jej niczego więcej. Reszta należała do mnie. I tylko do mnie. Jej ramiona zadrżały, ale nie odwróciła wzroku. Przez kilka uderzeń serca panowało między nami jedynie milczenie. Spojrzałem w górę na półkę. Stały tam dawniej wszystkie książki, które wspólnie czytaliśmy i w których zostawialiśmy sobie krótkie liściki miłosne. Tym właśnie były, przynajmniej w mojej głowie.

- To właśnie tu się w tobie zakochałem. - Zamilkłem, a jej oczy zrobiły się okrągłe. - Usiłowałem to sobie przypomnieć po twoim wyjeździe. Gdzie straciłem serce? Jakby ta chwila... to miejsce miały jakieś znaczenie, mogły ułatwić mi pozbieranie się, zrozumienie. I udało mi się, to się zdarzyło dokładnie tutaj. - Miłość zmieszana z bólem chwyciła mnie za gardło i mój głos przeszedł w schrypnięty szept. - Kompletnie straciłem głowę, Tenleigh. Stojąc tu, przy tej półce. Oddałem ci serce, a ciebie nawet tutaj nie było. - Wplotłem palce we włosy u nasady jej głowy. Przymknęła na moment powieki, wydając z siebie ciężkie westchnienie. - Kompletnie spieprzyłem, tak bardzo cię zraniłem, ale nigdy nie odzyskałem serca. I, Boże... - Pokręciłem powoli głową, przysuwając się jeszcze bliżej, tak że przyciskałem do niej swoje ciało. Zamrugła, rozchyliła usta. - Mam nadzieję, że któregoś dnia zechcesz je z powrotem.

Jej oczy przebiegły po mojej twarzy, okrągłe i pełne uczuć, których nie potrafiłem nazwać.

- Powiedz mi, proszę, o czym myślisz.

Rozchyliła usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Odchrząknęła, jednak kiedy się odezwała, wciąż mówiła szeptem:

- Myślałam to samo, co kiedy staliśmy tu po raz pierwszy. Myślałam: „Rany, mam nadzieję, że ten chłopak zaraz mnie pocałuje”.

Serce we mnie zamarło, żołądek się ścisnął, a ciało buchnęło do życia płomieniem niezmiętej namiętności, jaką do niej czułem. Nachyliłem się i przygnałem do jej warg, rozchylając je językiem. Kiedy wsunął się do ciepłej wilgoci jej ust, z mojego gardła wydobył się pierwotny jęk. Przycisnąłem jej plecy mocniej do półki. Smakowała kawą i czekoladą, i Tenleigh. Ona też wydała z siebie cichy, schrypnięty jęk, który rozpałił mnie tak, że mój członek zaczął pulsować przy jej brzuchu.

Oderwałem od niej usta i wargami muskałem jej szyję, a ona odchyliła głowę do tyłu. Polizałem nasadę jej szyi, gdzie dudnił szalejący puls, i po prostu zatrzymałem tam usta.

- „Torturujesz moją duszę. Miotam się między rozpaczą a nadzieją. Powiedz, że nie przybywam za późno, że twe drogocenne uczucia nie wygasły na zawsze. [...] Nie kochałem nikogo oprócz Ciebie”³ - wyszeptałem przy jej skórze, cytując słowa, które musiała pamiętać.

Jej ciało stężało, ale puls przyspieszył. Wdychałem jej zapach. Chryste.

Spróbowałem nad sobą zapanować. Oprócz pocałunku wczorajszej nocy od niemal czterech lat nie dotykałem kobiety, nie dotykałem Tenleigh. Moje ciało musiało reagować w ten sposób za każdym razem, kiedy znajdowała się w pobliżu.

- Tenleigh - wymruczałem w jej szyję.

Wplotła palce w moje włosy i odciągnęła moją głowę do tyłu, tak że znów patrzyła mi prosto w oczy.

- Co my robimy, Ky? Co ja robię? - spytała właściwie samą siebie.

- Nie wiem. Mam nadzieję... Mam nadzieję, że nad czymś pracujemy. Jest tego tak wiele... Wezmę, cokolwiek możesz mi dać, Tenleigh. Cokolwiek.

Jej wzrok przebiegł po mojej twarzy i posmutniała.

- Ja... po prostu nie wiem. Nie wiem, czy dam radę. Oparłem czoło o jej czoło i przez chwilę tylko oddychaliśmy.

- Czy to z powodu Jamiego? - Musiałem wiedzieć. Musiałem wiedzieć, czy choć w części był powodem, dla którego nie była pewna, czy chce dawać nam drugą szansę.

- Co z powodu Jamiego?

Wypuściłem powietrze i się wyprostowałem.

- Czy jest twoim chłopakiem? Spotykasz się z nim?

3]. Austen, *Perswazje*, dz. cyt.

Zmarszczyła na moment brwi, a potem się roześmiała.

- Nie. Jamie jest gejem, Ky. Zrobiłem zdziwioną minę.

- Tak? Aha.

- Tak. Jest.

No to w porządku. To obiecujące wieści.

- Więc raczej się z nim nie spotykasz.

- Hmm, nie. Ostatnim razem, kiedy sprawdzałam, byłam kobietą.

Zachichotałem cicho.

- Tak, zdecydowanie jesteś kobietą.

W jej uśmiechu widać było prawdziwe rozbawienie. Serce wywinęło mi w piersi salto. Uwielbiałem ten uśmiech. Tęskniłem za nim. Pragnąłem go.

- I jesteś naprawdę piękna - wyszeptałem.

Moja mina musiała wyrażać tęsknotę, którą czułem, bo otworzyła szeroko oczy, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Nachyliła się i spotkaliśmy się w pół drogi. Tym razem pocałunek wymknął się spod kontroli, a szum w mojej głowie stał się nieprzerwany.

Tenleigh oparła się plecami o półkę, uniosła jedną nogę i owinęła ją wokół moich bioder. Wydałem z siebie głęboki jęk, wtulając się w jej miękkość. Rany, jaka była wspaniała. Serce waliło mi w piersi jak młotem.

Nagle staliśmy się dłońmi, urywanymi oddechami, ocierającymi się o siebie ciałami, rozgrzawkowanymi, spragnionymi, nieposkromionymi.

Ująłem przez bluzkę jej pierś w dłoń i kciukiem zatoczyłem kółko na jej sutku, a ona krzyknęła, sięgając w dół i rozpinając mi dzinsy. Kiedy owinęła palce wokół mojego nagiego penisa, zaparło mi dech w piersi i przycisnąłem się do jej ręki.

- Tenleigh, ja pierdolę, rany - wyjęczałem.

Oczy miała szeroko otwarte, pełne pożądania, wargi rozchylone. Zatrzymałem się na moment, by złapać oddech na widok piękna jej twarzy w tej właśnie chwili.

Kopnięciem pozbyła się butów, rozpięła swoje dżinsy i zsunęła je niecierpliwie razem z bielizną, by móc szybko z nich wyskoczyć. Zarzuciła na mnie ramiona i znów podniosła nogę. Całowaliśmy się namiętnie i z rozpaczą. Moje usta wędrowały w górę jej szyi, po szczęce, ssały i skubały jej wargi, po czym dopasowałem się do jej pozycji i wdarłem się w nią. Oderwaliśmy usta, nasze oczy się spotkały, a ona głośno jęknęła. Zamknąłem powieki, czując ciasny, cudowny uścisk otaczającego mnie ciała. Byłem w Tenleigh. Radość rozpierała mi pierś. Zacząłem się poruszać. Znów jęknęła i odchyliła głowę do tyłu, opierając ją o półki. Wydyszała:

- Tak, tak, tak.

Usiłowałem poruszać się powoli. Minęło tyle czasu. Sięgnąłem dłonią między jej nogi i pomasowałem ją, przyciskając usta do jej gardła, z którego wydobywały się jęki.

- Ten, tak mi dobrze. - Nie potrafiłem powstrzymać nierównego jęku, który nastąpił po moich słowach, kiedy poczułem, jak orgazm zaczyna wzbierać w moim brzuchu. Zacząłem szybciej poruszać palcami. Była taka mokra. Uniosłem głowę i spojrzałem jej prosto w oczy. Jęki przybierały na sile.

- Kylandzie, ja... ja... - wydusiła.

- Wiem, Ten, wiem. - Zacisnęła się wokół mnie, odrzucając głowę do tyłu, i krzyknęła. - Dochodzę, Tenleigh - wydyszałem, wbijając się w nią ostatnim pchnięciem.

Orgazm uderzył we mnie z taką mocą, że poleciałem na nią, z moich ust wydobyły się niezrozumiałe słowa, a rozkosz zalewała falami mój brzuch i nogi aż po czubki palców.

Oboje nie poruszaliśmy się przez dłuższą chwilę, z każdym oddechem wracając do rzeczywistości. Czulem się jak

w domu - kompletny. Odsunąłem się, a Tenleigh wciągnęła z powrotem dżinsy i wsunęła buty, podczas gdy ja włożyłem członek do rozporoka. Policzki miała zarumienione, a kiedy podniosła głowę, na jej twarzy malował się wyraz lekkiego szoku. Uśmiechnąłem się do niej łagodnie, nachyliłem i pocałowałem, odgarniając z twarzy pasmo włosów, które wysunęło się z kucyka.

- Chyba... chyba oboje potrzebowaliśmy sobie ulżyć - powiedziała cicho, zerkając w bok.

Pokręciłem głową.

- Nie tym to dla mnie było, Tenleigh. To coś znacznie więcej. Powiedz, że dla ciebie też.

Spojrzała mi znów w oczy i wypuściła powietrze. Skinęła głową.

- To znaczyło dla mnie coś więcej - przyznała cicho. Nadzieja ogarnęła moją pierś, choć Tenleigh wyglądała na rozdartą własnym oświadczeniem.

Oboje lekko podskoczyliśmy na dźwięk parkującego na zewnątrz samochodu.

- To pewnie Jamie - powiedziała. - Miał tu wpaść przed pracą.

Kiwnąłem głową, czując ulgę, bo wiedziałem, że Jamie jest tylko przyjacielem.

Tenleigh odsunęła się ode mnie.

- I tak powinienem już iść. Muszę być w pracy. Ale może mógłbym wpaść do ciebie jutro? - spytałem z nadzieją. - Powiedz mi, Tenleigh. Powiedz, co mam zrobić, a ja to zrobię.

Skinęła głową, przygryzając wargę.

- Czemu pracujesz w kopalni? - wyrwało się jej. Zawahałem się.

- Czemu? Bo potrzebuję pracy, a tylko taką można dostać. - Kłamca. Zacisnęła wargi i pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Miałeś wyjechać. Miałeś nigdy za siebie nie spojrzeć. Jeśli Joey naprawdę nie jest twój, jeśli skłamałeś, żeby zmusić mnie do wyjazdu, to czemu zostałeś?

Serce zaczęło mi szybciej bić. Ledwie byłem sobie w stanie przypomnieć w tym momencie własne imię, a miałem sformułować zrozumiałą odpowiedź?

- Tak było lepiej. Zdałem sobie sprawę, że Denmdlle jest moim domem. Postanowiłem zostać. To wszystko. - Nie wyglądała na przekonaną, ale się nie odezwała. - Lepiej już pójdę. Bo się spóźnię - powiedziałem.

Skinęła głową.

- Okej. Do zobaczenia później.

- Tak - odparłem, czując po raz pierwszy od blisko czterech lat nadzieję.

- Miłego dnia. Uśmiechnąłem się.

- Nawzajem, Tenleigh.

Nie pocałowałem jej już. Wyglądało na to, że ma mieszane uczucia. Ale nie byłem jeszcze całkiem gotów oderwać od niej wzroku. Nie chciałem wychodzić. Tak jak wcześniej nie chciałem odchodzić. Zacząłem wycofywać się tyłem. Kiedy dotarłem do drzwi, pchnąłem je plecami i szeroko się uśmiechnąłem. Odwzajemniła uśmiech, ale wciąż minę miała nieufną. Drzwi zatrzasnęły się między nami. Na zewnątrz Jamie siedział w samochodzie, rozmawiając przez komórkę. Pomachałem mu, wsiadając do wozu, i odjechałem.

Czułem rozpiekającą pierś euforię, że właśnie dotykałem Tenleigh, byłem w niej. Wciąż czułem jej słodki, piżmowy zapach na palcach. Miałem nadzieję, że to, co powiedziałem, wystarczy, by przekonać ją, że wciąż ją kocham - że nigdy kochać nie przestałem. Sprawy wciąż stały pod znakiem zapytania, ale wreszcie miałem nadzieję - coś, czego nie miałem ani grama od czterech lat.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Tenleigh

Kiedy Kyland zniknął za drzwiami wejściowymi, stałam tak bez ruchu. Nie byłam pewna, co myśleć... co czuć. Co ja wyprawiałam? Co my wyprawialiśmy? Czy naprawdę brałam pod uwagę możliwość rozpoczęcia czegoś na nowo z Kylandem? Czy naprawdę chciałam znaleźć się znów na pozycji, z której mogłam go od nowa pokochać? Czy naprawdę kiedykolwiek przestałam go kochać? Czy naprawdę właśnie zdjęłam spodnie i uprawiałam z nim ognisty seks oparta o biblioteczną półkę? Jęknęłam i przyłożyłam dłoń do czoła. Nie wiedziałam, co robić.

Drzwi biblioteki otwarły się i do środka wkroczył Jamie.

- Hej, wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś była chora.

Jęknęłam cicho.

- Chyba jestem. Niestety nie ma na moje schorzenie lekarstwa.

- Słyszałem, że heroina działa przeciwbólowo.

- Wyluzuj, dilerze. Jeszcze nie zmierzam ku nielegalnemu samoleczeniu. Aczkolwiek słowem kluczowym jest w tym wypadku „jeszcze”.

- Jak coś, daj znać. Znajdziesz mnie na rogu Rynsztoka i Wrzodowej. Roześmiała się cicho.

Podszedł do miejsca, w którym stałam, i oparł się o regał.

- Kyland? Widziałem, jak odjeżdżał.

- Tak - szepnęłam, patrząc prosto przed siebie. Po chwili obróciłam głowę w jego kierunku. - Po prostu nie mogę pozwolić sobie na przechodzenie przez to, przez co przechodziłam, kiedy złamał mi serce - powiedziałam. - A nie wiem, czy mogę zaufać, że znów się ode mnie nie odsunie. Sprawy są... - zmarszczyłam brwi i przygryzłam wargę - sama nie wiem. Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywa.

Na twarzy Kylanda malował się cień i te krótkie odpowiedzi, kiedy pytałam o kopalnię... Wróciłam do terażniejszości, do tego, o czym mówiłam.

- A jeśli tak jest, jak mogłabym zaczynać z nim cokolwiek od nowa?

- Tak, ale jeśli nie spróbujesz, to się nie dowiesz.

- Może tak byłoby lepiej.

- Może. - Wzruszył ramionami. - Tylko ty możesz podjąć tę decyzję.

- Miałam trochę nadzieję, że powiesz mi, co mam robić. Jamie zachichotał.

- Jestem ostatnią osobą, którą powinnaś pytać o radę. Chyba że chodzi o rodziców, którzy uważają, że urodziłaś się ze wstydliwą, nieoperowalną chorobą. W tym temacie jestem skarbnicą mądrości.

Serce mi się ścisnęło. Położyłam mu dłonie na ramionach.

- Czy mama wciąż się do ciebie nie odzywa?

- Tak. - Wyglądał na zdruzgotanego. - Spodziewałem się tego po tacie. Nigdy się w niczym nie zgadzaliśmy, nigdy nie mieliśmy bliższej relacji. Nie żeby mnie kiedykolwiek akceptował. Z pewnością nie spodziewałem się, że łatwo to przełknie. Ale mama... zawsze trzymaliśmy się razem. Myślałem tylko, że może... Miałem nadzieję...
- Nie dokończył.

- Wiem, Jamie. Przykro mi.

- Mój ojciec jest takim cholernym dupkiem w wielu sprawach, doświadczyłaś tego. - Zerknął na mnie pospiesznie, a potem odwrócił wzrok i zacisnął usta w wąską kreskę. - To, jak traktował twoją mamę... tak samo traktuje swoich pracowników, rodzinę, wszystkich. Jak środek prowadzący do celu.

- Nie zastanawiałam się nad tym, dopóki cię nie poznałam - przyznałam. - Chyba zawsze sądziłam, że traktował nas jak śmieci, bo za nie nas właśnie miał, że byliśmy dla niego jakąś oddzielną kategorią.

Pokręcił głową.

- Nie. Niepokoilem się, jak się zachowa, kiedy przyjdzie do wręczania ci stypendium. Martwiłem się, jak musisz się czuć, goszcząc go w swoim domu... znowu. - Omiótł mnie spojrzeniem i zatrzymał je na ścianie przed sobą. Czuł wstyd, którego nigdy nie odczuwał jego ojciec. Jamie.

- Nic się nie stało. Nie przyszedł do mnie osobiście. Była tam cała szkoła.

Przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Aha. Zwykle szedł osobiście do domu stypendysty, zanim ogłosił to w szkole. - Zatonął na moment w myślach. - Może jednak ma jakiś cień przyzwoitości, skoro postanowił nie przychodzić do twojej przyczepy.

- Hmm. Może. Tak czy inaczej, to już przeszłość. - Przechyliłam głowę. - Mogę ci zadać pytanie?

- Tak, pewnie.

Przez moment ssalam dolną wargę.

- Widziałeś Kylanda w kopalni? To znaczy, czy wszystko z nim w porządku, czy daje radę schodzić pod ziemię? Mówił o tym bardzo wymijająco.

- Szczerze mówiąc, nie spędzam zbyt wiele czasu z górnikami pracującymi pod ziemią. Ale słyszałem w firmie głosy, że potrafi zaimponować. Udało mu się wprowadzić nowe środki bezpieczeństwa, choć nigdy nie zostanie za to doceniony. Ale chłopaki gadają. Jest bardzo lubiany pośród pozostałych górników.

- Bywałeś wcześniej tam, na dole?

- No coś ty. - Zadrżał. - Nie mógłbym.

Skinęłam głowę, wciąż marszcząc brwi. Jak ty to robisz, Kylandzie? Jak schodzisz na dół, do osobistego piekła, dzień za dniem?

„Pochłania. Każdego dnia. Dla ciebie”.

Dla mnie...

Moje myśli przerwał dochodzący z zewnątrz odgłos nadciągających ciężarówek.

-No dobra - powiedział Jamie, prostując się. - Spadam. Zadzwoń do mnie później albo wpadnij mnie odwiedzić.

- Na rogu Rynsztoka i Wrzodowej?

- Otóż to. - Mrugnął. Roześmiałam się.

- Dzięki, że wpadłeś.

Po wyjściu Jamiego rozejrzałam się wokół po niewielkim pomieszczeniu, przymknęłam powieki i po raz ostatni wciągnęłam zapach kurzu. Gdy byłam już gotowa, wyszłam na zewnątrz i zamknęłam za sobą drzwi.

*

Usiadłam w barze obok Marlo, a ona spojrzała na mnie załośnie.

- Matko! Co ci jest?

- Sam mi jest.

- Co zrobił?

- Oświadczył mi się, znowu.

- Rany, ale dupek.

- Co podać, mała? - spytał Al, krzycząc do mnie z drugiego końca niemal pustego baru.

- Cola light z limonką - powiedziałam głośno.

Marlo zadzwoniła do mnie godzinę temu i poprosiła, żebym spotkała się z nią u Ala na „zalewanie robaka” po dziennej zmianie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to znaczy, ale teraz już zdążyłam się zorientować.

- No więc Sam, ten koszmarny gnojek, spytał, czy zechcesz pozwolić mu dawać ci do końca życia dowody swojej miłości. Jak sądzisz, ile czasu potrzebujemy, żeby zebrać chłopów z widłami i go dopaść?

Wypuściła głośno powietrze i usiadła obok mnie.

- Ha, ha. Żartuj sobie. Ale ja powiedziałam mu, że nigdy za niego nie wyjdę. Powiedziałam mu, a on się nie poddaje. Przez niego moje życie to piekło na ziemi.

„Niech cię piekło pochłonie”. „Pochłania. Każdego dnia. Dla ciebie”.

Obróciłam się do niej na stolku.

- Nie kochasz go, Mar?

Siedziała tylko, wpatrzona przed siebie.

- No, chyba go kocham. Troszkę.

- Rany. Powalający romantyzm. - Wywróciłam oczami. - Nie przygnieć mnie tym ogromem słodkich słówek, Shakespearze.

Marlo roześmiała się cicho.

- Poważnie, Tenleigh, posłuchaj. Po prostu nie chcę się rozczarować. W końcu czuję się wygodnie, bezpiecznie, a małżeństwo wszystko zmienia. Nie jestem pewna, czy mogę mu zaufać. Nie chcę go pokochać, a potem zobaczyć jego plecy. -Popatrzyła na mnie ze smutkiem. - A kiedy już wiedzą, że ich kochasz, wtedy wszyscy odchodzą. Wiesz, że mam rację -dokończyła szeptem.

Wzięłam łyk coli, którą Al postawił przede mną, dziękując mu skinieniem głowy.

- Marlo, myślę, że... - Przygryzłam wargę, przypominając sobie twarz Sama, gdy patrzył na Marlo, jakby była ósmym cudem świata. - Co jeszcze Sam musi zrobić? Stara się od przeszło czterech lat i nigdy się nie poddał. Szczerze mówiąc, masz szczęście, że tego nie zrobił. W związku musisz być strasznym wrzodem na tyłku.

Zmarszczyła brwi, ale potem cicho się roześmiała.

- Tak, masz rację. Po prostu... nie pamiętasz tego, bo byłaś niemowlakiem, ale ja pamiętam, jak tata odszedł. Kochałam go, Tenleigh. Był pierwszym mężczyzną, którego kochałam, i tak po prostu stąd odszedł i nawet się ze mną nie pożegnał. Przez te wszystkie lata nigdy do nas nie zajrzał. Ani razu. Tyle wiem o miłości. - Pokręciła głową ze smutkiem. - Nawet po tym wszystkim, wciąż hołubiłam nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto będzie umiał mnie kochać. I obie wiemy, jak się to skończyło.

- Tak! Wylądowałaś z dobrym, porządnym facetem, który błaga, żebyś za niego wyszła - westchnęłam. - Nie sądzę, byś mogła oceniać wszystkich facetów miarką jednego czy dwóch, którzy cię zawiedli. A tata, no cóż, to nie była twoja wina. Ale ten cały Donald... Może były jakieś wskazówki, że nie jest wart zaufania, a ty nie poczekałaś wystarczająco długo, żeby je odkryć. Słuchaj, masz rację. Rozumiem to. Wiesz, że rozumiem. Kyland... Przez tak długi czas nie mogłam pojąć,

co zrobił. Nawet teraz jego kłamstwa wciąż bolą. Wszystko, co o nim wiedziałam, mówiło mi, że spędził życie, bezinteresownie pomagając innym ludziom. A potem... - Pokręciłam głową. - Ale Sam, Sam, który z d o b r o c i serca przeniósł się w Appalachy, by leczyć ludziom zęby. Co takiego zrobił oprócz traktowania cię jak skarb i płacenia za opiekę szpitalną naszej mamy? Rany boskie, co jeszcze miałyby facet zrobić, żeby udowodnić ci, że możesz mu zaufać, że jest dobrym człowiekiem, że cię kocha?

Przyglądała się swoim paznokciom.

- No właśnie, to kolejna rzecz, o którą się pokłóciliśmy. - Spojrzała na mnie. - To nie on płaci za opiekę mamy. Prawda jest taka, że nie ma tak dużych pieniędzy. Zużył wszystkie oszczędności, żeby się tu przenieść i otworzyć praktykę, a wiesz, w jakiej walucie tu płacą. Najczęściej zarabia chleb kukurydziany i złapane piżmaki. - Pokręciła głową.

- Co? - wyszeptałam. - To w takim razie kto... kto płaci? - W moich myślach zapanował mętlik. Co jest, do cholery?

Potrząsnęła głową.

- Sam nie chce się przyznać. Powiedział tylko, że dogadał się z kimś, kto chciał pozostać anonimowy. Skłamał. Więc widzisz, jest zdolny do łgarstwa, mimo że chodzi o coś, co zrobił głównie dla nas. W jakiej jeszcze sprawie może kłamać? A potem ma czelność prosić mnie o rękę?

O mój Boże. Serce przestało mi bić.

- Muszę iść - rzuciłam, podnosząc się gwałtownie. - O mój Boże, Mar. Muszę iść.

- Czekaj. O co chodzi? Dokąd idziesz? Jeszcze nie skończyłam zalewać robaka! Sam odbierze mnie dopiero za godzinę. Sam, pamiętasz? Kłamliwy, nachalny Sam.

- Sam pomoże ci rozczulać się nad sobą - powiedziałam drżącym głosem, wyciągając z portfela kilka dolarów i rzucając je na bar. Wiedziałam, że jeśli pozwala mu się odebrać,

nie może być na niego aż tak wściekła. Potrzebowała tylko wsparcia.
- Nie chcę od ciebie pieniędzy - powiedział Al, zgarniając banknoty i wrzucając do słoika na napiwki.

Odwróciłam się do Marlo, chwyciłam ją za ramiona i lekko nią potrząsnęłam.

- Co robisz? - spytała, a jej głos trząśł się wraz z ciałem.

- Wytrząsam z ciebie głupoty - powiedziałam.

- Czekaj, to ty masz motto...

- Pieprzyć moje motto. Pieprzyć twoje motto. Porozmawiaj z nim, Marlo. Pozwól mu wyjaśnić. Posłuchaj go i przestań być takim cholernym uparciuchem. Może cię zrani. A może nie. Może nie. Stawiam na niego. A kocham cię bardziej niż ktokolwiek na tym świecie. I zawsze obstawiam na twoją korzyść. Nie pozwól, by rządziła tobą przeszłość, spójrz na to, co masz przed nosem. - Puściłam jej ramiona, przycisnęłam z całych sił i cmoknęłam w policzek, a ona gapiła się na mnie z otwartymi ustami. - Spójrz na to, co masz przed nosem.

Pobiegłam do samochodu, wyjechałam z piskiem opon z parkingu i skręciłam na autostradę. Zmusiłam się do wzięcia paru głębokich oddechów. Dłonie zacisnęłam na kierownicy, usiłując poukładać myśli.

Och, Kylandzie.

Prawda uderzyła we mnie z taką mocą, że obezwładniła mnie i pozbawiła tchu, a do oczu napłynęły mi łzy. O mój Boże. O mój Boże.

Kylandzie, ty głupi, dumny, piękny, bezinteresowny mężczyzno.

Z mojego gardła wyrwał się szloch, ale przełknęłam go i zmusiłam ciało do rozluźnienia.

Miałam rację. Wiedziałam, że mam rację. Nagle wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu. Wszystkie...

Kiedy skręcałam na drogę pod górę, samochód prychnął, szarpnął, a następnie zgasł. Jęknęłam z frustracji, manewrując nim na pobocze. Przekręciłam kluczyk w stacyjce, ale silnik nie zapalił. Pozwoliłam głowie opaść, kilkakrotnie uderzając nią lekko o kierownicę. I to by było tyle, jeśli chodzi o moje motoryzacyjne szczęście. Serce dudniło mi w piersi, kiedy wyskoczyłam z auta i puściłam się biegiem.

Zupełnie jak tamtego dnia, dnia, kiedy biegłam pod tę samą górę, serce biło mi trzy razy szybciej, a miłość do Kylanda rozpierała moją pierś.

Spojrzałam na kamień, na którym usiadłam, by spisać tę durną, idiotyczną listę, zaszlochałam i popędziłam dalej.

Kylandzie, Kylandzie, Kylandzie.

Coś ty narobił?

Boże, coś ty narobił?

„Niech cię piekło pochłonie”. „Pochłania. Każdego dnia. Dla ciebie”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kyland

Podskoczyłem na odgłos dudnienia, które rozległo się u drzwi wejściowych. Co jest? Zakładałem, że to któryś z mieszkańców góry, ale czemu tak się tłukł, nie miałem pojęcia. Odłożyłem robotę papierkową i ruszyłem do sypialni po koszulę. Po prysznicu zdążyłem tylko włożyć na siebie dżinsy. Kiedy jednak dudnienie przybrało na sile, zakląłem pod nosem i skierowałem się do drzwi. Otworzyłem je, straciłem z zaskoczenia oddech. W progu stała Tenleigh, wyraźnie bez tchu, ubrana w ciemne dżinsy i biały top, który osunął się, ukazując kawałek dekoltu. Musiała się przebrać. Była taka piękna. Moje ciało zareagowało, budząc się do życia. Ale gdy spojrzałem w jej oczy, a one nagle wypełniły się łzami, krew natychmiast we mnie ostygła i zrobiłem krok do przodu. Uniosła dłoń i wzięła głęboki, urywany oddech.

- To ty zdobyłeś stypendium. - Potrząsnęła głową. - Ja go nie dostałam, tylko ty.

Zamarłem, wstrzymując oddech. Wpatrywaliśmy się w siebie z Tenleigh przez bardzo długi, jak mi się wydawało, czas. W końcu wydusiłem:

- Skąd wiesz?

Opadła na framugę drzwi, a jej twarz wykrzywił grymas, jakby się miała zaraz rozpłakać.

- Właśnie mi o tym powiedziałaś.

Patrzyłem na nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wypieranie się tego w tym momencie wydawało się bezcelowe.

Chryste. Nigdy, przenigdy nie miała się tego dowiedzieć. Przenigdy.

Wepchnąłem ręce do kieszeni i stałem tak wpatrzony w nią, podczas gdy ona próbowała odzyskać nad sobą panowanie. Kiedy się w końcu odezwała, spytała tylko:

- Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami, jakby to nie było nic wielkiego, bo tak naprawdę nie było.

- Bo tak rozpaczliwie cię kochałem. Wciąż Kocham. Bo nie mogłem cię tu zostawić.

*

Cztery lata wcześniej

- Kyland Barrett?

Otarłem spocone dłonie o dżinsy i się podniosłem.

- Tak - odparłem zdecydowanie zbyt szybko. Sekretarka, młoda kobieta o długich blond włosach,

uśmiechnęła się do mnie, a jej wzrok przebiegł w dół mojego ciała. Byłem koszmarne ubrany jak na ten szykowny, nieskazitelnie urządzonej gabinet. Bałem się usiąść na ja-snopopielatej kanapie w obawie, że ją czymś pobrudzę. Nic nie mogłem jednak na to poradzić. Jedyne ubrania, jakie

posiadałem, były stare i znoszone - chodziłem w nich nie tylko do szkoły, ale znosiłem metal, łapałem borsuki, zbierałem dzikie winogrona...

- Pan Kearney prosi pana do gabinetu - oznajmiła, a ja posłałem jej słaby, nerwowy uśmiech.

- Dziękuję.

Ruszyła przede mną długim korytarzem, kołysząc biodrami. Nasze kroki tłumił puszysty szary dywan. Na czystych, białych ścianach wisiały staroświeckie czarno-białe fotografie przedstawiające najpewniej początki kopalni - mężczyźni w kombinezonach, z czarnymi od pyłu węglowego twarzami, stali ponuro przy wejściu, wyłoniwszy się właśnie z czeluści ziemi.

Sekretarka zatrzymała się przy drzwiach na końcu korytarza i otworzyła je, zapraszając do środka ruchem ręki. Skinąłem głową i minąwszy ją, wkroczyłem do gabinetu Edwarda Kearneya. Drzwi zamknęły się za mną z cichym stuknięciem.

- Zapomniałeś wczoraj wieczorem zapytać mnie o coś w sprawie stypendium? - powiedział Edward Kearney, po czym trzymanym w dłoni kijem do golfa uderzył piłeczkę leżącą na podłodze u jego stóp.

Patrzyłem, jak piłeczka toczy się po zielonym skrawku dywanu i wpada z cichym stuknięciem do dołka na końcu pomieszczenia. Odchrząknąłem.

- Owszem, proszę pana. - Odwrócił się do mnie, opierając na kiju golfowym. - Ja, hmm, przepraszam. To mnie zaskoczyło i nie byłem przygotowany. Nie wiedziałem, że pojawi się pan w moim domu, żeby powiedzieć mi o stypendium, nie myślałem jasno.

Zmarszczył swoje gęste, czarne brwi.

- Nie myślałeś jasno o czym?

- O tym, że nie mogę go przyjąć. Chcę przekazać je komuś innemu.

Roześmiał się krótko i z zaskoczeniem.

- Czemu miałbyś to zrobić? Przegarnąłem włosy.

- Mam swoje powody, proszę pana. Pomyślałem, że skoro je dostałem, to jest moje i mógłbym je komuś przekazać, gdybym tak postanowił.

Kiedy Edward Kearney pojawił się poprzedniego wieczoru w moim domu, byłem w szoku, niemal odebrało mi mowę. Nie miałem pojęcia, że osobiście przychodził poinformować stypendystę o wygranej. Nie byłem gotów. Jednak kiedy tylko wyszedł, kiedy tylko jego luksusowy czarny samochód zniknął spod mojego domu, pozbierałem się i przygotowałem to, co musiałem powiedzieć. I tak oto przyszedłem tu.

Edward Kearney zachichotał i podszedł do swojego biurka. Oparł się o nie z rękami założonymi na szerokiej, krępej klatce piersiowej. Milczał, obaj wpatrywaliśmy się w siebie. Jego czarne włosy, hojnie przyprószone siwizną, dzielił z boku prosty, surowo wyglądający przedziałek. Garnitur wyglądał na kosztowny i szyty na miarę, buty były wypolerowane na wysoki połysk. Wyprostowałem się i nie odwróciłem wzroku. Zmrużył oczy, ale w jego spojrzeniu, kiedy mi się tak przyglądał, dostrzegłem swego rodzaju uznanie.

- Nie możesz przekazać stypendium. Zostałeś przyjęty na Uniwersytet Columbia i potwierdziłeś przyjęcie. Stypendium, które zdobyłeś, jest właśnie przetwarzane na opłacenie tej uczelni.

Przymknąłem na moment powieki. Uniwersytet Columbia. Moje wnętrze skręciły się z gwałtownej tęsknoty. Potem jednak oczami wyobraźni zobaczyłem Tenleigh z podbitym okiem i wyrazem porażki w spojrzeniu. Pomyślałem o Shelly i wyrazie porażki na jej twarzy, kiedy powiedziała, że zaszła w ciążę z jakimś bezimiennym kierowcą ciężarówki, który nie przyjął odmowy. To miasto srogo traktowało mężczyzn,

ale jeszcze gorzej kobiety, i taka była prosta prawda. Nie było sposobu, bym mógł zabrać Tenleigh ze sobą. Nie miałem pieniędzy na bilet lotniczy, mieszkanie dla niej, kurczę, nawet nie miałem na więcej niż kilka posiłków. A gdybym wyjechał na cztery lata, zdobył dyplom, co stałoby się w tym czasie z Tenleigh? Czy poczucie porażki weszłoby jej w krew jak tak wielu ludziom w górniczych miasteczkach? Czy ubóstwo powoli nadwerężałoby jej pięknego ducha? Pięknego ducha kobiety, którą z całego serca kochałem? Jak mogłem zostawić ją tu, kiedy nie byłem jej w stanie chronić? Nie mogłem. To by mnie zabiło.

- Błagam, musi się dać coś zrobić. Jakies papiery, które pozwolą na przeniesienie. Nikt jeszcze nie wie, że wygrałem. Da się to załatwić. Osoba, której chcę je przekazać, znajduje się na liście finalistów, to Tenleigh Falyn.

Przechylił głowę na bok, wsuwając dolną wargę między zęby.

- Widziałem, gdzie mieszkasz. Widziałem, jakie prowadzisz życie. Wychowywałem się dokładnie w takich samych warunkach jak ty. To zdjęcie - wskazał wiszącą na ścianie fotografię małej, popadającej w ruinę chałupy - to zdjęcie miejsca, w którym wyrosłem. Musiałem walczyć zębami i pazurami o wszystko, co w życiu dostałem. Wiem, że z tobą jest tak samo. Nigdy nie zrezygnowałbym z czegoś, o co walczyłem... dla nikogo. Ty też nie powinienes. Szczególnie dla jakiejś cholernej kobiety.

Nie jesteśmy tacy sami, ty i ja. Nie jesteśmy do siebie podobni.

- Nie jest jakąś kobietą, proszę pana. Jest kimś znacznie ważniejszym. Dla mnie jest wszystkim.

Roześmiał się, ale jego śmiech był lodowaty.

- Najwyraźniej. - Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, po czym ciągnął: - W odróżnieniu od ciebie nie jestem

człowiekiem, który robi coś za nic. To dlatego stoję za tym biurkiem - obszedł potężny mahoniowy mebel i oparł się czubkami palców o kryty skórą blat - a ty stoisz po drugiej stronie, błagając mnie o pomoc, w butach, które znosiły się już dwa lata temu. Nie znalazłem się tu, gdzie dziś jestem, w ten sposób. Nigdy nie oddaję niczego za darmo. Rozumiemy się? Jeśli to zrobię, będę oczekiwał rekompensaty.

- Co roku przyczynia się pan do przyznawania bardzo hojnego stypendium. To...

- PR, synu. Tytoń Coal ucierpiało na zawaleniu się kopalni w Dennville. Takie rzeczy jak to stypendium pomagają ludziom zapomnieć. Ludzie zapominają, akcje idą w górę. A ja zostaję bardzo bogatym człowiekiem.

Gnój. Jak ktoś mógł go w ogóle chcieć? Wziąłem głęboki oddech, tłumiąc narastającą w moim gardle furję.

- Błagam pana. Zrobię wszystko. Jeśli mi pan pomoże, zrobię wszystko. Oddam panu te pieniądze. Ustalimy plan spłat. Cokolwiek.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, aż zacząłem myśleć, że w ogóle nie odpowie.

- Będiesz dla mnie pracował. Brakuje mi górników pracujących pod ziemią. Zawsze ich brakuje. Podpiszesz ze mną kontrakt na cztery lata, w czasie których Tenleigh będzie się uczyła, a ja przeniosę na nią stypendium, zakwaterowanie, wszystko.

Strach ścisnął mi płuca i niemal się przewróciłem. Górnik pracujący pod ziemią. Nie mogłem tego zrobić. Tej jednej rzeczy nie mogłem zrobić. Tylko tego nie mogłem zrobić. I jak miałbym w końcu do niej dojechać? Jeśli będę tutaj... utknę... znowu.

Tenleigh.

Tenleigh.

- Zgoda - wychrypiałem. - Umowa stoi.

Jego twarz rozciągnęła się powoli w uśmiechu.

- Podejrzewam, że przynajmniej dostanie ci się w zamian obciążanie życia. Jeśli choć trochę przypomina swoją stukniętą matkę, to może być nawet tego warte. - Roześmiał się, jakbyśmy byli przyjaciółmi. Roześmiał się, jakby było w tym coś choć odrobinę zabawnego.

Zacisnąłem szczęki i pięści. Pokręciłem głową.

- Nie powiem jej o tym. Nie może się dowiedzieć. Nigdy by mi na to nie pozwoliła, gdyby wiedziała. Nie przyjęłaby tego. Tenleigh jest... - Zamilkłem.

Jest nieustraszona. Jest lojalna. Jest wojowniczką. Pachnie polnymi kwiatami i miesza tutejszą gwara z językiem literackim. I jest niewiarygodnie piękna. Ale nie miałem zamiaru mówić tej świni niczego o Tenleigh.

- Nie może się dowiedzieć - dokończyłem.

- Wyluzuj. To był żart, synu. - Stałem tam bez uśmiechu, dając mu do zrozumienia, że nie widziałem w nim nic śmiesznego. - Ja też wolałbym, żeby o tym nie wiedziała - ciągnął. - Właściwie, żeby ktokolwiek wiedział. Pod żadnym pozorem nie chcę, by usłyszano, że stypendium można przekazywać. Niech to więc pozostanie między nami. Będziesz milczał, podpiszesz ze mną kontrakt, a stypendium pójdzie do niej. Jeśli zrezygnujesz, nie żyjesz, a stypendium zostanie cofnięte. Zrozumiałeś, synu?

Przestań nazywać mnie synem, ty gnojku. Jestem synem człowieka, który urabiał sobie ręce po łokcie, dzień za dniem, za parę marnych groszy, jakie mu płaciłeś. Co dzień schodził w czeluści ziemi dla swojej rodziny, bo był dumny i zrobiłby wszystko dla tych, których kochał. Oto krew, która krąży w moich żyłach. Nie jestem twoim synem. Jestem synem Daniela Barretta.

- Umowa stoi. Będę dla pana pracował. Nie powiem jej o tym.

- Co masz zamiar zrobić? W jaki sposób planujesz utrzymać to w tajemnicy? - spytał z zainteresowaniem.

- Mam zamiar złamać nam obojgu serca. - Nawet w moich uszach mój głos brzmiał głucho.

Jeszcze przez moment mi się przyglądał, jakbym był jakimś kosmitą przybyłym z odległej planety. Wreszcie wyciągnął rękę. Podeszedłem do niego i ją uściśnąłem. Załatwione. Czuję się tak, jakbym właśnie zawarł pakt z diabłem. A teraz miały mnie pochłonąć piekielne czeluści.

*

Tenleigh stała w moich drzwiach, kręcąc głową raz w lewo, raz w prawo. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknęła.

- Mogę wejść? - spytała. Zawahałem się.

- Tenleigh, mój dom nie wygląda zbyt przyjemnie.

- Żaden z naszych domów nie wygląda przyjemnie.

- Wiem, ale chodziło mi o to...

- Wpuść mnie, Ky. - Jej głos brzmiał słabo.

Cholera. Biorąc bardzo potrzebny mi oddech, czułem wstyd, że zobaczy, co stało się z moim domem, a raczej co się z nim nie stało. Ale nadszedł czas, bym przyznał się do tego, co zrobiłem. Odsunąłem się na bok, a ona weszła do środka. Zamknąłem drzwi i odwróciłem się w jej stronę, podczas gdy ona rozglądała się wokół siebie. Nie kupiłem nowych mebli ani pieca. Rura wciąż zwisała z sufitu, jak codzienne przypomnienie o życiu, którego nigdy nie udało mi się wieść. Nie rozpakowałem pudeł spakowanych niemal cztery lata temu. Wciąż nawet nie miałem łóżka. Spałem na podłodze na stosie koców, w pobliżu paru grzejników, które utrzymywały mnie zimą przy życiu. Wszędzie stały pojemniki na wodę ciekącą z dziurawego dachu.

Jednak przy wszystkim, czego mi brakowało, miałem masę książek piętrzących się wszędzie w stosach, każda z wystającymi z niej niewielkimi paskami białego papieru.

Tenleigh zakryła ręką usta, rozglądając się dokoła.

- Czemu? - zaczęła, ale przerwała i dalej przyglądała się otoczeniu. - Czemu tak żyjesz? - Łza potoczyła się po jej policzku.

- Nie płacz, Tenleigh. - Wyciągnąłem rękę i kciukiem otarłem łzę. - Nie ma nad czym płakać. To mój wybór. I to nie miało tak trwać wiecznie... tylko do czasu...

- Tylko do czasu aż co? - wyszeptła.

Przebiegłem wzrokiem po jej twarzy, na której malował się smutek.

- Do czasu, aż będę mógł cię odnaleźć. Do czasu, aż mógłbym stąd wyjechać, odnaleźć cię i błagać o przebaczenie. Planowałem pojechać tam, gdzie ty będziesz.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i zakryła usta dłonią.

- O mój Boże. Ale wróciłam. - Rozpłakała się. - Wróciłam. Podszedłem bliżej i wziąłem ją w ramiona. Czułem na skórze wilgoć jej łez.

- Cii, wróciłaś, żeby pomóc dzieciom, które dorastają w takich warunkach jak my. To coś dobrego, Ten. Heroiczny czyn.

Odchyliła głowę i spojrzała na mnie.

- Czemu nie przyjechałeś do mnie szybciej, Ky. Czemu? Pokręciłem głową i wyjrzałem za jej plecami przez okno.

- Bo zawarłem umowę i nie mogłem jej zerwać. Podpisałem umowę, żeby móc przenieść na ciebie stypendium. Gdybym ją złamał, straciłabyś je. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy Edward naprawdę wycofałby to stypendium, gdybym odszedł. Ale nie mogłem ryzykować.

- Co? Nie - wykrztusiła. - Zgodziłeś się pracować w kopalni?

Skinąłem głową.

- Musiałem. Tylko w ten sposób Edward Kearney zgodził się przenieść stypendium. Ale to był mój własny wybór. Chciałem to zrobić.

Oczy jej zapłonęły i wyprostowała ramiona.

- Gdybym wiedziała, nie pozwoliłabym ci na to. - Jej twarz była uosobieniem szalejących emocji. Tenleigh. Nieustraszona

dziewczyna. - Gdybym wiedziała, nigdy nie pozwoliłabym ci zejść dla mnie do kopalni. Nigdy w życiu. Przenigdy.

- Wiem, Ten - powiedziałem łagodnie. - Sądziś, że tego nie wiedziałem? Ale wiedziałem też, że jeśli mnie znienawidzisz, wyjedziesz i nie spojrzysz za siebie. Nie musiałabyś się o tym dowiedzieć.

Łzy cierpienia napłynęły do jej pięknych, pełnych wyrazu oczu. Co za dziewczyna.

- Dlatego skłamałeś. Żebyś mi nie przeszkodziła. Żebyś nie zrezygnowała ze stypendium, by powstrzymać cię przed tym, co planowałeś.

Wypuściłem z sykiem powietrze.

- Może się myliłem. Próbowałem rozważać miliony sposobów, w jakie mogłem zrobić coś inaczej, osiągnąć ten sam efekt, nie raniąc cię, ale... Zrobiłem, co w mojej mocy, pod presją, nie mając czasu na przemyślenie wszelkich możliwości. Nie umiałem znaleźć sposobu, by zawalczyć o nas, więc to był mój sposób, by zawalczyć o ciebie. W rezultacie wyjechałaś stąd i zdobyłaś dyplom. Nie mogę więc już dłużej o tym rozmyślać. Nie mogę leżeć tu noc za nocą i się zadręczać. Podjąłem decyzję i mam tylko nadzieję... mam nadzieję, że któregoś dnia mi wybaczysz. Zrobiłbym wszystko, żebyś mi wybaczyła, Tenleigh. Wszystko.

- Och, Kylandzie. - Pokręciła głową. Teraz już szlochała, a moje serce tukało się w piersi trzy razy szybciej, niż powinno. Wciąż nie powiedziała, że mi wybaczają ani że nadal mnie kocha.

Ale gotów byłem poczekać. Znów ją do siebie przyciągnąłem i pocałowałem w czubek głowy, z uśmiechem powtarzając jej imię.

Staliśmy tak przytuleni dłuższą chwilę. Wdychałem jej zapach i pozwalałem sercu radować się tym, że znalazła się w moich ramionach, w pełni i z własnej woli. Nie marzyłem nawet, że kiedyś znów się tu znajdzie.

- Te paski papieru - powiedziała po chwili. - To dla mnie? Spojrzałem na stos książek ułożony na stoliku kawowym. - Tak.

- Czemu? - spytała. - Czemu je pisałeś?

- Bo za tobą tęskniłem. Bo nie miałem z kim porozmawiać, więc rozmawiałem z tobą, choć mi nie odpowiadałaś. - Uniosłem jej brodę, tak żeby patrzyła mi w oczy. - Ty, Tenleigh, jesteś głosem w mojej głowie, kiedy czuję się niepewnie. Wciąż z tobą rozmawiam, setki razy dziennie. Opowiadam ci o rzeczach, które moim zdaniem przypadłyby ci do gustu... - Roześmiałem się zawstydzony. - Czy to wariactwo?

Zaśmiała się i pociągnęła nosem.

- Nie - wyszeptała. - Ani trochę. - Zamilkła na chwilę i głową wskazała stos książek z wystającymi karteczkami. - Mogę je przeczytać?

Przytaknąłem i pocałowałem ją w czoło.

- Tak. Kiedy tylko będziesz miała ochotę. Spojrzała na mnie.

- Kylandzie, zarabiasz teraz przyzwoite pieniądze. Nie mógłbyś przynajmniej naprawić dachu?

- Hmm... - zacząłem wymijająco, rozglądając się po garnkach i patelniach porozkładanych na całej podłodze. Potrzebowałem nowego dachu pięć lat temu. Mógł się w każdej chwili zawalić. - Tenleigh. - Odsunąłem się od niej i potarłem kark. - Rzecz w tym, że zarobione pieniądze wydaję na coś. Mam nadzieję...

- Na moją mamę - powiedziała, spoglądając na mnie niemal pokonanym wzrokiem. - Płacisz za hospitalizację mojej mamy.

- Skąd wiesz?

- Właśnie mi powiedziałeś.

Zaśmiałem się słabo, po czym się skrzywiłem.

- Cholera, jestem dziś bardzo rozmowny. Tenleigh uśmiechnęła się blado.

- Czemu poprosiłeś Sama, żeby powiedział Marlo, że to on za to płaci?

- Mam nadzieję, że Marlo nie jest zła na Sama. Zapłaciłby, gdyby mógł. Proponuje mi pieniądze, kiedy tylko jest w stanie, ale ich nie biorę. On naprawdę...

- Marlo przejdzie, uwierz mi.

- W porządku. Poprosiłem go, żeby to zrobił, bo zdawałem sobie sprawę, że żadna z was nie przyjęłaby tych pieniędzy, gdyby wiedziała, że pochodzą ode mnie. I ponieważ pomyślałem, że łatwiej będzie ci przeprowadzić mamę i siostrę do Kalifornii, jeśli stan twojej mamy się polepszy. Gdyby nie czuła się lepiej, pewnie chciałabyś wrócić. I ponieważ było mnie na to stać. Co innego miałbym robić z tymi pieniędzmi, Tenleigh?

- Odkładać je, żebyś mógł zdobyć wyższe wykształcenie, kiedy już odejdziesz z kopalni? Odkładać, żeby zacząć gdzieś życie od nowa? - Uniosła ręce i opuściła je bezwładnie.

- Robiłem to. Odkładałem. Odkładałem każdy zarobiony grosz. Poza kupnem używanego wozu nie wydałem ani trochę. Ale potem twoja mama... Nie zarabiam w miesiącu wystarczająco, żeby opłacić jej pobyt, więc musiałem dokładać trochę z oszczędności. Resztę trzymałem w banku, żeby móc dołączyć do ciebie najszybciej, jak to możliwe, przeprowadzić się tam gdzie ty. Nie było sensu naprawiać tego domu, skoro wiedziałem, że wkrótce wyjeżdżam.

Skuliła ramiona.

- Zrezygnowałeś z własnego szczęścia dla mnie, a potem dla mojej mamy.

Zamilkłem, bo poczułem się niezręcznie. Nigdy nie chciałem, żeby się o tym dowiedziała.

- Robisz ze mnie altruistę, Tenleigh. Ale powinnaś wiedzieć, że knułem, jak by cię tu odzyskać. Brałem pod uwagę łapówki... płaszczenie się. Nie zawahałbym się przed wzbudzeniem w tobie poczucia winy.

Roześmiała się ze smutkiem i pokręciła głową.

- Zawahałbyś się, oj, zawahał.

Włożyłem ręce do kieszeni i spuściłem wzrok. Przez chwilę milczała.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś, że wróciłam do miasta, byłeś taki zły - powiedziała z bólem.

Wzdrygnąłem się i podniosłem głowę.

- Wiem. Przepraszam. Nie spodziewałem się tu ciebie. Byłem oszołomiony i zły. Planowałem przyjechać do ciebie, wreszcie się stąd wyrwać. A wtedy ty wróciłaś i znowu tu utknąłem. Na domiar złego myślałem, że wróciłaś z powodu Jamiego. Myślałem, że wróciłaś tu, żeby z nim być, i że będę musiał to oglądać każdego dnia. Przeszedłem przez piekło i wyglądało na to, że znów zaczyna się jego nowa postać.

- Kylandzie - powiedziała ze smutkiem - i tak mogłeś wyjechać. Moja obecność tutaj, nawet teraz, nie oznacza, że musisz zostać. - Odwróciła na moment wzrok, a potem znów na mnie spojrzała.

- Owszem, oznacza. Gdybyś знаła środek mojego serca, wiedziałabyś, że oznacza.

Popatrzyła na mnie ze słodkim, zmieszonym uśmiechem i zapragnąłem przygarnąć ją do siebie i błagać, by została przy mnie na zawsze.

- Tenleigh, kiedy mówię, że sam podjąłem decyzję i poświęciłem własny wyjazd, byś ty mogła wyjechać, chodzi mi

o to, że zrobiłem to z chęcią. Naprawdę. Owszem, cierpiałem, ale zdałem sobie sprawę, że z ochotą będę dla ciebie cierpieć, bo na tym właśnie polega miłość. Jesteś gotowa zrobić dla ukochanej osoby wszystko, gotowa się poświęcić, cierpieć, by ona nie musiała. Kochałem cię wtedy i kocham cię teraz.

- Kylandzie - potrząsnęła głową. - Nie wiem, co powiedzieć. To zbyt wiele... - Podeszła do kanapy i opadła na nią, a sprężyny pod nią jęknęły. Podniosła na mnie wzrok. - Podłożyłam się na egzaminach końcowych - powiedziała. - Zdałam fatalnie, żebyś to ty dostał stypendium.

- Podziałało. - Podeszedłem, żeby usiąść obok niej. - Tyle że oboje wpadliśmy na ten sam pomysł.

- Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

- Ja też nie wiem. Popatrzyła na mnie.

- Kylandzie, wróciłam, ale zrobiłam to z własnej woli. Mogę wyjechać, jeśli będę chciała, znaleźć pracę gdzieś indziej, gdziekolwiek zechcę. Ty mi to ofiarowałeś. Dałeś mi wolność, szansę. Podarowałeś mi je. A teraz pozwól, że ja podaruję tobie to samo. Szkoła stanie za pół roku i zacznę zarabiać porządne pieniądze. Nie muszę się przeprowadzać do domu. Będę mieszkała w przyczepie i zrobię dla ciebie to, co ty zrobiłeś dla mnie. Może nie dam rady opłacić najlepszej uczelni i będziesz musiał sam zarobić na swoje utrzymanie, ale...

- Ten - powiedziałem, przykładając palec do jej ust. - Jeśli istnieje jakakolwiek szansa na ułożenie spraw między nami, jeśli... - przegarnąłem dłonią włosy, czując się obnażony i bezbronny - .. jeśli istnieje szansa, żebyś zaczęła mi przebaczać, żebyśmy odbudowali to, co nas łączyło, to chcę zostać tutaj. Będę pracował w kopalni albo może gdzieś indziej. Jeśli ty...

Jej palce znalazły się nagle na moich wargach, naśladowując mój wcześniejszy gest.

- Już ci wybaczam. I nigdy nie przestałam cię kochać. - Pokręciła głową. - Próbowałam. Próbowałam z całych sił, ale nie wyszło. Kocham cię, Kylandzie. Zawsze cię kochałam.

Zaparło mi dech w piersi. Wdzięczność. Ulga. Miłość. Tenleigh pozbawiła mnie tchu. Wybaczyła mi. Nigdy tak naprawdę nie odeszła. Moja wojowniczką. Co za dziewczyna. Moja piękna dziewczyna.

Podniosłem się tak szybko, że głośno pisnęła. Porwałem ją w ramiona, a ona wybuchnęła krótkim, zaskoczonym śmiechem.

- Zabieram cię teraz do swojego pokoju. A co żałosne, nie mam nawet łóżka. Na podłodze leży narzuta, a na niej kilka koców. I czuję wstyd i mdłości, że mam cię tam zamiar zabrać, ale, niech Bóg ma mnie w opiece, nie mogę czekać ani sekundy dłużej, żeby cię rozebrać.

Roześmiała się.

- Kylandzie, idziemy - zadyrgowała. - Idziemy i to szybko. Nie musiała dwa razy powtarzać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Tenleigh

Znalazłam się w ramionach Kylanda. Zabierał mnie do swojego łóżka - sterty koców na podłodze. I nie obchodziło mnie to. W najmniejszym stopniu. Choć jego dom znajdował się w opłakanym stanie i łązy cisnęły mi się do oczu na widok tego, w jakich warunkach żył przez cały ten czas, mogłam z radością przebywać z nim wszędzie. Zrobił to wszystko dla mnie. Kyland.

Kiedy weszliśmy do jego pokoju, postawił mnie na podłodze. Wyglądało tu tak, jak pamiętałam, tyle że w miejscu, gdzie niegdyś stało podwójne łóżko, teraz, zgodnie z zapowiedzią, leżała narzuta ze stosem złożonych koców.

Zaczęliśmy się powoli rozbierać, a powietrze wypełniło się cudownym oczekiwaniem. W odróżnieniu od poprzedniego razu nie mieliśmy się zamiaru spieszyć, a delectować każdą chwilą. Ściągnęłam koszulkę przez głowę i rzuciłam na podłogę. Naga klatka piersiowa Kylanda była już na widoku - jędrna muskulatura okryta gładką męską skórą - i przez

chwilę pozwoliłam oczom po niej wędrować. Obliziałam wargi, koncentrując wzrok na ciemnobrązowym sutku. Kyland był jeszcze przystojniejszy, niż pamiętałam, w każdym detalu.

- Tenleigh, jeśli będziesz mi się tak przyglądać, to nie potrwa zbyt długo.

Spojrzałam szybko w jego oczy i roześmiałam się krótko.

- Czy - odchrząknęłam - byłeś z kimś innym? Nie szkodzi, jeśli tak - dodałam pospiesznie. - Oczywiście nie mogłabym cię winić, tylko... dla mnie wczorajszy raz był pierwszy od naszego ostatniego zbliżenia i chcę, byś wiedział, że nawet jeśli...

- Tenleigh... - powiedział schrypniętym głosem. Na jego twarzy malowała się mieszanka czułości i ulgi. - Nie byłem z nikim innym.

Odetchnęłam.

- Czemu? - wyszeptałam.

- Bo jak miałbym zdobyć twoje przebaczenie za to, że pozwoliłem ci uwierzyć w moją zdradę, gdybym naprawdę cały ten czas sypiał z innymi osobami? Bo mam doskonale sprawną prawą rękę i bo od czasu ciebie nie chciałem nikogo innego.

Z początku moje serce wypełniła czułość, a potem nie mogłam powstrzymać cisnącego mi się do głowy obrazu Kylanda leżącego tu ze wzwodem w dłoni i doprowadzającego się do orgazmu. Zadrżałam z pożądania, a wilgoć wyciekła spomiędzy moich nóg.

- Ja też nie chciałam nikogo innego - powiedziałam.

Kyland długo wypuszczał powietrze. Zbliżyłam się do niego, przebiegając lekko palcami po jego skórze, w górę ramion, wzdłuż rąk. Stał całkiem nieruchomo, a kiedy zerknęłam na jego twarz, dostrzegłam na niej napięcie, niemal ból.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie mogłam uwierzyć, że tu jestem, z Kylandem. Zrezygnował dla mnie ze wszystkiego.

Kochał mnie. Nigdy mnie nie zdradził - zawsze pragnął tylko uczynić moje życie lepszym. I ja wciąż go kochałam. Zawsze go kochałam. Gdzieś tam w moim wnętrzu ból był nie do zniesienia, bo nie miał sensu. Znałam tego mężczyznę. Znałam jego serce, jego duszę. Było w nim tylko dobro. Stłumiłam coraz bardziej przytłaczające mnie emocje, Kyland przyłożył dłoń do mojego policzka i pogłaskał go kciukiem, a ja poddałam się jego dotykowi. Dom.

Musiałam być tak blisko niego, jak to możliwe. Musiałam go wszędzie dotykać. Musiałam przekonać samą siebie, że mi się to nie śni.

Sięgnęłam w dół, rozpięłam dzinsy, zsunęłam je razem z bielizną i rzuciłam na podłogę. Kyland poszedł w moje ślady i stanęliśmy nadzy naprzeciw siebie.

Zerknęłam w dół na jego nabrzmiałą erekcję i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i nie pieścić go od nasady aż po czubek. Kyland wydał z siebie gardłowy jęk.

Kiedy się do mnie nachylił, spodziewałam się pocałunku gwałtownego - pełnego drżącego pożądania, jakie sama odczuwałam - ale zamiast tego był delikatny... słodki, powolny. Przechylił głowę i skubał czule moje wargi, aż w końcu wsunął swój język i złączył go z moim w hipnotycznym tańcu.

Nasze nagie ciała przywarły do siebie, co mnie rozpało, a kiedy się odsunęłam, by położyć się na kocach na podłodze, on podążył za mną. Gdy oboje już leżeliśmy, pocałował mnie znów, wolno i namiętnie.

- Zawsze uwielbiałem nasze dopasowanie - wymruczał, przyciskając swoje ciało jeszcze mocniej do mojego.

Poczułam twardą męskość moszczącą się między moimi nogami i jęknęłam z tęsknoty.

- Rozsuń trochę nogi, Tenleigh - powiedział przy moich ustach.

Pożądanie eksplodowało w moim ciele i zrobiłam to, o co poprosił - rozłożyłam nogi, tak żeby mógł dotrzeć do wejścia.

Wsunął się odrobinę, centymetr za powolnym centymetrem, a na jego twarzy malowała się pełna skupienia błogość. Rany, jaki on był piękny, jego wysokie kości policzkowe ciut zaróżowione, usta rozchylone i lekki połysk na czole.

- Kocham cię - powiedziałam. Jęknął.

- Ja ciebie też. Zawsze kochałem. Zawsze będę kochał. -A potem jednym pchnięciem znalazł się cały we mnie.

Wciągnęłam powietrze, czując się niesamowicie wypełniona, a gdy owinęłam nogi wokół jego bioder, moje ciało się rozluźniło.

Na ułamek sekundy powędrowałam myślami do tego, co czułam, kiedy po raz pierwszy we mnie wszedł, rozdzierając moją błonę i wypełniając mnie w sposób, w jaki nigdy wcześniej nie byłam wypełniona. Tak bardzo bolało, że byłam bliska powiedzenia, by przestał, ale nie zrobiłam tego. A po kilku minutach najgorszy ból zaczął ustawać i byłam się w stanie skupić na cudownym Kylandzie znajdującym się nade mną i poruszającym w moim wnętrzu. Byłam w nim tak rozpaczliwie zakochana.

Nadal mi nie przeszło.

Ujął ustami mój sutek i liżąc go, zaczął się we mnie poruszać. I nagle wróciłam całą sobą do terażniejszości. Jęknęłam i wplotłam palce w jego krótkie włosy, drapiąc paznokciami skórę głowy. Z jego ust wydobył się jęk, kiedy przeniósł się z jednej piersi na drugą, wciąż kołysząc się we mnie leniwie.

- Kylandzie... - jęczałam. Położyłam ręce na jego ramionach. Równomierne pulsowanie podniecenia między moimi nogami przybierało na sile. Uniosłam biodra, by poddać się jego pchnięciom.

- Tak mi w tobie dobrze, Tenleigh.

Próbowałam coś powiedzieć, ale słowa rozproszyły się na moim języku, gdy najbardziej intensywny orgazm, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam, eksplodował i wywołał elektryzujące fale płynące aż do palców u stóp. Odrzuciłam w tył głowę, z jękiem kurcząc się i rozkurczając wokół Kylanda.

Jego ruchy stały się urywane i nierówne, po czym pchnął po raz ostatni, rozlewając się w moim wnętrzu, i wyjęczał orgazm w moją szyję.

Leżeliśmy tak przez kilka minut, z trudem łapiąc powietrze, a nasza skóra była wilgotna z wysiłku. Wreszcie Kyland uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

- Rany, tak strasznie za tobą tęskniłem. Zastanawiałem się, czy wczoraj był ostatni raz. - Jego uśmiech pełen był miłości, ale w oczach czaił się smutek.

Położyłam dłoń na jego policzku i pogłaskałam go kciukiem.

- Mamy wiele do nadrobienia. Ale przed nami całe życie. - Uśmiechnęłam się, a moje serce przepełniły nadzieja i radość.

Kyland wysunął się ze mnie, a ja się lekko skrzywiłam. Przetoczył się na bok i uniósł nieco, naciągając na nas koc. Potem wziął mnie w ramiona, a ja oparłam głowę na jego piersi.

- Bardzo cię przepraszam za tę łóżkową sytuację. Umościłam się jeszcze bliżej, wtulając nos w jego skórę,

wciągnęłam zapach, a następnie pocałowałam jego sutek.

- Jaką sytuację łóżkową? - spytałam, uśmiechając się przy jego piersi. Zachichotał.

- Sam nie wiem. Zapomniałem, co chciałem powiedzieć. Też roześmiałam się lekko. Uniosłam rękę i oparłam o jego pierś, a na niej ułożyłam podbródek, tak żebym mogła na niego spojrzeć.

- Co my zrobimy, Ky? Odgarnął mi włosy z czoła.
- Z czym?
- Ze wszystkim. Z nami. Jego ręka zamarła.
- A co chcesz robić?
- Chcę wymyślić, gdzie będziemy mieszkali... Wypuścił powietrze.
- Aha. Coś wymyślimy. Kiedy już się zdecyduję wstać z tego łóżka. Co może nastąpić za jakieś trzy miesiące.

Parsknęłam śmiechem. Ale podniosłam się, usiadłam na nogach twarzą w jego kierunku i spojrzałam na niego z wielką powagą.

- Muszę tu zostać i ukończyć budowę szkoły. Zobowiązałam się i jest to dla mnie ważne. A wiem, że ty wciąż pracujesz, by opłacić opiekę dla mamy. - Moje serce wypełniały miłość i wdzięczność za wszystko, co dla mnie zrobił, chwyciłam go więc za rękę. - Ale później, Kylandzie, mogę zatrudnić kogoś innego do prowadzenia finansów szkoły i pracować gdziekolwiek. Jak powiedziałam, teraz ja odwzajemnię prezent. Twoja kolej, żeby pójść na uczelnię. - Mówiłam szybko, a pomysły napływały mi do głowy w szalonym tempie. - Zamiast zostawać tu, mogłabym pojechać z tobą, gdziekolwiek zechcesz, wszędzie. Znajdę tam pracę nauczycielki i wynajmiemy małe, niedrogi mieszkanie i może będziemy musieli wziąć jakiś niewielki kredyt, ale...

Kyland roześmiał się z czułością i radością. Przerwałam potok słów i spojrzałam na niego, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd go poznałam, na jego twarzy maluje się wyłącznie radość.

- To wszystko bardzo urocze i możemy o tym porozmawiać, ale, Ten, jesteś topless, a ja nie uprawiałem seksu od czterech lat, trudno mi się więc skoncentrować.

Roześmiałam się i pochyliłam, żeby go pocałować. Uśmiechnął się, odwzajemniając pocałunek. Zapiszczałam, kiedy przewrócił mnie na plecy i spojrzał na mnie z góry z tym swoim promiennym uśmiechem.

- Możemy teraz wybierać, piękna dziewczyno. Mam jeszcze parę miesięcy do odpracowania w kopalni, a twoja mama zostanie jeszcze przez parę miesięcy w ośrodku, ale potem świat stanie przed nami otworem. A przynajmniej takie mam wrażenie.

Spokój. To właśnie dostrzegłam w jego przystojnej twarzy. Ten uśmiech emanował spokojem, spokojem i nadzieją.

Wiatr wdarł się przez okno otwarte obok prowizorycznego łóżka Kylanda, szeleszcząc zasłonami, i poczułam charakterystyczny zapach lawendy. Odwróciłam ze zdziwieniem głowę.

- Na zewnątrz rośnie lawenda. Skinął głową.

- To dlatego z początku korzystałem z komputera w bibliotece w Evansly, żeby sprawdzić, jak się ją hoduje. Jej zapach przypominał mi ciebie. Dzięki niej pamiętałem, dlaczego warto było cierpieć. Koncentrowałem się na tym, co robię i czemu. Wspominałem tamtą chwilę po seksie na skraju pola lawendy, kiedy zdałem sobie sprawę, że zrobię wszystko, by cię stąd wydostać, nawet jeśli będzie to oznaczało złamanie ci serca. - Twarz mu posmutniała. - Zimą wniosłem część do środka. Boże Narodzenie było dla mnie najtrudniejszym okresem.

- Och, Kylandzie. - Dech zaparło mi w piersi, a łamiący serce ból podszedł do gardła. - Dla mnie też - wyszeptałam, zaciskając mocno powieki na wspomnienie tych samotnych świąt spędzonych z siostrzenicą naszej dawnej dyrektorki, siostrzenicą, która przygarnęła mnie po moim przyjeździe do San Diego.

Potrząsnął głową.

- Nie smućmy się. Teraz jesteś tu. Było warto. A poza tym dzięki temu odkryłem, że lawenda jest dochodowa. Pomogło to paru osobom. Wyniknęło z tego coś dobrego.

Przytaknęłam.

- Owszem - wyszeptałam, uniosłam głowę i pocałowałam delikatnie jego usta.

Kochaliśmy się po raz drugi, tym razem delikatnie i powoli, zaspokoiwszy już początkową desperację. Później, gdy leżeliśmy razem w gasnących promieniach dnia wpadających z ukosa przez okno, a ja wpatrywałam się w mężczyznę, którego kochałam i wreszcie miałam u swojego boku, świat zdawał się wyłącznie pełen światła i nadziei.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kyland

Ten weekend był najradośniejszym weekendem mojego życia. Połowę czasu spędziliśmy na podłodze w moim pokoju, kochając się, aż mięśnie odmawiały nam posłuszeństwa. Wiatr niósł przez otwarte okno zapach lawendy, a ja nie wiedziałem, gdzie kończy się Tenleigh, a gdzie ja zaczynam. Moja Tenleigh, jedyna kobieta, która jednocześnie koła moją duszę i podniecała ciało. W tej kwestii nic nie uległo zmianie.

Gdy rozboleły nas plecy od zbyt długiego leżenia, wybraliśmy się na spacer po górach. Kiedyś widziałem tu jedynie rozpacz i nędzę - w Appalachach nie brakowało cierpienia ani trudności. Ale teraz, idąc ramię w ramię z Tenleigh, dostrzegałem dzikie piękno lasów budzących się do życia po długiej zimie. Wszędzie kwitły polne kwiaty, łąki tonęły w kolorach, potoki połyskiwały w promieniach słońca, a powietrze było ciepłe i smakowało słodyczą wiosny. Miałem te wzgórza we krwi, ziemię, na której pracował i którą kochał mój ojciec i jego ojciec, i przodkowie, harujący z mazołem w kopalniach

węgla, uprawiający ziemię i zakochujący się w kobietach, które rodziły im dumnych synów i córki Kentucky. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa czułem żarliwą miłość do rodzinnych stron, do tych gór, do ludzi, którzy tu mieszkali, podejmowali trud, przegrywali, na nowo go podejmowali, pazurami trzymali się swojej wrodzonej dumy i niewzruszonej miłości do Appalachów.

W tym regionie mieszkał zawzięty, prowincjonalny, górski lud. I wszyscy by się z tym zgodzili. Ale był on silny i odważny. I składał się w znacznej mierze z ludzi o dobrych sercach, którzy starali się jak mogli i dbali o siebie nawzajem. Jak mogłem o tym zapomnieć, skoro miałem to cały czas pod samym nosem? Może sam byłem jednym z nich. Może po drodze pomogłem paru osobom tylko dlatego, że to byli moi ludzie.

Urządziliśmy z Tenleigh piknik i zjedli lunch na skraju łąki, gdzie po raz pierwszy się kochaliśmy i gdzie zrozumiałem, że poświęciłbym dla niej wszystko - swoje marzenia, serce, duszę. To miejsce na zawsze mnie odmieniło. A teraz zatoczyliśmy pełny krąg.

Usiedliśmy w trawie na brzegu niewielkiego strumienia, woda toczyła się koło nas z rozbryzgiem, a my snuliśmy plany na przyszłość. Miałem wydać tę odrobinę odłożonych pieniędzy na naprawę dachu w swoim domu i kupić jakieś meble. Zamieszkamy tam, dopóki nie skończę pracy w kopalni, a szkoła Tenleigh nie zostanie wybudowana i otwarta. Urządzimy przyjemny pokój dla jej mamy, a ja po raz drugi w życiu przejdę proces składania podań do college'ow. Kiedy nadejdzie pora i kiedy dowiem się, do których szkół się dostałem, wszyscy podejmiemy decyzję, co chcemy robić dalej. Wiedziałem, że nie mogę pracować pod ziemią do końca życia. Robiłem to teraz i trochę się do tego przyzwyczaiłem, ale nadal stanowiło to dla mnie wyzwanie. Codziennie schodziłem w mrok góry, ale wciąż musiałem się do tego zmuszać.

- Jak się czułeś za pierwszym razem? - wyszeptała Tenleigh. Leżała z głową na moich kolanach i wpatrywała się we mnie łagodnymi, zielonymi oczami. Padające na nią z góry światło podkreślało błękitnożółtą obwódkę wokół tęczówki, a rzęsy stanowiły ciemną oprawę.

- Jakim pierwszym razem? - spytałem. Umysł miałem spokojny, kiedy tak podziwiałem gładkość jej skóry pod swoimi palcami, połysk włosów rozsypanych na moich udach.

- W kopalni - wyjaśniła, jakby odczytała moje myśli sprzed chwili. - Jak sobie poradziłeś, Ky? Jak tam zszedłeś? - Wyciągnęła dłoń i ujęła w nią mój policzek.

Wtulilem się w nią i pocałowałem ciepłą skórę ręki.

Zamknąłem na chwilę powieki, przenosząc się w myślach z otwartej przestrzeni wypełnionej szczęściem do ciemnych, ciasnych korytarzy, którymi codziennie się poruszałem.

- Za pierwszym razem przypominało to naprawdę podróż do piekła - odparłem. - Włożyłem kilka gałązek lawendy do kieszeni i kiedy wydawało mi się, że nie dam rady, kiedy czułem, że tracę rozum, wyjmowałem je i wahałem. Zamykałem oczy i czułem cię przy sobie. Wyobrażałem sobie lawendowe pola falujące na wietrze. Dzięki temu przetrwałem tamte chwile. - Wzruszyłem ramionami. - Zrobiłem to, bo musiałem. Zrobiłem, bo moje zejście tam oznaczało dla ciebie wolność. A w końcu, jak z większością rzeczy, nawet tych koszmarnych, uczysz się z tym żyć.

Jej spojrzenie przeppełniała miłość.

- Jak tam jest? - spytała. Głos lekko jej się załamał.

- Ciemno. Tak ciemno, że powinno się znaleźć osobne słowo na opisanie tego rodzaju ciemności. I gorąco, z początku trudno złapać oddech.

Obróciła się nieco w stronę mojego brzucha i otoczyła mnie ramionami w geście pocieszenia. Pochyliłem się i pocałowałem jej skroń.

- Wydawałoby się, że tak głęboko pod ziemią powinno być cicho, ale nie jest. Słyszysz, jak się przesuwa i jęczy, jakby nie była zadowolona z naszej inwazji. Jakby tam, na dole, nie było miejsca dla człowieka i jakby przypominała nam, że chce wypełnić te przestrzenie, które wyłobiliśmy. Te odgłosy przypominają zazwyczaj swego rodzaju ostrzeżenie.

- Ale przyzwyczyłaś się do tego? - spytała, jakby nie bardzo temu dowierzała.

Zawahałem się.

- Tak... w znacznej mierze. Nienawidzę ciemności i nienawidzę gorącego, dusznego powietrza. Nienawidzę pracować cały dzień zgarbiony. Nienawidzę wrażenia pułapki i bycia na łasce czegoś, co jest milion razy potężniejsze ode mnie. Ale... są też tam pozostali, górnicy, którzy schodzą tam codziennie, zachowując dumę i honor. Wychodzą z twarzami poczerwiałymi, z pyłem w płucach, ale robią to, bo mają rodziny i bo ich ojcowie też to przed nimi robili. Robią to, bo to uczciwa robota. Robią to, mimo że większość ludzi nie ma bladego pojęcia, że dzięki węglowi mają elektryczność.

- Za każdym razem, gdy włączasz światło, podziękuj górnikowi. - Uśmiechnęła się. - Jestem z ciebie taka dumna.

Odwzajemniłem uśmiech.

- Robię to samo co tysiące innych mężczyzn. Ale przebywanie tam, na dole, nappełniło mnie dumą z ojca i brata, jakiej wcześniej nie czułem. Pozwoliło mi poradzić sobie jakoś z tym, jak umarli. Z jednej strony to dla mnie piekło, ale z drugiej dar.

- Kocham cię - wyszeptała.

Widziałem to w wyrazie jej twarzy. Rozumiała mnie. Rozumiała cierpienie, jakiego doświadczałem. Rozumiała poświęcenie i rozumiała też dumę. Nie sądziłem, by dało się ją kochać jeszcze mocniej, ale pokochałem.

Co za dziewczyna.

Moja dziewczyna.

- Ja też cię kocham.

W niedzielę wybraliśmy się na śniadanie do niewielkiej knajpki przy autostradzie. Opowiedziała mi wszystko o San Diego, o oceanie, o zajęciach, o aplikowaniu do grantów, o kawiarni, w której przesiadywała niemal codziennie. Chłonałem ją, jej entuzjazm, urodę, dumę, inteligencję. I byłem taki dumny, że jest moja.

- Cały czas się martwiłem - powiedziałem, nie patrząc jej w oczy.

Chwyciła mnie za rękę, a ja skupiłem wzrok na naszych złączonych palcach.

- O moje bezpieczeństwo? - spytała. Pokręciłem głową.

- O to tylko troszkę, ale bardziej martwiłem się... martwiłem się, że poznasz kogoś innego. Zakochasz się. - Podniosłem oczy i czułem, jak bardzo widać w nich bezbronność.

Rozchyliła usta i posmutniała. Potrząsnęła głową.

- Zawsze byłeś ty. Nikt inny. Nie chciałam się sama przed sobą przyznać, że budowa szkoły... chociaż pomoże dzieciakom i jest moim sposobem na odwdzięczenie się rodzinnemu miastu - spuściła wzrok, a potem znów spojrzała mi prosto w oczy - chciałam znaleźć się znów blisko ciebie. Mimo że wiedziałam, jak to będzie bolało. Nie potrafiłam o tobie zapomnieć. Nigdy nie zapomniałam, cały ten czas, nigdy. Nawet kiedy sądziłam, że mnie zdradziłeś. A może gdzieś w środku wiedziałam, że to niemożliwe.

Pochyliłem się ponad stołem i ją pocałowałem.

Wybraliśmy się na targ rękodzieła, parę godzin jazdy stąd. Na krytym moście Tenleigh wyciągnęła komórkę i strzeliła mi parę fotek, śmiejąc się na widok mojego spiętego, nienaturalnego uśmiechu, aż wreszcie rozśmieszyła mnie naprawdę, robiąc idiotyczne, błazeńskie miny. Zdawała się zadowolona

ze zdjęcia, na którym patrzę w bok, a zęby błyskają mi w szerokim uśmiechu na urokliwym tle mostu. Ustawiała je jako tapetę.

- Naprawdę chcesz na nie patrzeć za każdym razem, kiedy włączysz telefon? - spytałem, chociaż ucieszyła mnie tym i miałem nadzieję, że je zostawi.

- No - odparła. - Lubię sobie popatrzeć na swojego przystojnego chłopaka, szczególnie gdy nie ma go w pobliżu.

Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem w pachnące włosy. Chłopak. To słowo nie wydawało mi się wystarczające na określenie stopnia, w jakim do niej należałem.

Kupiłem jej lody domowej roboty, ukręcone przez starszą panią o różowych policzkach, ubraną w perkalową spódnicę w jaskrawych kolorach. Popatrzyła na nas i uśmiechnęła się ciepłym, wiedzącym uśmiechem, jakby rozumiała coś, czego nie przekazaliśmy jej werbalnie.

Spacerowaliśmy, trzymając się za ręce, a Tenleigh oglądała rękodzieło wytwarzane przez miejscowych rzemieślników i słuchała ich śpiewnej górskiej gwary - języka stanowiącego mieszankę prostoty i poezji. Wiedziałem, że niektórzy z mieszkańców naszej góry, hodujący lawendę, przyjechali na taki targ kilka tygodni wcześniej. Na sam widok tylu appalaskich przedsiębiorców moją pierś rozpieła duma.

Usiedliśmy pod rozłożystym kasztanowcem i słuchali zespołu country. Muzyka wypełniła powietrze, a każda nuta brzmiała jak dom.

Pochyliłem się w stronę Tenleigh i wyszeptałem jej do ucha:

- Mam zamiar się z tobą ożenić. Odchyliła głowę i wpatrzyła się we mnie.

- Chcę dzieci - powiedziała. - Całe mnóstwo. Roześmiałem się.

- Tyle, ile zechcesz. Zamierzam spełniać wszystkie twoje marzenia. Przez całe życie.

Jej spojrzenie pełne było czułości.

- A ja zamierzam spełniać wszystkie twoje marzenia. Przez całe życie.

Uśmiechnąłem się i pochyliłem, by ją pocałować. Już spełniłaś. Ty jesteś moim marzeniem.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić za góry, wróciliśmy moim pick-upem do domu, trzymając się za ręce.

Na zakończenie dnia kochaliśmy się pod otwartym oknem na znanej już podłodze, a dopasowanie naszych ciał dawało mi radość, której byłem zbyt długo pozbawiony. Odpłynąłem szczęśliwy, zadowolony i przepełniony spokojem.

EPILOG

Sześć lat później

Kyland

Moja żona stała w dużym oknie panoramicznym, wpatrzona w ozłoczone promieniami słońca góry - widok, który nigdy nie przestał zapierać mi tchu w piersiach. Nawet tak wcześnie, tuż po wschodzie, w domu już było duszno i parno. Z drzew na zewnątrz dobiegało odległe granie cykad. Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Tenleigh uniosła włosy na karku i zwinęła je do przodu, jakby wiązała węzeł.

Podszedłem do niej, zaplotłem ręce na jej wydatnym brzuszku, kładąc dłonie tam, gdzie mogłem poczuć poruszające się w środku dziecko.

- Cześć, piękna - wychrypiałem zaspanym głosem. Chwyciła moje ręce, a ja oparłem podbródek na jej ramieniu, wdychając zapach. - Dziecko nie daje ci spać? - spytałem.

- Mhm - zamruczała. - Silny, mały drań. - Pomasowała punkt na podbrzuszu, jakby właśnie ktoś ją tam kopnął. -

Od czwartej nad ranem proszę go, żeby poszedł spać. Jest uparty jak osioł.

Uśmiechnąłem się z ustami przy jej skórze, musnąłem ją nosem, a potem zatrzymałem na niej usta. Tenleigh zadrżała i przyciągnęła mnie mocniej.

- On? - spytałem. - Wygląda mi to raczej na nią. Obróciła głowę, śmiejąc się cicho, i wtuliła we mnie swój policzek.

- Nie chciałam zbudzić ciebie... ani Silasa.

- Silas będzie jeszcze przez chwilę spał. Wczoraj bawił się wiele godzin nad strumieniem. - Zabrałem go ze sobą na pierwszą w jego życiu lekcję wędkarstwa. Mój chłopak. Pocałowałem jeszcze raz szyję Tenleigh. - Nie miał już na nic siły.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Uważaj na słowa. Też nie miałeś na nic siły, ale to maleństwo jakoś się tu znalazło. - Znowu pogłaskała brzuch.

Zamruczałem cicho.

- Chodź do łóżka, wymasuję ci plecy.

Uśmiechnęła się i zamruczała z zadowoleniem. Odwróciwszy się, wzięła mnie za rękę, a ja zaprowadziłem ją do ogromnego łóżka w naszym pokoju.

Cztery lata temu wprowadziliśmy się do tego starego, pełnego przeciągów domu na farmie na obrzeżach Dennville. Kiedy weszliśmy tu po raz pierwszy, nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że dom wymaga gruntownego remontu, ale zobaczywszy pokój dzienny, jego wysoki sufit z belkami z drewna cedrowego i ogromne okno z zapierającym dech w piersiach widokiem na góry, wiedzieliśmy, że to jest miejsce, w którym chcemy żyć. Dom był prosty, ale piękny i do nas należał.

To ten dom remontowaliśmy bez wytchnienia, by stał się nasz. To tu zaczęliśmy nasze wspólne życie. To tu dotykałem

Tenleigh często i z miłością, nigdy nie biorąc za pewnik jej obecności w moich ramionach. To tu przynosiłem swojej żonie zamiast bukietów małe ciasteczka zdobione na brzegach doskonałymi, różowymi kwiatkami, bo wiedziałem, że sprawiają jej radość.

To do tego domu wniosłem przez próg swoją świeżo upieczoną żonę, kiedy już przyjęła moje nazwisko podczas skromnej, ale pięknej ceremonii zaślubin na skraju lawendowego pola, w obecności najbliższych przyjaciół i rodziny. To tu stworzyliśmy dom dla naszego, dziś trzyletniego, synka Silasa i to tu Tenleigh powiedziała mi, że znów spodziewa się dziecka. To ten dom odwiedzał Jamie, wiedząc, że zostanie tu przyjęty z przyjaźnią i miłością, to tu co tydzień Marlo i Sam, razem z ich małym Elijah i mamą Tenleigh, przychodzili na obiad. Siadaliśmy wspólnie do niesamowitego, ręcznie rzeźbionego stołu, który dostaliśmy od Bustera w prezencie ślubnym - stołu, który w obecności dzieci trzeba było przykrywać obrusem.

Rozmawialiśmy o moim wyjeździe na uczelnię, może nawet dojeżdżaniu gdzieś, podczas gdy Tenleigh by pracowała, ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że moje życie i moje serce należały do tego miejsca. Tak więc zrobiłem eksternistycznie dyplom inżyniera wodno-lądowego na Uniwersytecie Kentucky. Piąłem się - dosłownie - w kopalni, awansując na naziemne stanowisko kierownicze, wkrótce po powrocie mamy Tenleigh do domu, a po uzyskaniu dyplomu - na stanowisko inżyniera.

Nie byłem w stanie uratować ojca ani brata, ale teraz zarządzałem bezpieczeństwem wszystkich mężczyzn, którzy dzień po dniu brali metalowy identyfikator i dzielnie schodzili pod ziemię, ryzykując życie, by dać Ameryce elektryczność. Nikt nie szanował ich bardziej niż ja. A kiedy w Evansly widziałem pociągi z węglem wytaczające się z miasta, chwytałem żonę mocno za rękę i stawałem na baczność.

Jeśli chodzi o Edwarda Kearneya, to zmarł na zawał serca na krótko przed naszym ślubem. Nigdy nie pogodził się z synem, a żona porzuciła go kilka miesięcy przed śmiercią. Nie mógłbym powiedzieć, że szczególnie zmartwiła mnie wiadomość o jego odejściu - nigdy nie pokazał się z innej strony niż jako zimny, egoistyczny człowiek, a jego śmierć pomogła mi w podjęciu decyzji o pozostaniu w kopalni. Edward Kearney zmarł, posiadając wszystkie ziemskie dobra, jakie można kupić, a mimo to, moim zdaniem, nie posiadając absolutnie niczego.

Parokrotnie wyjeżdżaliśmy z Tenleigh z Dennville - raz do Nowego Jorku w dwutygodniową podróż poślubną, raz na moje rozdanie dyplomów, a raz na weekendową wycieczkę do Louisville. Kiedyś chciałem opuścić Kentucky i zamierzałem nie oglądać się za siebie. Teraz, gdy byliśmy z dala od domu, czułem tęsknotę, która mówiła mi, że mam świetne wakacje, ale czas wracać tam, gdzie moje miejsce. W głębi serca byłem chłopakiem z Kentucky i zawsze nim pozostanę. Któregoś dnia nasi synowie i córki poznają i pokochają jak my dzikie piękno tutejszych gór.

Mieszkańcy wzgórze i parę innych osób z miasta wciąż hodowali lawendę i nieźle z tego żyli. Rok po naszym ślubie zorganizowano duży festiwal lawendy i w gazecie stanowej ukazał się artykuł o tym, jak to mała, uboga, górnicza miejscina o tragicznej przeszłości zaczęła uprawiać kwiaty, które niosły nadzieję. Media ogólnokrajowe podłapały historię i ludzie zaczęli zjeżdżać z całych Stanów, żeby poznać kulturę Appa-lachów, kupić wyroby od lokalnych rzemieślników i nacieszyć się pięknem regionu. Dało to miastu dochody i teraz każdego lata cieszyliśmy się na przyjazd turystów. Ubóstwo nie jest prostym problemem, ale te kwiaty dały niektórym nadzieję, i z tego byłem dumny.

Mama Tenleigh zamieszkała w Evansly z Marlo i Samem. Pracowała na pół etatu w gabinecie Sama i pomagała przy

Elijah. Radziła sobie świetnie, lepiej rozpoznawała symptomy, gdy czuła się przytłoczona, i wiedziała, kiedy prosić o pomoc. Przyjeżdżała do nas na lato, kiedy Tenleigh nie pracowała w szkole. Wybierały się wtedy na długie spacery po wzgórzach, wreszcie poznając się jak matka z córką.

- Wygodnie? - spytałem, kiedy Tenleigh ułożyła się na łóżku z poduszką między nogami.

Wiatrak w nogach łóżka szumiał kojąco, dmuchając w naszym kierunku chłodnym powietrzem. Kiedyś odłożymy pieniądze i zainstalujemy klimatyzację.

- Tak wygodnie, jak tylko może być przy tych rozmiarach brzucha - powiedziała.

Słyszałem w jej głosie uśmiech. Przesunąłem dłonie po skórze u podstawy jej kręgosłupa. Westchnęła i rozluźniła się.

- Kocham cię - powiedziałem po prostu.

- Ja ciebie też - wyszeptała w odpowiedzi.

Kiedy tak masowałem plecy żony, moje myśli krążyły, a serce było pełne. Dawniej wydawało mi się, że w miłości zatraciłem samego siebie. Ale prawdą było coś wręcz przeciwnego. Odnalazłem siebie, oddając serce Tenleigh, odnalazłem to, co dla mnie ważne, co naprawdę ma znaczenie. A teraz, gdy gładziłem dłońmi jej gładką skórę, nie było na ziemi miejsca, w którym bardziej chciałbym być niż w tym łóżku, życia, jakie bardziej chciałbym wieść niż to, które wiodłem. Prawdę mówiąc, nie prowadziliśmy ani skomplikowanego, ani luksusowego życia. Ale znaleźliśmy prostą radość ciepłego domowego wieczoru przed telewizorem, głęboką wdzięczność za lodówkę pełną jedzenia, miłość rodziny i przyjaciół, skromny wdzięk białej mgły unoszącej się nad górami za oknem w zimny, jesienny poranek.

I nagle, leżąc tak, doznałem olśnienia. Właściwie nie wiedziałem tego. Tylko czułem. Czułem w swoim wnętrzu, w krwiobiegu.

- Ten - *zaciąłem*, kładąc dłoń na jej brzuszku - pamiętasz to coś, co ma znaczenie?

- Jakie coś? - spytała sennie.

- To coś, co uważałem, że powinienem w życiu robić? Odwróciła głowę i spojrzała mi w oczy. Serce we mnie zamarło.

- Tak - powiedziała łagodnie.

- Właśnie to robię.

Na jej twarzy pojawiła się czułość, ujęła w dłoń mój policzek, a ja poddałem się pieszczocie.

- Czy to ci wystarcza? - spytała szeptem. Pochyliłem się i ją pocałowałem. Nigdy w życiu nie byłem

niczego równie pewny. Wyszeptałem z ustami przy jej ustach:

- Aż nadto... to dużo więcej, niż kiedykolwiek mogłem sobie wymarzyć.

Mieliśmy wszystko, czego potrzeba. Żadna z tych rzeczy nie była wielka. Większość należała do rzeczy najprostszych. Ale w tej chwili wiedziałem, że rozmiar domu, samochodu, portfela nie ma absolutnie nic wspólnego z rozmiarem życia. A moje życie... moje życie zdawało się ogromne, pełne miłości i znaczenia.

PODZIĘKOWANIA

Szczególne podziękowania kieruję do redaktorek merytorycznych Angeli Smith i Larissy Kahle za godziny poświęcone tej książce. Jesteście dla mnie jak siostry, a Wasze wskazówki są nieocenione. Dziękuję, że kochacie mnie i moich bohaterów i robicie co w waszej mocy, byśmy wszyscy wyglądali jak najlepiej.

Dziękuję Marion Archer, redaktor językowej serii. Sprawiasz, że mój tekst staje się lepszy, dużo lepszy, a praca z Tobą daje wiele radości. (Ogromnie żałuję, że nie redagowałaś tej strony, bo wiem, że pozostawiona sama sobie z pewnością naszpikowałam ją błędami gramatycznymi).

Dziękuję Karen Lawson, która jeszcze bardziej doszlifowała moją powieść. Twoje poprawki z ostatniej chwili były bezcenne i udoskonaliły *Bez szans*.

Wyrazy wdzięczności dla moich pierwszych czytelniczek, które wytrzymały krótkie terminy i czytały w miarę, jak pisałam: Cat Bracht, Natashy Gentile oraz Eleny Eckmeyer (z oddaniem przeczytały rękopis dwukrotnie). Dla Karin Hoffpauir Klein, mojej przyjaciółki i specjalistki od

zdrowia psychicznego, oraz Nikki Larazo, mojej dozgonnej cheerleaderki. I po raz kolejny dla mojej autorki-krytyczki A. L. Jackson - doceniam ogromnie Twoją chęć czytania historii jeszcze na etapie osiemdziesięciu tysięcy rozwlekłych, niesprawdzonych pod względem pisowni słów.

Dziękuję raz jeszcze Elle Chardou za szybkie łamanie. Nie wiem, jak Ci wyrazić wdzięczność.

Ogromne podziękowania kieruję do mojej agentki Kimberly Brower. Jestem szczęściarą, że mam Cię w swojej ekipie -dzięki Twojemu entuzjazmowi i miłości do pracy wszystko staje się przyjemnością. Nigdy za wiele telefonów, które rozpoczynają się słowami: „Siedzisz?”.

Dziękuję też wszystkim czytelnikom i blogerom, którzy recenzują, polecają i wspierają moją twórczość - dozgonne wyrazy miłości i wdzięczności.

Mojemu mężowi... Nie mam słów, by wyrazić moją miłość i wdzięczność za pracę, jaką włożyłeś w *Bez szans*. Stanowiliśmy prawdziwą drużynę, a Twoja miłość do tej historii wypełniła moje serce po brzegi. Wszystko, co wiem o historiach miłosnych, wiem dzięki Tobie.